

WŁODZIMIERZ KULIGOWSKI

TRZECIE OKO

Uli Łepkowskiej Wasilewskiej, dzięki której napisałem tę książkę i dzięki której żyje

I

Paweł idzie wolno ulicą, po omacku, krok za krokiem, trzymając się parkanu. Nagle widzi furtkę, naciska na klamkę, drzwi ustępują. Rusza przed siebie, z wyciągniętymi rękami, jak ślepiec. Dostrzega czerwoną tablicę, ale nie może odczytać napisu. To jakaś szkoła - myśli i odnosi dziwne wrażenie, jakby raptem uniósł się w powietrze, jakby nieznana siła pomogła mu pokonać część podwórka i strome schody, prawie kilkanaście metrów; ciało staje się lekkie, ręce chcą się podnieść do góry, fruwać. Otwiera drzwi, widzi wielki hall i zaraz naprzeciw siebie uśmiechniętego ojca, który trzyma w prawym ręku dziesiątki wielkich kluczy nanizanych na stalowym kółku. Ojciec bawi się nimi, a one pobrzękują przy każdym jego mchu. Ma na sobie wypłowiałe dżinsy, bordową koszulkę polo, na głowie żółtą kolarską czapkę. Paweł dobrze słyszy to, co do niego mówi, chociaż nie otwiera ust:

- Wielu obiecywało, że przyjdzie znów do tej szkoły. To były jedynie słowa. Ale ja wierzyłem, że przyjdiesz. Znasz ją dobrze, to trafisz tam, gdzie będzie egzamin.

- Nie chcę iść na żaden egzamin. - Paweł nie czuje zdziwienia, a tym bardziej strachu, tylko wielką radość wyciskającą łzy z oczu i tamującą oddech. - Chcę cię pocałować, porozmawiać...

- Często mówicie, że mieliście przedziwny, straszny sen. Mylicie się, bo jest to często wrażenie z miejsc i zdarzeń, które widzieliście albo które zobaczycie w innym życiu. No, synku, czas iść.

- Powiedz coś jeszcze, tato. Proszę, nie znikaj. Proszę.

- Chodź, synku. Nie bój się.
- Ojca ręka jest gorąca, jakby niecielesna, nierzeczywista.
- Gdzie idziemy?
- Zobaczysz, ale znasz to miejsce.

Idą niespiesznie długim korytarzem, który nie ma okien, zamiast nich wiszą socrealistyczne obrazy, na półkach stoją książki: Czechow, Tolstoj, Kafka, Platon. A Paweł przymyka oczy i wchodzi na wyżynę, słońce oślepia, wokół rozciągają się pola pełne zboża. Idzie z Gabi ścieżką pomiędzy rzadkimi krzakami, spod nóg ulatują z piskiem kolorowe ptaszki. Przystaje, przytula Gabi do siebie.

- Kiedy się ze mną ożenisz? - jej oczy śmieją się, zagryza wargi i przechyla głowę.

- Niedługo, tylko muszę zarobić pieniądze, żebyśmy kupili dom z ogrodem.

- Chcę mówić o tobie „mój mąż” i żeby wszystkie baby wiedziały, że jesteś tylko mój. Nie muszę mieć domu z ogrodem.

- Ale dzieci muszą bawić się w ogrodzie, budować domy z piasku i patyczków, patrzeć na ptaszki, które będą mieszkały w karmnikach...

- Zapomniałeś, że nie mogę mieć dzieci.

- Niedługo medycyna coś wymyśli i to będzie tak łatwe jak wyleczenie zęba.

- Ty łobuziaku - mówi Gabi z rozbawieniem, a on uświadamia sobie, że jest gotów pójść za nią przez wszystkie pogranicza i niezbadane tereny całego globu. Trudno mu jest myśleć o czymś innym, dopóki nie widzi siebie: leżący na boku, pełen pożądania i tkliwości. Słucha jej słów, wypowiedzianych cichym, lekko chrapliwym głosem, jak u bluesowej piosenkarki, który tak mu się podoba:

- Będę tak cię kochała, że jak umrę albo nie będziesz ze mną, to oszalejesz z bólu.

Ojciec potrząsa nim, na jego twarzy nie ma uśmiechu.

- Kto umie ograniczyć swoje pragnienia i spogląda bez zawiści na to, co jest nad nim, oszczędzi sobie wiele zawodów. Pamiętaj, synu: najbogatszy jest ten, kto ma najmniej potrzeb.

Idą schodami w górę. Pierwsze piętro, drugie. Paweł zaczyna się denerwować. Strach dławi, rozsadza klatkę piersiową.

- Nic idę na żaden egzamin. Setki razy coś musiałem zdawać. Dziwna siła porwa go i przenosi kilkadziesiąt metrów. Przed klasą stoi elegancko ubrana jego była wychowawczyni ze szkoły podstawowej, nauczycielka rysunków. Blond włosy opadają jej na ramiona, mocno uszmkowane wargi lśnią krwisto. „Ona nie żyje” - myśli Paweł. „Miała trzydzieści trzy lata, kiedy umarła na raka. Była dumna, kiedy dostałem się na Akademię. Dlaczego się tutaj znalazła?”

- W dzieciństwie zawsze zносиła do domu chore albo poranione psy, koty, ptaki - słyszy Paweł w głowie głos ojca. - Później miała słabość do skrzywdzonych mężczyzn, którzy potrzebowali pocieszenia. Tylko że tacy faceci zwykle mylą miłość z pożądaniem, przywiązaniem albo zwykłą wygodą.

- Taka też była mama?

- Nie.

- A jaka?

- Kiedyś się dowiesz albo sam dojdiesz do tego.

- Wszystko przygotowane, Pawełku - odzywa się wychowawczyni poważnie. - Wierzę, że dasz sobie radę.

„Ona dodaje mi otuchy, bo się boi, że jeszcze ucieknę” - myśli Paweł. „Czyją lubiłem? Nie pamiętam. Ciągłe mówiła, że nie wolno kłamać, a była sekretarzem partii”.

Paweł wchodzi za nią do klasy. Wszystkie ławki są zajęte, siedzą w nich nauczyciele ze wszystkich szkół, do

których chodził. Każdy z nich ma przed sobą notatnik. Jak na komendę zaczynają coś pisać, popatrując na Pawła, który myśli z narastającym strachem: „Co to za paranoja? Oni wszyscy nie żyją, a ja przecież żyję. To co tu robię?”.

- Otrzymaśz proste pytania - odzywa się wychowawczyni. - Jestem przekonana, że będziesz znał odpowiedź. Pierwszy profesor Łaska, który bardzo cię lubił, chociaż byłeś debilem z matematyki. Proszę, panie profesorze.

Łaska wstaje z ławki, przygląda się z uśmiechem Pawłowi.

- Tym razem nie zapytam cię o różniczkowanie, bo i tak byś nie odpowiedział, ale o to, czy wszechświat może ulec zniszczeniu?

„Co ten dziadzio gada? Dlaczego mnie o to męczysz? Powinien o to pytać Irokeza. On powołałby się na Platona, Husserla...”

- Może ulec zniszczeniu.

- Ale dlaczego?

Paweł zaciska powieki i bezwiednie syczy, jakby rapem zabolał go ząb. Ale kiedy otwiera oczy, znów widzi drwiący uśmiech tego starego człowieka, którego kochał jak własnego dziadka, a który stawiał mu trójki z matematyki, bo ciągle powtarzał, że wychował tysiące młodych ludzi i wie, z którego może coś dobrego wyrosnąć.

- Wszechświat jest niezniszczalny, Pawełku - odzywa się profesor Łaska, uderzając dłonią w pulpit ławki. - Ale ludzie odrzucają zasady moralne i wszystko pogrąży się w chaosie. Ludzie i rzeczy znikną, po czym nastąpi nowy początek. Stawiam ci pałę, Pawełku. Jesteś starym koniem, ale żyjesz jak smarkacz. Zawiodłem się na tobie.

Łaska siada w ławce. Gniewnie zaciska wargi, po czym wyjmuję papierosa, osadza go w fifice, podpala i zaciąga się łapczywie dymem. „Dziadziu, przepraszam, naprawdę

poprawię się, daj mi jeszcze jedną szansę, proszę” - myśli Paweł i napływają mu łzy do oczu.

- Nie daję żadnej szansy! - krzyczy wściekle Łaska i wali pięściami w ławkę. - Zły nieukarany, rozbestwia się, a dobry, widząc to, traci nadzieję.

To już koniec, myśli Paweł i czuje wielką pustkę, po czym słyszy w sobie nieznaną głos, który podśpiewuje: To mrok jest tym, co mnie tak przyciąga i fascynuje.

- Ja mam bardzo proste pytanie - mówi dyrektorka szkoły podstawowej, kręcąc się w ławce i bawiąc wielkim, czarnym długopisem. - Ale pozwolę państwu, że nim zadam go, to powiem kilka zdań tytułem wprowadzenia. Otóż ten chłopiec, Paweł Tyszka, od początku był przeze mnie obserwowany. Już na rozpoczęciu roku szkolnego, kiedy miał niecałe siedem lat, jako jedyny płakał, nie chciał iść do klasy bez swojej matki. Później zaś bił dziewczynki, nie chciał zrozumieć, że tego nie można robić...

- Miałem dość pouczeń typu: „Pawełku, nie garb się. Pawełku, nie wolno bić Ani, przecież jest słabsza. Pawełku, kobietę puszcza się przodem i całuje w rękę - odzywa się Paweł ochryłym głosem, bełkotliwie. - Pani chciała ze mnie zrobić wariata, ciągle wzywała matkę, kierowała do poradni zdrowia psychicznego...

- Bo byłeś jednostką społeczną! - krzyczy dyrektorka. - Nic chciałeś uczestniczyć w akademiach i apelach. Słuchałeś „Wolnej Europy”, paliłeś papierosy, wagarowałeś, buntowałeś kolegów, kochałeś się od pierwszej klasy w swojej koleżance. Ciągle chorowałeś. Odra, cztery razy zapalenie płuc, żółtaczka, wstrząśnienie mózgu, świnka. Wiem, że mnie nienawidziłeś, to odpowiedz, co to znaczy prawdziwa nienawiść?

„Tak, życzyłem jej śmierci, kiedy ukradła mi liścik miłosny, który napisałem do Ewy, a ona, suka, przeczytała go

przy całej klasie, mówiąc, kto go napisał. I czytając, śmiała się, a z nią prawie cała klasa, a Ewa popłakała się i uciekła do domu, a jej rodzice przenieśli ją do innej szkoły i nic wolno mi było nawet z nią rozmawiać, bo jej ojciec, wiceminister, zagroził, że wsadzi mnie do poprawczaka, i zrobili jej nawet badania ginekologiczne. A miałem wtedy jedenaście lat”.

Dyrektorka staje przed Pawłem. Mruży oczy i zaczyna potrząsać go za ramiona.

- Nienawiść, bękarcie, to jest coś takiego, gdy z kimś się przyjaźnisz, pomagasz mu, twoje rodziny spotykają się, trzymasz jego dziecko do chrztu, ale gdy znajdziecie się kiedyś sami nad przepaścią, to natychmiast, bez zastanowienia i strachu, wrzucisz go do tej przepaści. A później będzie cię rozpieierała radość. To jest prawdziwa, czysta nienawiść. Wiesz o tym?!

- Wszystko, co wiem, to tylko to, że niedługo umrę - odpowiada Paweł, jękając się. - Może za dzień, dwa, dziesięć lat.

- Protestuję - podrywa się z ławki profesor Łaska. - Ojciec tego lenia patentowanego podpowiada mu, co mówić...

Paweł obudził się. Telefon komórkowy wygrywał melodyjkę. Był cały spocony, jakby wyszedł spod prysznic. Miał ołów w rękach i nogach. Chłodna jesień nacierała wilgocią przez otwarte okno. Spojrzał na zegarek. Była 8.27. Iwona powiedziała coś przez sen i odwróciła się na drugi bok. Poczul ciepło jej uda i pogłaskał ją po głowic.

- Gdzie jesteś? - usłyszał charakterystyczny głos Pączka.

- Na działce. Co się stało, że dzwonisz w porze pierwszej zmiany? - zapytał Paweł, siląc się na dowcip. Był pewien, że Pączek jest pijany i stracił poczucie czasu. Iwona odwróciła się, nie otwierając oczu. Dostrzegł sine podkówki i bruzdy wokół ust.

- Co za palant dzwoni o tej porze?

- Przyjaciel - odpowiedział, zakrywając słuchawkę dłonią, bo wiedział, że ona nic znosi Pączka.

- Dzieją się, chłopie, straszne rzeczy - Pączek mówił szybko i bełkotliwie, głos łamał mu się co chwila. - Oglądałeś telewizję albo słuchałeś radia?

- Nie.

- Chłopie, to znaczy, że nic nie wiesz, tak?

- Co mam wiedzieć?

- Jezu, chłopie, jakieś świrusy porwały cztery samoloty z kilkuset pasażerami, dwa wylądowały się w wieże World Trade Center, które się zawaliły. Zginęło podobno dziesięć tysięcy ludzi. Trzeci samolot uderzył w Pentagon, czwarty gdzieś spadł, nie pamiętam gdzie, gdzieś daleko od Nowego Jorku. Ewakuowano ONZ, Kapitol, Biały Dom. Żaden samolot nic może latać nad Stanami...

- Ale kto to zrobił?

- Mówią, że arabscy terroryści, ale czy to wiadomo? Jadę kupić żarcie, wodę mineralną, gorzałę i papierosy. Tylko patrzeć jak Husajn albo Kadafi użyją broni atomowej. Wracaj do Warszawy i natychmiast przyjeżdżaj do mnie...

- Dlaczego do ciebie?

- Dlatego, kurna, że mam potężne piwnice. Chłopie, za chwilę może być trzecia wojna światowa. I to nuklearna.

Pączek wyłączył się. Trzecia wojna światowa, powiedział Paweł w myśli, dzieląc słowa na sylaby i jakby mówił to w innym języku. Nic był przerażony, bo realne niebezpieczeństwo uspokajało go. Przekonał się o tym wiele razy. Pączek panikuje. Dlaczego miałyby być zaraz wojna nuklearna? Zginęło może dziesięć tysięcy ludzi, ale nie muszą miliony czy miliardy...

Iwona wstała z łóżka i stanęła przed lustrem. Wklepała krem w policzki i jednym mchem rozpuściła włosy. Otulił się

kołdrą i zamknął oczy. Powiedzieć jej, co się stało, czy milczeć?

- Wracamy dzisiaj do Warszawy? - spytała, związując włosy.

- A musimy?

Usiadła na łóżku. Zawiązała mocniej pasek szlafroka i zaczęła głaskać Pawła po dłoni.

- Musimy. Mam wieczorem ważne spotkanie. Jak wypali ten biznes, to zarobię dużo pieniędzy. Wtedy zapraszam cię na tydzień do Hiszpanii. Słońce, ciepłe morze, kafejki, wieczorami będziemy się kochać na plaży.

„Co znaczy ten okropny sen?” - pomyślał. Przeszył go ból w plecach; rozchodził się powoli, tamował oddech, rozsadzał klatkę piersiową. To tylko strach, pomyślał i zobaczył trupy, wygłodzone, płaczące dzieci, rannych. To wszystko widział w serwisach telewizyjnych. „Muszę mówić, byle co, żeby tylko nie wyobrazać sobie najgorszego”.

- Ile masz pieniędzy?

Na twarzy Iwony pojawił się nowy wyraz: czujności i skrywanej przebiegłości.

- Zależy jak liczyć... Mam akcje różnych spółek, głównie informatycznych...

- Ile masz na koncie, ile możesz podjąć? Dziesięć tysięcy dolarów, sto, milion? - zapytał z rozdrażnieniem.

- Wiem, że nic lubisz, kiedy mówię o biznesach, aleja zawsze musiałam liczyć na siebie i dlatego ci, którzy mnie nie znają, opowiadają jaka to jestem pazerna, bezwzględna i inne takie bzdury. Głównie twoi koledzy...

- Nie zaczepiaj moich kolegów.

- W porządku! - prychnęła i wzniosła teatralnie oczy ku niebu. - Koledzy święta rzecz. Pączka boli wątroba, Pawełek już leci kupić mu lekarstwo i dzwoni po znajomych lekarzach

po poradę, Marek ma chandrę, bo za mało występuje w telewizji i wypada z obiegu, Pawełek jedzie z nim na działkę...

- To ile masz tych pieniędzy? - spytał z hamowaną złością.

- Nigdy nie pytałeś, ile mam, to co się stało, że raptem pytasz? Tobie mogę dać, ale nie pożyczę dla kogoś.

- Tak się spytałem - poklepał ją uspokajająco po dłoni.

- To się nigdy nie pytaj.

Wzruszył ramionami. Spojrzał w okno. Siąpił deszcz, niebo było zasnuwane brudnymi chmurami i wiedział, że tak będzie jeszcze przez wiele dni, w tej wiosce odległej o niecałe pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy. I pomyślał, co by zrobił, gdyby nic spotkał Iwony i zaraz stwierdził, że nic powinien przyjeżdżać z nią właśnie teraz, kiedy nie rozmawiają ze sobą godzinami i przestaje łączyć ich nawet seks.

Paweł podszedł do okna. Pod lasem, przy myśliwskiej ambonie, siedziało dwóch mężczyzn. Nic mieli przy sobie broni myśliwskiej, nawet nic byli ubrani jak grzybiarze. Jeden z nich obserwował okolicę przez lornetkę.

- Od trzech dni obserwuje nas dwóch facetów.

- Masz obsesję na punkcie podsłuchów telefonicznych i śledzenia...

- Iwona, koło nas kręcą się jacyś podejrzeni faceci, nie wyglądają na myśliwych czy grzybiarzy, a ty mi pieprzysz, że mam obsesję.

Podeszła do okna, przeciągnęła się. Rozchyliła szlafrok.

- Niech sobie popatrzą na cycki! - roześmiała się. - Na pewno się nudzą.

- Jak jesteś tak szczodra, to pokaż i dół.

- Bez kasy? Zwariowałaś? Nawet jak byłam młoda i głupia, to zawsze coś z tego miałam, jak facet złapał mnie za cycki lub poszłam z nim do łóżka.

Westchnął i pokręcił głową. Większość ludzi była zszokowana jej zuchwałością, a często bezczelnością. Bez trudu widzi ją, kiedy jest podłotkiem, bo zna jej stare zdjęcia, wyprostowana, z czarnymi warkoczami, zmrużonymi oczami. Obok znerwicowana matka, chory na wrzody ojciec, który siedział cztery lata w komunistycznym więzieniu za udział w podziemnej organizacji, złamany biedą i kłopotami, łudzący się, że zaraz coś się zmieni, dostanie odszkodowanie za więzienie, odezwie się bogaty brat z Ameryki, będą pieniądze, zacznie się nowe życie. Matka godzinami leży w łóżku albo łązi po mieszkaniu, kopiąc tanie papierosy, którymi wszystko prześmiardło. A Iwona pierze raz w tygodniu w balii, nosi codziennie węgiel z piwnicy, pali w piecu, szoruje podłogi, przerabia ubrania. Co sobota sprząta w willi aptekarza, który pewnego razu wyjmując jej piersi ze stanika i, kwicząc jak wieprz, zaczyna się onanizować, a potem daje jej dwa razy więcej pieniędzy niż zawsze. Ma wtedy niecałe szesnaście lat. To nic, to nic, powtarza sobie, kiedy tydzień później aptekarz kładzie rękę na rozporoku. Wycina fotografie aktorek z kolorowych tygodników i wkleja je do specjalnego zeszytu, który ukrywa w piwnicy. W Warszawie, na studiach, nauczy się znajdować w ludziach słabości, tak się zachowywać, by myśleli, że jest wesoła, naturalna, pełna energii. W jej podstępnej pokorze można jednak dostrzec potrzebę zdobycia pewności, że zasługuje na przebywanie w drogich knajpach, luksusowych willach, spanie z tymi, których jeszcze niedawno znała tylko z kolorowych tygodników i telewizji.

- Ja, tak naprawdę, nic o tobie nie wiem... Ciągle gdzieś telefonujesz, umawiasz się, jesteś podenerwowana...

- Sugerujesz, że jestem cichociemna czy też w mafii? - spytała i zaniósła się śmiechem. - Nie bądź śmieszny, Pawka.

- Wszystko, co wiem o tobie, to od ciebie. A wszyscy twoi znajomi są jacyś dziwni. Słale gadają o interesach, jeżdżą

po świecie jak po swojej dzielnicy. Dygnitarze komunistyczni, wyżsi oficerowie milicji i wojska.

Na twarzy Iwony pojawiła się czujność; wyprostowała się i poprawiła w krześle, z papierosem zapalonym w prawym ręku.

- Gadasz, mój miły, jak paranoik. Nie chcę być złośliwa, ale to ty masz obsesję śledzenia i podsłuchów.

- Bo byłem śledzony i podsłuchiwany. Objęła go i zaczęła całować ze śmiechem.

- Kochany, przysięgam, że nie jestem gangsterem ani szpiegiem. Jak chcesz, to przysięgnę na życie swojego dziecka.

- Znasz tych facetów, którzy nas obserwują?

- Kochanie, jacyś faceci przyjechali połączyć po lesie, odpocząć i tyle. A poza tym, to dlaczego miałabym być śledzona, a nie ty? Twój koleś siedzieli w więzieniach, taki Irokez siedział i później przepadł, mają pieniądze, obracają się wśród ludzi bogatych i ustosunkowanych. Znasz posłów, ministrów, prezesów wielkich spółek. Żyjemy w takich czasach, że nie wiemy, kto jest naprawdę kim. Czy nobliwy pan w średnim wieku, na przykład pan poseł czy senator, nie jest naprawdę przywódcą mafii. Pieniądze rządzą światem. Nie chcę cię obrazić, ale ty nie nadajesz się do tych czasów. Jesteś za ufny, za bardzo pomagasz ludziom. A ludzie są podli, czego ty nie chcesz przyjąć do wiadomości. Skąd twój przyjaciel Pączek ma tyle pieniędzy? Myślisz, że nic daje łapówek ludziom, którzy załatwiają mu kontrakty?

- Iwona, proszę, nie męcz mnie...

- Uchyłam ci tylko kawałek rzeczywistego świata. A twoją sprawą jest, czy chcesz go zobaczyć, czy też nie.

Ona ma trochę racji, pomyślał Paweł. Żyję w swoim świecie i nic chcę znać tego rzeczywistego. A Pączek? Tak, myśląc przede wszystkim o interesach, akceptuje u ludzi

słabości, które ja, Marek i Irokez uważamy za wady. To, co powiedziała Iwona, sprawiło że poczuł się zagubiony. Znow żałował, że nie ma w sobie dość siły, by trzymać się od niej z daleka.

- W Polsce, nikt w życiu publicznym, nie mówi o istocie rzeczy wprost, bo nie musi - odezwała się Iwona, zaciągnęła mocno papierosem i zgasiła go w popielniczce. - A dlaczego nie musi? Ponieważ świat wartości został rozmazany. Nikogo nic nie obowiązuje. Nawet odpowiedzialność za to, co powiemy, zrobimy, z kim się spotykamy, z kim robimy interesy. Gruba kreska, zatarcie winy i kary. Wszystko w Polsce się rozmazało. No, porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym - poklepała go żartobliwie po twarzy. - Mój ty, kochany gołodupcu. Kocham cię.

- Czyli uważasz mnie za pocziwą dupę, tak?

- Nie - położyła mu głowę na piersi, a on zaczął się bawić jej włosami. - Jesteś taki, jaki jesteś. I wiem, że nawet, gdybyś chciał, to i tak się nie zmienisz. Powinieneś być bogaty z domu albo mieć bogatą kobietę. I ja chcę być bogata dla ciebie.

Poczuł wzruszenie, ale zaraz pomyślał, że nie powinien jej we wszystkim wierzyć. Skoro okłamywała i okłamuje ludzi, to dlaczego akurat miałaby tego nic robić wobec niego? I znow rozlał się w nim dławiący strach, bo przypomniał mu się telefon Pączka. I leżał obok Iwony, słyszał jej oddech, czuł ciepło ciała, patrzył na swoje obraz), wiszące na ścianach, i miał wrażenie, że ciało mu tężeje. Zmniejsza się. I żeby się od tego uwolnić, zamknął oczy i znow szedł lasem, obserwując przesuwane się chmury i wsłuchując w świat przelatujących ptaków, a mgła sunęła płatami po polanie, gubiąc się pośród drzew.

- Życie jest piękne - szepcze Gabi i jej głos łamie się pod wpływem wzruszenia albo wspomnienia. - Tylko trzeba wiedzieć, czego się chce, i nie poddawać się.

- Ty wiesz, czego chcesz? - pyta z rozbawieniem i obejmuje ją, by uchronić przed chłodem nadciągającym od jeziora, a ona zerka na niego i uśmiecha się w charakterystyczny dla siebie sposób: ujmujący i zwycięski.

- Chcę być z tobą - odpowiada i każde jej słowo brzmi tak, jakby zostało wyciągnięte z mroku. A może tylko mu się tak wydaje. - I jeszcze chcę robić to, co bardzo lubię...

Urywa i spuszcza głowę, kreśląc coś na piasku czubkiem buta.

- A co lubisz? - pyta, kryjąc rozbawienie, bo trochę go śmieszy ta jej powaga, a ona odsuwa się gwałtownie, by za chwilę zaśmiać się żartobliwie i jak psiak zapraszający do zabawy, uderza go dłonią w ramię.

- A nic będziesz mnie uważał za szurniętą?

Przygarnia ją do siebie. Czuje kruchość i ciepło ciała, a później, najdelikatniej jak umie, całuje ją w usta.

- Nie będę - odpowiada cicho i już wie, że jest naprawdę inna niż te, które zna, i nic szuka w nim tego, co wygodna każe szukać kobiecie - mocnego oparcia. Ona ma to w sobie. Z tym się urodziła.

- Chciałabym projektować ubrania, w których ludzie czuliby się lepsi, fajniejsi - jej palce, zaciśnięte na jego dłoni, uwalniają się, to znów splatają. - To będzie moja skromna cegiełka w ulepszaniu świata. A ty mi w tym pomożesz.

Nagle czuje się inny, lepszy. Wzruszony lekko uderza końcami palców w jej dłoń.

- Okłamałam cię... Mój ojciec nie umarł na serce. Popęłił samobójstwo - mówi coraz ciszej, z opuszczoną głową. - Miałam wtedy rok. Znam to z opowieści babci... Przyszedł z pracy, on był pułkownikiem wojska, pracował w

Sztacie Generalnym, a właściwie po zebraniu partyjnym, na którym dowiedział się o referacie Chruszczowa, o tym, jak Stalin mordował ludzi... Nie chciał jeść obiadu, powiedział, że jest zmęczony, musi odpocząć. Poszedł do swojego pokoju i zastrzelił się. Oficjalna wersja była, że umarł na zawał serca... On był komunistą. Babcia mówiła, że dużo złego zrobił ludziom.

Obejmuje ją, a ona zaczyna płakać, coraz bardziej, a w nim rozlewa się czułość.

- Nic płacz, to nie twoja wina. Kocham cię, Gabi. Twoją twarz o czystym rysunku, sposób trzymania głowy, zdziwione oczy, niespieszny sposób chodzenia i śmiech, ciało, nagłe zasmucenia...

- Czego chciał ten facet, który do ciebie zadzwonił?

- Zapraszał na przyjęcie - odpowiedział po chwili, bo jeszcze był gdzie indziej, a poza tym nie chciał powiedzieć Iwone prawdy. Usiadła przy stole, po czym napiła się wody mineralnej i zaczęła wertować stare gazety, pogwizdując głośno.

- Wiesz, przez ostatnie lata zarobiłam kupę forsy. Niekiedy sama w to nie wierzę. Patrzę w lustro, szczypię się w dłoń i pytam głośno: „Czy to naprawdę ja, Iwona Skierka z Zasieków, której nie było stać nawet na bułgarski kozuszek, a teraz ma dwa futra, biżuterię za dziesięć tysięcy funtów i nowego mercedesa?” Tak, wędrówka na szczyt dużo mnie kosztowała, ale teraz łączę wesoła, podśpiewuję sobie i mam ochotę krzyknąć: „Ludzie, kocham tego mruka, tego popierdolonego Polaka”. A też są dni, kiedy przychodzi dół, wątplenie. To zwykły romans, nie wolno z tego robić nic wielkiego. Rozumiesz to moje szarpanie?

- Rozumiem - odpowiedział i uświadomił sobie, że to dzięki niej znów potrafił się śmiać. Była dowcipna, pełna energii i chciało się przy niej żyć. Dawała nadzieję.

- Trafiłeś na chwilę, kiedy strasznie chciałam być znowu zakochaną. Żeby tylko to było ważne. Chciałam zwariować, marzyć jedynie o randce, dotyku dłoni, pocałunku, seksie. Być w jakimś dziwnym, lepszym świecie. Żeby nic nie istniało... Ani dom, ani pieniądze, ani przyszłość.

Zaczęła boleć go głowa; z nemów i niewyspania. „Na pewno nic złego się nie stanie” - pomyślał. „Nic będzie wojny, ona wyjedzie do siebie, do Londynu, a ja umyję kubek, z którego ona zawsze pije, wyrzucę kilka drobiazgów, oddam pościel do pralni, odkurzę, żebym nie znajdował nawet jej włosów. Przepadnie ze swoim gardłowym śmieciem, pijaństwem, wariactwem. Nie mogę być z nią, ona zniszczy wszystko, w co wierzę, a po drodze mnie...”

K.

Podeszła do okna. Uchyliła lekko zasłony. Wstrząsnęła nią dreszcz. Na twarzy pojawił się strach.

- Ci faceci pod lasem to chyba bandyci?

- Nie wiem.

- Ktoś powiedział, nie pamiętam kto, że jedyne realne i bezwzględne pewniki to głód, zimno, strach i śmierć.

Nie lubił, kiedy filozofowała albo mówiła o polityce, bo przeważnie cytowała kogoś, z kim ostatnio rozmawiała lub czymś jej zaimponował. Znow usiadła przy stole, skuliła się i założyła nogę na nogę.

- Masz broń?

- Zwariowałaś? - wzruszył ramionami i odczuł dziwne zadowolenie z tego, że zaczęła się bać.

- Myślałam, że skoro znasz tylu wpływowych ludzi, twój przyjaciel jest posłem, to sobie załatwisz pozwolenie na broń. Ja bym miała na pewno pistolet, gdybym mieszkała na stałe w Polsce. Przecież tu w każdej chwili można zostać okradzionym, napadniętym, porwanym.

- Gdybyś miała broń, to już byłabyś pod lasem, a ci faceci umieraliby ze strachu.

Roześmiała się i przeciągnęła, ziewając głośno.

- Masz rację...Gdy muszę zrobić coś perfidnego, staram się być maksymalnie wredna. To ma większą moc.

Usiadła na łóżku. Objęli się. Trwali w równowadze, którą czasami potrafili osiągnąć.

- Czego ty ode mnie oczekujesz? - spytał głównie dlatego, że bał się ciszy, kiedy obok była kobieta.

- Żebyś był taki, jaki jesteś, ale mniej naiwny. Zresztą, trudno mi to teraz wytłumaczyć... Gdy kocham i jestem kochana, to nie myślę, że jestem w niewoli. Że czegoś mi brak. Nawet pieniędzy. Wtedy moja niezależność leży sobie na dnie toaletki albo torebki. Miłość sprawia, że jestem kimś innym. Inaczej żyję i oddycham.

Położył się na wznak i zamknął oczy.

- Mężczyzna musi być twardy, bezwzględny, odpowiedzialny i zdolny do każdego kompromisu dla dobra miłości albo rodziny. Tego oczekują prawie wszystkie kobiety, a ja nie chciałem być nigdy takim.

- Wiem.

- To dlaczego jesteś ze mną?

- Bo cię kocham...Trzeba dwóch ludzi, by powiedzieć prawdę. Jednej, która mówi i drugiej, która słucha.

Roześmiał się i pocałował ją w policzek.

- Jestem z tobą, jest mi źle, nie ma ciebie, też jest źle.

- Jesteś po prostu uzależniony... Ile można dostać, jak się kogoś zabije w obronie własnej? - wsparła się na łokciu. Zauważył, że jest spięta.

- Albo uniewinnienie, albo nawet z pięć lat.

- Siedziałeś z jakimś mordercą?

- Tak...Wszedł przez okno, z dwoma współnikami, do mieszkania na parterze. To małżeństwo spało. Obudzili ich.

Kobieta pokazała, gdzie jest schowana biżuteria, pięćset dolarów i pensja. Szczapa, taką miał ksywkę, przyłożył brzytwę temu mężczyźnie do gardła i kazał oddać wszystko co cenne. Ten przysięgał, że nic już nie mają. Szczapa zakneblował mężczyznę, kobietę, a później, śmiejąc się, jak zeznali jego wspólnicy, zaczął podrzynać gardło...

Iwona położyła mu dłoń na ustach, po czym błyskawicznie zwinęła się w kłębek i otuliła kołdrą.

- Brrr, nie opowiadaj już tego horroru. To niepojęte, że rodzą się i żyją tacy ludzie.

Zamknął oczy i znowu znalazł się w celi z piętrowymi pryczami, czuł smród kibla, niemytych ciał i papierosów.

JOZEF: Mam zarzut, trudno, a dostaję trzy i pół roku, chociaż inni kradną miliony, te wszystkie komuchy. A ile przemycili, ukradli ludziom z mieszkań. W ostatnim słowie powiedziałem: „A chuj z taką sprawiedliwością!”. Dobrze, że nie przyłożyli za obrazę sądu, ale co miałem powiedzieć? Jaka to sprawiedliwość? Siedzieć tyle lat. Ale założyłem rewizję. Siedzę za to, że dałem facetowi w nos. Oni nic mają sumienia, ludzkich uczuć. Krzyczą pięć, osiem lat. Jakby szli do sklepu, pili wódkę albo żarli. Taka ich sprawiedliwość - zniszczyć i ogołocić. Jeszcze do tego mam przepadek mienia. Ale takiego kindybała, nic nie dostali. A ja dałem w nos, bo mi gnój ubliżał. Myślał, że mu wszystko wolno, bo ma brata oficera milicji. No i wymyślił, że go zlałem i zabrałem pieniądze. I jaki mają ze mnie pożytek? Jak wyrok się uprawomocni i pójde do roboty, to trzy czwarte pieniędzy będą musieli wysyłać żonie. Będą też musieli zostawiać na wypiskę. A jeść muszą dać, przeprać gacie, zapłacić za światło, ogrzewanie, administrację. Dokładają, bo się w kit rozwiodłem i większość przeszła na żonę. Tylko straciłem telewizor. Musi być amnestia.

Ciepło gorączki kołysze. Usypia. Przelyka z trudem ślinę. Zwija się w kłębek. Widzi jej włosy, twarz, zdziwione oczy i zarys piersi pod brązowym sweterkiem, i te jej piękne dłonie... Ona jest tutaj, leży obok mnie, okryta szorstkim, cuchnącym kocem. Gabi, Gabi, przytul mnie, przytul mocno, jeszcze mocniej, pocałuj...

JOZEF: Gdy widzę tych adwokatów, to aż mnie trzęsie. Tylko cię poklepują, kiwają głowami, cmokają. Tak jak ten mój. Przyjeżdżał i mówił, że będzie dobrze, a rodzina płaciła. A w trakcie procesu gada, że nic nic osiągniemy, tylko na rewizji wyroku. I znów trzeba płacić za jego czas, wizyty. Przychodzi rewizja, a on, paparuch, cmoka i krzywi się, że niedobrze, zły skład sędziowski, trzeba zmienić, jedyny ratunek to jego choroba. Matka płaci. No i załatwił sobie zwolnienie lekarskie, że niby straszliwie chory na serce. I co to dało? Nic. Ten mój adwokat wyrwał tyle pieniędzy, że można byłoby kupić ze dwa samochody. Ja mam, panowie, takie marzenie, by przez rok zająć się tymi adwokatami, milicjantami, prokuratorami, sędziami, którzy coś zmajstrowali niezgodnie z prawem. Do tego mieć z dwóch ostrych chłopaków i sprawić tym cwaniaczkom łomot. Później jajca do szuflady, tak jak ci cwaniaczkowie lubią to robić. Przyklepać jeszcze na lewo kilka spraw. Zobaczyliby, jak smakuje ten więzienny chleb. Kiedyś widziałem w telewizji takiego starego palanta, adwokata, który gadał, że więźniowie uważają, że rok, to nie wyrok..'. Przeszła zima, przeszło lato i roku ni ma. Niech przetrzyma ten rok, posiedzi w areszcie śledczym, pół godziny spaceru, marne żarcie, sranie publiczne, raz w tygodniu łaźnia, brak wody w celach, brud sakramencki. Ten mój adwokat wyrwał pieniądze i wyemigrował do Australii.

ŁYSY: Ciach bajera. Lepiej pobajerzmy o dupeczkach. Matejko, jakie waliłeś piosenkarki?

ON: Nie znam żadnej piosenkarki.

ŁYSY: Nie świruj dżentelmena, Matejko. Zawsze byłem ciekaw, jak się wałą te piosenkarki, artystki. One wszystkie jednakowe... I te z telewizji, i te co gnój przerzucają. Tylko w ubraniach się różnią. A jak są na golasa, to mają te same broszki i tak samo chcą bolca. Mówi się, że faceci nie wytrzymują bez seksu, ale co te blachy wyprawiają, to mózg się lasuje. Siedziałem u bab, na Grochowie. Co kipisz, to znajdowali sztuczne lachy. Szyją futerały, pakują w to różny fajans i w te brochy. I lizają się, paradują z tymi broszkami na wierzchu...

Ogólny śmiech. Widzi ciemną klatkę schodową i oszklone drzwi, lśniące w słońcu. Dom dziadków. Wokół tego wspomnienia falują inne, osobiste i zamazane.

JOZEF: Gdy siedziałem na transportówkach, to na dole siedziały baby, no i bez przerwy robiło się przebitki. Murowali, zabijali gwoździami, a brało się kawał żelaza z łóżka, łup, łup w mur i znowu jest dziura. Najlepszy to był taki, co go przywieźli z Węgier. Zrobił trzydzieści włamań do mieszkań. On taką przebitkę zmontował jak dłoń i wsadził palanta w dziurę. A tam, z dołu, jakaś baba go pałowała.

Rechoczący śmiech. Okręca się szczerzej kocem. Jej włosy muskają prawy policzek. Owiewają delikatnym zapachem. Zapada się coraz niżej i niżej. Przywiera do jej ciała. Tonie w pocie, płynie przez noc. Ginie w mroku, jaskrawość gwiazd chluszcze w oczy. Jest zimno, widzi słońce, oddycha słońcem...

ŁYSY: Oj, te baby, baby... Ile człowiek ich poznał. I panny, i rozwódki. Dziesięć lat roboty w terenie, to sami rozumiecie. Kiedyś, byłem wtedy w wojsku, poszedłem z kumplem do kawiarni. Popijamy winko, a przy sąsiednim stoliku siedzą takie dwie. Kikujemy na nie, one na nas. Po trzydziestce, starsze od nas. Zdrowe klacze, noga, cyc.

Rozmowa, uśmieszki. Łądujemy w mieszkaniu jednej. Gorzałka, tańce, macanki. Patrząc, a kumpel już obrabia tę swoją, wali palcówkę. Ona rozwalona w fotelu, oko na wierzchu, czarne jak kret, dupskiem merda i dyszy. To przystawiam się ostrzej do tej mojej, knot mi stoi, ta się klei, podjarana, jezor wsadza mi do ucha. Całe umyła elegancko. Nagle łap za rękę i targa mnie do kuchni. A za nami wjeżdża ta druga z koleżką. Pytam, co one kombinują, a ta moja, że one lubią, kiedy mężczyzna, w trakcie kochania, bije mięsem po twarzy. Spojrzeliśmy na siebie z kumplem i fiu w długą...

JÓZEF: Kit.

ŁYSY: Jaki kit, jaki kit! Co piąta baba jest zboczona. Oj, powaliłbym sobie taką, z ładną buzią i cycami jak ośle uszy. No, ostatecznie nadałby się miły cwelik, co by wziął do buzi.

JOZEF: Ja tam nie rozumiem tych, co walą cweli. Też są dla mnie podpadnięci. Rozumiem ludzi, co mają wysokie wyroki, ale nie tych, którzy już w areszcie śledczym, po kilku miesiącach, posuwają cweli...

ŁYSY: A co to szkodzi, że cwel weźmie do buzi? Lepiej się brandzlować?

JÓZEF: Ale to chłop, co on ma takiego urodziwego?

ŁYSY: Zawsze lepiej, gdy cwel weźmie na połyk, niż samemu się skórować.

JOZEF: Co lepiej, co lepiej? Jestem w kryminale i onanizm jest ludzką sprawą. Sztucznym rozładowaniem. Czego mam się wstydzić? Matejko, a ty wiesz, kto cię sprzedał, że masz w domu ulotki i zakazane książki?

ON: Nie wiem.

JÓZEF: A co byś zrobił, gdybyś się dowiedział, kto cię nadał, a później ten ktoś by siedział z tobą pod jedną celą?

ON: Nie wiem...

ŁYSY: Nie wiem, nie wiem... Co to za gadanie?! Ty, Matejko, pamiętaj, że litość to zbrodnia. A swoją drogą to

może niektórzy z nas wyjdą na amnestię. Ludzie burzą się na wolności, coraz więcej siedzi w kryminalach. Sądzą za cichy chód na ulicy. Muszą popuścić, bo inaczej ludzie wyjdą z rozpaczy na barykady i poleje się krew.

JÓZEF: Ano właśnie. Władza, która opiera się na sile, jest słabą władzą. Jak uczy historia, wszystkie takie ekipy upadają w piżdziec. Cesarstwa, imperium carskie. U nas będzie to samo. Ten komunistyczny system ledwo dyszy i zaraz zdechnie. Czasami to sobie myślę, co byłoby, gdyby pojawił się u nas prawdziwy terroryzm. Jakby raptem zginęło kilku ważnych. Pisziesz się na ten pomysł, Matejko?

ON: Nie. Byłby jeszcze większy terror. Poza tym, nie można zabijać.

JÓZEF: Eeee, inteligenciki zawsze pietrają, kiedy trzeba naprawdę działać. Są mocni tylko w gębie.

SZCZAPA: A ja, kiedy sobie leżę na koju, to w myślach rozwalam pluton milicji, a na księdzu wywalam dziesięć. W nos, w nos i po krzyku. W karty przegrał kilkaset, dolarów, samochód. Na drugi dzień latał jak oparzony z tacą.

JÓZEF: Wszędzie są źli i dobrzy. A ty nie masz prawa wcinać się do naszej rozmowy, bo jesteś bandytą. Biednego człowieka zabiłeś...

SZCZAPA: Ale wcześniej obrabiałem prokuratorów, cinkciarzy. Skąd mogłem wiedzieć, że ten frajer dęty jest biedny? Wspólnik gadał, że to ciepły klient, ma pełno złota i dolarów.

JÓZEF: Dla ciebie już powróż kręć. Powieszają cię.

SZCZAPA: Nie powieszają. Dostanę dwadzieścia pięć lat i wyjdę po piętnastu. Będę miał wtedy cztery dychy.

ŁYSY: I co będziesz robił na wolności? Znowu zabijał?

SZCZAPA: O tym będę myślał na wolności.

JÓZEF: Ja siedziałem z takim jednym politycznym, który odgrażał się, że jak wyjdzie, to porwie samolot i rąbnie nim w

gmach całej tej partii, kiedy będą mieli wielkie zebranie. Ten polityczny był umówiony z facetem, ale ten nie przyszedł do tej kawiarni, on wychodził, a tu esbecja go łaps i na komendę. A w torbie miał ulotki, książki, jakieś papiery. No i zaczęli go bić. To on za krzesło i do nich. No i zaczęli mu kręcić sprawę o pobicie. Chyba z rok siedział w śledztwie. Zachorował na cukrzycę i serce. Malarz, nazywał się Miszewski. Znasz go, Matejko?

ON: Nie.

ŁYSY: Zaczynam bać się wolności. Niczego nie ma, ceny idą do góry, ale trzeba jakoś żyć. Trzeba będzie się zakręcić za jakimś biznesem, bo z państwowej pensji człowiek nie wyżyje. Produkcja wafelków to jest biznes. Siadają dwie baby przy automatach, a ty leżysz do góry brzuchem. Proszki sprowadzamy z Zachodu, żółtka kombinujemy od rolników, bo taniej. I biznes leci.

JÓZEF: Wafelki, ile można ich zjeść? Gorzała i papierosy to jest interes. Zawsze ludzie będą pili i palili, bo to jest nałóg. Wezmę tira towaru, dam w łapę celnikowi i jestem bogaczem.

ŁYSY: A celnik cię nada i znów będziesz siedział.

JOZEF: To już mój problem. Ciach bajera, kopary do remontu. Grunt to się nie przejmować, chodzić w luźnych butach, nie palić skrętów i nie pić zimnej wody. Dobranoc.

Kleją mu się powieki. Boli głowa. Jej zmrużone oczy, światełka domów, pracownia, restauracja, ludzie demonstrujący na ulicach, łapczywe palce z czerwonymi paznokciami na jego podbrzuszu, białe płyty pośladków i piersi, buty, zieleń łąki, głosy krążące w powietrzu. Wszystkie plaże, które zna. „Siedzę w więzieniu czwarty miesiąc i to jest realne” - myśli. „Do tego mam gorączkę i początki grypy. Gabi, gdzie jesteś, co robisz? Wyjechałaś i zapomniałaś o mnie, aleja wciąż o tobie pamiętam”. Przewraca się na bok, do

ściany. „Gdzie się nauczyłeś tak dobrze grać, tato?” Ognisko przygasa, strzela iskrami w ciemność. Daleko, w wiejskich chałupach, bawią się ludzie. Słychać akordeon, strzępy rozmów i wybuchy śmiechu. „Kiedyś grałem w pomocy, Pawka. Ale znokautowałem obrońcę z przeciwnej drużyny i skończyło się moje wyczynowe granie. Od początku meczu faulowałem, ale sędzia nie reagował. No i sam wymierzyłem sobie sprawiedliwość. Za dwa miesiące wybuchła wojna”. „Dużo strzeliłeś bramek” - pyta z napięciem, bo chce usłyszeć, że bardzo dużo i już układa opowieść o ojcu, który o mało nie zagrał w reprezentacji Polski. Marek, Pączek i Irokez pękają z zazdrości. „Sporo, wisusie” - odpowiada ojciec i przygarnia go do siebie, a on czuje zapach papierosów zmieszany z wodą kolońską.

- Spisz, Matejko? - słyszy głos Łysego tuż przy uchu, później chrapanie Józefa.

- Nie.

- Uważaj na Józefa. To oficer esbecji na lewych papierach.

- Co to znaczy?

- Ma prawdziwe papiery, podpisy, pieczętki, ale nie jest tym, za kogo się podaje. Udaje złodzieja.

- Skąd wiesz?

- Wiem i tyle... Muszę ci coś opowiedzieć. To ważne dla mnie.

- Jestem chory i chce mi się spać - z trudem przełyka ślinę, strach rośnie, paraliżuje, dochodzi do niego, że Łysy zdradził mu przed chwilą tajemnicę, która jest niebezpieczna.

- To było ma Mokotowie, wjeżdża pod celę małodat, cela wieloosobowa, pytają, czy grypsuje. On, że tak. Jest z grypsującymi ze dwa tygodnie, aż któregoś dnia klawisz otwiera drzwi i małodat, jak to na śledczaku, biegnie, żeby

zobaczyć, co się dzieje na korytarzu, bo pod całą duszno i nudno...

- Dlaczego chcesz mi o tym opowiedzieć właśnie teraz? Nie możesz jutro?

- Bo muszę to z siebie wyrzucić. Komuś opowiedzieć, bo gnębi mnie jak zmora. Nie daje żyć... I ten klawisz, ksywka Zuch, pyta małolata, czy grypsuje. On, że tak, a Zuch, że on też, ale w nieparzyste dni. No i małolat, ze śmiechem, że on w parzyste. Klawisz coś pogadał i się zmył. I wtedy podszedł do niego, tego małolata, Stasiek. Uderzył dłonią w czoło, a to kafar, ponad sto kilo wagi. Małolat o mało nie padł. Stasiek krzyknął: „Małolaci, co jest z wami? Nauczcie go mówić!”. No i małolaci ukrećili ręczniki i krzyczą, że dziesięć od każdego. Małolat położył się na taborecie, wypłacili około trzydziestu. A on dupskiem wierci, jęczy, krzyczy. Wreszcie poderwał się i nawija: „Ludzie, nie bijcie! Nic wytrzymam!” A wtedy Jarek, co siedział za włamanie do kolekcjonerów, przywódca małolatów nawija: „Kładź się, kurwa twoja mać, bo i tak dostaniesz!”. Małolat rozplakał się i prosi: „Jezusie, nie bijcie. Błagam.” A Jarek do niego: „Chcesz grypsować czy nie?”. On na to: „Nie bijcie, nie będę grypsował”. Wtedy Jarek uderzył go w twarz, inni zaś podbiegli, krzycząc: „Ty pało, frajerze!”. W głowę, w głowę, zbili go, z nosa poszła krew, zaprowadzili do kącika, on się umył pod kranem, a oni wyrzucili jego miskę i kazali usiąść do ostatniego stołu. Przy kiblu. Nie wolno mu było chodzić po celi, rewir miał tylko beton. W sraczu. Chciał się wysikać, nie pozwolili. Małolat skrecał się z bólu, odchodził do swojego miejsca. Sam siedzi, bo nic nie ma. Nawet w łaźni zabrali mu kalesony. Aż któregoś dnia podszedł do niego Joc, cały wytatuowany. „Kurwa fa, kurwa fi, małolat nie bój się, nie będziesz sprzątał klozetu i nikt nic będzie cię bił, tylko przyjdź do mnie w nocy na kojo”. A ten małolat, zastraszonego wszystkim, nie wiedział,

o co chodzi, dlaczego ten woła, poszedł po zgaszeniu światła. Joe poczęstował go papierosem, zaczęli gadać. No i kazał małowatowi wziąć za ptaka. Ten nie chciał, to postraszył, że zaraz go pobije. No i wziął. Joe krzyknął, że dobrze, bardzo dobrze. Potem kazał wziąć do ust. I zaczęła się impreza. W ciągu nocy małowat obkoczył z sześć łózek. W dzień dali mu trzy papierosy, a od stołu wypędzili frajerzy. Jadł na betonie, koło kibla. Dostał też kojo przy sraczu i tak zwiedzał łózka przez dwa tygodnie. Coraz to inny przyłączał się do tej zabawy. Wreszcie powiedział jeden, że nie bierze go już na kojo, bo dostał krost, drugi, że małowat źle obciąga laskę. Potem sadzali go na kiblu, ustawiała się kolejka. Może go nawet dymali, ja nie patrzyłem. I już nie dawali papierosów, chociaż o nie zebrał. Dali ksywkę Kaśka...

- I mogłeś na to patrzeć?

- A co miałem zrobić? Wiele razy bluzgałem w duchu: „Co ci zwyrodnialcy robią, zniszczą chłopaka”. Ale wiedziałem, że jak się ujmę, to niczego nie zmieni. I jeszcze mogą zgwałcić. Od tej pory nie mogę spać. Coś mnie gryzie. Pawka, ty jesteś gość, a grypsujesz. Twoimi braćmi mają być bandyci, zbrojeńcy, kapusie? Zasady mówią, że należy walczyć z administracją więzienną i komuną, a co oni robią? Niszczą takich samych więźniów. Chcesz być po stronie diabła?

- Nie męcz mnie. Ledwo żyje.

- Pawka, idź solo przez kryminał i nie myśl o żadnej babie - mówi Łysy szybko, gorączkowo. - Chciałbym zobaczyć się z tobą na wolności. Mam sad, blisko rzeka, piękny las. Możesz sobie malować...

- Za co ty właściwie siedzisz?

- Za bzdurę. Za łapówkę, dzięki której dostałem materiały budowlane, bo dom stawiałem...

- Dlaczego raptem mnie polubiłeś? Przecież stałe szukałeś okazji do kłótni. Co powiedziałem, to szydziłeś...

- Z głupoty, z tego, że wydawało mi się, że zadzierasza nosa... Przepraszam. Coś we mnie pękło, kiedy przeszedłeś z widzenia i wszystko podzieliłeś na równe części. Nawet dla mnie. Uważaj na siebie. W więzieniu jesteś tylko ty i kraty. Gdy na swojej drodze spotkasz stado wilków, to żeby uratować głowę, musisz się do nich przyłączyć...

Paweł przestaje słuchać. Dwa obrazy, przesuwane się i nakładające na siebie, jak tasowane karty, pojawiają mu się przed oczami: matka wykładająca jabłka na stolik w sali widzeń i on obejmujący ją. Leży bez ruchu, z łomoczącym sercem, prawie nie oddychając i patrząc w zakratowane okno; wysoki mur, druty kolczaste, strzępek nieba, ciemna kula drzewa.

Łysy nasłuchuje, przekrzywiając głowę w lewo, w prawo, po czym idzie szybko, na palcach, do swojej pryczy. Ostrożnie, by nic narobić hałasu, kładzie się i nakrywa głowę kocem.

Zapala się światło. Paweł spostrzega okopcony sufit, zadrutowaną żarówkę, śpiących więźniów. Pstryknięcie. Patrzy w ciemność otwartymi oczami. Słyszy oddalające się kroki klawisza i brzęk kluczy. Ona teraz śpi. A może idzie kolorową, pełną światła ulicą? Nie, leży na gorącym piasku, z policzkiem wtulonym w ręcznik albo koc. I nagle widzi Irokeza, który napływa, falując jak zasłona na wietrze. Uśmiecha się i, mimo że nie otwiera ust, słyszy jak mówi: „Żyj właśnie teraz. Powtarzaj: Ja nie jestem Nim. On jest we mnie. Ja jestem Nim...”. Irokez znika, jakby został wessany przez powietrze. Po spoconych plecach przechodzi dreszcz. „Irokez, jeśli teraz robisz te wszystkie swoje czary-mary, medytacje albo seans spirytystyczny, to wiedz, że przetrzymam to wszystko i nie wydam nikogo. Nie zostanę

konfidentem. Jestem mocny, kocham życie i piękne rzeczy, nie znoszę niewolników, ale przyzwyczaję się do więziennego smrodu, szarzyzny, skurwysyństwa. Słyszysz mnie, Irokez?”

- Śpisz?

- Nic - odpowiedział, a Iwona wzięła go za rękę. Leżeli, zwrócenii do siebie twarzami; widział małą bliznę nad jej prawą brwią i pajęczynę zmarszczek pod oczami.

- O czym myślisz?

- O więzieniu... Przypomniały mi się pewne rzeczy.

- Wyrzucić to z siebie. Niech cię przestanie zatruwać. Wiesz, ile razy krzyczysz przez sen, bo śni ci się, że jesteś przesłuchiwany albo jesteś w pierdłu?

- Wyrzucić, łatwo powiedzieć. Ile razy można być głupim?

- Rodzimy się nadzy, bezbronni, bez instrukcji obsługi. Jak możemy nauczyć się życia, jeśli nie przez próby i błędy?

Pocałowała go w dłoń; szybko, jak muśnięcie.

- Boję się życia, biedy, choroby.

- Kochanie, życie polega na tym, że się pada i podnosi. Masz wolę. Wszystko zależy od ciebie.

- Komuna padła, ale na ruinach nie triumfuje ani wolność, ani sprawiedliwość; Niepotrzebne były ofiary, poświęcenie. Ludzie nie stali się lepsi, mądrzejsi, dojrzałsi.

- Ja nie chcę być częścią zbiorowości. Dlatego nudzą mnie i drażnią te wasze wspominki, te piana patriotyczne. Ja jestem obywatelką świata. Przestań wspominać, zajmij się sobą, swoją karierą. Co cię obchodzi komuna, esbecy, konfidenti?

- Chcę wiedzieć, co jest w tych teczkach. Wolno mi. Inni może tego nie chcą, ale ja chcę...

- I do czego ta wiedza będzie potrzebna? Co będzie, na przykład, kiedy się dowiesz, że któryś z twoich przyjaciół był konfidentem? Pobijesz go, zerwiesz kontakty? Kochany, to nie

pomoże żyć. Już teraz nie wierzysz ludziom. Po przeczytaniu tej teczki na stałe zamieszkasz na tej działce...

- Wiem, że większość konfidentów to ludzie złamani, często godni litości, zmuszeni do współpracy z bezpieką szantażem, groźbą, biciem. Ale ja też jestem ofiarą i mam prawo do sprawiedliwości. Nie może być tak, że większe prawa mają ci, którzy mają wiele na sumieniu, rozumiesz?

- Twój wybór. Żebyś tylko nie żałował. A swoją drogą, to skąd nagle wziął się u ciebie ten strach przed nędzą?

- Jak byłem mały, matka często brała mnie na cmentarz. Po drodze rozmawiała ze swoją matką o wojnie. Wspominały ciągle spalenie domu, ucieczkę z Warszawy, głód, nędzę. To mi wlało w głowę. I teraz boję się, że i ja mogę tego doświadczyć.

Pocałowała go w usta, później w policzek, głaszcząc po włosach.

- Jak to było z tym waszym przyjacielem Rafałem, tym, który popełnił samobójstwo, mając siedemnaście lat?

Jej ciekawość denerwowała go. Ale opowiadał historie z dzieciństwa i młodości, z udziałem Marka, Irokeza i Pączka, swoich przyjaciół jeszcze z podwórka, o kłopotach ojca, który ciągle walczył z urzędnikami, bo jako rzemieślnik był stale nękany, o pierwszych miłościach. Nie chciał opowiadać tylko o Gabi. Ale Iwonie było wciąż za mało, nalegała: „A twoi rodzice kłócili się? Kochali cię? Kiedy miałeś pierwszy rower i dzinsy? W jakiej kochałeś się aktorce? Czy twój ojciec pił i zdradzał matkę? Kiedy pierwszy raz się upiłeś? Czy uważasz Michała Anioła za geniusza?”

- Proszę, kochany... Dlaczego nie chcesz mi o tym opowiedzieć? To coś strasznego?

- Rafał był najdojrzalszy z nas, zachowywał się jak mężczyzna, gdy my byliśmy jeszcze gówniarzami. Był najweselszy z nas... I we wrześniu, na początku roku

szkolnego, chodził do technikum elektrycznego, popełnił samobójstwo. Jego rodzice pojechali na wesele do rodziny na wieś. On nie pojechał, bo skłamał, że musi się uczyć, w poniedziałek ma klasówkę. Rozłożył połówkę w kuchni, opatulił drzwi szmatami, włączył magnetofon z muzyką, taką ponad dwudziestominutową piosenką Skaldów, ponurą, z chórami, a później włożył gumową rurkę do ust... Gaz. Zostawił list, żeby nikogo nie winić. Okazało się, że rok wcześniej poznał kobietę starszą od niego o dziesięć lat. Nauczycielkę z Rzeszowa. On miał wtedy bez paru dni szesnaście lat. Był pomocnikiem wychowawcy na kolonii, ona wychowawczynią. Była jego pierwszą kobietą. Kilka razy jeździł do niej. Nic nam nie mówił. Pisali listy... I ona zerwała z nim. Listownie. Jego matka chciała ją oskarżyć o uwiedzenie nieletniego, wsadzić do więzienia, ale ojciec nie pozwolił, jakoś to zatuszowano. Matka Rafała tydzień po pogrzebie wylądowała w szpitalu dla wariatów. Umarła cztery lata później.

- Straszna historia! - Iwona wstrząsnęła się, jakby przeszedł przez nią mróz. - Widziałeś tę nauczycielkę? Była ładna?

- Nigdy jej nie widziałem.

- Nie chcieliście się zemścić?

- Nie.

- Współczuję tej kobiecie. Życ z świadomością, że ktoś popełnił przez nią samobójstwo, to okropna rzecz...

Zbliżył twarz do jej oczu, do tych sopli lodu. „Kiedyś nie będziemy ze sobą, ale będę mieszkał wśród tego mrozu do końca” - pomyślał. „Łączy nas teraz nieokreślona więź: uraza, namiętność, przyzwyczajenie, wspólne przeżycia. Wszystko po trochu”.

Przytulił ją do siebie. Pocałował we włosy.

- Popełniasz błąd, bo stale czegoś oczekujesz... Przyjaźni, lojalności, prawdomówności, miłości. Ja wobec miłości ani przyjaźni niczego nie zakładam. Po prostu konkretny człowiek uruchamia we mnie coś, czego nie potrafiłby zrobić nikt inny. Mnie jest lepiej... Dojedziemy do Warszawy}’ bez tankowania po drodze?

- Na pewno.

- Swoją drogą, to paranoja. W Polsce, tak biednym kraju, benzyna jest droższa niż w Anglii.

Przymknął oczy i pomyślał: jest podobna do mojej matki. Tak samo oszczędna, skrupulatna, zapobiegliwa, despotyczna. Tylko Gabi nie przywiązywała wagi do pieniędzy. Byłoby dobrze, gdyby mieli wielki dom z ogrodem, ale jak nie mieli, to trudno. Dawanie jej prezentów to była sama radość; wszystkim chwaliła się, cieszyła jak dziecko. Nie gnębiło jej to, że nie miała luksusu, żyła w pracowni, w której nic ma łazienki, lecz kiedy były tygodnie, gdy żyliśmy jak bogacze, przyjmowała to jako coś naturalnego. A gdy brakowało pieniędzy, była zaskoczona, ale bez protestu przechodziła na mleczne zupki, serki topione i jazdy zatłoczonymi autobusami.

Iwona poderwała się z łóżka, wyprostowała, przyłożyła rękę do krzyża i wygięła do tyłu z grymasem bólu na twarzy.

- Starość nie radość... Mam tak chory kręgosłup, że jak się nic zacznę leczyć, to mogę wylądować na wózku inwalidzkim. To wszystko przez garbienie się. Wstydziałam się, że jestem za duża i mam duże piersi. Kto pierwszy bierze prysznic?

- Nie martw się, kochanie. Masz bogatych i wpływowych przyjaciół, to zawsze ci pomogą. I masz mnie. Nie zginiesz. Wszystko będzie dobrze. W Warszawie zaprowadzę cię do psychiatry, pogada z tobą, dostaniesz lekarstwa i przestaniesz się zamartwiać...

- I tym sposobem zostanę lekomanem - roześmiał się. Zawsze zdumiewała go zdolność kobiet do znoszenia cierpień, a także ich wiara, że są w stanie zmienić każdego mężczyznę.

Usiadła obok niego i wzięła za rękę. Patrzyła na niego smutno, zagryzając co chwila wargi.

- Wiem, że bywam dla ciebie niedobra, ale musisz mieć w sobie więcej wyrozumiałości. Kocha się bez względu na wszystko. Ze wszystkimi wadami. Ja też jestem słaba, pełna wad i chciałabym, żeby mnie taką akceptowano. Żebym miała prawo do popełniania błędów. Ale z drugiej strony, przyznaję, trudno mi zrozumieć wady ludzi, których kocham... Chyba tylko ktoś, kto jest w stanie przyjąć do wiadomości i pogodzić się z własnymi słabościami, może pokochać innego człowieka. A co można poświęcić w imię miłości? Swój egoizm.

- Ale musisz być tak ordynarna, wyładowywać się na mnie, spotykać się z szemranymi ludźmi? - spytał łagodnie, żeby jej nic urazić, by nie zamknęła się w wyimaginowanym poczuciu krzywdy. - Nie znoszę łaźni po przyjęciach, prosić kogoś o pomoc, robić przekręty. Wszystko wskazuje na to, że nigdy nie będę miał domu z ogrodem, luksusowego auta, nie będzie mnie stać na wakacje na Galapagos. Ze mną nie będziesz miała bogactwa i poczucia bezpieczeństwa.

Spojrzała na niego czujnie, nie kryjąc zaskoczenia. Mimo woli uniosła brwi.

- O, przed chwilą wypowiedziałeś chyba limit słów na miesiąc. Świetnie, nareszcie się odblokowałeś...

- Ja? Przecież to ty nie chcesz rozmawiać... Żądasz, żebym cię kochał i potakiwał. A kiedy mam inne zdanie, wpadasz w furję. W dodatku zmuszasz mnie, żebym łąził z tobą po różnych twoich znajomych, lubił ich, zachwycał się nimi. A jak to się kończy? Zaczynasz się z nimi kłócić, a później ich nienawidzisz, bo cię czymś urazili albo oszukali. Nie jest tak?

- Przyznaję, bywa tak... Ja często ulegam fascynacji ludźmi, zdarzeniami. To jest to dziecko we mnie, ciągle zdziwione i chłoneące świat. Przez wiele lat nie miałam przyjaciółki ani koleżanki. Nie spotkałam takiego faceta jak ty. Kocham cię.

Objął ją i pocałował. Był wzruszony, ale nie wierzył w to, że będą razem. Za bardzo się różnili.

Podeszła do telewizora. Poderwał się z łóżka i wziął ją za rękę. Ona nie może się dowiedzieć, co się stało. Nie może. Niech dowie się w Warszawie, ale nie tutaj i nie teraz.

- Chodź, pójdziemy razem pod prysznic... Włączyła telewizor.

Na ekranie pojawiły się samoloty, wbijające w wieże World Trade Center, tysiące ludzi uciekających w panice, chmury dymu, gruzy, walące się wieże...

LEKTOR: W precyzyjnej operacji nieznanymi terroryściami użyli czterech porwanych samolotów. Łącznie z 266 pasażerami. Wszyscy zginęli. Dwa samoloty przebiły na wylot obie wieże World Trade Center. Nawet mówi się o ponad 10 tysiącach ofiar; w biurowcach i na ulicach Manhattanu. Trzeci samolot uderzył w Pentagon w Waszyngtonie. Czwarty, najprawdopodobniej zmierzający uderzyć w rezydencję prezydenta Busha w Camp Dawid, spadł w lesie pod Pittsburgiem. Jednej z pasażerek udało się zatelefonować. „Porwali nas, zabili członka załogi. Lecimy w dół”.

Ewakuowano ONZ, Biały Dom, budynki federalne w całym USA. Przed północą naszego czasu zawalił się trzeci budynek World Trade Center. Kto za tym stoi? Przedstawiciele CIA twierdzą, że dowody wskazują na osławionego terrorystę Osamę ben Ladena, który z terenu Afganistanu sterował wieloma zamachami...

Paweł wyłączył telewizor. Nie mógł uwierzyć, że to, co zobaczył, stało się naprawdę, choć przecież wiedział, że

sytuacje, które zmieniają bieg życia, zdarzają się często; idziesz spokojnie swoją drogą, zajmujesz się swoimi sprawami, aż robisz krok i wpadasz w przepaść.

- Jedźmy szybko do Warszawy - powiedział i gdy usłyszał swój głos, uspokoił się.

- Jezu, zamkną granicę, zablokują konta - odezwała się Iwona, szcękając zębami. - To jest mój koniec... Po co ja przyjechałam do Polski? Po co?

Zaczęła rzucać przedmiotami w ścianę, rozbiła wazon, klnąc głośno, po czym osunęła się bezwładnie na podłogę. Zemdląła.

II

Telewizja bez przerwy pokazywała atak nieznanych terrorystów na Nowy Jork. Wypowiadali się różni ludzie; dziennikarze, politycy, eksperci, oficerowie służb specjalnych. Paweł i Iwona oglądali to przez pół godziny, później wyłączyli dźwięk. Zginęli ludzie, ale świat istniał. Iwona malowała się, siedząc przy stole i zerkając w małe lusterko. Była blada, trzęsły się jej ręce, ale nikt by nie odgadł, że dwie godziny wcześniej była bliska załamania nerwowego i nawet zemdląca.

- To Ruski zrobili - odezwała się. - Podpuścili Arabów, ale nikt już nie dojdzie jak to było naprawdę. Służby tak to zrobiły, że nawet diabeł się w tym nic połapie. Ale Ameryce nic się nie stanie. Wyjdzie jeszcze silniejsza z tego ataku. Amerykanie wrzucą pieniądze w zbrojenia, informatykę, wynalazki, a to nakręci gospodarkę. Siłą Stanów są pieniądze, czego Rosjanie nie rozumieją i dlatego przegrali. Pieniądze dają wolność. Ślusarz narzędziowy z Teksasu wie, że dzięki pieniądzom wskoczy wyżej w drabinie społecznej. Rosjanie, żeby pokonać Amerykę, musieliby te miliony Amerykanów przekupić, a na to ich nie stać. Ruscy popełniają błąd, bo kiedyś aparatczykom dawali trzypokojowe mieszkania i

władzę, a teraz wymyślili, że dadzą im ogromne pieniądze oraz kontrolę nad gospodarką. Ale co to za przyjemność mieszkać w rezydencji ze złotymi klamkami, podczas gdy za murem ludzie zdychają z głodu? Rosjanie nic chcą i nie są w stanie zbudować demokracji, dlatego muszą przegrać z Amerykanami.

Twarz miała spokojną, trochę nieobecną, jakby była gdzieś bardzo daleko. Ale gdy spoglądała na niego, oczy były zimne, przenikliwe. Paweł pomyślał, że tacy jak ona są najgroźniejsi: bezwzględni, łatwo usprawiedliwiający każde swoje świństwo, nie potrafiący przyzwyczać się do nikogo. I zaraz poczuł lęk, że nie zna jej i może przez nią mieć kłopoty.

- Dlaczego powiedziałaś, nim zemdłałaś, że jest to twój koniec?

- Tak powiedziałam? - uniosła brwi w geście zdziwienia, po czym podciągnęła czarne pończochy i wygładziła je dłonią.
- Wyluzuj się, kiciu...

- Jesteś niesamowita... Rozbijasz przedmioty, klniesz, histeryzujesz, mdlejesz i za chwilę żądasz, abym się wyluzował.

Rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami.

- Tak było, ale już nie jest... Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. Nudzą cię ludzie, nudzi życie w Polsce, to zacznijmy robić interesy. Co ty na to, gdybym dała pieniądze na galerię? Byłbyś moim współnikiem...

- Galeria upadnie. Kto teraz kupuje w Polsce obrazy współczesne?

- To róbmy jakieś inne interesy. - Jakie?

Zapaliła papierosa. Zmrużyła oczy, spojrzała na niego przez dym i zaczęła palcami bębnić w blat stołu.

- Prozaiczne i szybkie. Ale też takie, na które trzeba czekać. Te są najwspanialsze, bo podniecające.

- Z nerwowymi ludźmi, którzy ciągle gdzieś telefonują, mają po kilka komórek i jadąc samochodem, patrzą co chwila, czy ktoś ich nie śledzi?

- A kim jest twój kumpel Pączek? Z jakimi ludźmi się spotyka, robi interesy?

- Znowu się go czepiasz?

- A twój drugi kumpel, Irokez, też święty? Siedział w pierdłu, a teraz zniknął...

- Irokeza wrobiono.

- Kiciu, z ludźmi, żeby im odrobinę zaufać, nie trzeba zjeść beczki soli, ale całą kopalnię. Ktoś może bohatercko, bezinteresownie rzucić się w twojej obronie na bandytę, ale gdy będzie chodziło o pieniądze, to oszuka cię. Jesteś za sentymentalny. Kumple, dzieciństwo, przyjaźń, patriotyzm, to są klimaty, które cię biorą. I cwaniak może na tobie grać jak na fortepianie.

- Pączek nic ciąga mnie po domach różnych typów, tylko ty. On nie jest gangsterem albo byłym ubekiem.

Oddychała spokojnie, z zamkniętymi oczami, jakby miała zasnąć. Nagle zaśmiała się krótko, gardłowo.

- To ty żyjesz w świecie kłamców, krętaczy i agentów. Ty, nie ja. W moim świecie, w Anglii, jest nie do pomyślenia, żeby ktoś, kto siedział za oszustwa lub wyłudzenia bankowe, bywał wśród normalnych ludzi. Ba, brylował na przyjęciach, na których są posłowie, ministrowie, premier, prezydent...

- I to jest moja wina? - mimo woli podniósł głos.

- Oczywiście, że twoja! - zaczęła chodzić po pokoju swoim charakterystycznym krokiem: nerwowym i drobnym, zgarbiona, z głową wciśniętą w ramiona. - Nie znam się na polityce. Ale widzę, że pieniądze mają głównie komuniści i służby, a tacy jak ty są gołodupcami ani nie mogą robić tego, co chcą. To, kto jest winny? Takie dupki jak ty. I dzięki takim dupkom komuniści stali się kapitalistami, mogą pławić się w

luksusie, wozić dupy najlepszymi samochodami, kupować rezydencje, mieć posiadłości w Hiszpanii lub Stanach Zjednoczonych. Zostaliście wydymani bez mydła, a później przegonieni.

Paweł zapalił papierosa. Nie czuł gniewu, ale wiedział, że nie może milczeć.

- Nigdy nie uważałem, że będą nas stawiać na cokoły, traktować jak bohaterów. Ale, przyznaję, nie przypuszczałem, że będą na nas pluć; że będę ukrywał to, że miałem coś wspólnego z podziemiem solidarnościowym. To, że plują, to pies ich jebał, ale jeszcze inni, tacy jak ty, traktują jak frajerów, co to nadstawiali dupy dla idei, a teraz klepią biedę. I tego nie mogę znieść.

- Wybacz, ale nic będę ci współczuła. Stara prawda mówi, że głupich nic sieją, tylko sami się rodzą. Niedawno spotkałam na przyjęciu ubeka, który usiłował mnie zwerbować na studiach. Straszyl, szantażował, skurwysyn jeden. Sam podszedł, przypomniał się. Żadnego wstydu, wyrzutów sumienia. Teraz biznesmen, dom pod miastem, samochody, kolekcja obrazów, kilka firm. I kto na to pozwolił? Właśnie takie dupki jak ty. Wybaczanie, miłosierdzie i inne takie bzdury. Ten ubek powinien przemykać ciemnymi ulicami i mieć kłopoty z zapłaceniem rachunków za mieszkanie...

- Czy ty zwariowałaś? O co masz do mnie pretensje? Czyja byłem pośłem, senatorem, ministrem?

- Jeszcze przyjdą czasy, że oni was pozamykają albo wyrzucą z kraju. Wspomnisz moje słowa.

Milczał, bo co miał powiedzieć? Jeszcze raz to, że boi się przyszłości, biedy? Że coraz częściej myśli o tym, że już nic pięknego go nic spotka? Że może być tak, że będzie mu brakowało na lekarstwa i czynsz? Że łapie się na tym, że niekiedy żałuje, iż w ogóle drukował podziemne gazetki?

Pocałowała go w policzek. Objął ją mocno. Zesztywniała, ale zaraz odwzajemniła uścisk.

- Przepraszam, gadam bzdury... Wybacz, jestem dzisiaj do niczego. Bądź dla mnie dobry, laki jak kiedyś - mówiła cicho, łamiącym się głosem, jakby miała się rozplakać. - Nie czepiaj się, nie czyhaj na błąd jak ubek...

Zadzwoił telefon komórkowy.

Paweł spojrział na ekran. Ktoś telefonował z budki. Coś mu podpowiadało, żeby nie odbierał, bo może tego żałować, ale, jak prawie zawsze, zrobił na przekór intuicji.

- Chciałbym rozmawiać z Iwoną - głos męski był nieprzyjemny, przywykły do rozkazywania.

- Kto mówi?

- Święty Leon. Ewentualnie urząd skarbowy albo firma ekologiczna. Pasuje?

- Wolałbym agencję towarzyską.

- Dawaj facet tę swoją kobietę i nie marudź. Paweł podał telefon Iwonie.

- Wielbiciel. Jakiś Słonina, Wędlina czy inna fabryka wyrobów mięsnych.

- Słucham - powiedziała wolno, jakby rozbierała słowo na sylaby, po czym w jej oczach pojawił się strach; zaczęła nerwowo zaciskać i otwierać lewą dłoń. - Dobrze, ale nie dzisiaj.

Uśmiechnęła się do Pawła, z palcem na wargach, dawny gest, dzięki któremu zobaczył kobietę, którą poznał dwa lata temu, po czym wyszła do drugiego pokoju.

Paweł podszedł do jej torebki, leżącej na stole. I kierowany impulsem wyjął paszport. Zaczął go szybko kartkować. Bułgaria, Chorwacja, Francja, USA, Polska, Szwecja. Właścicielka restauracji tak dużo podróżuje? I to do Bułgarii. Kim ona jest naprawdę? Co ona naprawdę robi? Włożył paszport do torebki i położył się na łóżku. Zawsze

wdepnę w jakieś szambo. Przymknął oczy i zobaczył ten dzień. Na zewnątrz lśniły krople deszczu, a w rezydencji Pączka połyskiwała biżuteria, tasowały się hurtownie, fabryki, wielkie gospodarstwa rolne. Jedynym liczącym się w tym towarzystwie rodowodem była ilość pieniędzy. Najwięcej gości było w salonie na parterze. Tam, pod ścianą, tuż przy drzwiach do holu, stało kilka stołów pełnych pieczonego mięsa, wędlin, sałatek, tortów, soków owocowych, butelek z winem. Pośród gości krążyły młode kelnerki z przyklepionymi uśmiechami i w mini spódniczkach, roznosząc na tacach szklaneczki z whisky oraz kieliszki z czystą wódką. Prawie wszyscy pili za dużo i przechwalali się. Rozmawiano też o rozgrywkach w rządzie, kto kogo nie lubi i kto z kim trzyma. Omawiano, kogo popierać, kto jest normalny, a kto zapomniał o niedawnych przyjaciółkach, kolegach i kto dostał pieniądze na kampanię parlamentarną. Ustalano, kto ma jakie dojścia do wpływowych polityków, który z nich bierze łapówki, a komu wystarczy opłacić wycieczkę zagraniczną, zabawę z luksusowymi prostytutkami, czy też udziałami na kogoś w dobrze prosperującej firmie, kto bierze, co popadnie: pióro wieczne, skórzana teczka, obraz, butelka drogiego alkoholu, a komu należy też kadzić, jaki to jest mądry, poświęcający się dla ojczyzny, przenikliwy. Przy okazji wymieniano informacje, który z polityków nie chce wchodzić w układy, nic daje żyć innym i zabawia się w moralnie czystego. Tacy mieli być wycinani lub izolowani do czasu, kiedy zrozumieją, że główną zasadą jest kompromis i dewiza: „Daj zarobić innym, to i ty będziesz zarobiony i wszyscy będą cię lubić”

Irokez zjawiał się co chwila z nowymi kieliszkami wódki, które wypijał w milczeniu, obserwując gości i podsłuchując rozmowy.

- Trzeba zarwać jakieś bezwstydné kobiety, nim skończy się ten zwierzyniec. Inaczej za godzinę będziemy w sztok pijani.

- Od kiedy stałeś się taki chart na baby, Irokeziku?

- Jak skończyłem czterdzieści lat i poznałem pewną Rosjankę. Putanica, doktor historii sztuki.

- Chyba się nie zakochałeś?

- Nie żartuj, Pawka. Jej chodzi tylko o pieniądze i żebym się z nią ożenił, wtedy będzie mogła zostać w Polsce. A poza tym jest za inteligentna. Wygląda mi na agentkę. Chodzę z nią na wystawy, wernisaże. Nawet jej nie tknąłem. Ale na jej przykładzie stwierdziłem, że wszystkie kobiety marzą o wielkiej miłości. O tym, żeby facet chciał przez nie popełnić samobójstwo, pił z rozpaczy. Ewentualnie wyskoczył z okna i połamał nogi.

- Nie masz zamiaru się kiedyś ożenić?

- Dlaczego mnie namawiasz do złego?

- Tylko proponuję.

- Jak się już zdecyduję, to ożenię się z Azjatką albo Latynoską. One jeszcze wiedzą, że faceta nie należy denerwować, szukać zwady. Wiedzą, gdzie ich miejsce. Wiesz, dlaczego w Polsce jest tak źle od wielu lat? Bo rządzą baby. W twoim domu rządziła matka, w moim to samo, w Marka także, nawet stary Pączka, chociaż wojskowy, w domu był nikiem. Facetów wykastrowano, sprowadzono do roli klienta, który ma przynosić forszę i milczeć. No, Pawka, spręż się i poderwij dwie kobiety.

- Dlaczego dwie?

- Jedna dla ciebie, druga dla mnie.

- A ty nie możesz tego zrobić?

- Ty masz lepsze warunki. Poza tym masz smutne oczy. Widać, że jesteś facetem po przejściach. A one to lubią. A co mogą zobaczyć w moich oczach? Tylko chuć i wariactwo...

- Przecież wiesz, że nie umiem podrywać. Ktoś musi mnie przedstawić, muszę pogadać...

- Wystarczy, że podejdiesz i spytasz, jak się bawi. Gdy odpowie i uśmiechnie się, to znacz)', że cię przyjmuje...

- Co cię tak przypiliło, Irokeziku?

- Nie chcę ciągle czytać książek i słuchać muzyki. Naprawdę mogę dostać świra...

- To weź sobie jakąś intelektualistkę, naukowca.

- Co ja ci takiego zrobiłem, że mi tak źle życzysz? Brzydzi mnie polski intelektualista, to aspirowanie do posiadania autorytetu. Brzydzi mnie inteligentkie samouwielbienie, przekonanie o swojej wyjątkowości. Oni mają jakieś zdolności, wysoki iloraz inteligencji, wyższe studia, więc uważają, że należy im się specjalne traktowanie. Zwykłego Kowalskiego, ślusarza z huty, obwołano by kolaborantem i szują za ułamek tego, na co pozwalali sobie intelektualisci, którzy teraz chcą przekonać o swoim bohaterstwie w walce z komuną albo w ostateczności usprawiedliwiają się, iż zmuszono ich do pewnych ofiar. Co może ich usprawiedliwiać? Własna ambicja, żarłoczność na sławę i pieniądze?

- Irokez, chcesz, żebym cię traktował jak ślusarza albo mechanika samochodowego?

- Bardzo bym chciał... No, dobra, pogadaliśmy, a teraz idź i nie przychodź bez bab.

- Nie zgadzam się.

- Pawka, czy do ciebie nie dociera, że musimy zacząć normalnie żyć? Jesteśmy panami w średnim wieku. Chcesz stale żyć sztuką? To nudne i niebezpieczne dla zdrowia. Jesteśmy na krawędzi wielkiej, czarnej dziury metafizycznej i wkrótce wszystko przewróci się na drugą stronę. Sztuka nas zbawi. Ale nie można jej tworzyć na rozkaz. Impuls

przychodzi od kosmicznej siły i wtedy powstaje prawdziwa sztuka.

- Oj, już myślałem, że zająłeś się podatkami, akcjami na giełdzie, a ty znowu swoje. Przynajmniej dobrze, że już nie jesteś hipochondrykiem.

- Jesteś niesprawiedliwy, Pawka. Przecież od dziecka stale choruję. Szczególnie na gardło.

Przystanął obok nich Reżyser. Był nieogolony, w poplamionej, jasnej marynarce i wymiętej koszuli. Spoglądał na nich ze smutnym, roztargnionym uśmiechem, przerzucając szklankę z whisky z ręki do ręki.

- Co tak patrzysz jak spowiednik, znający nasze grzechy?
- mruknął Irokez, biorąc palcami z tacy, niesionej przez młodziutką kelnerkę, kawał szynki.

- Podobno jesteś wegetarianinem? - zdziwił się Reżyser i rozkaszał. Irokez odsunął się od niego z obrzydzeniem.

- Jak kaszlesz, to zakrywaj usta. A odpowiadając na twoje pytanie, to ponad trzy miliardy ludzi na ziemi cierpi głód. Jem za nich.

- Wiesz, Irokez, znam cię wiele lat, ale nie wiem, czy ty robisz sobie jaja z ludzi, czy jesteś naprawdę stuknięty - powiedział Reżyser bełkotliwie i dopiero teraz zorientowali się, że jest pijany.

- Jestem stuknięty - zaśpiewał Irokez radośnie i uśmiechnął się szeroko.

- Jak tak gadasz, to znaczy, że robisz sobie jaja - stwierdził Reżyser, kręcąc głową, po czym wziął od kelnerki następną porcję whisky.

- Tyko, jak się upijesz, to nie próbuj namówić mnie, żebym pogadał z Pączkiem o pieniądzach na twój film fabularny - powiedział Irokez, przewracając tak oczami, że zobaczyli białka. Ta umiejętność tak kiedyś fascynowała Pawła, że w dzieciństwie nawet, płacił mu, żeby go nauczył tej

sztuczki. - Nie pożyczę ci też nawet złotych4u, bo nigdy nie oddajesz.

- Słuchaj, to będzie naprawdę kasowy film. Dwóch facetów, jeden erotoman, drugi impotent, jadą na wakacje do zapadłej dziury. Schemat wzięty od Witkacego i Gombrowicza...

- Nie podoba mi się ten pomysł - skrzywił się Irokez i zaczął bawić się jedwabnym, włoskim krawatem, z którego był dumny, a który kupił za pięć złotych na stoliku z rzeczami używanymi. - Zbyt wydumany. Lepiej powiedz jakiś kawał. Pączek lubi kawały.

- Dobrze... Wiecie, kiedy w ustroju socjalistycznym władza jest w ręku ludu? Wtedy, gdy robotnicy prowadzą pijanego milicjanta.

- Podoba ci się ten kawał, Pawka? - spytał Irokez i ziewnął przesadnie głośno, zakrywając usta marynarką.

- Nie.

- Mów następny.

- O, Irokez, nie przeginaj! - pogroził Reżyser palcem, patrząc groźnie, spode łba. - Ważę z czterdzieści kilogramów więcej od ciebie.

Irokez roześmiał się głośno i szczerze.

- Człowieku, jak mnie uderzysz, to sprawią ci lanie moi kumple, a jak im się nie będzie chciało brudzić rąk, to cię zleją ochroniarze Pączka i to tak, że nie będzie śladów.

- Ty nie jesteś stuknięty, ty jesteś zimnym skurwysynem! - stwierdził Reżyser ze smutkiem. - Ale lubię cię... - Jesteś oszustem, gdzie możesz i kogo możesz okradasz, no i nic masz talentu - powiedział Irokez, zacinając się lekko. - Brak talentu, to twoja największa wada, przez którą cię nie lubię.

- Ja, tworząc, chcę być nikim - rzekł Reżyser zmęczonym głosem, zapatrzony w przestrzeń, skubiąc brodę. - Eee, idę się nachlać, bo jak powiedział pewien mądry Czech, na pewno nie

reżyser, pomiędzy zapachem chleba a smrodem uryny leży to wszystko, co nas kształtuje; pragnienie spokoju i pierdolec płciowy, którym ten parszywy świat podpuszcza nas, żebyśmy uciekli z domu. Odezwij się, Irokez. Chciałbym, żebyś napisał dla mnie scenariusz o polskich mistykach.

Reżyser odszedł, zgarbiony, spoglądający na ludzi złym wzrokiem. Specjalnie ich potraçał, uderzał barkiem.

- Nie dość, że beztalencie i złodziej, to jeszcze śmierdzi - wzdrygnął się z obrzydzeniem Irokez.

- Przesadzasz.

- Złał się wodą kolońską, to na razie nie czuć. Na studiach miał ksywkę Brudas. Z pół roku temu upił się i spał w moim domu. Jak rano zobaczyłem jego stopy, to się przeraziłem. Czarne jak asfalt, nie mył z miesiąc. Wylęgarnia bakterii i chorób. A widziałeś jego zęby? Żółte, zepsute. Też nie myje.

Paweł roześmiał się.

- Na pewno odbił ci dziewczynę, dlatego go nie znosisz.

- Wyobrażasz sobie, rozbiera się, a tu śmierdzące, pełne bakterii nogi, zafajdane majtki...

- Przestań! - Paweł zaczął machać rękami i krzywić się w udawanym przerażeniu. - Jeszcze mi się to przyśni...

- Z czego się tak cieszyacie, chłopaki? - spytał Pączek swoim tubalnym głosem i objął przyjaciół - Zarobiliście milion dolarów?

- Tę przyjemność zostawiamy tobie - odparł Paweł. - Irokez obmawia Reżysera.

Pączek machnął ręką, jakby odganiał się od niewidocznego owada.

- Ooo, co ja z nim miałem, Jezus Maria! Bez przerwy przynosił scenariusze, namawiał, żebym założył firmę medialną, a on oczywiście ją poprowadzi. Tylko, że za moje pieniądze. Później brał mnie na litość, że jest jedynym

reżyserem antykomunistą, dlatego jest niszczone, a on ma dzieci, rodzinę. Jak go sprawdziłem, to się podłamałem. To alkoholik, menel. Od dzieciaka walił gorzałę, palił trawkę. Nie miał nic wspólnego z podziemiem. Przykleił się do prawicy na początku lat dziewięćdziesiątych i zaczął robić za prawicowego artystę. Wszędzie jest spalony. Komuniści, jak ktoś się zaplata w ich towarzystwo, to go sprawdzą do trzeciego pokolenia. Prześwietlą jak rentgen. A ta nasza zasrana prawica każdego przygarnie, żeby tylko dobrze gadał, miał opanowany bajer. Bóg, Honor, Ojczyzna, my, Polacy, wszędzie są agenci, oni spiskują, nie dają nam się rozwijać, niszczą w zarodku. Takie teksty...

- Coś dzisiaj jesteś w niezbyt dobrym humorze - powiedział Irokez; był niski, chudy, miał sympatyczną, pociągłą twarz. Roztargniony, niepunktualny, kojarzył się z typem prymusa, bezradnego wobec zaczepek kolegów. Miał iloraz inteligencji geniusza, wspaniałą pamięć i nieprawdopodobne zdolności językowe. - Trzeba wierzyć, że nawet tacy ludzie jak Reżyser któregoś dnia zmienią się. Nawrócą...

- Irokez, błagam cię, oszczędź mi takich tekstów! Dzisiaj, po południu, dostałem pismo z Urzędu Skarbowego, że mam tym krwiopijcom zapłacić prawie pół miliona złotych podatków. Ten kraj wykańcza ludzi, którzy chcą coś zrobić. Gdzie na świecie są takie podatki i stopy procentowe kredytów? Te dupki z prawicy mieli wszystko zmienić, zaklinali, że mają wspaniały program i co? Gównno. Żrą się o stołki, kasę, a Polska ginie. W nadchodzących wyborach nie dam im ani grosza. Wałęsa miał rację, że to popaprańcy.

Pączek wziął od kelnerki kieliszek z czystą wódką i wypił, nawet się nie krzywiąc. Pierwszy z nich zaczął palić papierosy i pić alkohol. Szczerze pomagał ludziom, chociaż Paweł niekiedy podejrzewał, że jego dobroć była tylko

słabością. Krewni i kumple z podziemia, wojska, szkoły średniej opowiadali mu o swoim ciężkim losie bezrobotnych z upadłych zakładów i firm, a on czuł wtedy, że myślą: Jesteś, łobuzie, bogaty, bo się nakradłeś, a my jesteśmy biedni, to dawaj kasę!”. A więc dawał pieniądze, a bojąc się dać za mało, dawał za dużo. Szybko się to rozniosło i dziesiątki ludzi nękało go telefonami, nachodziło w biurze, czyhało pod domem, przynosiło w podzięce dziesiątki jajek, brytfanny ciast, setki butelek wina domowej roboty, słoików z grzybami albo konfiturami. To wszystko rozdawał, bo bał się otrucia.

- Pożyczyłeś kiedyś Reżyserowi forszę? - spytał Paweł i pomyślał, że pełno jego znajomych starało się zapomnieć, kim byli i co mówili w czasach między wczesnym Gierkiem, powstaniem „Solidarności” i wyborami parlamentarnymi w 1989 roku.

Pączek zmieszał się i wytarł dłonie chusteczką.

- Niewiele, żeby nie mieć wyrzutów sumienia. Odmówiłbyś, gdyby ci ktoś powiedział, że jego dziecko nie ma co jeść?

- On by na pewno nie dał, jakbyś potrzebował - mruknął Irokez, popatrując na przechodzące kobiety. - Litość to zbrodnia, jak lubi powtarzać nasz przyjaciel Pawka.

- Dobrze, już dobrze! - westchnął Pączek. - Było, nie ma.

Większość ludzi od razu lubiła Pączka. Miał zawsze okrągłą twarz i dobre, śmiejące się oczy. Naprawdę był cholerykiem, często wrzeszczał, ale miał znakomite pomysły i na wszystkim się znał. Umiał zreperować zarówno zegarek jak i samochód. Ludzie lgnęli do niego i wierzyli mu, bo przynosił szczęście i dbał o tych, których ceniał albo się z nimi przyjaźnił.

- Wiecie, czuję się dzisiaj jak we śnie, który prześladowuje mnie od dzieciństwa - odezwał się Irokez. - Idę ulicą, patrząc na wystawy i przejeżdżające samochody, praży słońce i nagle

przechodnie przystają, śmiejąc się, a potem ścigają mnie, ja zaś stwierdzam z przerażeniem, że jestem ubrany tylko w krótką, białą koszulę.

- Typowy sen wariata - stwierdził Pączek poważnie. - Chyba już nie bierzesz tego prozacu, co?

- Tylko lekkie, ziołowe. Antydepresyjne.

- Oj, Irokezik, Irokezik, co ja z tobą mam! - westchnął Pączek i przytulił przyjaciela do piersi. - Musimy ci znaleźć jakąś fajną dupcię, bo inaczej ześwirujesz na amen.

- Obiecujesz mi to ze dwadzieścia lat - Irokez wzruszył ramionami i wyswobodził się z uścisku Pączka. - Ale najpierw sam znajdź.

- O, jaki złośliwy! - zaśmiał się Pączek. - Ale dobrze wyglądasz, panie kolego. Granatowa marynareczka, modny krawacik, włoskie buty. Figo-fago z ciebie, Irokezik. A jak interesy?

- Ciągle dokładam do tego sklepu sportowego.

- Mówiłem od początku, żebyś w to nie wchodził, bo zniszczy cię przemyt. Celnicy przymykają oko, gdy ktoś przywozi z Zachodu dziesięć par adidasów, czy pięć deskorolek. Poza tym ci twoi wspólnicy śmierdzą na kilometr. Gdzie ty ich poznałeś? Na dołku w komisariacie, kasynie, w cierniu;)’ ulicy?

- To krewni męża mojej ciotki.

Pączek pokręcił głową i wytarł twarz chusteczką.

- To ty nie wiesz, że z rodziną dobrze się wychodzi tylko na fotografii? Z góry mogę się założyć, że cię oszukają.

I okazało się, jak to często bywało, że Pączek najlepiej z nich zna się na ludziach, bo wspólnicy Irokeza byli naprawdę gangsterami, piorącymi pieniądze i oszukującymi na podatku VAT, przez co Irokez trafi na prawie trzy miesiące aresztu, z którego wyciągnie go Pączek, wykorzystując swoje pieniądze i układy. I wtedy zatrudni go na etacie w jednej ze swoich

firm, jako doradcę do spraw marketingu. Z pensją siedmiuset dolarów miesięcznie, z poleceniem napisania książki o podziemiu solidarnościowym. Irokez napisze sto stron, lecz tuż przed wigilią raptem zniknie, nie zabierając niczego ze swojego mieszkania, za które będzie płacił Pączek; zostawi jedynie kartkę, przypiętą do szafy. Napisane było na niej: „Kto idzie za drugim, nie idzie za nikim, nic nie znajduje, to znaczy, że niczego nie szuka. Nie jesteśmy pod władzą króla, niech każdy będzie panem dla siebie”.

Irokez westchnął, po czym przechylił głowę, przymknął oko i spytał:

- To co mam robić, ciulać w banku? A jak będzie krach, złotówka nic nie będzie znaczyła? Przecież od lat powtarzasz, że pieniądz robi pieniądz.

- Ojej, Irokezik, kiedy ty zmądrzejesz. Jedni są od biznesów, drudzy od malowania albo pisania. Czy ty musisz robić geszefty? - Pączek pokręcił głową i zapiął granatową marynarkę. Miał ich pięć i tylko po to, żeby ludzie myśleli, że chodzi wciąż w tej samej. Z tego samego powodu miał też dwa identyczne mercedesy. - Pieniądz robi pieniądz tylko w prawdziwym kapitalizmie. My w Polsce trenujemy dziki.

- To w co opłaca się lokować? - zapytał Paweł, bo miewał takie napady, że myślał o założeniu jakiejś firmy przynoszącej zysk.

- Ty lepiej, Pawka, trzymaj się sztuki - odpowiedział Pączek. - W przyszłym roku powinienem mieć trochę wolnej gotówki, to założymy agencję reklamową. Ja dam forszę i zlecenia, ty to poprowadzisz. Gra muzyka?

- W porządku - Paweł skinął głową, choć zupełnie nie widział siebie w roli tego, który będzie musiał wyklócać się o pieniądze z klientami i pilnować, żeby nie zostać oszukanym przez księgowego.

- A co zrobić, żeby zarobić i się nie narobić? - zapytał Irokez, szmoncesując i robiąc zabawne miny.

- Należy grać na giełdzie. Na duże spółki informatyczne, które mają układy polityczne i wygrywają przetargi na państwowa zamówienia. Teraz kupować, a za pół roku sprzedać. No i znajdźcie w Internecie materiały o teorii gier. Poza tym posłuchajcie ze dwie, trzy godziny tych moich gości, to się dużo dowiecie.

- Wtedy już będą leżeli mordami w talerzach albo gadali, w którym burdelu najlepiej robią laskę - skrzywił się Irokez. - Większość to półmózgi...

- Nie przesadzaj, kolego! Tu są klienci z różnymi paszportami i obywatelstwami, prawdziwymi i lipnymi, kapusie, szpiedzy podwójni i potrójni, wzbogaceni oszuści, z których większość zbankrutuje albo pójdzie siedzieć. Zresztą, tu co piąty siedział za jakiś przewal. Najczęściej za wyłudzenia bankowe, przemyt gorzały albo papierochów, kombinacje z paliwem. Dzięki nim można się dowiedzieć jak wyglądają diabły i piekło! - Pączek roześmiał się i poklepał Irokeza po ramieniu. - Coś dla ciebie, kolego. Powinieneś ich lepiej poznać...

- Kto z kim przestaje, taki się staje - mruknął Irokez i złapał za rękę przechodzącą dziewczynę: wyzywająco umalowaną, opaloną na Mulatkę i w mini, która ledwo zakrywała jej tyłek. - Przepraszam, mogę się pani przyjrzeć?

Dziewczyna zamrugała powiekami i spojrzała kokieteryjnie na Pawła i Pączka.

- Ale dlaczego?

Irokez zrobił zmartwioną minę.

- Bo próbuję sobie wyobrazić panią w kozuchu i mi to nie wychodzi. Paweł i Pączek parsknęli śmiechem. Dziewczyna wzruszyła ramionami i odeszła, kręcąc biodrami, po czym odwróciła się i rzuciła z pogardą:

- Koniobijca!

- Zgredzie, dbaj o zdrowie, ciśnienie, cholesterol, a nie rwij młodych dziewczyn! - Pączek wycierał z oczu łzy, bo tak się śmiał po odzywce dziewczyny. - Jesteś seksoholikiem?

- Smakoszem - odparł Irokez z godnością. - Ja mam swoje patenty. Chodzę i obserwuję. Gdy jakaś się spodoba, podchodzę i zagaduję, że ładna albo brzydka pogoda. W zależności od sytuacji. Jeśli się przyjmuje, proponuję kolację, ale zaraz panikuję, że musimy wpaść do mnie, bo muszę wyjść z psem na spacer. A w domu wino musujące i muzyka cygańska. To bierze każdą, a koszty prawie żadne.

Wyszli na taras. Deszcz nie padał. Snuł się dym z grilla, przy którym goście obżerali się mięsem i wiejską kiełbasą, pili wino, rzadziej wódkę, gadali, niektórzy tańczyli do piosenek Czerwonych Gitar i Presleya. Było wiadomo, że większość niedługo będzie pijana, bo tak kończyły się wszystkie przyjęcia u Pączka. Po jednym Paweł z nich obudził się obok oficjalnej konkubiny przyjaciela, była naga, on także, ale nie mógł sobie przypomnieć, czy coś między nimi zaszło. Miała podbite oko, prawą dłoń spuchniętą jak bania. Paweł przeraził, że to on ją tak urządził, tymczasem okazało się, że to Pączek ubzdurał sobie popijanemu, iż jest ona nasłaną agentką i próbował wydobyć z niej, dla kogo pracuje i jakie dostała zadanie.

- Z góry to wygląda jak uczta rzymska, Sodoma i Gomora - odezwał się Irokez zmęczonym głosem, znów był taki jak prawie zawsze: smutny, z nerwowymi tikami na twarzy.

- Gadasz bzdury! - rzucił ze złością Pączek i oparł się na balustradę. Był podpity, miał czerwone plamy na twarzy, głośno oddychał, co chwila ocierał chusteczką twarz i kark. - Tak wygląda zwykle robactwo!

- Tak było, jest i będzie - Irokez wzruszył ramionami. - Istnienie zła jest dowodem istnienia Boga. Gdyby świat składał się wyłącznie z dobra i sprawiedliwości, Bóg nie byłby potrzebny, gdyż sam świat byłby wówczas Bogiem. Bóg istnieje, bo istnieje zło. To zaś oznacza, że Bóg istnieje, ponieważ istnieje dobro.

- Przestań znowu filozofować! - zdenerwował się Pączek. - To jest kłamstwo. Biedni mają pogodzić się ze swoim ubóstwem, bo wszystko ma im zostać oddane z nawiązką na tamym świecie, przedstawianym jako coś pośredniego między ogrodami w Łazienkach a supermarketem. Milion dolarów miesięcznie dla mnie, pięćset złotych dla ciebie, ale wszyscy jesteśmy dziećmi Boga. Całą strukturę społeczeństwa kapitalistycznego przenika podobne kłamstwo, które trzeba wypalić żelazem!

- Pączek, ty jesteś lewakiem? - zdumiał się Irokez i zaczął mrugać powiekami, jakby był czymś oślepiany. - Wygląda na to, że to prawda, co mówią niektórzy, że ty finansujesz anarchistów!

- Gównu ci do tego! - burknął Pączek i zdjął krawat, który schował do kieszeni marynarki. - Pracujesz dla służb?

- Przestańcie! - krzyknął Paweł. - Kurwa, kłóćcie się od przedszkola, a wiadomo, że jesteście jak bracia syjamscy...

- To dlaczego się do mnie przyczepia? - zapytał Pączek żałośnie, jakby zbierało mu się na płacz. - Ja, lewakiem? Koniec świata. Ja tylko wiem, co to bieda, ciężka robota...

- Już dobrze, dobrze - odezwał się Irokez pojednawczo. - Przepraszam, Rysiu.

- A swoją drogą, to po co robisz te dziwne przyjęcia? - spytał Paweł, rejestrując, że płacze mu się język. Nie jadł od rana i mocne, zmrożone wino chlastało jak ogień.

Pączek zamyślił się. Nagle uniósł głowę i spojrzał Pawłowi prosto w oczy.

- Wiesz, jak zdobyć władzę nad tymi dupkami, kanaliami i psychopatami? Trzeba być mądrzejszym od nich wszystkich. A żeby być mądrzejszym, trzeba słuchać ich lamentów, przechwałek, pierduł, poglądów, po których człowiekowi nóż się otwiera w kieszeni. Ach, jakich oni robią z siebie świętoszków, jacy są kurewsko z siebie dumni. Taka jest prawda, chłopaki.

Irokez rozkaszał się i spojrzał na Pączka tak, jakby chciał go przejrzeć na wylot, co było odbierane przez niektórych ludzi jako chamstwo, lecz przyczyna była prozaiczna: miał poważną wadę wzroku i nie chciał nosić okularów ani soczewek.

- Co ty kombinujesz, Pączek?

- Daję pracę blisko stu ludziom i czuję się za nich odpowiedzialny. Nawet, gdy budowałem ten dom, to przecież zarobili architekci, firma budowlana, elektrycy. A mercedesy kupiłem, bo są dobre, nie psują się. Opłaci się ekonomicznie. Może kogoś zawiodłem, ale nie wydaje mi się, abym komukolwiek obiecywał więcej, niż mogłem dać.

- Naprawdę wierzyłeś, że komuna odpuści? - spytał Irokez poważnie.

- Co za pytanie?! - prychnął Pączek, zdjął marynarkę i przewiesił ją przez balustradę tarasu. - Inaczej bym nie konspirował. Nie byłem i nie jestem wariatem. Od dzieciaka widziałem, że komuna to gówno. Jak słyszę, co pierniczy mój stary i jego koleżkowie przy gorzale, te kłamstwa o sprawiedliwości społecznej, dobrobycie, to mi się chce rzygać. Poza tym coś robiliście, to i ja zacząłem. No i radośnie obserwowałem, jak szybko umierają kolejni sowieccy sekretarze.

- Czujesz się lepszy od tych, co nic nie robili?

- Pierdol się, Pawka - odparł Pączek bez złości, po czym rzucił białą chusteczkę na ogród; opadła ciężko na krzak róży.

Milczeli, patrząc na gości. Hałaśliwa muzyka waliła po uszach.

- O, idzie Marek! - ucieszył się Irokez i zaczął machać ręką. Marek szedł wolno, od strony bramy wjazdowej, przez ogród. Goście kłaniali się, wyciągali dłonie na powitanie, uśmiechali się, mówili „cześć” albo „dzień dobry”. Okazywano mu szacunek i serdeczność.

- Nic Marek, ale pan poseł - zadrwił Pączek. - Z szacunkiem, Irokez.

- Coś ci zrobił, oszukał, babę zarwał? - spytał Paweł, hamując rozdrażnienie. Od dłuższego czasu Pączek drwił z Marka; każdy pretekst był dobry.

- Zna życie, ludzi. Od złodziei do ministrów. Powinien być twardy, a nie jest. Stracił jaja.

- Przesadzasz, robi, co może! - Paweł wzruszył ramionami. - Powiedz wreszcie co masz do niego?

- Kiedy ostatni raz do ciebie zadzwonił? Tylko nie kłam.

Paweł zmieszał się. Chciał skłamać, bo przecież Marek od przedszkola był jego najbliższym przyjacielem, ale bał się, że Pączek to odkryje, wyczyta z jego twarzy.

- Miesiąc temu.

Pączek zaśmiał się głośno, wypił pół kieliszka wódki i popił sokiem pomarańczowym.

- A ile razy, kolego, dzwonię do ciebie ja albo Irokez, no?

- Z dwa, trzy...

- Dziękuję, nie mam pytań! - Pączek roześmiał się, co zabrzmiało raczej jak parsknięcie; ludzie, bawiący się w ogrodzie, zaczęli śpiewać jakąś góralską piosenkę.

- Pączek, nie przesadzaj! - zaprotestował Irokez, ale bez przekonania. - Wiesz, ile taki poseł musi się naczytać? A z dwa tysiące stron tygodniowa. Różne projekty, ekspertyzy, propozycje, listy...

- Zamknij się! - warknął Pączek i wytarł chusteczką dłonie. - Spytał, jak ci pomóc i czy masz z czego żyć?!

- No nie - odpowiedział Irokez cicho, bezradnie. - Ale po co miałby pytać? Przecież wie, że mam sklep, nie głoduję...

- Bęcwale, twoja głowa mogłaby się przydać nie w sklepie sportowym, tylko jako doradcy! - rozłościł się Pączek. - Ty się nie nadajesz do biznesu.

- Tak, tak - odpowiedział Irokez pospiesznie i spojrzał na Pawła takim wzrokiem, jakby szukał u niego wsparcia, ale on wzruszył ramionami. Nie znosił być rozjemcą w kłótniach, stawać po stronie kogokolwiek.

- Panie Marku, panie Marku! - od strony ludzi, stojących przy grillu, biegł niezgrabnie Reżyser. - Już jestem.

- Kto wprowadził tego śmiecia, tego filmowca?! - krzyknął Pączek, zduszonym przez wściekłość głosem, do wysokiego, muskularnego mężczyzny w ciemnych okularach, ze słuchawką w uchu, który przechodził pod tarasem, ten zadarł głowę i odpowiedział ze zdziwieniem:

- Zatelefonował pan poseł Kosecki, że pojawi się ten reżyser, bo kręci film dokumentalny.

- Za czterdzieści minut niech go pan wypierniczy, ale elegancko, żeby nikt tego nie zobaczył! - głos Pączka był twardy, nawykły do rozkazywania, a Paweł pomyślał, jak by Pączek zareagował, gdyby usłyszał, że bywa podobny do swojego ojca, emerytowanego generała wojska, którego przez lata nienawidził i z którym właściwie nie utrzymywał żadnych kontaktów. Pączek był idealnym przykładem, jak z niczego można zostać milionerem. Był górnikiem, drukarzem, stróżem nocnym na parkingu, kioskarzem, stolarzem, spał w hotelach robotniczych i wynajętych, śmierdzących kawalerkach, a teraz miał luksusowe samochody, mieszkał w nowym domu z basenem, jadł w drogich restauracjach, zatrzymywał się w luksusowych hotelach, nosił najdroższe, markowe ubrania.

Zdobył wielkie pieniądze i wpływy. I to zarówno z prawej, jak i z lewej strony.

- Tak jest, panie prezesie! - muskularny ochroniarz skinął głową, a Paweł drgnął, bo wydało mu się, że zna ten głos.

Pączek rozkasłał się. Zrobił się czerwony na twarz)'.
'

- Zaprasza do mojego domu jakiegoś śmiecia, nawet mnie nie informując! Bezczelność...

Marek przystanął pod tarasem; wysoki, szczupły, krótkie włosy przyprószone siwizną. Wyglądał najwyżej na trzydzieści kilka lat. Nosił okulary w srebrnej oprawie, drogi granatowy garnitur, jedwabny krawat w dyskretne wzory. Można byłoby go wziąć za biznesmena z dużym kontem. Był swoim przeciwieństwem sprzed lat: noszącego dżinsy, włosy do ramion, ciężkie buciory, wełniany sweter do połowy ud, kozią bródkę.

- Panie pośle, tak jak się umawialiśmy, pięć minut - Reżyser machał ręką, w której trzymał papierosa, tak blisko twarzy Marka, że ten musiał się odsunąć.

- Niech pan mówi, co chce. Co panu w duszy gra.

- W porządku - Marek poprawił krawat, oblizał wargi i strzepnął niewidoczne pyłki z ramion marynarki.

- Możemy? - Reżyser zapytał operatora i dźwiękowca, a oni skinęli głowami.

- Półzbliżenie i zbliżenia. Akcja.

Paweł poczuł dreszcz emocji, lak jak przed laty, gdy Marek wbiegał z piłką na pole karne. Kiedy chciał być swobodny w obecności obcych ludzi, sprawiał wrażenie nonszalanckiego i zdziwaczałego. Z kolei, gdy pragnął sprawiać wrażenie poważnego i małomównego, był sztuczny i śmieszny. Im bardziej się starał, tym przeważnie było gorzej. Dlatego Paweł nie lubił oglądać Marka w telewizji.

- Jestem przekonany, a mówię to z pełną odpowiedzialnością, na podstawie przemyśleń i pewnych

dokumentów, do których miałem dostęp, że wszystkie wydarzenia, które nastąpiły po osiemdziesiątym dziewiątym roku w bloku sowieckim, były wyreżyserowane. Trzeba było zlikwidować komunizm, ideologię i jej partię, by utrzymać władzę. Należało doprowadzić do uwłaszczenia nomenklatury, do tego, aby funkcjonariusze partyjni zostali kapitalistami...

- To znaczy, że „Solidarność” została założona przez partię komunistyczną? - zaśmiał się Reżyser. - Nic widzi pan, panie pośle, groteskowości tej tezy?

- „Solidarność” była częścią transformacji. Istnieje wiele dowodów, że strajk w sierpniu 1980 roku był sprowokowany przez służby specjalne...

- Co to za dowody?

Marek uśmiechnął się. Podobał się kobietom, szczególnie tym starszym, których ujmował swoim smutkiem, manierami i twarzą intelektualisty, nie pasującą do wzrostu i mięśni.

- Wic pan, są dowody, na które nie ma dowodów. Sierpień osiemdziesiątego roku był sprowokowany, tylko że ludzie dali się, w dobrej wierze, podpuścić, ale już później nie chcieli jedynie odgrywać ról kukiełek. Reformatorzy komunizmu, w rozgrywce o władzę, posłużyli się społeczeństwem, ale nie przewidzieli siły dynamiki społecznej. Tego, że zorganizuje się setki tysięcy ludzi w ciągu miesiąca. Dzięki ich odwadze i mądrości oraz wyczuciu chwili, stało się tak, że komuniści nie mogli już wtedy realizować swoich planów, to znaczy przeprowadzić pierestrojki, która miała polegać w pierwszym rzędzie na wspomnianym uwłaszczeniu nomenklatury...

- Dlaczego ekipa Jaruzelskiego wprowadziła stan wojenny?

- Bo okazało się, że świetnie wyszkolony aparat agenturalny i partia, mająca wszędzie swoich ludzi, nie były w stanie poradzić sobie z dynamiką społeczną. Z normalnymi,

demokratycznymi mechanizmami. Znow musieli użyć czołgów i strzelać do ludzi...

- Kretyn, daje do pieca, że aż zęby bolą - odezwał się Pączek cichym, zachrypniętym głosem. - Jutro będzie skończony.

- Rysiek, nie dostajesz paranoi? - spytał Paweł z rozbawieniem.

- Pączek ma rację - szepnął Irokez, rozglądając się wokół ze strachem. Mimo woli skurczył się, jakby chciał się schować. - Oni są wszędzie. Ich pajęczyna oplótła cały świat, przenikają się nawzajem...

- Dostajecie świra! - zachnął się Paweł. - To, że Irokez gada jak potłuczony, nie dziwi mnie, ale że ty...

- Wiem, co mówię, ale nie będę cię przekonywał ani cokolwiek tłumaczył!

Paweł spojrzał na Pączka; twarz miał spokojną, trochę nieobecna, jakby był gdzieś daleko. Ale gdy ich spojrzenia spotkały się, oczy Pączka były zimne i przenikliwe, i Paweł pomyślał, że tacy są najgroźniejsi; wcale tak dobrze nie zna tego łysiejącego faceta, którego pamięta w krótkich spodenkach i ciągle głodnego.

- Jeszcze jakieś pytania? - spytał Marek z roztargnieniem.

Wokół niego i ekipy filmowej zaczęli gromadzić się ciekawscy, którzy przed chwilą jedli, pili i rozmawiali w ogrodzie.

- No, kurwa, trzeba wkroczyć do akcji! - mruknął Pączek, poprawił spodnie i zaczął schodzić zasapany po schodach, a za nim Paweł i Irokez.

- Zróbmy małą przerwę - Reżyser dał znak ekipie; operator zdjął z ramienia kamerę i postawił na ziemi, dźwiękowiec zapalił papierosa. - My, Polacy, potrafimy pięknie walczyć i ginąć, ale nie potrafimy się rządzić, rozwiązywać najprostszyc

innych, że to oni nam pomogą, podejmą decyzję, wezmą na siebie odpowiedzialność. Tak jak teraz z Unią Europejską...

- Kto tak znowu potrafi pięknie walczyć i ginąć?! - Pączek mówił coraz głośniej, na pograniczu krzyku; żyły nabrzmiały mu na skroniach. - To umieli niektórzy, nasi przodkowie i rodzice. Ale większość z nich poszła do piachu albo później skundliła się. Ilu ludzi, tak naprawdę, działało w podziemiu solidarnościowym? Sto tysięcy, może dwieście. Zwykli ludzie bali się nawet chodzić na msze za ojczyznę, aby pokazać, że są z „Solidarnością”, chociaż komuna nic by im nie zrobiła. A później, po osiemdziesiątym dziewiątym roku, wmówiono Polakom, że to oni obalili komunizm, że byli tacy niby odważni, szlachetni i mądrzy}. Śmiechu warte! Sprawili, że tchórz został uznany za bohatera...

- A czy ty w ogóle kogoś lubisz? - zakpił Reżyser.

- Przybłędó, nie przysrywaj mi, bo jak ja zapierniczałem z torbą ulotek albo drukowałem po nocach, to ty leżałeś do góry dupą, chlałeś gorzałę i ogłupiałeś się marihuaną!

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić - powiedział Reżyser pojednawczo; jedno oko miał przymknięte, drugim zerkał spod uniesionej brwi, przez co wyglądał jakby się nad czymś usilnie zastanawiał.

Pączek wytarł dłonią kark, wziął głęboki oddech, po czym odezwał się cicho i bez złości:

- Bardzo dobrze znam te gadki przybłędów, co siedzieli na dupie, a teraz robią wszystko, bym się wstydził tego, że drukowałem, kolportowałem, chodziłem na demonstracje, dostawałem łomot od esbeków i zomowców, siedziałem na policyjnych dołkach. To właśnie takie przybłedy, śmierdzielu, najgłośniej śmieją się z ludzi podziemia. - Pączek wyciągnął otwartą dłoń do operatora. - Proszę kasetę.

Operator, chudy brunet z twarzą, na której było wypisane, że lubi alkohol, zerknął z rozbawieniem na

Reżysera, a ten spojrzał osłupiały na Pączka, a później na Marka.

- Pączek, co ty, odbiło ci?

- Dla ciebie, śmierzdielu, jestem panem Ryszardem albo panem prezesem.

- Panie pośle, niech pan coś zrobi, przecież ten przyjazd kosztuje - Reżyser bełkotał żałośnie, wyglądał jakby rzeczywiście miał się rozplakać. - Wszystko opłacam z własnej kieszeni.

Pączek stanął naprzeciwko niego, prawie dotykał go.

- Ja tu jestem gospodarzem, a nie pan poseł. Ja nie wyraziłem zgody, żebyś tu przyjechał, robił wywiady z moimi gośćmi i ich filmował. Wyraziłem się wystarczająco jasno?

- Aleja robię uczciwy film. Słowo!

Pączek skinął głową. Muskularny mężczyzna, w okularach przeciwsłonecznych, który od dłuższej chwili stał za plecami operatora, otworzył błyskawicznie kamerę, wyjął kasetę i poda! Pączkowi, a ten schował ją do kieszeni spodni.

- A teraz wypierdalaj! I to szybko!

- No, no, nie bądź taki hej do przodu! - Reżyser zacisnął pięści i stanął w pozycji boksera gotowego do walki, w jego głosie zabrzmiała prawdziwa groźba. - Uważaj, żebyś nie żałował...

Pączek uderzył go czołem w nos. Zrobił to błyskawicznie. Ten cios trenował tygodniami, mając szesnaście lat, po przegranej walce z Markiem, kiedy stwierdził, że jest za ciężki i za wolny, by walczyć na pięści.

Reżyser poleciał do tyłu, zamachał bezradnie rękami i wpadł z pluskiem do basenu. Goście zaczęli się śmiać i bić brawo.

Pączek otrzepał ręce i uśmiechnął się. Widać było, że ten aplauz sprawił mu przyjemność, polechtał próżność.

- Po co to zrobiłeś? - mruknął Marek. - Możesz mieć kłopoty z głupiego powodu...

- Ja go dymam w czapkę, drogi Mareczku. A ty, na drugi raz, nie pchaj się do wywiadów z takimi jak ten śmierdziel, bo cię zniszczą. Wszystko wywłoką.

Marek zmarszczył brwi. Na mgnienie pojawił się w jego twarzy strach.

- Ania - odparł krótko Pączek, jakby wydawał rozkaz albo wypowiadał jakieś hasło.

Marek skinął głową. Przez moment na jego twarzy pojawiło się zmieszanie.

- Dziękuję.

- Panie Irku, niech pan zrobi elegancki odjazd! - rzucił Pączek i podciągnął spodnie; był rozbawiony i odprężony.

Muskularny ochroniarz wyciągnął Reżysera z basenu; rzadkie, długie włosy oblepiły mu twarz. Goście, komentując zajście, poczęli się rozchodzić.

- Jeszcze mnie popamiętasz! - krzyknął Reżyser, próbując wyswobodzić się z uchwytu muskularnego ochroniarza, który trzymał go za rękę i prowadził do wyjścia. - Będiesz tego żałował do końca życia!

- Ty to mi możesz skoczyć na kant! - roześmiał się Pączek; znów był takim jakim go znali ludzie: jowialny, trochę wulgarny, lubiący używać języka grypsierki.

- Co ma do tej całej historii Ania? - zainteresował się Paweł. Był podpity i to go ośmielało do bycia wścibskim. Poza tym od lat dziwiło go, że Marek nigdy nie chce rozmawiać o powodach rozwodu z żoną.

- Ty, ty, nie bądź taki ciekawy, bo dostaniesz kociego pyska! - zażartował Pączek, złapał głowę Pawła, niczym w kleszcze, a drugą ręką udawał, że uderza w jego twarz jak w gruszkę boksyerską.

- Pawka ma rację - odezwał się Irokez, jękając i pokaszując. - Prowadzicie jakąś grę, która, jak mniemam, także i nas dotyczy.

- O, znowu jakieś gry, pochody, dzikie węże! - Pączek zaczął przedrzeźniać Irokeza. - Co ty powieść piszesz? Po prostu Marek jest publiczną osobą i mogą wyciągnąć, że jest prawicą, a rozwodnik. To jest hak. Mały, ale zawsze.

- Nie jestem żadną prawicą! - zaprotestował Marek. - To jest stary podział. Teraz liczy się stosunek do Unii Europejskiej, lustracji, prywatyzacji...

- Dobrze, dobrze - Irokez wzruszył ramionami, na jego twarzy była skrywana obraza. - Przyjaźń między bogatym i biednym jest niemożliwa, ponieważ bogaty będzie zawsze podejrzewał biednego o interesowność, a biedny bogatego o egoizm i skąpstwo. Ty i Pączek coś kręcicie.

- Co miała znaczyć ta gadka o bogatym i biednym? - spytał Pączek, przystając i popatrując spode łba na Irokeza. - Znowu coś się nic podoba?

- Tak sobie powiedziałem - burknął Irokez, nawet nie spojrzawszy na kolegę; szedł wpatrzony w ziemię, jakby czegoś wypatrywał.

- No, chłopaki, teraz sobie pojemy i popijemy w spokoju, w moim gabinecie - Pączek zatarł ręce i zrobił minę, jakby szykował dowcip. - Ale musicie przyznać, że mam jeszcze kondycję. Pyk, pyk i nie ma zawodnika.

Stanęli przed nowymi, dębowymi drzwiami na zapleczu domu. Pączek wybił kod. Weszli do dużego gabinetu na parterze rezydencji. W kącie stało współczesne biurko, z monitorem i telefonem, cztery fotele, ze złotymi rzeźbieniami i bordowym, pluszowym obiciem. Na stole było pełno wędlin, pieczonego mięsa i alkoholu. Nad drzwiami wisiał napis, na srebrnej blasze: „Tu oczyść serce podłóżką zatrute. Tu zabij w sobie wszelki strach znikomy”.

- Siadajcie, chłopaki, siadajcie - Pączek był cały zaoferowany, w swoim żywiole, nalewając whisky do szklaneczek. - Bierzcie żarcie paluchami, po co się pierniczyć w konwenanse. No, żeby nie było gorzej!

Stuknęli się i wypili. Paweł upił łyk i odstawił szklaneczkę. Nie lubił alkoholu, rzadko się upijał, miał mocną głowę, ale następnego dnia umierał na kacu.

- Jak wam się podobają moje obrazy? - Pączek wskazał ręką na trzy duże prace olejne, wiszące w gabinecie.

- Ładne - odparł Marek z roztargnieniem, strzepując niewidoczne pyłki ze spodni. Od kilku lat mówił niewiele, odpowiadał właściwie tylko na pytania.

- Na mój gust za krzykliwe...

- Irokez, ty gadzino, to są obraz)' naszego przyjaciela Pawki! - Pączek zrobił groźną minę, po czym parsknął śmiechem. - Sam je wybrałem. Potrzebuję jeszcze trzy po siedemset dolarów. Pasuje, Pawka?

- Pasuje - Paweł zaczął chodzić po gabinecie, prostując się i robiąc skręty tułowia, bo zaczął boleć go kręgosłup. - Dlaczego kupujesz zawsze trzy za siedemset dolarów sztuka?

Pączek rozparł się w fotelu i zapalił kubańskie cygaro, patrząc jak się pali, to znów popatrując na obraz)'.
'

- Stałem się przesądny... Zaraziłem się tym od Irokeza. Trójka i siódemka przynoszą fart. Noszę nawet przyciasne koszule i za małe buty.

Roześmiali się, nawet Marek, który wstał i nalał sobie whisky. Z ogrodu dochodziła przytłumiona muzyka. Pączek wziął z półmiska wielkiego kotleta schabowego, położył na chleb i zaczął jeść z zamkniętymi oczami.

- Latami marzyłem, żeby zjeść tyle kotletów schabowych, ile będę chciał. Do zrzygania. Pamiętasz, Irokeziku, jak ukradłeś dla mnie swoim starym cztery kotlety,

a oni nie mieli co dać gościom na niedzielny obiad, i wszystko było na psa?

- Pamiętam. Musiałem na dwa dni uciec z domu, bo inaczej matka oddałaby Filutka na wieś.

Pączek podsunął mu półmisek z kotletami schabowymi.

- Jedz, Irokeziku, jedz. Mięso daje siłę. Po nim mały stoi jak komin Batorego. Nawet, jak chcesz, możesz popić śmietaną. Mam wiejską.

Irokez wybrał najmniejszego kotleta. Jadł wolno, gryząc dokładnie. Paweł wiedział, że od ponad dwudziestu lat nie jadł ich, bo kojarzyły mu się z przerażeniem, jakie przeżył w dzieciństwie, kiedy miał się rozstać ze swoim ukochanym kundelkiem, który i tak został rozjechany przez pijanego kierowcę ciężarówki. Irokez dostał wtedy ataku; wył jak zwierzę, walił głową o podłogę, karetka zabrała go do szpitala psychiatrycznego, gdzie był ponad tydzień. Od tej pory stał się nerwowy, miał tiki. Gdy ktoś mu zrobił coś złego, potrafił rozpłakać się.

Pączek stanął obok Marka, który patrzył w okno i pogwizdywał jakąś melodię, po czym objął go ramieniem.

- Daleko zaszliśmy z tej naszej ulicy. Prawda, panie pośle?

- Nie lubię wspominać. Było, minęło. Jak katar albo sraczka.

- Zawsze szczęście, tak jak kobieta, jest przyjacielem młodych, bo ci są mniej oględni, bardziej zapalczywi i większą zuchwałością rozkazują. To wymyślił Maćhiavelli.

Pączek odwrócił się od okna. Był zły, zaciskał i otwierał dłonie.

- Wiesz, co nas przede wszystkim różni, Irokez? Ano to, że ty, syn człowieka, który był naukowcem, profesorem i miał bogatą rodzinę na Zachodzie, uważasz wszystko za przesądzone i we wszystkim zdajesz się na przypadek. A ja,

biedny żuczek, który sam szedł i idzie przez życie, nie ufam nikomu i w niczym nie zdaję się na przypadek...

- Rysiek, a co się stało z tą twoją narzeczoną, którą przesłuchiwałeś po pijanemu, czy nie jest agentką? - zapytał Paweł sztucznie wesołym głosem, by rozładować sytuację, nie pozwolić, by się pokłócili, co zdarzało się coraz częściej, gdy spotykali się i pili alkohol.

- Ojej, nie wspominaj! - Pączek złapał się za głowę, udając przerażenie. - Nie mogłem się od niej odczepić. A co byś zjadł, a kocham cię, Rysiu, jesteś prawdziwym mężczyzną, Rysiu. Wreszcie załatwiłem jej zaproszenie do Stanów, wizę. Pracuje w firmie kolegi. Bystra sztuka, angielski perfekt. Teraz ma dwadzieścia osiem lat. Dzisiaj też jest pełno młodych sztuk...

- Nie jestem pedofilem! - skrzywił się Irokez. - Co to za moda, że facet, jeśli ma kasę, to musi mieć babę w wieku córki? Siwy łeb, zadyszka, a tu świruje małolata...

- Co to za interes tkwić przy starej, która ciągle warczy, bo przechodzi klimakterium? A swoją drogą, to nie pofarciło nam się z babami. Marek i ja rozwiedzeni, Irokez wieczny kawaler, Paweł trafiony i zatopiony przez tę Gabi...

- Zejdź ze mnie - powiedział Paweł bez gniewu. Alkohol przestał działać. Minęło ożywienie i radość, że jest z przyjaciółmi, z którymi dobrze się czuje i zawsze może na nich polegać.

Pączek machnął ręką, jakby zmazywał to, co przed chwilą powiedział.

- Nie mogę patrzeć na tych różnych frajerów, którym jeszcze nie postawiono warunków, a oni już pasują. Z góry ulega, zdjął czapkę, kłania się, merda ogonem. Jedni mają śmierdzące haki w życiorysie, inni zgodzili się na parszywe zobowiązania, następni utrzymują podejrzone kontakty...

- A jeszcze inni dostali forszę, czekają na interesy, walczą o mandaty poselskie, posady w zarządach i radach nadzorczych - Marek podszedł do stołu i znów nalał sobie whisky; w jego beznamiętnym zwykle głosie zabrzmiała jakaś obca nuta. - Za wszystko się płaci.

- To wiadomo! - Pączek wzruszył ramionami i zgasił cygaro.

- A co odnosi się do ciebie? - na twarzy Marka było lekkie rozbawienie.

- O, takim się lubię! - Pączek roześmiał się hałaśliwie; znowu był pełnym radości i energii facetem, który nigdy się nie poddawał i wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę - Nie będę picował, chciałem mieć forszę, coś stworzyć, otaczać się szalonymi ludźmi. O mnie na pewno można powiedzieć, że mam podejrzane znajomości i czekam na jakieś interesy.

- Twoja sprawa, Rysiu - Marek objął go i stuknął żartobliwie barkiem w bark. - Rób, co uważasz za słuszne i nie oglądaj się za siebie.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym Pączek zgarbił się i usiadł za biurkiem. Z całej jego postaci biło zmęczenie. Wreszcie odezwał się tak cicho, że ledwo go słyszeli:

- Nie mogę patrzeć na to kurestwo, złodziejstwo, łapówki. Tyle lat zmarnowałem. Do tego nerwy, pieniądze. I po co? Ano po to, żeby moi koledzy, tacy jak Henio Wilk, prawdziwy bohater, któremu esbecja uszkodziła kręgosłup, nie miał pracy. On nie chce być posłem, ministrem, biznesmenem, dostawać ordery. Chce być drukarzem, bo to lubi i jest w tym dobry. I co? Nie ma dla niego roboty...

- A ty nie możesz mu dać? Przecież masz udziały w drukarni?

- Oj, poseł, gdzie ty żyjesz? - westchnął Pączek, wypił jednym haustem whisky i skrzywił się tak, jakby spróbował

tranu. - Drukarnia, w której mam udziały, ledwo zipie. Zwolniliśmy dziesięciu ludzi. Nasi koledzy i znajomi rządzą, ale kasę tłuką inni. Czeiwoni, czy są w rządzie, czy w opozycji, zawsze pamiętają, by dla koleżków były posady. Popierają się. Niedawno byłem u takiego. Dzwoni komórka, a on nawija: „Git, dostaniesz ten remont, ale weź też firmę Walka, bo on ma głodną kieszeń”. Ale sprawdzają, czy koleś jest lojalny. W razie czego pomoże w biedzie. A ci nasi kolesie? Tylko myślą o sobie, do siebie grabią. W dupie mają Polskę i tych, z którymi kiedyś byli kolegami, siedzieli w więzieniach, coś knuli, bo oni nie mogą niczego załatwić, dać zarobić...

- Marek załatwił trzem znajomym pracę - odezwał się Irokez, zacinając. - Jeden pracuje w ministerstwie...

- Przestań, Irokez - Marek położył mu rękę na ramieniu i poklepał łagodnie.

- Irokezik, gdyby Marek był palantem, to bym z nim w ogóle nie rozmawiał! - Pączek rozłożył ręce i westchnął ciężko, jak po wielkim wysiłku. Krople jego potu kapały na blat biurka.

- Chłopaki, sprzedajmy wszystko i kupmy ziemię! - Irokez mówił z coraz większym, nienaturalnym ożywieniem. - Jakieś dwieście, trzysta hektarów. Rzućmy ten parszywy świat, ten cały blichtr. Przyroda, książki, sztuka. Będziemy mieli swoje psy, konie, kozy, krowy. Co nas trzyma w tej Warszawie? Pączek będzie całym szefem, specem od zarządzania, Marek od zbytu, marketingu, Paweł będzie nadzorcą, a ja będę prowadził papiery, sprawy urzędowe...

- Stop! - Marek podniósł rękę. - Przyjmijmy, że kupujemy tę ziemię. Ale skąd weźmiemy kasę na produkcję rolną? Błyskawicznie stopnieją oszczędności, a kredyty bankowe rozłożą nas na łopatki. W dwa lata będziemy bankrutami. Przecież wiecie, że kredyt zaciągnięty w Polsce,

kosztuje kilkakrotnie drożej niż we Francji, w Niemczech, Wielkiej Brytanii, nie wspominając już o USA.

- To co robić? - spytał Irokez bezradnie. Nerwowy tik pulsował mu w prawym policzku.

- Życ. Nareszcie żyć! - Marek zdjął marynarkę i powiesił na oparciu fotela. Na twarzy miał czerwone plamy. Wypił prawie trzecią szklaneczkę whisky, ale wyglądało na to, że alkohol nie robił na nim wrażenia. - Mój były trener, prosty facet, mówił często do mnie: „Pamiętaj, Marek, nie krzywdź ludzi, ale nie myśl o pieniądzech, bo one i tak sprawiają, że na wierzch wypływają głównie szumowiny”. Żałuję, że go nie słuchałem. Ale dziecko będę tak wychowywał, żeby w nic nie wkładało palców. Dobra uczelnia, ale zero wychylania się...

- Pogieło cię?! Co ty chcesz wyemigrować do Stanów, że gadasz o wychowaniu córki?! - rozłościł się Pączek. - Ty rzeczywiście straciłeś jaja!

- Tak, chcę emigrować. Jeździć w góry na narty, cieszyć się ze słońca i przyrody, chodzić na mecze piłkarskie, patrzeć jak dorasta córka.

- Co ty będziesz tam robił? - zaśmiał się Pączek drwiąco.
- Myślisz, że czekają na jeszcze jednego Polaczka?

- Znam język, nieźle poznałem informatykę. Mogę też pracować fizycznie. Nie zginę. Może już nie chcę żyć w miejscach i obok ludzi, którzy mnie denerwują? Może mam dosyć Polski? Niech tu wreszcie przyjdzie Niemiec, Francuz, Amerykanin, Żyd i zrobią porządek. Nauczą porządku, gospodarki, poszanowania dla prawa. Wkurzają mnie ci narodowcy, którzy wrzeszczą, że Zachód traktuje nas na innych warunkach, jak niewolników. Nie umiemy się sami rządzić, wybieramy miernoty, które myślą tylko o tym, jak by tu zakombinować, wziąć łapówkę. Pleni się złodziejstwo, pierze się brudne pieniądze, przez Polskę przechodzą kanały przerzutowe narkotyków. Dlaczego Zachód ma pakować

pieniądze w taki krak? Dlatego, że Polakiem jest Jan Paweł II, mieliśmy Kościuszkę i Pułaskiego, że uchroniliśmy Austriaków przed Turkami? Polacy nie mają nawet odruchu skrzywdzonego psa...

- Święty Augustyn napisał: „Kochaj ludzi, nienawidź błędy. Nie kochaj błędów z powodu ludzi, ani nienawidź ludzi z powodu ich błędów?” - Irokez zgarbił się, oparł łokciami o uda, zlepione potem włosy zwisały mu kosmykami z czoła.

- Wygraliście wybory, znów wam, politykom prawicy, ludzie uwierzyli i co zrobiliście? - odezwał się Paweł, czując jak rośnie w nim złość. - Gównu! Kasa, podgryzanie, walka o stołki, bezrobocie...

Marek kiwnął głową. Jego wzrok był przygasły, pełen zmęczenia.

- I dlatego, między innymi, chcę odejść od polityki. Nie nadaję się do niej. Próbowałem walczyć, zmieniać przepisy w komisjach, ale to jest walenie głową w mur... Czułem, że staczam się do rynsztoka. Zacząłem robić świństwa, zapomniałem o przyjaciółach. I niedawno powiedziałem sobie: „Facet, ty bierzesz pieniądze za nic i nic nie znaczysz, dlatego spadaj, nim zaczniesz sobą pogardzać!”.

- I tak sobie po prostu zrezygnujesz? - w głosie Pączka było szyderstwo. Wziął kotleta schabowego w dwa palce. Jadł, popijając whisky i ocierając co chwila usta wierzchem dłoni. Jego niebieskie oczy śmiały się.

- Rozumiem, że złożysz mandat poselski?

- Tak - Marek nerwowo przygładził włosy. Irokez poruszył się w fotelu. Miał oczy szeroko otwarte. Kasłał, trzymając się za piersi.

Pączek wyciągnął się w fotelu, prawie położył na plecach, po czym spojrział na Marka z bezgranicznym zdziwieniem.

- Ciebie pogięło! W dodatku przestałeś myśleć... Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że jak złożysz ten mandat poselski, to jesteś ugotowany?! Że wszyscy będą święcie przekonani, że uciekłeś przed lustracją? Że byłeś agentem bezpieczeństwa?

- Trudno, nie zależy mi na tym - odpowiedział Marek cicho. Kilka razy musiał odchrząknąć, żeby móc dokończyć to, co chciał powiedzieć.

- Ale mnie, kurwa, na tym zależy. Rozumiesz to, czy nie?! - spytał Pączek, patrząc na Marka z takim napięciem, jakby od jego odpowiedzi zależało wszystko, co stanie się dalej.

- Nie - odparł Marek ledwo dosłyszalnie, unikając jego wzroku. Pączek wstał, kopnął w fotel, który przewrócił się, po czym stanął przed Markiem i pochylił się jak bokser gotowy do walki.

- To ci powiem, palancie jeden! Nie mam zamiaru być tym frajerem, który przez lata przyjaźnił się z kapusiem. Tak będą mówili ludzie. I nie chcę, żeby przy okazji zaczęli się zastanawiać, czy ten Pączek też nie jest trefny. Rozumiesz to nareszcie?!

- Rozumiem - Marek skinął głową, wstał i podszedł do okna. Irokez spojrział bezradnie na Pawła, jakby szukał w nim pomocy.

- To co zrobisz? - zapytał Paweł, żeby przerwać milczenie. Zawsze drażniła go cisza.

Marek odwrócił się od okna. Zapalił papierosa. Drżały mu ręce. „Od kiedy on pali?” - pomyślał bezsensownie Paweł i wypił jednym haustem whisky. Marek czegoś się boi, ale czego? I po raz któryś uświadomił sobie, że Pączek jest przebiegły i nigdy nie przebacza.

- Zostanę do końca kadencji sejmu - odparł Marek. Widać było, jak nerw drga mu w policzku.

- Broń Boże, nikt cię do niczego nie zmusza - głos Pączka był łagodny, cichy, wręcz przyjacielski. - Tylko nie chcemy, żebyś zrobił głupstwo, które będzie się ciągnęło za tobą do końca życia.

- Wiecie co, to brzmi nieprawdopodobnie, wręcz groteskowo, ale myślę, analizując pewne zdarzenia i dokumenty, że komuniści, ich służby specjalne, przewidywali, że to kiedyś pierdyknie. I dlatego werbowali jak najwięcej ludzi. A po co? By mieć jak największe siatki. Haki na ludzi. Postanowili stworzyć imperium, zdobyć wielkie majątki, fabryki, mieć miliardy dolarów... Kto to wszystko wymyślił? Gdzie są ci ludzie, gdzie się spotykają, gdzie mieszkają, co teraz kombinują? - Irokez przestał mówić. Zakrztusił się i rozkasłał.

- Ja też tak myślę - powiedział Marek i podrapał się po podbródku. - Nikt nie oddaje władzy, by później nic mieć na nią wpływu. Chyba że śmiertelnie chory, który szykuje się do snu wiecznego.

Pączek parsknął głośnym, serdecznym śmiechem pasującym do jego wzrostu i tuszy.

- Jesteście pijani, czy uciekliście z domu wariatów? I co mi jeszcze powiecie? Może istnieje UFO? A może jestem z kosmosu, na przykład z Wenus, co? Jak chcecie, to mogę. Proszę bardzo. Tylko płąćcie mi za to kasę. Za darmochę nic zgadzam się...

Paweł spojrzał na Pączka, później na Marka, który chodził po gabinecie, ze spuszczoną głową, zaciągając się co chwila papierosem. I patrząc na niego, raptem zdał sobie sprawę, że przestało go obchodzić, czy Marek chce być posłem, czy też nie, i co ma zamiar robić dalej w życiu. Czuł się jak człowiek zmuszony do słuchania o sprawach całkowicie mu obojętnych. Jednak zamiast wstać i wyjść,

siedział rozparty w fotelu i obserwował swoich przyjaciół, prowadzących ze sobą grę, której zasad nie znał.

- I tym optymistycznym akcentem zakończmy to słowiańskie gadanie! - Pączek wytarł krawatem twarz i dłonie, po czym rozlał whisky do szklaneczek. - Wypijmy za to, żebyśmy byli zdrowi i żeby kuśka stała!

Stanęli w koło, stuknęli się i objęli za ramiona.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! - krzyknął Marek tak, jak to robił przed laty, kiedy wybiegali na boisko. Powtórzyli zawołanie i wypili alkohol do dna.

- Już więcej nie piję - odezwał się Irokez, krzywiąc i głośno pojękując.

- Ktoś cię zmusza? - Pączek wydał wargi i rozłożył ręce.
- Nie namawiam do małżeństwa, interesów i picia... A propos, opowiadałem wam jaki miałem numer z małolatą i jej matką? Poznałem studentkę zarządzania, trochę u mnie pracuje, dorabia sobie. No i zaprosiła do siebie na kolację, mówi, że matka na działce. Wypiliśmy butelkę czerwonego wina, zaczynamy drugą, a tu klucz w zamku, dziewczyszyna spanikowana. Każe mi siedzieć cicho w swoim pokoju, zaraz przyjdzie, tylko porozmawia. Czekam, czekam, wypilem drugą butelkę wina. Postanowiłem wyjść. Otworzyłem drzwi i cichutko idę na palcach, zgarbiony, do drzwi wyjściowych. Nagle słyszę: „Zosiu, ja wiem, że ty żyjesz z mężczyznami i przyprowadzasz ich do domu, ale dlaczego robisz to z garbusem?!”

Pączek roześmiał się całym ciałem. Prawic popłakał się z tego śmiechu. Paweł i Irokez też się zaśmiali, ale bardziej z grzeczności.

- Kitujesz - stwierdził Marek, wkładając marynarkę, po czym stanął przed dużym lustrem w złotych ramach, tuż przy drzwiach i zaczął wiązać na nowo krawat. - Z pięć razy słyszałem tę opowieść...

- Jakie pięć razy?! - Pączek prawie zakrztusił się z oburzenia i gniewu.

- Bywasz dowcipny, masz dobrą pamięć, podobasz się kobietom, do tego liczne uzdolnienia - powiedział Paweł, jakby zmuszony przez kogoś, wbrew sobie. - Ale masz też talent do zrażania sobie ludzi, co ujawniło się na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy byłeś działaczem związkowym.

- Trudno, taki jestem! - Marek wzruszył ramionami. Zawsze tak reagował, gdy dawał się wciągnąć w kłótnię; z rozpędu upierał się przy tym, w czym nie widział racji.

- Tylko to masz do powiedzenia? - mimo woli w głosie Pawła była drwina. Patrzyli sobie w oczy. Ale w oczach Marka nic było prośby, żeby Paweł przestał go atakować. Nawet teraz, pokonany i upokorzony, nie prosił o pomoc. „On nauczył się cierpieć bez słowa, walczyć o swój sukces prawie bez skrupułów - pomyślał Paweł - rozprawiać się bez wyrzutów sumienia. Opowiada o swoich rozterkach, szamotaniu, ale to jest gra. Nasze zdanie jest mu niepotrzebne. Udaje lepszego, niż jest”. I patrząc na niego uświadomił sobie, że może właśnie traci kogoś, kogo przez lata uważał za najlepszego przyjaciela, człowieka, na którego mógł zawsze liczyć.

- No, idę pogadać z wyborcami - odezwał się wreszcie Marek, siląc się na uśmiech.

- Ja też idę! - Irokez poderwał się i zatarł nerwowo dłonie. - Naprawdę widziałem kilka świetnych kobitek...

- Ale wyprostuj się, koleżko! - Pączek uderzył go żartobliwie w brzuch. - Klata do przodu. Masz wglądać jak amant filmowy, a nie gęś wyścigowa!

Irokez roześmiał się i przymknął jedno oko.

- Przy Marku moje szanse wzrastają kilkakrotnie. Ludzie władzy są dla kobiet wręcz kusząco piękni. Mogą zaspokajać potrzeby innych, nie rezygnując z własnych.

Marek popchnął go w stronę drzwi.

- Idziemy, idziemy... A swoją drogą, to powinieneś zostać doradcą jakiegoś wpływowego polityka. Naprawdę marnujesz się...

- A skąd wiesz, że nie jestem? Skoro mi tego nie zaproponowałeś, to być może zrobił to kto inny - na twarzy Irokeza pojawiło się rozbawienie; wyglądał jak chłopiec, któremu udał się kawał.

- Mówisz poważnie? - spytał Pączek ostrożnie, wyraźnie zaskoczony. - Mogę wiedzieć, komu doradzasz?

- Trzecia droga! - Irokez zaśmiał się, pokazując swoje białe, równe zęby, z których zawsze był dumny i które szorował po każdym jedzeniu.

- Prawica, lewica, centrum, jakaś lewacka sekta? - drażył Pączek wyraźnie zaintrygowany.

- Nie wpytuj, bo i tak nie powiem... Trzecia wojna światowa już trwa; Jest to wojna cicha i podstępna. Toczy Brazylię, Amerykę Łacińską i praktycznie cały Trzeci Świat. Zamiast walczących żołnierzy, umierają dzieci. Jest to wojna o dług Trzeciego Świata. Wojna, która używa, jako swojej głównej broni, odsetek. Broni bardziej śmiertelnej niż bomba jądrowa...

- Rany, ty jesteś naprawdę mądra! - stwierdził Pączek z podziwem. - Jesteś beściak!

- Powiem nieskromnie, że lubię doradzać - Irokez uśmiechnął się, zrobił usta w ciup i zamrugał powiekami jak zmieszana pensjonarka. Nigdy nie dowiedzieli się, czy rzeczywiście był czyimś doradcą, chociaż Paweł z Pączkiem męczyli go o to wielokrotnie. Marek, po latach, uważał, że Irokez wszedł w układy z jakąś tajną, międzynarodową organizacją, której członkami byli ludzie wywiadów, co stało się przyczyną jego kłopotów.

- Tylko nie upijcie się! - rzucił Pączek i klepnął w ramię Irokeza. - A ty, charcie na baby, pamiętaj, że istnieje AIDS.

Pożegnali się, nie patrząc sobie w oczy. Marek i Irokez wyszli z gabinetu.

Pączek złożył marynarkę i położył ją na oparciu fotela, po czym usiadł i zaczął bawić się plastikową linijką, spoglądając w zamyśleniu w okno.

- Jak myślisz, Marek bierze kasę za załatwienie dilów? - zapytał sztucznie obojętnym głosem, uderzając się linijką po rękę.

- Masz swoje wejścia, to sprawdź! - Paweł wzruszył ramionami, bo nie podobały mu się te podchody Pączka, i zaraz pomyślał, że on chce czegoś ważnego od Marka albo ma nadal jego kompleks.

- To nie jest takie łatwe, kolego - Pączek pokręcił głową i syknął, jakby go coś nagle zabolalo. - Raz próbowałem zagadać, żeby mi załatwił spotkanie z pewnym ministrem, to mnie opierniczył. Znam takiego, co tylko załatwia nieznanym, bo przed bliskimi odgrywa szlachetnego. Boję się, że to samo może robić nasz koleżka.

- Rysiek, jeszcze mało ci forsy?

Wąskie usta Pączka ściągnęły się w kreskę. W oczach pojawiła się złość. Pokazał ręką na okno.

- Mam patrzeć, jak te mały robią kasę? Nigdy! My mamy oparcie polityczne, znamy tylu ludzi, narażaliśmy się, a tu przychodzą jakieś przybłędy, robią dii za dilem, a my tracimy czas przy whisky.

Paweł założył marynarkę. Nie miał ochoty rozmawiać z Pączkiem o pieniądzach i jego planach zdobycia jeszcze więcej.

- Dawno skończyliśmy czterdziestkę. Już biorą do nieba z naszej półki. Opuść sobie.

Pączek stanął przed nim. Znów po czole spływały mu krople potu, które ocierał co chwila palcami.

- Naprawdę nie zarabiam kasy tylko dla siebie. Przecież nie zjem dwóch obiadów i trzech kolacji. Jedynie ja wiem, komu pomogłem, na co dawałem i daję pieniądze.

Paweł skinął głową. Zrobiło mu się głupio, bo przypomniało mu się, ile razy Pączek pożyczał mu pieniądze, ile razy kupował obrazy, udzielał pożyczek, nie chcąc później zwrotu. Później okazało się, że pomagał nic tylko w taki sposób. Pączek, po wyjściu Irokeza z aresztu, porwał jednego z jego współników, nie dawał jeść ani pić przez dwa dni, dopóki ten nic podpisał zrzeczenia się udziałów w sklepie sportowym i zwrotu sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Gangster, natychmiast po uwolnieniu, pobiegł na policję, zeznając, że był przykuty kajdankami do kaloryfera, wpuszczano szczuty do piwnicy, w której był więziony, a poza tym był maltretowany psychicznie, bo na ścianach wisiały jakieś straszne obrazy, malowane przez ewidentnego wariata, podpisującego się Paweł Tyszka. Tym sposobem wydało się, że Pączek nie kupował od przyjaciela jego prac, nie bawił się w manszarda, tylko traktował to jako dyskretną pomoc. Pączka aresztowano na czterdzieści osiem godzin, gangster gdzieś przepadł, a prokuratura umorzyła sprawę.

- Siadaj, Pawka, siadaj. Pooglądamy sobie kino domowe.

Na monitorze było widać pusty korytarz, po którym szedł muskularny ochroniarz w ciemnych okularach, ten sam, który wyprowadził Reżysera z przyjęcia.

- Jak on się nazywa? - Paweł przytknął palec do ekranu.

- Łucki, a co?

- Ciebie przesłuchiwał kapitan Matysik?

- Matysik? Nie przypominam sobie... Mnie obrabiał taki ospowaty kurdupel, który dłubał w nosie i ciągle straszył, że

mi wsadzi jajka do szuflady albo wywiezie do lasu i zastrzeli.
- Zatrzymał obraz i odkręcił głos. - O, mamy coś ciekawego...

W kącie salonu, na parterze, rozmawiało dwóch mężczyzn w średnim Wieku, ubranych w jasne garnitury; Niższy, łysy, z brzuchem jakby połknął piłkę, od niedawna był wiceministrem i o jego wpływach wśród służb specjalnych i biznesu krążyły legendy. Mówiono też, ale szeptem, że jest nieoficjalnym skarbnikiem swojej partii i od każdej załatwionej transakcji bierze dla siebie dziesięć procent. W drugim kącie salonu zgromadziła się grupa, ustawiona wkoło młodych doradców i sekretarzy polityków oraz biznesmenów. I chociaż stale ze sobą konkurowali, robili sobie świństwa, usiłując knuć i zarabiać pieniądze na własny rachunek, to łączyła ich specyficzna lojalność: pogarda dla starszych, wstręt do systematycznej pracy, długoletnia znajomość, a przede wszystkim wiara, że już niedługo to oni będą rządzić i mieć miliony dolarów.

- Co tu gadać, w osiemdziesiątym dziewiątym roku jak wchodziłem na kopalnię, to dyrektor wstawał - perorował działacz związkowy, zacinając się; był on dobrym znajomym Marka, który wiele mu załatwiał, ale on i tak rozgłaszał, że jest oficerem służb specjalnych. Był ukrywającym się alkoholikiem, pijącym tylko w domu i lubiącym po pijanemu telefonować do różnych ludzi, czego oczywiście później nie pamiętał. - Ależ proszę, proszę, panie Kazimierzu. A ten dyrektor to na kopalni był Bóg. Górnik to był dla niego śmieć. Mógł z nim zrobić wszystko: wyrzucić z roboty, zabrać mieszkanie, wykreślić sprawę kryminalną, wsadzić do więzienia. Czyściutki, zawsze w białej koszuli, pod krawatem. Jak szedł, to nikogo nic widział. Po trzech miesiącach przyjmował nadal od razu, ale już nie wstawał, A po pół roku miał mnie w dupie, bo wiedział, że mogę go cmoknąć.

Wiceminister roześmiał się. Ręce trzymał sztywno opuszczone, zaciskał i rozluźniał pięści w regularnym rytmie.

- A jak to sobie wyobrażałeś, że co, dochodzimy do władzy, wypieprzamy czerwonych i wszystko idzie jak po maśle? Zapomniałeś, że szalała inflacja, nie było nawet przysłowiowej kielbasy, gospodarka leżała? Armia bezpieczników w każdej chwili mogła zrobić przewrót. Sam powiedz, jak można rządzić bez forsy i fachowej kadry? Trzeba było się dogadać. Ten układ klepnął Zachód, Moskwa i Watykan. Ale ty nic możesz narzekać. Masz zachodni samochód, z tego co wiem, wykupiłeś mieszkanie komunalne. Nie przepracowujesz się, przychodzisz na dziesiątą. Żyć, nie umierać. Gdzie miałbyś tak dobrze?

- Ja nie narzekam - Ślązak zmieszał się, ale zaraz wzruszył ramionami i wrócił do swojego charakterystycznego sposobu mówienia: kpiącego i jakby lekceważącego rozmówcę. - Powąchałem władzy, forsy. To wciąga. Ale, kurna, nie szanuję siebie...

- A co, szanowałbyś siebie, gdybyś zebrał tłum niezadowolonych i poszedł na stolicę? Gdybyś wszędzie powtarzał, że my, rządzący, dajemy dupy, robimy interesy i większość ma w nosie to, co się stanie z Polską?

- Mogło być lepiej. Wystarczy policzyć, ile kasy zniknęło i znika dzięki przekrętom. Swobodnie starczyłoby na podwyżki dla emerytów i rencistów, pielęgniarek czy nauczycieli.

Wiceminister poklepał Ślązaka po ramieniu i roześmiał się.

- Nie pękaj. Napij się, pode rwij jakąś babę.

- Eee tam, z tego stresu nic staje mi. Do tego nie mogę spać.

- Bo pijesz. Wszyscy o tym wiedzą. Poza tym martwisz się, co to będzie, jak przestaniemy rządzić, i że nie zostaniesz

wybrany do władz związku. Stary, nie picuj, że wszystko przez to, iż martwisz się o bezrobotnych, kalekich...

- Wszystko prawda. Ale też mi wstyd ludzi. Oni myślą, że skoro siedzę w Warszawie, znam posłów i ministrów, to coś mogę.

- Ten świat jest komedią dla tych, którzy myślą, i tragedią dla wrażliwych - wiceminister napił się wódki i popił sokiem. - Ale co tam, koń ma dużą głowę, to niech się martwi. Ty, stary, zapominasz, że większość ludzi nie potrzebuje prawdy, lecz pocieszenia. Bajki. Że zaraz będzie bogaty, wszystko się zmieni na lepsze, takie bzdury...

- Jedno jest pewne, jak czerwoni dojdą do władzy, to wyrzucą naszych ze wszystkich stanowisk! - Ślżak roześmiał się szczerze, radośnie, klepiąc wiceministra po ramieniu. - A ci, co kradną, pójdą siedzieć. Będzie pokazówka. Czerwoni dadzą ich na talerzu. Popatrzcie, to przez takich sukinsynów jest źle, nie ma kasy, jesteście bezrobotnymi. Zobaczcie, co oni sobie kupili. Wybudowali za pieniądze, które wam ukradli... Luksusowe auta, wille z basenami, stadniny koni...

- Dobrze, stary, nic baw się w jasnowidza. Zadzwoń do mnie w poniedziałek, to postaram się pomóc...

- Eee, co ty tam możesz pomóc?! - Ślżak wypił błyskawicznie dwa kieliszki wódki, nie krzywiąc się, ani nie popijając. - Sprawisz, że nie zamkną kopalni, że ludzie dostaną komunalne mieszkania?

- Proszę, proszę się częstować - stanęła przed nimi kelnerka, wysoka brunetka w malinowej mini, z przyklepionym uśmiechem na twarzy)'.
'

- A co robisz, oprócz roznoszenia gorzały? - wiceminister wziął z tacy kieliszek z czystą wódką.

- Studiuję marketing i zarządzanie, proszę pana - odpowiedziała kelnerka, cały czas uśmiechając się. Miała głos dziecka, lekko miauczący.

Wiceminister westchnął teatralnie, chwiał się na nogach.

- Co drugi to studiuje w Polsce. Armia ludzi z dyplomami, ale bez kwalifikacji. Wiesz, dziecko, kim jestem?

- Nie, proszę pana. - Jestem politykiem.

- Polityka mnie nie interesuje, proszę pana.

- To błąd, dziecko - wiceminister przybrał ton powagi, jakby przemawiał. - To politycy decydują o podatkach, przepisach, strategii gospodarczej...

- On chce cię, dziewczyno, przelecieć - odezwał się Ślązak, chichocząc. - Wybór należy do ciebie.

Wiceminister pogroził Ślázakowi, wziął dziewczynę za rękę i poprowadził w stronę hallu, coś do niej mówiąc i gestykułując.

- To cichodajka - odezwał się Pączek. - Za sto dolarów pójdzie z każdym i zrobi wszystko. Z biednej rodziny, z prowincji. Wynajęcie mieszkania i życie kosztuje.

- Skąd to wiesz? - Paweł pokręcił głową z rozbawieniem.

Pączek lubił popisywać się wiedzą o ludziach, a Paweł nie wiedział, czy jest to jego słabość, czy też jakaś część gry.

- To kuzynka mojego znajomego. Trochę się nią opiekowałem, to znacz)' załatwiłem pracę W firmie koleżki. Jest sekretarką. Daleko zajedzie, bo wie, czego chce.

- Też ją sprawdzałeś?

- Oszalałeś?! - obruszył się Pączek. - Nie korzystam z czyjegoś nieszczęścia.

Pączek, chociaż gruby, krzykliwy i nie dbający o konwenanse, miał w sobie tyle energii, siły woli i uroku, że podobał się kobietom. Wystarczyło trochę z nim pobyc, by dostrzec w nim te wszystkie zalety. Ale po rozwodzie nigdy nie był dłużej w związku z kobietą. Często pokazywał się z efektownymi, obowiązkowo znanymi i bogatymi, ale to było chwilowe. Paweł niekiedy zastanawiał się, czy przypadkiem

Pączek nie ma odchylenia (może lubi chłopców?) albo usterki (impotencja?), z którą nie potrafi się pogodzić.

- Rysiek, zadziwiasz mnie. Wszystko wiesz, wszystkich znasz. Przyznaj się, może jesteś cichociemny? Z tą aparaturą jesteś niebezpieczny. Jak Faust.

- Nawet tak nie żartuj! Nie byłem, nie jestem i nie będę kapusiem!

- To głupi żart. Przepraszam... Od kiedy nie lubisz Marka? Pączek na mgnienie się zamyślił, zagryzając wargi.

- To jest dłuższa opowieść. Kiedy spotkamy się bez alkoholu to może ci powiem...

- A dlaczego nie dzisiaj? - naciskał Paweł, bo próbował to wyciągnąć od Pączka od dawna.

- Pawka, kiedyś ci powiem. Słowo! - Pączek roześmiał się i trochę za mocno poklepał Pawła po ramieniu. - Człowiek najpierw się gubi, później się boi i tak się toczy ta droga do piekła.

- Co to znaczy?

- Nic - Pączek uśmiechnął się. Zawsze lubił tajemnice, niedomówienia. Był w tym podobny do Irokeza.

- Mnie nie obchodzi, kto za kim stoi - mówił Ślązak do Marka, przecierając okulary krawatem. - Czy Moskwa, Bruksela, Bonn, Watykan czy Waszyngton. Ja nie walczyłem o państwo, które mówi „pierdol się”. Miliony ludzi zostało wydymanych...

- Kapitalizm budowało kilka pokoleń - przerwał mu Marek. - Płaciły potem, krwią, szaleństwem. Nic nie powstaje nagle.

- No, sam widzisz, jakie wali komunały! - Pączek skrzywił się, jakby zjadł cytrynę. - Starzeje się, czy co?!

- Jestem przekonany, że zbliża się wybuch - Ślązak mówił coraz szybciej, gubiąc końcówki. - Nie ma realnego socjalizmu, ale nie ma żadnego innego planu. Skończyły się

żarty, jedzenie z dzióbeków. Zauważyłeś, że wszyscy politycy gadają tym samym językiem? Grzecznym, układnym. Takie ble-ble, żeby się nie narazić. Panie redaktorze, panie pośle, panie ministrze. Tak nie mówią normalni ludzie. Na bank będzie wybuch!

- Przesadasz - Marek rozglądał się, jakby kogoś szukał, uśmiechając się sztucznie do przechodzących gości. - Rewolucję robią ludzie, którzy już coś dostali i chce im się to odebrać. Nikt nie zgodzi się na rewolucję, na strajki, wyjście na ulicę, gdy nie widzi odrobiny szansy na poprawienie swojego losu albo gdy obawia się, że w razie przegranej wszystko straci...

Pączek wyłączył ze złością monitor. Przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy.

- Po co zamontowałeś ten monitor, te kamery i podglądasz swoich gości?

- Chcę mieć władzę nad tymi dupkami, kanaliami i psychopatami, a więc muszę o nich wiedzieć jak najwięcej.

- To, że politycy są przekupni i niemoralni, to niezbyt odkrywcze spostrzeżenie - odezwał się Paweł i nalał sobie whisky, bo nie potrafił bez alkoholu rozmawiać z Pączkiem; coraz mniej go rozumiał i coraz mniej o nim wiedział.

Pączek zerknął pobłaźliwie na Pawła.

- Ludzie domyślają się, że politycy są przekupni i niemoralni. O tym gadają, ale nie wiedzą takich rzeczy jak ja. Wiem, który narkotyzuje się kokainą, który pożycza pieniądze od mafii, kto gra jak świr w pokera i w ruletę, kto lubi chłopców, młodziutki dziewczuszki...

- Ale do czego ci to jest potrzebne?! Żyjesz z szantażu? Pączek pochylił się nad Pawłem, oparł rękami o poręczę fotela, w którym ten siedział. Mówiąc, patrzył mu prosto w oczy.

- Oczywiście jest mi potrzebny wygodny dom, w którym mogę robić przyjęcia i gościć kumpli, dobry samochód, forsa dająca bezpieczeństwo... Ale ja chcę więcej, bo pomagam i chcę pomagać innym. Potrzebne stypendium dla zdolnych dzieci? Proszę bardzo, Pączek da. Wypieprzony z roboty kumpel z podziemia, nie ma sprawy, zatrudnia się go albo daje kasę, żeby otworzył swój biznes... Gdy uciekłem z domu, pamiętasz, to wylądowałem na dworcu w Katowicach. Głodny jak pies. Poszedłem zjeść, kręciło się obok mnie takich dwóch cwaniaczków, sięgam do kieszeni, a tu klops. Ktoś podpierniczył mi pieniądze, które miałem w kieszeni na dupsku, jeszcze zapiętej na agrafkę. Siadam przy stoliku, łyż same płyną, nie mogę się opanować, a tu podchodzi facet, elegancko ubrany, w zagraniczne ciuchy, pyta, co się stało. Opowiadam, a on wyciąga trzy tysiące złotych, wtedy to była olbrzymia kasa, i daje mi. Przeraziłem się, że to pedał, ale nie wyglądał. On to chyba wyczuł, bo zaśmiał się i mówi: „Kiedyś byłem w podobnej sytuacji, ktoś mi pomógł, teraz ja pomagam. Pamiętaj, dobro wraca do ciebie podwójnie”. I poszedł sobie. Do tej pory nie wiem, kto to był. Rozumiesz moją filozofię?

- Rozumiem - odpowiedział Paweł; był zmęczony, bolała go głowa, nie mógł się skupić, dla spokoju zgodziłby się ze wszystkim z Pączkiem. - Skąd masz tyle pieniędzy?

- Miałem pomysł, ale nie miałem kasy. Znalazłem człowieka, który je miał. Ustaliliśmy, jak się działujemy i przez znajomych z Zachodu zacząłem sprowadzać komputery. Doszły napoje, czekolada...

- W porządku... I tak wiem, że nie powiesz prawdy.

- To po co pytasz?

Pączek usiadł w fotelu i włączył monitor z podglądem na całą willę. Przed kratą, przez którą trzeba było wejść, żeby

dostać się do gabinetu, stała roześmiana kobieta, machając rękami i strojąc miny.

- Podoba ci się?

- Owszem - odpowiedział Paweł i poczuł przyjemne podniecenie. Lubił chodzić na przyjęcia, czy też zwykłe spotkania u znajomych, bo zawsze łudził się, że spotka kobietę, w której się zakocha; odczuwał brak miłości i nie chciał wspominać Gabi. Marzenie, żeby wróciła i znowu go pokochała, już w nim ucichło. Ale jeszcze było.

- To znajoma mojego znajomego. Mieszka w Londynie, zatrzymała się u mnie. Zakrecona, ale fajna. Mam ją wpuścić?

- Spałeś z nią?

- Co to ma za znaczenie?

- Mam taką staroświecką zasadę, że nie chcę być szwagrem swoich przyjaciół...

- Dobra, nie gadaj! Wpuszczać, czy nie?

- Wpuszczaj! - odpowiedział Paweł i przez mgnienie wydało mu się, że dostrzega nie tyle coś niebezpiecznego w tej swojej decyzji, ile raczej drogę, która do tego niebezpieczeństwa może prowadzić.

Pączek wstał, schował koszulę do spodni, przygładził włosy i zrobił oko. Paweł poczuł jak rozlewa się w nim czułość. W tej chwili prawie go kochał, nawet wybaczyłby, gdyby okazało się, że jest przemytnikiem albo bandziorem. To był ten sam Pączek, z którym grał w piłkę, chodził do szkoły, bawił się w wojsko i kowbojów, wspólnie bił się przeciwko chłopakom z innej ulicy, pił pierwsze wina, słuchał muzyki rockowej i dzięki któremu przez wiele lat zarabiał godziwe pieniądze...

Paweł podszedł do ściany, na której wisiało kilka fotografii. Na jednej z nich był Pączek, w krótkich spodenkach, oparty o dziecięcy rowerek i patrzący spode łba. Obok niego, roześmiany, stał jego ojciec, w mundurze

porucznika Ludowego Wojska Polskiego, obejmując prawą ręką syna. W czterdziestym szóstym roku wstąpił do wojska, ale nic ujawnił się, że był w Armii Krajowej. Doniósł na niego brat cioteczny. Był torturowany, próbowano zmusić go, by przyznał się, że jest amerykańskim szpiegiem. Dostał siedem lat. Wyszedł po trzech, po 1956 roku. Został zrehabilitowany, wrócił do wojska, poznał dziewczynę z biednej, chłopskiej rodziny, ożenił się. Urodził się Pączek. Ojciec, gdy skończył dziesięć lat, zostawiał mu rano dokładny rozkład dnia: mycie, śniadanie, szkoła, pomoc matce w domu, odrabianie lekcji, wolny czas. Gdy miał już osiemnaście lat, w klasie maturalnej, zapomniał, że już dawno powinien być w domu, zamiast grać w piłkę na boisku szkolnym. Nagle na dziedziniec szkolny wjechała czarna Wołga, z której wytoczył się malutki i gruby generał, ojciec Pączka, wrzeszcząc: „Rysiek, natychmiast do domu! Do domu!”. Pączek zmartwiał, wyglądał, jakby miał za chwilę umrzeć. Marek zaczął go podpuszczać, żeby nie dawał się terroryzować zupakowi, ale ten pobiegł do ojca, stanął przed nim na baczność. I wtedy dostał otwartą dłoń w twarz. Rozległo się głośne klaśnięcie. W tej samej chwili Pączek uderzył ojca głową w twarz. Generał padł na ziemię. Zalał się krwią. Nie ruszał się. „Jezus Maria, zabił!” - szepnął Irokez, Paweł i Marek myśleli to samo. Z czarnej Wołgi wbiegł przerażony kierowca, młody żołnierz, miotając się między podnoszeniem wojskowej czapki a próbą ocucenia przełożonego. Pączek nie wrócił do domu, spał u Marka. Rano zabrał papiery ze szkoły i uciekł na Śląsk do Ochotniczych Hufców Pracy. Przez rok był górnikiem, zaocznie zrobił maturę, wrócił do Warszawy. Zamieszkał u dalekiej krewnej matki, która spotykała się z nim w tajemnicy przed ojcem. Skończył poligraficzne studium pomaturalne i mimo że pracował w drukarni, co chroniło go od wojska, został wcielony, co załatwił mu ojciec. Pączek często siedział w

areszcie, groziła mu nawet kompania karna. Po latach przyznał się, że chciał zdezerterować i uciec statkiem do Szwecji...

- Dziwisz się, dlaczego powiesiłem to zdjęcie?

Pączek wyjął z barku jeszcze jedną szklankę. Nalał do niej whisky i podał nieznajomej, która z ciekawością rozglądała się po gabinecie.

- Powiesiłem z przekory. Stan' sukinsyn pracuje teraz w firmie ochroniarskiej, w której mam udziały i ciągle gada, że zaradność odziedziczyłem po nim. No i nienawidzi komunistów i Żydów... O, przepraszam, poznaście się. To jest Iwonka, a to mój przyjaciel Paweł.

Nieznajoma uśmiechnęła się oczami. Stała w rogu gabinetu, ze szklanką w prawej ręce, z lewą wzniesioną, jakby dawała znak, że nie chce, by ktokolwiek zbliżał się do niej za blisko.

- Długo się znacie? - spytała i zrobiła kilka kroków stronę Pawła, spoglądając na obrazy, wiszące na ścianach.

- Wychowaliśmy się na jednym podwórku.

Zagryzła wargi i odchyliła się, jakby chciała się dokładniej przyjrzeć Pawłowi. Zobaczył głęboki, rozchyłony dekolt i zarys opalonych, dużych piersi.

- Młodziej wyglądasz od Ryśka. Farbujesz włosy?

Paweł zmieszał się. Spojrzał bezwiednie na Pączka, który parsknął śmiechem.

- Dlaczego miałbym farbować włosy?

- Bo teraz prawie wszyscy faceci to robią. Kult młodości. Masz młodą kobietę, prawda?

- Miałem - odpowiedział. Kpiła z niego, ale nie protestował. Podobała mu się, wiedział, że jest mu potrzebna właśnie taka kobieta; zuchwała, energiczna, efektowna. „Ma oczy głodne miłości” - pomyślał. Jest podobna do kobiet namalowanych przez Reynoldsa”.

- Uważaj, on zawsze był z fajnymi towarami - odezwał się Pączek żartobliwie, robiąc perskie oko do Pawła. - W jednej to nawet trochę się podkochiwałem...

- A oprócz uwodzenia, czym się zajmujesz? - spytała i usiadła w fotelu, zakładając nogę na nogę. Paweł na mgnienie zobaczył czerń bielizny.

- Różnymi sprawami - odpowiedział speszony, bo od dziecka wszystkie zawody artystyczne wydawały mu się być niegodne mężczyzny.

- Własna firma, spadek, mafia, służby specjalne? - popijała whisky, popatrując na niego z uśmiechem, w którym była pewność siebie i pobłażliwość.

- Jestem malarzem i grafikiem...

- Ooo, nie masz u mnie żadnych szans! - wstrząsnęła się i spoważniała; z ogrodu dochodziły głośne śmiechy i rockowa muzyka. - Miałam kilku narzeczonych artystów. Fajni, zakręceny, ale jak dzieci. Ciągłe zmiany nastroju, depresje, męki twórcze, upijanie się na smutno. Nareszcie mam naukowca i nie muszę być niańką.

Słuchał jej nieuważnie, bo ustawiał ją w różnych sytuacjach, mówiąc do siebie: „Tylko ci się wydaje, że wszystko już widziałaś, przeżyłaś, dotknęłaś. Takie jak ty uwielbiają uważać, że są zakochane w każdym facecie, z którym kładą się regularnie do łóżka. Ale gdy naprawdę wpadają w miłość, w ten kociokwik, to natychmiast dostają hysterii, czując się zagrożone w wyimaginowanej wolności”.

- Kochani, nie krępujcie się - odezwał się Pączek, majstrując przy monitorze. - Ze mną jak z dzieckiem...

- Rysiek, nie baw się w sutenera! - wzruszyła ramionami, udając zgorzelenie.

- Ja się nie bawię, ja jestem!

- Kim chciałbyś być naprawdę, drogi Pawle? - jej białe zęby błyskały, kiedy się uśmiechała. A uśmiechała się często.

- Ogrodnikiem, bogatym arystokratą mieszkającym w Ameryce Południowej albo rentierem żyjącym w Puszczy Białowieskiej.

- A ja chciałbym być amerykańskim gwiazdorem filmowym albo spirytystą! - zaśmiał się Pączek, wstał i lekko zatoczył.

- U was, w Polsce, zrobiła się dziwna moda na horoskopy, wróżki i magię. Daleko z tym nie zajedziecie.

„Teraz daje znak, że nie mieszka w Polsce” - pomyślał Paweł. „Czyli ma kompleksy, chce zaimponować, że żyje na Zachodzie. Też jest skrepowana, bo za często się śmieje. Skąd ma pieniądze? Ta sukienka, buty, torebka, zegarek i biżuteria kosztowały z dziesięć tysięcy dolarów. Bogaty mąż? Pewnie tak”. Znał dużo bogatych Polek żyjących na Zachodzie, lecz większość żyła z mężów albo tajemniczych narzeczonych.

- A ty co robisz? - zapytał Paweł możliwie jak najbardziej znudzonym głosem. Zmrużyła oczy. Na jej twarzy pojawiła się ledwo widoczna czujność.

- Próżnuję... Całe życie bawię się i próżnuję.

- No nie, Iwonka, nie przesadzaj! - zaprotestował Pączek i wypił do końca whisky ze szklanki; już nie mógł ustać normalnie na nogach, lewe oko miał przymknięte, prawe szklilo się. Pawłowi przypomniało się, że jego matka twierdziła, że Pączek jest ukrywającym się alkoholikiem. Musiałaś chodzić do szkoły, gotować, sprzątać...

Zaśmiała się krótko, gardłowo.

- W Polsce uważa się, że aby być kimś, trzeba mieć pełno forsy, wpływowych rodziców albo furę dyplomów ukończenia dobrych uczelni. To nieprawda! Na Zachodzie trzeba mieć pomysł. Jak ma się pomysł, to i znajdą się ci, którzy dadzą na to pieniądze...

- Ojej, co ten świr robi?! - w głosie Pączka było prawdziwe przerażenie. - Kurwa, zabiję go!

Na monitorze było widać salon, w którym było kilkanaście przestraszonych ludzi, zbitych w gromadkę. Pośrodku stał, zataczając się, Irokez, bez marynarki i koszuli, trzymając w lewej ręce ptaka i usiłując obsikać gości.

- Nienawidzę was, pasibrzuchy kurewskie i obsrane! - wrzeszczał. - Co wy wiecie o ludziach, którzy żyją za dwieście, trzysta złotych?! Nic nie wiecie! Pierdolicie, że Polacy mają wbite w głowę, że bez pracy coś im się należy, że biedni ludzie, których nazywacie stonkami, powinni być zlikwidowani! Zobaczycie, ci ludzie niedługo wkurwią się i zaczną was wieszać! Zrobią rewolucję! Drzyjcie złodzieje, bandyci...

- Panie Irku, niech pan, kurwa, zrobi natychmiast porządek! - wrzasnął Pączek do telefonu. - Szybko!

Do Irokeza podbiegł muskularny ochraniarz w okularach przeciwsłonecznych i niski facet w czerwonym polo, wyglądający na ciężarowca. Wykręcili mu fachowo ręce i zmusili, by szedł, prawie dotykając nosem podłogi. Pączek wybiegł z gabinetu, nie zakładając nawet marynarki, w rozchełstanej koszuli.

- Widzisz, jak to jest... Z Ryśka wyszedł snob i konformista - pokręciła z rozbawieniem głową i stanęła przed Pawłem trochę za blisko. Nie lubił tego, traktował jak wejście w prywatność. - Znasz tego golasa?

- Też przyjaciel z podwórka...

- Fantastyczny! Muszę go poznać. Co on robi?

- Próbuje robić pieniądze. Poza tym zna chyba cztery języki, historię, socjologię, socjotechnikę i sam nie wiem co jeszcze...

- Aaa, dlatego szalony... A ty jesteś szalony?

- Myślę, że nie.

- A ja myślę, że jesteś, skoro mnie uwodzisz...

- Wydaje ci się.

- Oj, kociu, mnie nie zmylisz. Siwe włosy, a marzenia małolata. W twoich oczach kryje się niewinność, która jest gotowa do zabijania, ale nigdy do przyjemności.

Znów się roześmiała. Złakł się tej kobiety. Tego, że uzna go za głupca. Za bardzo chciał się jej podobać, wzbudzić w niej zainteresowanie.

- Onieśmielasz mnie.

Odsunęła się, żeby lepiej go widzieć, i przechyliła głowę tak, że jej włosy zaślniły w świetle. Zmarszczyła brwi. W jej oczach pojawiła się ciekawość.

- Pamiętaj, że jeszcze żaden facet nie zmienił kobiety.

- Dlaczego to mówisz?

- Żebyś nie miał nigdy do mnie pretensji... Rysiek wszędzie ma kamery? - pokazała dłonią na monitor.

- Nie wiem - skłamał Paweł, sam nic wiedząc dlaczego.

- Jestem pierwszy raz w tym gabinecie.

Podeszła do okna. Patrzyła w zamyśleniu na bawiących się w ogrodzie gości. Z głośników płynęła piosenka Lombardu. Co chwila powtarzał się refren: „Przeżyj to sam, przeżyj to sam, nie zamieniaj serca w twardy głaz, póki jeszcze serce masz...”.

- Zwierzęta w ogrodzie patrzyły to na świnię, to na człowieka, potem znów na świnię i na człowieka, ale nikt już nic mógł rozpoznać, kto jest kim. Pamiętasz, skąd to jest?

- Nie - odpowiedział Paweł i stanął obok niej. W ogrodzie kilkanaście osób, zgromadzonych w półkole, wykrzykiwało refren piosenki Lombardu, unosząc palce w znak Victorii.

- To z *Folwarku zwierzęcego* Orwella - powiedziała i zapaliła papierosa. Raptem nabrał pewności siebie. „Zaczarowała cię, czy co?” - pomyślał i poczuł do siebie złość. „Stara wyjadaczka, ładna, ale to nie usprawiedliwia, że zachowujesz się jak smarkacz”.

- To, co robisz, moja śliczna?
- Mam nieduży hotel... Pod Londynem.

Wziął ją za łokieć. Patrzył jej prosto w oczy i nie lubił jej.

- Nikt cię nie zna, moja śliczna. Stale coś udajesz i wielu daje się nabrać na te twoje cwancyki. Kumasz?

Na jej twarzy pojawił się strach. Zaciągnęła się mocno papierosem. Podeszła wolno do biurka. Kilka razy uderzyła dłonią o blat.

- Nie mów do mnie takim językiem - odezwała się wreszcie zmęczonym głosem. - Bardzo tego nie lubię...

- Złe wspomnienia? - zapytał szyderczo i pomyślał: „A może ona kiedyś siedziała albo miała faceta gangstera?”

- Może.

Objął ją i przytulił. Musnęła wargami jego policzek.

- Idźmy stąd, a najlepiej wyjedźmy na kilka dni do lasu... Będę przynosił ci śniadania do łóżka, będziemy pływać w rzece i będziesz grała ze mną w piłkę nożną.

Zaśmiała się cicho i uderzyła go palcami w dłoń. - Jesteś babiarzem, a ja chcę, żeby facet był tylko mój.

- Będę twój... Dlaczego miałyby być inaczej?

- Jest problem... Ze mną. Boję się, że mogę kogoś pokochać, ale jestem tak samo przerażona, iż nikt mnie nie pokocha.

- Kochasz swojego męża? - Nie.

- A on kocha ciebie?

Roześmiała się. Głośno, szczerze. Śmiejąc się, marszczyła śmiesznie nos.

- Nie kocha.

- To ja będę cię kochał.

Zarzuciła torebkę na ramię i spojrzała na niego z roztargnieniem.

- Zostajesz tutaj?

- Nie.

- Dwa dni mieszkam u Ryśka, dzisiaj będę nocowała gdzie indziej... Chcesz się napić dobrego wina?

- Pewnie.

Do gabinetu wszedł Pączek. Był zlany potem, wyglądał jakby wyszedł spod prysznica. Opadł na fotel i oddychał ciężko, z zamkniętymi oczami.

- On dosiał świra... Nawyzywał mi od najgorszych, zbił dwa wazony, później walił głową w ścianę, pokrwawił się... Wreszcie usnął, ale zeszczął się pod siebie. Musisz mi pomóc... Trzeba go wziąć do dobrego lekarza.

- Zdarza się - Iwona wzruszyła ramionami. - Każdy kiedyś narobił głupstw. Po prostu nic pozwólcie mu pić.

W taksówce nic rozmawiali ze sobą. Grube chmury zasłaniały księżyc i gwiazdy. Bębnił deszcz. Miarowo tykały wycieraczki. Czuł ciepło jej dłoni, leżącej na swoim kolanie i, jak zawsze w chwilach zdenerwowania, swędziała go skóra.

- Teraz żałuję, że się ruszyłam od Ryśka - odezwała się sennie, nie otwierając oczu, wtulona w kąt taksówki. - Tydzień temu jakaś pijana baba, podobno aktorka grająca w popularnym serialu, postanowiła się powiesić, a jakiegoś ważnego polityka ochraniarze Pączka nakryli jak się zabawiał na stole w kuchni ze swoim sekretarzem... Ale ciebie wtedy nie było.

- Byłem na działce... Mam taki mały domek, dwa pokoiki z kuchnią, pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy. Tam będziesz grała ze mną w piłkę.

Pogłaskała go po dłoni. Dopiero teraz dostrzegł na jej palcu srebrny pierścionek, z kładą i różą oraz płatkami z boku.

- Skąd masz ten pierścionek?

- Dał mi Rysiek - odpowiedziała i ziewnęła, zakrywając usta dłonią. Paweł zaprojektował ten pierścionek ponad dwadzieścia lat temu.

Robił je z pomocą Irokeza, a Marek z Pączkiem sprzedawali je w miastach portowych, Gdańsku i Szczecinie, także i tym, którzy handlowali na jarmarkach, Wysyłali również do znajomych, mieszkających w Niemczech i Szwecji. Przez kilka lat zarabiali miesięcznie, na głowę, trzy, a niekiedy i pięć przeciętnych pensji. Często jedli w hotelowych knajpach. W zimie wyjeżdżali w góry na narty. Nawet złożyli się i kupili używanego opla. Ten samochód mieli tylko pół roku, bo Marek zasnął za kierownicą i wpadli na drzewo. Miał połamane żebra, złamaną lewą rękę. Paweł, który siedział obok, wstrząśnienie mózgu i uszkodzony nos, pączek rozbitą głowę i złamane obie nogi, a Irokez wyleciał przez drzwi i nic mu się nie stało.

- Nic lubię takich pachnących, wymuskanych, wyperfumowanych facetów - odezwała się Iwona, wzięła go pod rękę, przytuliła i mówiła, nic otwierając oczu - Od urodzenia żyją w dobrobycie, nie mają pojęcia, co to głód, bieda, strach o jutro. Pokończyli ekskluzywne szkoły, rzucają pieniędzmi na lewo i prawo, hodują rasowe konie i psy, łążą po lokalach z zepsutymi kobietami i z nudów robią pieniądze.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo cieszę się, że taki nie jesteś... To, co robisz, jest wartościowe.

Roześmiała się i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że kpi z niego, bawi się sytuacją. Także się roześmiał, objął ją i pocałował w usta. Później uśmiechnął do jej szyi, kosmyka włosów, zarysu skroni. Kątem oka dostrzegł trzepot ciemnych, podczernionych rzęs i pomyślał bezsensownie, że delikatny rumieniec na jej twarzy bardziej pachnie, niż się różowi.

Gdy weszli do mieszkania, natychmiast poszła do łazienki. Dochodził z niej plusk wody i kaszel Iwony. Była to kawalerka, w której było trochę książek, mebli, bibelotów. Pod oknem stały dwie walizki, z których wystawały kobiece

ubrania. Podłoga była brudna. Na parapecie pełno kurzu. Wyglądało na to, że nikt tu nie mieszka. Podszedł do okna.

Na podwórku, w blasku przenośnej lampy, mężczyzna okutany w skafander z kapturem reperował stary model mercedesa. Z boku stał chłopiec w niebieskiej sportowej czapce, łapiąc w dłonie krople deszczu. Raptem podniósł głowę, uśmiechnął się i pomachał Pawiowi ręką, a on znów widzi w ciemności piegowatą twarz Łysego, który mówi szeptem: gdy wyjdę z puchy, to pojedę do matki. Znajdę ją. Miałem siedemnaście lat, kiedy dowiedziałem się, że ta, z którą jest ojciec, to macocha, a nie matka. Stary powiedział, że jestem dorosły i powinienem znać prawdę. Ona przyjechała mnie zobaczyć, przyszła do szkoły, ale ja byłem oczywiście na wagarach. Wtedy miałem piętnaście lat. Ojciec mi o tym opowiedział. Jej zabrali prawa rodzicielskie, bo piła. Ojciec trukał, że zostawiała mnie w wózku i szła pić, gdy ją coś naszło. Ta macocha też pije. Stary nie ma fartu do dziwek. Gada, że gdybym był wtedy starszy, nie miał dwóch lat, to nie żeniłby się z tą babą. Tą macochą. Teraz, kiedy siedzę, rozwiódł się z nią i wynajął sobie mieszkanie. Napisał, że mogę z nim mieszkać. Dobrze zarabia, inżynier mechanik, dyrektor wielkiej fabryki. Niejest zły. Jestem strasznie ciekawy, jaka jest ta moja prawdziwa matka. Mogę też mieszkać u matki byłego wspólnika z poprzedniej sprawy, co ukradłem radiomagnetofon z zakładu. Wcześniej zakosiłem klucze do takiego pokoju, w którym spotykali się komuniści, i w nocy wleźliśmy przez płot. To znaczy ja, bo Maciek na tym płocie, na szpikulcu, rozdarł sobie spodnie. Miałem kupca na ten radiomagnetofon. Co prawda dawał połowę ceny sklepowej, ale matka Maćka namówiła mnie, żebym oddał i wszystko się ułoży. A oni zadzwonili na milicję. A Maciek zrobił to na osiemnaste urodziny. Jedni mówią, że skoczył przez dziwkę, w której się zakochał, inni, że wziął narkotyki i

coś mu się pomieszało w głowie. Danka, z którą był jak brat z siostrą, bo mówili sobie wszystko, nawijała, że to przez tę dziwkę. Chłopaki ją złapali i chcieli ogolić włosy na głowie i cipie, ale uciekła...

- Rysiek zawsze dba o to, żeby te jego przyjęcia przypominały ogród zoologiczny? - spytała Iwona, wchodząc do pokoju, po czym usiadła w fotelu i zapaliła papierosa; była w białym szlafroku, zmyła z twarzy ostry makijaż, włosy związała w kok.

Paweł usiadł na łóżku. Czuł się coraz bardziej zmęczony. „Takie jak ona lubią powtarzać, że są szczęśliwe, nigdy się nie nudzą i kochają życie” - pomyślał.

- Często zdradzasz męża?

Zaciągnęła się papierosem i zapatrzyła w okno.

- Czasami, dla higieny. Miłość wygasła. Zresztą, każda źle się kończy. Powinieneś o tym wiedzieć, bo jesteś już dużym chłopcem...

- Na długo przyjechałaś do Polski? Zaśmiała się, przewracając oczami.

- To zależy... Często przyjeżdżam.

- Nie masz forsy na hotel?

Spojrzała mu bystro w oczy, jak człowiek, który ma swoje tajemnice i każda próba ich poznania, wywołuje u niego podejrzliwość.

- Nie lubię mieszkać w hotelach. Milczeli. Iwona bawiła się papierosem, nie patrząc na Pawła. Lampka nocna rzucała jedynie otoczkę światła na stolik przy łóżku i kawałek ściany. Ten mrok, nieporządek w pokoju, spowodował, że przypomniał mu się smród celi więziennej, godziny odmierzane krokami, obezwładniające zdumienie, że niczego już nie można zmienić. Wstrząsnął nim dreszcz. „Za często wspominam, rozklejam się” - pomyślał.

- Zawsze chciałeś być pacykarzem? - paliła z ramionami przyciśniętymi do piersi, gwałtownym ruchem odrywając papierosa od warg, by strzepnąć z niego popiół.

Położył się na łóżku, podkładając ręce pod głowę. Mówił wolno, z zamkniętymi oczami:

- Zbyt dobrze nie wiedziałem, czego chcę, ale na pewno wiedziałem, czego nie chcę. Nie chciałem robić nic nudnego i łatwego do przewidzenia. Świat, który był za domem, w którym tkwili moi sąsiedzi i rodzice, był dla mnie wstrętny. Marzyłem o życiu kolorowym, pełnym śmiechu i radości. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że mógłbym żyć, pracując osiem godzin dziennie w jakimś biurze albo fabryce i oszczędzając co miesiąc z nadzieją, że za ileś lat kupię mieszkanie spółdzielcze albo używany Samochód.

Podeszła do radiomagnetofonu i zaczęła wyjmować płyty z opakowań. Paweł nie lubił tego początkowego badania, rozmów, by się lepiej poznać, zawieszonych słów i gestów. Każda lubi być zdobywana, mieć świadomość, że się wokół tańczy. I każda chce poczuć się tą jedyną, musi gadać o miłości, słyszeć, że jest ci wspaniale i że nigdy dotąd nie przeżywałaś tego z inną, przypomniały mu się nauki Pączka.

- Co ty, kociu, możesz wiedzieć, jak wygląda życie w rodzinie biednych ludzi?! - stanęła przed nim, mówiła szybko, podnosząc głos: - Ojciec referent zarabiający grosze i matka zajmująca się domem, dorabiająca szyciem. Czytałam ciągle książki i marzyłam, że kiedyś wyjadę w świat. Będę sławna i bogata. A terazniejszość, każdy dzień taki sam, ludzie podli i nudni. Moje dzieciństwo i młodość to straszne czasy. Zapowiadało się, że szybko wyjdę za mąż. W najlepszym razie wyjadę na Śląsk, bo wtedy najlepiej płacono w kopalniach. Rzygałam na myśl, że będę żyła od wypłaty do wypłaty. Dlatego nic znoszę takich facetów jak ty, którzy są rozmamłani i naprawdę nie dostali w dupę od życia!

Pogłaskał ją po dłoni. Już wiedział, że będzie z nią dłużej. Nie skończy się na jednej nocy albo kilku spotkaniach. I poczuł przyjemne podniecenie, jak zawsze, gdy poznawał kobietę, na której mu zależało.

- Mieszkasz tu sama?

- Nie mam zwyczaju chodzić do łóżka z nieznanymi - odpowiedziała z ziewnięciem, po czym usiadła w fotelu i zaczęła masować sobie dłonie.

- Będiesz za słodki, połkną cię. Będiesz za gorzki, wyplują - wstał z łóżka i powiesił marynarkę na klamce drzwi od pokoju.

- Dużo pijesz? - spytała i zgasiła papierosa.

- Czego?

- Jesteś ociężały umysłowo, czy się drażnisz?

- Sama sobie odpowiedz...

- Dużo i pewnie palisz maryskę albo inne świństwo...

- Nic z tych rzeczy. Nie jesteś tak bystra, jak ci się wydaje.

Zaczęła brać w dwa palce włosy, które wyjęła ze szczotki, leżącej na stoliku, i wypuszczać na podłogę takim ruchem, jakby to były piłeczki tenisowe - Jesteś bezczelny i trochę świrem. To tyle. Nie chce mi się zastanawiać nad tobą.

Wstała z fotela i zaczęła chodzić po pokoju; zgarbiona, zagryzając co chwila wargi.

- Dlaczego tak chodzisz? Czegoś się boisz?

- Co cię to obchodzi?!

Usiadła na łóżku. Ziewnęła, przesadnie starannie zakrywając usta dłonią. Spojrzał w niebo za oknem. Tłusty księżyc tkwił jak przytroczony niewidocznym sznurem.

Położył dłonie na jej głowie.

Przeszedł przez nią dreszcz. Skuliła się i zamknęła oczy. Pogłaskał ją po lśniących włosach

- Kiedyś kochałem, ale ona wyjechała i zapomniała. Od tej pory nie lubię słów miłość i wierność.

- To zapisz się do klubu pedałów - roześmiała się, rozpuściła włosy i objęła go lekko za szyję.

- Ale tęsknię za kobietą, do której mógłbym się przyzwyczaić. Jednym szarpnięciem uwolnił piersi od szlafroka. Zacisnęła zęby.

W oczach pojawiła się złość.

- Proszę, jesteś silniejszy... No, zaczynaj, supermanie.

Coś go zabolalo, jakby odezwała się dawna rana. Czuł jak z piersi rozlewa się przygnębienie.

- Długo masz zamiar tak siedzieć? - jej głos raptem stał się przyjazny. - Nie wyganim cię... Możesz spać na podłodze.

Zakasłała. Wstała. Opatuliła się szlafrokiem. Przygnębienie rosło w nim. Nie pozwalało mówić.

- Dlaczego tak się do mnie przyczepiłeś? - jej bystre oczy rozszerzyły się, na mgnienie stały puste. - Założyłeś się z kimś, że mnie zaliczysz? Może chcesz, żebym coś załatwiła?

- Przyczepiłem się, bo wiem, że śni ci się wielka miłość, o której się naczytałaś, marzyłaś o niej, gdy tylko przestałaś być dzieckiem. Ale tego uczucia nic poznałaś i dlatego jak dziecko, które nienawidzi rodziców za to, że nie dostało upragnionej zabawki, kasujesz facetów... Ja poznałem wielką miłość, ale chcę ją mieć. Rozumiesz?

Wziął ją na ręce.

Objęła go za szyję i pocałowała lekko w usta.

Położył ją ostrożnie na łóżku. Delikatnie całował po powiekach, wchodząc jednocześnie w tłum twarzy, kolorów, imion, wypełniających jego przeszłość; Gabi, matka, okładki książek znalezionych pod tarasem domu dziadków, twarz ojca leżącego w trumnie, *Martwa natura z różami* Grisa...

- Naprawdę będziesz mnie kochał?

Szklily się jej oczy, ale uśmiechała się, jakby były to oczy kogoś innego. Leżała skulona, nieruchomo. Ręce przyłgnięte do piersi. Ścisnął je. Nie były twarde, ale takie lubił. Ciało, które dużo widziało. Zaczął precyzyjną grę rąk, w której każde dotknięcie było zamierzone. Gdy palce zatrzymały się na podbrzuszu, jej ciało ożywiło się.

- Będiesz mnie kochał? - z sierocym spojrzeniem, które go wzruszyło, odgarnęła włosy z twarzy.

- Będę-

Pocałowała go w dłoń. Szybko i mocno.

- Masz kogoś?

- Nie.

- To dobrze. Nic chciałabym cię odebrać jakiejś kobiecie.

Zaczął się wciskać w ten mazisty tunel, który otwierał się i wydawał śmieszne odgłosy. Pomyślał: nareszcie ciało jest wolne, niech się wygina, porusza miarowo, ociera aż do bólu, niech się spala, bełkocze, niech się wyzwoli z wszystkiego, co trzymam na smyczy, nic nie jest ważne, bo wszystko jest potem, klaskaniem, szybowaniem... Wcisnęła głowę w poduszkę. Jej ciało parło coraz szybciej i szybciej. Zaszlochała, poruszając mocno biodrami. Patrzyła mu prosto w oczy i było to spojrzenie jak przysięga: poważne, ale i tkliwe, z mgiełką rozkoszy. „Nie, nie, nie” - zajęczała chrapliwie, dopóki nie zabrakło jej powietrza. Mróz przebiegł mu przez plecy. „Mój jedyny, kochaj mnie” - mówiła krótkimi, urywanymi zdaniami na pograniczu płaczu. „Kochaj mnie, wszystko dla ciebie zrobię. Zobaczysz”...

Tej nocy, po raz pierwszy od lat, zasnął, nic nie wiedząc nawet kiedy. I nie widział tam tej twarzy. A później były tylko dni wypełnione mocowaniem się z ciałem, zmęczeniem, resztkami wstydu. Nigdy nie kochał się z takim zapamiętaniem z żadną kobietą. Ale chciał tego od wyjazdu Gabi.

A tydzień później, po grze w piłkę nożną, mówił do niego Pączek, kiedy siedział u niego w ogrodzie i pił zimne piwo:

- Wiesz, Pawka, ja to rozumiem, że to fajnie tak telefonować, widzieć się i rozstawać. Taki rodzaj latynoskiej telenoweli, ale ona robi ci obciach, opowiadając o waszych zapasach w łóżku.

- Skąd wiesz?

- Wiem, bo mam znajomych na całym świecie. Nie jestem bigotem, ale o tym, co się robi z drugim człowiekiem, nie opowiada się. Ona robi to tak sprytnie, że z tych opowieści wynika, iż jedynie myślisz, jakby tu z nią pójść do łóżka. Zapominasz, że masz do czynienia ze starą wyjadaczką, mającą na rozkładzie multum takich klientów jak ty. Ona nic może mówić, że dobrze malujesz, jesteś w ogóle wspaniałym facetem, do tego jesteś beściak w łóżku, bo każdy pomyślałby sobie: „Zaraz, zaraz, co ten facet widzi w tym przechodzonym towarze? W tym starzejącym się krokodylu”. Tym sposobem kasuje ciebie, a siebie wywyższa, bo w tym układzie ludzie podejrzewają, że jest w niej coś, czego nie dostrzegają. Że pewnie musi być niesamowita w łóżku albo mieć kosmiczny magnetyzm, jakby powiedział Irokez, skoro z nią jesteś.

- Pączek, daj mi spokój. Jest mi dobrze, po raz pierwszy od lat, śmieję się, cieszę, że żyję, mam energię. To jest mój wybór.

- Pawka, po co ta znajomość? Z nią nie ma radości, mogą być tylko kłopoty.

- To powiedz, co o niej wiesz.

- Wiem niedużo. Pobawiłeś się, daruj sobie tę historię. Ona, tak naprawdę, jest snobką z kompleksami. Z gatunku tych, które krzyczą, że mają w dupie, co ludzie powiedzą, ale większość skandali wywołują po wódzie albo ze zwykłej głupoty.

- Pączek, nie traktuj mnie jak swojego młodszego, głupiego braciszka.

- Rany, co się z tobą dzieje, Pawka? Dlaczego raptem zachciało ci się pielęgnować chwasty, a nie kwiaty?! Ona się nie zmieni, znienawidzi i jeszcze zrobi jakieś świństwo.

- Powiedz, co o niej wiesz.

- A ty znowu swoje. Pamiętaj, Pawka, że chodzi o to, by kobiety nas kochały, a nie my. Bo my jesteśmy słabsi psychicznie, za romantyczni. Idziemy w bok, to mamy wyrzuty sumienia, a one nie, zaraz sobie wytłumaczą, że jesteśmy łobuzami. Wierz mi, Iwona będzie do końca życia rozdwojona. Zdolna do wspaniałych gestów, jak i najgorszych podłości. Z taką, jak ona, trzeba spędzić dwa dni, spełnić zachcianki, a później natychmiast uciekać. Nawet nie zostawić gazety, by nie miała pretekstu do odszukania. Inaczej przygniecie do parkietu, przystawi kolano do gardła i każe opowiadać o miłości.

Paweł czuł, że Pączek ma rację, ale dla niego najważniejsze było to, że przestał się zachowywać, jakby Gabi była obok. Przez wiele lat, gdy szedł z nią, rozmawiał, kochali się, miał **WTażenie**, że znają od lat. Łapał się na tym, że nigdy nic traktował Gabi, jakby dopiero ją poznał. Wydawało mu się, że to z nią, Markiem, Irokezem i Pączkiem grał w piłkę, bawił się w Indian, szukał łusek na polu pod lotniskiem, piekł kartofle i puszczał latawce.

- Iwona jest zbyt pewna siebie, przez to łatwa do złapania na kłamstwie, poza tym leniwa, przez co niezdolna do życia w prawdziwym związku - perorował później Pączek, już podпиты, co chwila gdzieś telefonując, z pijacką szczerością, w której przeglądały się okruchy wspomnień. - Co za przyjemność, kiedy wchodzi się do knajpy, kina, teatru, do banku i wic się, że w tych miejscach spotyka się szwagrów? Rozumiesz, faceci, którzy mieli twoją kobietę?! Pamiętaj,

Pawka, że uczucie niesmaku, w jakim żyją teraz ludzie, jest milczącą tragedią niepomszczonej utraty poczucia honoru.

III

Iwona siedziała w fotelu, bawiąc się w zamyśleniu telefonem komórkowym. Zza okna dochodził śpiew ptaków i ledwo dosłyszalny warkot silników, przelatującego samolotu. Paweł siedział przy stole, popijając herbatę.

- Kto do ciebie dzwonił? - spytał obojętnie, żeby jej nie spłoszyć, nie wzbudzić gniewu; bo przecież ich niepisana umowa zakładała, że nie interesuje się jej interesami ani znajomymi.

- Pewien facet... Potrzebne mi są pieniądze.

- Mam dwa tysiące dolarów.

- To nie są prawdziwe pieniądze.

Wstała z fotela i zaczęła krążyć po pokoju, po jednej linii, w tę i z powrotem, jak więzień spragniony ruchu. Zaraz będzie chciała się do czegoś przyczepić, pokłócić, pomyślał Paweł. Zawsze, kiedy się czegoś boi, chce się rozładować.

- Ten facet pożycz mi forszę, a ja zrobię z niej błyskawicznie kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Głową muru nie przebijesz, ale młotkiem zawsze... Gdy byłam jeszcze w Polsce, na ostatnim roku studiów, to poznałam Angola, który opłacił mi wycieczkę po Europie. Jeździłam sobie, a on dosyłał pieniądze. A kiedy przyjechałam do niego, chciał się ze mną przespać, to go wypędziłam z hotelu. Czy byłam putanicą?

„Tak, prowokuje mnie” - pomyślał. „Ale nie dam się. Czy to wszystko jest ważne teraz, kiedy nie wiadomo, co się stanie, czy nie będę głodny, bez domu?” Po śmierci matki często ogarniał go strach, wręcz obsesja, że ludzie, których kocha zaraz umrą albo coś im się stanie.

Patrzyła na niego wyzywająco, z uniesioną głową. Wytrzymała jej spojrzenie, nie mrużąc oczu. Wzruszyła ramionami.

- A ja uważam, że byłam podłą suką.

Spojrzał w okno. Pomyślał o wigilijnej choince, palących się świeczkach, prezentach pod pachnącym lasem drzewkiem, zapachu pasty do podłogi, odświeżone ubranych bliskich, opłatkach schowanych pod białym obrusem. Zateśknił, żeby znów być dzieckiem, z wypiekami na twarzy wertować książki o dzielnym Winetou i oglądać nowe kredki.

- Nie miałaś kłopotów z paszportem? Nigdy nie próbowała cię zwerbować bezpieka?

Parsknęła śmiechem i wyduła wargi.

- Byłam widocznie dla nich za głupia albo uważali mnie za wariatkę. Miałam marne stopnie, ale nigdy nie zawałam roku...

- Powiedz prawdę, masz kłopoty?

- Ja? Żadnych - odpowiedziała i spojrzała mu prosto w oczy. Nie było w nich lęku. Ale on był przekonany, że jest przerażona. Tyle już widział przerażonych ludzi, że rozpoznawał lęk pod najlepszą nawet maską.

- Gdybyś miała kłopoty, to powiedz... Przecież Marek jest posłem, a Pączek zna wszystkich.

Iwona pogłaskała Pawła po dłoni.

- Ten facet, z którym jestem umówiona, należy do najbogatszych ludzi w Polsce. Ma do mnie słabość, ożeniłby się ze mną nawet i jutro...

- Zaczynał od przemytu wódki czy papierosów?

- To jego sprawa.

- Widziałem już takich, co na wolności mieli władzę i pieniądze, a w kryminale byli śmieciami. Spali na betonie, nie wolno im było odezwać się bez pytania, byli bici i okradani. Gwałceni.

- Ryzyko zawodowe. Zresztą, ja wyznaję zasadę, że bez względu na to, gdzie jesteś, na dole czy na górze, to od przepaści i tak dzieli tylko krok.

Znów jest silna, pomyślał, pełna wiary w swoją szczęśliwą gwiazdę i nikt, widząc ją taką, nie uwierzyłby, że potrafi budzić się z krzykiem w nocy, nie wychodzić całymi dniami z domu i panicznie boi się starości.

- Żeby żyć, trzeba kraść. Tak mówią zawodowi złodzieje.

- Ładne... A ty jakbyś zareagował, gdyby ktoś zaproponował dii niezgodny z prawem, ale za to dostałbyś pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Wyobraź sobie, że przez wiele lat miałbyś wszystko w dupie, malowałbyś, podróżował...

- A gdybym wpadł?

- To dostałbyś góra trzy lata. Po połowie byłbyś już na wolności.

- Nie opłaca się.

- Jeśli oparłeś się pokusie, to nie dlatego, że byłeś silny, lecz ze pokusa była słaba. Zapamiętaj to sobie, kochanie.

Drapiąc się paznokciem po nosie, z ustami otwartymi jak ryba, spoglądała na niego z rozbawieniem. Przymknął oczy, jakby dostał cios. Ona wdepnęła w coś śmierdzącego, pomyślał. Skąd mogę wiedzieć, co ona naprawdę robi, z czego żyje, jakich ma znajomych? Zobaczył ją rano, w wielkim domu, który znał z fotografii, jak patrzy na ogród; włosy ma potargane, na twarzy zmarszczki wyryte przez wypity alkohol, wypalone papierosy, łajdactwo, mijający czas. Zerka w lustro, migoczące srebrną taflą; oddzielnie głowa, piersi, ta część, co nagina mięśnie i daje zapomnienie. A wiatr w ogrodzie okręca białe kwiaty, podrywa liście do ukośnego lotu. Szumi. Jej twarz zmienia się jak przewrócona strona w kalendarzu...

- Napijesz się?

- A kto będzie prowadził?

- Ja - podała mu szklanę z whisky. - Byłeś kiedyś zaręczony?

- Dlaczego pytasz? - spytał podejrzliwie, bo nigdy nie pytała o kobiety, z którymi był.

- Ja byłam... Uroczyście, z przyjęciem w restauracji. I co się stało z narzeczoną?

- Była, pojechała. Nie wiem, co się z nią dzieje - odpowiedział z wysiłkiem, jakby klecił zdania w obcym języku, i poczuł litość nad samym sobą. - A co się stało z twoim narzeczoną?

- Umarł na zawał... To był wspaniały facet - zakasłała, trzymając się za piersi, po czym odwróciła twarz do okna. - Jak wyglądał pierścionek zaręczynowy, który dałeś tej swojej narzeczonej?

- Srebrny, z różyczką... Podobny dostałaś od Pączka. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie... Wiesz, ta samczość facetów to bzdura. Mit. Rozbierają kobietę wzrokiem, ślinią się, kiedy zobaczą cycek, ale gdy kobieta powie: „Wiem, że ci się podobam, ty mnie także, więc okej, biegnijmy szybko do łóżka”. Co robi facet? Daje drapak! A propos, zawsze chciałam cię o to zapytać, ale jakoś zapomniałam... Dlaczego nie masz dzieci, jesteś bezpłodny?

- Boję się, że może urodzić się nienormalne - odpowiedział prawie szeptem. - Naprzeciwno moich dziadków mieszkała rodzina Malewiczów, mieli syna, Józia... Był nienormalny, całymi dniami siedział na werandzie, wył, poruszał się jak epileptyk i jadł wapno ze ścian...

Jej oczy zwęziły się. Cętki źrenic tkwiły jak kłujące odpryski.

- A dlaczego twoje dziecko miałoby urodzić się nienormalne?! Znalazłeś sobie wspaniałe wytłumaczenie dla śmierdzącego egoizmu! Nie musisz się o nikogo troszczyć,

zabiegać o pieniądze, wstawać w nocy, być za kogoś odpowiedzialnym!

Spojrzał na nią zaskoczony. To nic był zwykły wybuch złości, tylko prawdziwa nienawiść.

- Chciałem mieć dziecko z tą moją narzeczoną, ale ona nie mogła mieć dzieci...

Puściła płytę z piosenką *Two people's* Tiny Turner i zaczęła, fałszując, głośno śpiewać.

Nakrył głowę poduszką. Podkreśliła głośniejszym magnetofon.

Zaczął boleć go każdy skrawek ciała.

Poderwał się z łóżka.

Wyłączył magnetofon.

Objęła go i przytuliła się całym ciałem.

- Wybacz, kochanie, ale nie wytrzymuję tego wszystkiego psychicznie - mówiła cicho, z płaczem w głosie. - Tej miłości na odległość. Te telefony, SMS-y, listy były wspaniałe, ale na początku... Jestem dojrzałą kobietą i mam swoje obowiązki... Dziecko, interesy, dom, mąż... Nie mogę stale przyjeżdżać do ciebie. Zostawiam dziecko i mam zaraz wyrzuty sumienia. Leżę obok ciebie, ale myślę o Piotrusiu... Co robi, czy nie choruje. I wtedy zaczynam cię nienawidzić. Nie kocham męża, ale my tworzymy rodzinę. Naprawdę fajną rodzinę... Wiem, że jest to kiczowaty melodramat, ale takie jest życie. Wiele razy chciałam przyjechać do Polski na stałe, ale co bym tu robiła? Tu nic się nie opłaca robić, drogie kredyty bankowe, złodziejskie podatki, bezrobocie... A poza tym jestem nieznośna, przyzwyczałam się robić to, co chcę, a na to byś nie pozwolił. I co wtedy? Kłócilibyśmy się, nienawidzili. A któregoś dnia oszczędłbyś do młodszej...

Uniosła głowę. Rozsypane włosy zasłaniały jej twarz. Próbował ją objąć, ale wyrwała się i rzuciła na łóżko. „Ona jest we mnie jak ciem, jak demon” - pomyślał Paweł; czuł się jak ogłuszony, pozbawiony woli.

- Wieczorami tulę się do poduszki i wyobrażam sobie, że to ty. Boże, co ty ze mną zrobiłeś?! Ciągłe myślę o tobie, marzę, że zaraz wejdiesz, pocałujesz mnie, będziemy się kochać. Przestałam spać z mężem, kiedy się w tobie zakochałam, ale jeszcze lubiłam się do niego przytulać. Lubiłam jego dotyk... Jest wyjątkowo dobry i kocha mnie, a ja nienawidzę tego, że leży obok i słyszę jego oddech... Tak nie może być! Jeszcze nigdy nie zostałam porzucona... Boję się! Boże, jak się boję!

Zaczęła z całych sił bić rękami w łóżko. „Ona jest chora psychicznie” - stwierdził Paweł bez lęku. „Może ma początki klimakterium? Stąd te ataki, depresje, wybuchy złości, płacz”. Objął ją i zaczął kołysać w ramionach.

- Nic chcę miłości na odległość. Chcę, żebyś był stale... Przytulał, jadł, chodził na spacer. Chcę mieć z tobą normalny dom. Być twoją żoną. Tak zwariowałam...

- Co robiłbym w Londynie? - wyrwało mu się. Przyłapał się na tym, że wpada w to jej wariactwo jak w głęboką wodę. Cały, bez możliwości odwrotu.

- Żyłbyś... Zobaczyłbyś, co to znaczy normalny kraj, normalni ludzie. Malowałbyś...

- Komu na Zachodzie jest potrzebny następny pacykarz ze Wschodu?

- Co szkodzi spróbować? Musisz w siebie uwierzyć! Tylu Polaków żyje w Anglii, reżyserów, dziennikarzy, naukowców... Na początku będę ci dawała pieniądze, a twoim obowiązkiem będzie mnie kochać i dużo malować. A jak ci się nie będzie podobało, to zawsze możesz wrócić do polski.

- Kiedyś powiedziałaś, że samotność najbardziej czuje się w obcym kraju, bo Ojczyzna jest jak dom, ogień i dzieciństwo, jak schronienie u matki. To twoje słowa, a teraz chcesz, żebym wyjechał?

Milczeli. Deszcz przestał padać. Zmatowiałe kolory krajobrazu rozjaśniło słońce. Mały, kolorowy ptaszek sfrunął na parapet, postukał dziobkiem, przechylił kilka razy łepkę i zerwał się do lotu.

- Nic wróć do Polski - odezwała się zmęczonym głosem, co chwila kaszląc. - Jestem wiele lat na Zachodzie i muszę myśleć o dziecku. Najpierw Piotruś, później ty... Rozumiesz?

Siedziała na skraju łóżka. Z rękami na kolanach. Mrugała nerwowo powiekami i zaciskała wargi, hamując płacz. Objął ją. Wyrywała się, a on obejmował ją coraz mocniej, całując twarz.

- Nie chcę! - próbowała odepchnąć go od siebie, lecz ten bunt słabił; broniła się, ale i tuliła do niego. - Nie chcę...

Zaczął ją rozbierać. Pomagała mu w tym, nic otwierając oczu i oddychając głośno, jak po wielkim wysiłku. Wszedł w nią szybko, bez żadnej czułości, ale za to z przesadną gwałtownością. Poddawała się, by znów walczyć; odpychała go rękami, ciągnęła za włosy. To była część gry, którą prowadziła w łóżku. „Co ja robię w ciele tej kobiety” - pomyślał, czując w sobie ciszę i bezruch. W ciemnym pokoju twarz Iwony wyglądała jak zjawą, jakby ubrała się we własne widmo. Spoglądał na jej twarz, zaciśnięte powieki, piękny wykrój warg, niemłode, duże piersi. Patrzył na nią, jakby z daleka, jak na kogoś obcego. Nagie do pokoju wpadł snop słońca, wcisnął się w blask skóry między piersiami Iwony, które zaśniły jakby powleczone werniksem.

- Błagam, nie wychodź! - krzyknęła, szczękając zębami.

Ciała uderzały o siebie, klaskały, poddając się rytmowi. Coś mówili do siebie, krzyczeli. Nagle Iwona wstrzymała oddech, wydała głośny okrzyk i zadarła nogi, krzyżując je w kostkach nad pośladkami Pawia. Ich ciała uderzały o siebie z coraz większą siłą i zapamiętaniem. Dłuższą chwilę leżeli z

twarzą przy twarzy, z zamkniętymi oczami, wczepieni w siebie, tuląc się i całując.

- Przyjedziesz? - spytała tkliwie, z nieśmiałym uśmiechem.

- Przyjadę - odpowiedział i sam w to uwierzył, bo leżąc obok niej i trzymając ją za rękę, czuł, że pozbawia się woli, poddaje chorobie.

Pochyliła się nad nim i pocałowała w usta. Twarz miała jeszcze zaczerwienioną, oczy wilgotne, ale już się uśmiechała.

- Londyn na pewno ci się spodoba... Będiesz mieszkał na początku w dwóch pokojach z telefonem. W samym centrum.

Zamknął oczy. W wąskim, odległym krążku oślepiającego światła, wtulonym między kamieniczkami w Kazimierzu i połyskliwymi, zielonymi wzgórzami, widzi Gabi; siedzi naprzeciw niego, przy ogrodowym stoliku. W powietrzu unosi się zapach waty cukrowej i gofrów. Oczy Gabi błyszczą jak szlachetne kamienie. On zaś, jak zawsze, kiedy widzi ten blask, czuje lęk. Rzym, Kalifornia, Londyn, Paryż. Falami płyną opisy podróży, hoteli, muzeów, domów, tworząc obraz życia, mającego dopiero nastąpić...

- Opowiadałam ci, jak zerwałam z rodziną? - Iwona zapytała ze śmiechem, po czym wstała i wytarła się ręcznikiem.

- Nie - odpowiedział Paweł, nic otwierając oczu, i na chwilę miał wrażenie, że znów staje się dawnym Pawłem Tyszką, samotnikiem tyczącym historię własnego losu, nie mającym żadnych zobowiązań wobec nikogo...

- Zerwałam z nimi, nawet nie pisałam listów. Ale na drugim roku studiów, już w Warszawie, przyjechałam na święta. W takich biednych, mieszczańskich domach w święta musiało być wszystko, a później tygodniami jadło się tylko zupę z chlebem... Matka udawała, że nic się nie stało przez ten

czas. Dała mi pod choinkę pończochy. Ojciec popłakał się ze wzruszenia, ale w tajemnicy przed matką, bo się jej boi. Przy niej zrobił się starym, przydeptanym kapciem... I przy tym świątecznym stole Michał, mój brat, spytał, z czego żyję. Odpowiedziałam, że różnic, jakoś daję sobie radę. Co miałam powiedzieć? Nie brałam stypendium, bo do tego było potrzebne zaświadczenie o zarobkach rodziców, a ja przecież nie chciałam mieć z nimi nic wspólnego... Dawałam korepetycje z angielskiego i niemieckiego, szyłam ciuchy dla bab, sprzątałam hale fabryczne, myłam okna... Nie mieszkałam w akademiku, tylko wynajmowałam spore, dwupokojowe mieszkanie z telefonem. Wtedy byłam z... nieważne. No i Michał, po moim odezwaniu, powiedział do matki, że pewnie żyję z kurestwa. A ja złapałam za talerz z barszczem i wylałam na podłogę. Zrobiła się grobowa cisza. Spakowałam się i wyszłam... Padał śnieg, był straszliwy mróz. Płakałam i przysięgłam sobie, że już nigdy nie przyjadę do tego pierdolonego domu. I tak było pięć lat. Przyjechałam, kiedy Michał, ten mój brat, został ojcem... Nienawidziłam go przez lata, ale mi przeszło. Zrozumiałam, że nienawiść jest samotna i wszystkich ma przeciw sobie. Wiem, że Michał wykorzystuje mnie, ale co tam... Wysyłam pieniądze, paczki. Matka też była u mnie kilka razy.

Dotknął jej dłoni i pogłaskał. Nie umiał wzruszyć się jej opowieścią, bo myślał o cenie, jaką będzie musiał zapłacić za zgodę na wyjazd do Anglii. Ale co tam, tylu ludzi wyjeżdża i jakoś sobie radzą, najwyżej wrócę. Nie pierwszy i nie ostatni...

- Słowo, że przyjedziesz? - spoglądała na niego z bezgraniczną uległością. Łzy, płynące po policzku, kierowały się do kącika ust, jakby kreśliły tajemny znak.

- Słowo - odpowiedział, bawiąc się jej piersiami i obserwując ją spod zmrużonych powiek. Była piękna, gdy tak

stała na tle okna: błyszczące oczy, lśniące, czarne włosy, opadające na ramiona...

- Ten facet musi mi pożyczyć pieniądze!

- Eee tam, pieniądze są i nie ma. Takie jest życie! - wzruszył ramionami i wepchnął dłoń między jej uda. Nie znosił mówić o pieniądzach, nie potrafił robić interesów i wyklócać się o honoraria, bo to go żenowało. Pieniędzy wystarczało, by żyć, ale było ich za mało, żeby być wolnym. Tak więc zarabianie bardziej złapało go w potrzask niż strach przed nędzą. Jego ambicje dotyczyły spraw drobnych: opłacić mieszkanie, kupić używany samochód, by nie jeździć autobusami, mieć markowe ubrania i rzeczy potrzebne do malowania, pić whisky zamiast wina.

- Wszystko mnie boli... Nie bądź zwierzakiem! - odsunęła się, uderzyła go żartobliwe w dłoń. Położyła się na wznak, podłożyła ręce pod głowę i patrząc w sufit, parskając śmiechem mówiła: - Gdybyś opowiedział mojemu mężowi, co robię z tobą, to by ci nie uwierzył. Uważałby, że kłamiesz, bo on jest przekonany, że jestem oziębła.

- Jak to robisz, że on w to wierzy? - zapytał, chociaż jej mąż, wysoki, łysawy blondyn z wydatnymi ustami, którego znał z fotografii, nic go nie obchodził. Pewnego dnia postanowił, że on nie istnieje, bo nie chciał mieć wyrzutów sumienia. Poza tym przecież nie kochali się.

- Mam wielkie zdolności aktorskie! - Jej włosy spadły mu na twarz, pachniały ziołami. Objęła jego głowę i przycisnęła do siebie. Słyszał bicie jej serca. - Chciałam być aktorką, a zostałam właścicielką hotelu. Do tego sprzątaczką, kucharką, prasowaczką... Nawet zdobywałam nagrody na konkursach recytatorskich.

Odsunęła się na krawędź łóżka i wsparła na rękę, patrząc w okno, na starą jabłoń rosnącą tuż przy drzwiach domu. „Zdrada jest dobrą okazją do kłamstwa” - pomyślał. „Na czym

to polega, że żona w łóżku innego faceta tak lubi opowiadać o swoim mężu? Kiedy jest prawdziwa? Czy ona w - ogóle wie, kim jest?” Czuł, że ona kłamie i że jej spokój i wesołość są udawane; kocha się, obmyśla plany tylko po to, by się zagłuszyć, zapomnieć o strachu. Na tyle ją poznał.

- Nie masz wyrzutów sumienia, że będąc ze mną, rozbijasz małżeństwo?

- Przecież się nie kochacie... Chyba że kłamiesz.

Spojrzała mu prosto w oczy, jakby sprawdzała, co naprawdę myśli, po czym uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Zapomniałam, że jesteś egoistą jak każdy jednak.

Wiedział, że chce wyprowadzić go z równowagi. Znał ten jej ton, wyraz twarzy).

- Jak się poznaliśmy, to powiedziałaś, że cię nie kocha...

- Takie babskie gadanie! Kocha, ale po swojemu... Poznałam go w dziwaczny sposób. Wtedy miałam fajnego chłopaka, Niemca, jest teraz w Stanach, i zatelefonowała Maggi... Angielka, mieszka w Australii, że jest przyjęcie u jej chłopaka. Mój nic mógł pójść, bo miał pilną robotę. Jest maklerem, do tej pory pisze do mnie i twierdzi, że mnie kocha... Było fajnie, basen, czerwone wino, szampan, muzyka, marihuana. Upiłam się, ale nic na wojowniczo. Poszłam na górę i zasnęłam. Budzę się w nocy, a obok mnie leży blondynek i dobiera się. Odpędziłam go, ale on był uparty. Lubię upartych facetów, ty też jesteś uparty... I rano blondynek mówi, że muszę być jego żoną i mieć z nim gromadkę dzieci. Cholera, zaśmiałam się w duchu, pierwsza noc i zaraz oświadczyły. A on stwierdza, że mam szczerą twarz. Oniemiałam, bo jeszcze czegoś takiego nie słyszałam... Nic, wychodzę z tego domu, z imprezy, która znowu się rozkręca, a blondynek proponuje, że mnie podwiezie. No i jadę czerwonym jaguarem. Ja, dziewczyna z Zasieków, z

jakiejs polski... A wieczorem zabrałam walizki i wyprowadziłam się od narzeczonego. Paul miał bogatych rodziców, ale nic od nich nie chciał... Stale coś się działo, wino, imprezy, trawka, muzyka. Paul jest wybitnie inteligentny. Należy do tego klubu ludzi z najwyższym ilorazem inteligencji, dlatego szybko awansował w tej firmie informatycznej... Kupiliśmy dom, hotel, urodził się Piotruś. Paul nie chce, żebym zajmowała się biznesem, ale ja uwielbiam awantury, ruch... On jest wspaniałym człowiekiem. Dobry, uczciwy. Powinien być z inną kobietą. Nie zasługuję na jego miłość.

- Iwona, zdecyduj się na jakąś wersję, bo ciągle płaczesz się w zeznaniach. Jesteście szczęśliwi albo nie. Do tej pory nic interesowało mnie to wszystko, przyznaję, ale nie chcę być tym, który rozbija rodzinę. Rozumiemy się?!

Długo Wpatrywała się w niego, jakby chciała sprawdzić, co myśli albo sprowokować, by odsłonił się i zdradził, co wic i dlaczego zadaje takie pytania.

- Od kiedy stałeś się taki pryncypialny, katolicki?

- Od teraz! - odparł i raptem poczuł się jak człowiek, który ma do wyrównania stary rachunek.

Usiadła przy stole i zaczęła upinać włosy. Prawa noga, założona na lewą, poruszała się rytmicznie. Co chwila ukazywał się zaczątek uda; opalony skrawek ciała od wewnętrznej strony, tuż nad kolanem, naprzemian wzbierał muskułem, to znów się wygładzał.

Podszedł do okna. Pod lasem nie było nikogo. Znów niebo było powleczone burymi chmurami. Siąpił deszcz. Od łąk przyływała strzępami mgła. Wiatr przeganiał spadające liście. Paweł czuł pustkę w głowie. Stał jak sparaliżowany, patrząc na bawiącego się kota sąsiadów, który usiłował złapać wróbla. Jestem stary, nic mam celu w życiu, pomyślał, ale wcale się tej myśli nie przeraził.

- Chodź do mnie - odezwała się Iwona łagodnie.

- Nie chce mi się.

Wstała. Objęła go mocno. Ale nie ruszał się, nie odwrócił od okna. Oddychał spokojnie, jakby miał zasnąć, wpatrując się w mały punkcik pod lasem, jakiegoś człowieka, omijającego na rowerze kałuże.

Zrzuciła sukienkę. Zrobiła to szybko, jak ktoś, kto chce jak najszybciej wejść do wody. Pociągnęła go mocno za rękę. Położył się na podłodze. Usiadła na nim. Miała zamknięte oczy, uniesioną głowę.

- Teraz ja, nic ruszaj się... Teraz ja... Nic uciekniesz mi... Będiesz mnie nienawidził, ale nie będziesz potrafił odejść... Tak jak wszyscy faceci - bełkotała, odsłaniając zęby w brzydkim grymasie. - Nie uciekniesz mi...

Czuł silne, jak pchnięcia, uderzenia pośladków i starał się o niczym nie myśleć. Ale zaraz rozlało się w nim przygnębienie, że nie jest tą dziewczyną o czystym rysunku, której przez tyle lat szukał w innych, a znajdował sny palące gorączką i upodlające cierpienie. Widział podrygujące piersi, obnażone zęby, rozpuszczone włosy, dłonie wpijające się w brzuch i czuł, że wyświadcza jakąś przysługę; posłusznie, niechętnie, bez miłości, jakby przydzielono mu to opiekuńcze zadanie na pewien czas.

Zadzwoił telefon komórkowy. Znieruchomiała. Otworzyła oczy. Były bez wyrazu. Poderwała się.

To niesamowite, pomyślał, przed chwilą płakała, histeryzowała, a teraz, jak gdyby nic, gada o interesach, śmieje się... Tak szybko umie pozbyć się wszystkiego, co łączy się z kłopotami, zerwać znajomości. Kim ona jest? Dlaczego z nią jestem?

- Tak, nic się nie zmieniło... Oczywiście, że będę. Tak, sama. Nie, nie spóźnię się... Czy mam jakieś życzenie?

Owszem, dobrze wysmażony stek i dużo warzyw. Do tego dużo białego wina. Pa.

Położyła się obok niego. Widząc, że płacze, objął ją. „Człowiek najpierw się gubi, później się boi i tak się toczy ta droga do piekła” - przypomniało mu się, co kiedyś powiedział Pączek.

- Naprawdę nie masz kłopotów? - spytał ostrożnie, łagodnie. Usiadła na łóżku, patrząc w zamyśleniu w podłogę. Raptem podniosła głowę. W jej oczach lśniły łzy. Nerwowo zaciskała i otwierała dłonie.

- Trochę mam... Bez względu na to, gdzie jesteś, na dole czy górze, to od przepaści i tak dzieli cię tylko krok...

- Już to mówiłaś - przerwał jej, zaraz żałując, że nie milczy, daje się ponieść impulsowi. - Musimy porozmawiać, coś ustalić...

Gdzieś blisko przebiegł z przeraźliwym piskiem kot, rozległo się ujadanie psa. Wzdrygnęła się.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Dlaczego?

Znów wpatrywała się w niego, jakby chciała z jego zachowania wywnioskować, co naprawdę myśli albo sprowokować, by zdradził, co wie i dlaczego zadaje te pytania.

- Ta wiedza do niczego nie jest ci potrzebna - odezwała się zmęczonym głosem, chodząc po pokoju. - Możesz mieć tylko kłopoty... Ale daję ci słowo, że jak się z tym wszystkim uporam, to ci powiem.

Założył sweter, później skórzaną kurtkę i stanął przed lustrem. Długo przyglądał się swojej twarzy. „Chce być moją żoną” - pomyślał ze zdziwieniem, bo kobiety chętnie zostawały jego kochankami, ale szybko wyczuwały, że nie traktuje poważnie tych związków.

- Siwiejesz - Iwona położyła mu rękę na ramieniu.

Objął ją i przytulił do siebie. Na chwilę znów była mu bliska.

- Musimy jechać?

Pocałowała go delikatnie w policzek.

- Musimy... Ktoś w tym związku musi twardo stąpać po ziemi.

- Mam nadzieję, że nie pożyczylaś albo nie chcesz pożyczyć pieniędzy od bandziorów? - spytał, bo ta obawa tkwiła w nim jak drzazga, powracała jak fala.

- Nic żartuj! - w jej głosie było rozbawienie. - Nawet nie wiesz, jak naprawdę wygląda polski mafioso.

- A ty Wiész?

- Może - usiadła przy stole i zaczęła się malować. - Jesteś o mnie zazdrosny?

- Nic - odparł i to była prawda. Przez ten czas, kiedy byli ze sobą, nie zastanawiał się nad tym. I nawet nie wiedział, dlaczego jest mu to obojętne.

- W takim razie jesteś pierwszym facetem, który nic jest o mnie zazdrosny! - wstała, wzięła jego twarz w swoje dłonie i spojrzała mu z powagą w oczy. Długo tak patrzyła, aż wreszcie powiedziała cicho: - Pamiętaj, że jeśli cię zdradzę, to będziesz pierwszym, który się o tym dowie.

Zadzwoił telefon komórkowy. Odebrała go i wyszła do drugiego pokoju.

Stał przy oknie. Jesień już jest, tak to jesień, poznaję po wczesnym szronie na dłoniach, z pól zgarnięto dźwięki, krajobraz się otworzył i samotność każdej rzeczy widać daleko. Jesień już jest, widzę to po moim częstym podchodzeniu do okna” - wyrecytował półgłosem fragment wiersza Śliwonika z tomiku, który dostał kiedyś od Gabi. Przeszedł przez niego dreszcz. Zamknął oczy i zobaczył siebie jak leży na plecach, na rozgrzanym piasku, obok siedzi Marek, rysując palcem po piasku, Irokez czyta *Wyznania* Rousseau.

Szumi morze. Plaża jest pusta. Czuje się szczęśliwy w tym kolorowym, nierealnym świecie...

- Twoje rozważania, Pawka, o życiu i kobietach, nie obraż się, często budzą we mnie irytację - raptem odzywa się Irokez i odkłada książkę; widać sól na jego policzkach i skrzące się kropelki wody na włosach. - Jest w nich płatanina jak mazią śliska. To życie zmysłowe, popychające w różne strony, zasada przyjemności, nie świadczą o naszej przyjemności, ale ograniczeniu. Taką mam lekcję po lekturze Pontyego. Pracujemy, zdobywamy pieniądze dla innych. Najbliższych. Nie po to, by zaspokoić swoje pragnienia. Praca nie jest egoizmem. Teraz, Pawka, powinienes jak najwięcej malować, rysować, tworzyć. Zapomnij o namiętności...

- Irokez ma rację - wtrąca się Marek, podnosząc głowę ku niebu, po czym zaczyna smarować się olejkami.

- Ale to ty, nie ja, masz romanse z tymi dziewczynami, szumnie nazywanymi łączniczkami - broni się, patrząc jak Ania, żona Marka, ucieka ze śmiechem przed falami. Obok biega mała Asia, podnosząc wysoko nogi i zaśmiewając się, a Pączek z Olą grają w siatkówkę, wbiegając co chwila z krzykiem do morza.

- Owszem, lubię baby, ale kocham swoją żonę - mówi Marek, a nienaturalny grymas, odsłaniający zęby i ściągający mięśnie, zniekształca jego dobrą twarz. - Przechodzimy Z Anką kryzys. Ona chce wyemigrować...

- To niech jedzie, co za problem?! - Irokez wzrusza ramionami, zamyka książkę i kładzie się na brzuchu; skóra z pleców schodzi mu płatami. - Jeśli uparłeś się żyć w Polsce, to twoja sprawa. Ale nie bądź egoistą... A jeśli chodzi o twoją obsesję, że stracisz rodzinę, to jest ona wytłumaczalna. Twój starzy kłócili się, ojciec zmieniał robotę albo go wyrzucali za gorzałę. Był łobuzem dla was. Nie obraż się, ale dla was to było dobrze, że wreszcie wpadł pod tramwaj...

- Aleś zasunął! Jak chory w kubeł! - Marek wstaje i otrzepuje nogi z piasku. - Ty na wszystko masz odpowiedź!

- Bo życie, tak naprawdę, wcale nie jest skomplikowane!
- Irokez wzrusza ramionami i zaczyna czyścić okulary. - Tylko ludzie wszystko komplikują...

Przestaje ich słuchać i myśli: „Namalowałem ileś obrazów, zrobiłem multum rysunków, ale jako facet jestem na etapie młokosa. Łażę po tym świecie, jakbym zapomniał, że istnieje kalendarz. Dla kogo ja żyję?”

- Jestem zła, ale kocham cię! - Iwona chwyciła jego rękę i przycisnęła do piersi. - Strasznie się boję... Nie chcę umierać. Wolę być popiołem niż leżeć w tej okropnej, wilgotnej ziemi, a obok skręcają się białe robaki, wchodzą do ust - szeptała jak w gorączce, gubiąc końcówki, z zamkniętymi oczami, tuląc się do niego. - Zimno mi. Ogrzej mnie. Bądź dla mnie dobry. Błagam cię. Jestem twoją suką.

Płakała bezgłośnie. Jej oczy był) puste. Z warg ciekła nitka śliny. Przeszedł przez niego mróz. Po śmierci matki zaczął bać się śmierci. W nocy budził się z paralizującym strachem i łomotem serca. Przeszło mu, gdy ją poznał, kiedy zaczął zapominać o Gabi, nauczył się śmiać. Wyjęła z torebki białe proszki. Popiła wodą. Położyła się na łóżku. Zwinęła w kłębek.

- Co teraz wzięłaś?!

- Nie krzycz na mnie - szczękała zębami, głośno oddychając. - Mogę zginąć... Naprawdę.

Zadzwoił do Pączka. Telefon komórkowy był wyłączony. Nagrał się na pocztę głosową. Usiłował być spokojny, wszystko robić metodycznie, chociaż w środku trząś się jak galareta, a w głowie kołatała mu jedna myśl: kim ona jest naprawdę, w co się wpakowała, a przy okazji i ja?!

Poderwała się i usiadła w fotelu. Połknęła jeszcze jeden biały proszek. Wzięła kilka głębokich oddechów.

- Do kogo dzwoniłeś? - skurczyła się w fotelu. Taką pozycję przyjmują ci, którzy są obezwładnieni strachem; sprowadza ona swoistą zgodę na to, co przyniesie los.

- Do Pączka...

- Nie chcę żadnej pomocy! Tym bardziej od Pączka!

- A to dlaczego? - stanął przed nią i dwoma palcami podniósł jej twarz ku górze. Zamknęła oczy i zacisnęła wargi.

- Pozwól sobie pomóc...

- Nie chcę! - odparła twardo i pociekły jej łzy po policzku. Szarpnęła głową.

Objął ją i przypomniały mu się dni, kiedy tęsknił za nią.

- Iwona, kim ty jesteś naprawdę? - spytał żałośnie i pogłaskał ją po lśniących włosach.

- Sama nie wiem - odparła zachrypniętym głosem, unikając jego wzroku. - Wiem tylko, że jestem złym człowiekiem.

- Nie kokietuj - usiłował żartować, ale wiedział, że mu to nie wychodzi.

- Pojadę pekaesem. Sama. Tak będzie lepiej.

Milczał, obserwując jak krząta się po pokoju, chowa dokumenty i drobiazgi do kurtki, poprawia makijaż.

- Jutro będę w Warszawie - odezwał się tylko po to, by coś powiedzieć, przerwać milczenie.

Kiwnęła głową. Nawet się uśmiechnęła.

- Okłamałam cię, opowiadając o moim ojcu. To był sukinsyn. Pił, bił matkę i mnie. Bał się brata, który nie wtrącał się. Udawał, że nie ma problemu. Kiedy przychodził pijany, panicznie się bałam. A kiedy pewnego dnia zniknął, wzięwszy ubrania i wszystkie pieniądze, które były w domu, modliłam się, żeby nie wrócił. Żeby gdzieś zdechł... Ale ten wymodlony brak ojca odbił mi się później czkawką. Bo potrzebowałam mężczyzny, który by go zastąpił. Dlatego wybierałam o wiele starszych. Strasznie pragnęłam widzieć czyjąś miłość i opiekę,

więc bezgranicznie ufałam swoim facetom. Robiłam, co chcieli... I wciąż się dawałam nabrać. Musiałam wiele razy podnosić się z rynsztoka. Ale nauczyłam się wstawać.

Wiedział, że nie ma sensu o nic pytać, bo i tak nie odpowie. Dlatego milczał. Wyjęła z kurtki kopertę i położyła na stole.

- To jest list do ciebie... Napisałam go jeszcze w Londynie, ale jakoś tak wyszło, że nie wysłałam... Życie jest jak pijaństwo. Przyjemność przemija, zostaje ból głowy. Zapamiętaj to sobie, kodu... Jesteś pierwszym mężczyzną, przy którym czuję się bezpiecznie. Będę tęskniła za tobą.

Wyszła szybko z pokoju, nie patrząc na niego. Zastukały kroki na korytarzu. Później na werandzie.

Wzdrygnął się. Poczul dławiący lęk i, po raz któryś tego dnia, ogarnęło go przeczucie czegoś nieuchronnego i ważnego; czegoś, co musi się zdarzyć i co już czai się w nadchodzących godzinach...

IV

Paweł siedział na werandzie, malując akwarelami puste pola, z postrzępioną mgłą i lasem w tle. Następna rzecz dla pieniędzy, dla Pączka. Czuł się otepiały, bolała go głowa i mięśnie, jakby atakowała grypa. Malował, żeby nie leżeć w łóżku, zastanawiać się, co się stanie ze światem, czy będzie wojna i po raz któryś przypominać sobie słowa Iwony. Jak to dobrze, że jej nie ma, pomyślał z radością. Nikt mnie nie oskarża, nie kłóci się, nie płacze, histeryzuje. Emigracja, małżeństwo z nią to szaleństwo. Co ja bym robił w Londynie? Pił, lęsknił, kłócił się z nią. Dlaczego to wszystko mówiła? Dlaczego proponowała małżeństwo? To takie gadanie, żeby się zagłuszyć, pożyć mrzonkami. Ona dobrze wie, że nie przyjadę do niej i wcale tego nie chce. Dlaczego tyle dzisiaj opowiadała o sobie? O ojcu pijaku, bijącym rodzinę, biedzie. Żeby wzbudzić litość, coś ugrać, a może kłamała? Popatrzył

na ławeczkę, tuż przy starej jabłonce, i zobaczył swojego ojca. Zasepiony, z papierosem w lewej ręce, w koszulce polo. I ojciec obleka się w ciało. Żyje. Siedzi w fotelu, z nogami na poręczach) krzesła, paląc papierosa i pokaszując. Który to jest rok? 1976. Wtedy już prawie się nie odzywał, był ciągle rozdrażniony, dużo pił. I to sam, do kolacji, w czasie oglądania telewizji, żeby zasnąć. Nie myśleć o nagłej inspekcji w warsztacie, artykułach w gazetach, tego, co mówią w telewizji komunistyczni przywódcy. Matka nie mówiła o brakujących pieniądzach, problemach w szpitalu, wydatkach, że popsuka się lodówka albo pralka. Ale ojciec zawsze dostrzegał coś, co jeszcze bardziej pogłębiało jego milczenie: brudna wanna, powtarzające się jedzenie, kiepski film w telewizji, nieporządek w pokoju Pawła, przegrana reprezentacji w piłce nożnej, późne powroty syna do domu. Słyszy, jak chodzi po kuchni, i przytłumiony głos matki:

- Jerzy, połóż się wreszcie spać...

- Nie chce mi się spać.

- To powiedz, co cię gnębi...

- Po prostu nie chce mi się żyć. Mam dosyć tego ciągłego użerania i tych nygusów, którzy wymachują czerwonymi legitymacjami. A jeszcze szantażują mnie, że jak nie zapłacę, to dostanę domiar i będę musiał zamknąć warsztat...

- To pójdziesz pracować do fabryki samochodów. Oni potrzebują dobrych inżynierów...

- Kobieto, co ty opowiadasz, na jakim świecie żyjesz?! Nie widzisz, że kto nie należy do partii, ten żyje na marginesie?! Nie widzisz, że nie awansujesz, dostajesz najgorsze dyżury, nawet w święta, tylko dlatego, że nie należysz do partii?! Nie przyjmą mnie do żadnej roboty, jeśli nie będę należał do tej czerwonej bandy! A za robotnika nic mogę być, bo mam wyższe wykształcenie. Takie, kurwa, wymyślili przepisy...

- Przecież mówiłeś, że twój dobry kolega jest w tej fabryce dyrektorem...

- A ty swoje! Jest dyrektorem, bo jest czerwony. Już z nim rozmawiałem. Owszem, w razie czego mnie przyjmie, ale muszę dać mu słowo, że zaraz się zapiszę do tej czerwonej bandy. On nie chce się narażać. Powiedział mi wprost, że nie chce usłyszeć: Jak to jest, towarzyszu, przyjmujecie do pracy jednostkę aspołeczną, która siedziała w więzieniu. Krótka, to krótka, ale jednak. Do tego syn przedwojennego oficera wojska, który był u Andersa”. Takie są realia... Człowiek flaki sobie wypruwa, płaci podatki, a ci tylko czekają, jakby tu ukraść, zgniebić. Czerwona zaraza...

- Ciszej.

- Co ciszej?! Jeszcze mam się bać we własnym domu?!

- Nie martw się. Jakoś damy sobie radę...

- Co ty gadasz, kogo oszukujesz?! Jak moglibyśmy wyżyć z twojej pensji?! A teraz jeszcze Paweł nie dostał się na studia...

- Dostanie się w przyszłym roku.

- Tereferę. Bez układów, poparcia, nigdy się nie dostanie. Dowiadywałem się. Na Akademię Sztuk Pięknych chodzą córki ministrów, dzieci członków Komitetu Centralnego, ubeków, wojskowych. Dlaczego mój syn miałby się dostać?! Nie jestem naiwny, żeby wierzyć w takie mrzonki!

- To przynajmniej zajmij się nim. Potrzebuje męskiej ręki. Pali papierosy, pije wódkę, gdzieś ciągle łązi...

- W jego wieku też piłem. Widocznie wszystkie złe cechy odziedziczył po mnie...

- Zrób coś, Jerzy. On może się stoczyć.

- Jaki można mieć wpływ na chłopaka, który mając sześć lat, zastanawiał się, dlaczego świecą gwiazdy i czy ludzie żyją tylko na Ziemi? On jest nadwrażliwy, buja w obłokach, muszę zapewnić mu przyszłość, bo inaczej co będzie robił? A tak

namawiałem, prosiłem, żeby wyjechał stąd, nie marnował sobie życia, to on: nie. Ręce człowiekowi opadają.

- A skąd wiesz, czy dostałby paszport, czy by go wypuścili?

- O to się nie martw. Na sto procent załatwiłbym mu paszport.

- A to w jaki sposób? Nie możesz mu załatwić studiów, a załatwiłbyś paszport?

- Ktoś ma wobec mnie dług wdzięczności. Uratowałem mu życie. I ten ktoś prawie wszystko może...

- To niech pomoże Pawłowi w dostaniu się na Akademię...

- O to akurat nie chcę go prosić.

- A to dlaczego nie? To jego pasja od dziecka...

- Nie bierz mnie w siódmą stronę. Nic i tyle!

Ojciec był drażliwy i porywczy. Ciężko pracował i bał się, że zaraz stanie się nędzarzem i nie będzie mógł zapewnić rodzinie utrzymania, co z czasem stało się jego obsesją. Wcześniej też pogrzebał marzenia; chciał być konstruktorem nowych, wspaniałych samochodów, jeździć w rajdach, poznać świat. Zaczynał dzień od słuchania radia, czy czasami nie

89 ogłoszono całkowitej nacjonalizacji, przez co nie stracił warsztatu. Później sprawdzał, czy na ulicy nie stoi podejrzany samochód z tajniakami, którzy czekają, by go aresztować. Wkładał całą energię w różne plany i prawie każdy nie wypalał. Nie było w tym jego winy. Tak się po prostu składało. Ale on, po którymś niepowodzeniu, wmówił sobie, że prześladowuje go fatum. Kara za to, że wrócił po wojnie do Polski. W połowie lat sześćdziesiątych otworzył ze znajomym, kuzynem partyjnego dygnitarza, wytwórnę pocztówek dźwiękowych. To był początek ery Beatlesów, Rolling Stonesów i polskich zespołów młodzieżowych. Gdy był pewny, że jest to jego interes życia, dostał tak olbrzymi

domiar, że jeszcze został z długami. Później założył cukiernię naprzeciw dużej szkoły podstawowej. Spłacił długi, kupił używany samochód, bieliźniarka zapełniła się dolarami i złotymi monetami. Ale dom, w którym była cukiernia, przeznaczono do rozbiórki. Wtedy stracił wiarę w siebie, chociaż robił wszystko, by tego nie okazać. Potem przez wiele lat prowadził warsztat samochodowy, aż nagle zamarzyło mu się kupno gospodarstwa wiejskiego. Hodowla późnych pomidorów, uprawa ziół i kwiatów miały przynieść wielkie pieniądze. Zdał egzamin, dostał uprawnienia rolnicze i miesiąc później umarł na serce.

Zadzwoił telefon komórkowy.

- Cześć, chłopaku - głos Pączka był radosny. - Dlaczego jeszcze nie jesteś u mnie? Żałuj, jest impreza, dupeczki, muzyczka, trzeba jakoś przyjąć ten koniec świata, nie?

- Po twoim tonie widać, że jakoś się na to nic zanoszą.

- Przyjąłem to po stoicku, chłopaku. Co ma być, to będzie. Na razie oglądam telewizję i widzę, że jak w czeskim filmie nikt nic nie wie. Szaleńcy zaatakowali Nowy Jork i tyle.

- Iwona ma jakieś kłopoty... Nie wiesz jakie?

Pączek zaczął pokasływać. Gdy się odezwał, jego głos był już poważny i zmęczony.

- Jestem ostatnim człowiekiem, który coś powie.

- A to dlaczego? - Paweł poczuł jak niewidzialna pętla zaciska mu krtań.

- Bo nie wiem, dlaczego ona ma kłopoty. Może przechodziła na czerwonym świetle?

- Rysiek, nie dowcipkuj. Musisz mi powiedzieć, w co się wpakowała... - Po pierwsze, to ja niczego nie muszę, a po drugie to nie zajmuję się jej sprawami.

- Założę się, że coś wiesz. Przecież mnie ostrzegłeś. Co prawda nie wprost, ale jednak...

- Ale nie posłuchałeś, chłopaku. Kto ma miękkie serce, musi mieć twardą dupę.

- Przecież znasz ją od lat... Trzeba jej pomóc.

- Co to za znanie? Ani z nią nie spałem, ani nie robiłem interesów. Znajoma znajomych...

- Poznałem ją u ciebie...

- Jakbyś u mnie złamał nogę, to też byłaby moja wina?! - w głosie Pączka pojawiła się złość - Co ty gadasz za kocopały, chłopaku?!!

- Ona jest przerażona. Pierwszy raz ją taką widziałem.

- Ojej, jak się wzruszyłem. Łzy mi płyną jak grochy. Mnie jej problemy gównie obchodzą i radzę, żebyś zaczął myśleć podobnie. To baba nastawiona tylko na siebie. Jak moja była żona...

- Proszę, żebyś jej pomógł tak jak mnie. Przecież znasz wszystkich. Od ministrów do gangsterów...

- To jest zagranie prosto w jaja, Pawka. Ale powiem ci tak: jeśli ma kłopoty, to dobrze, bo za bardzo się sady. Nie zna swojego miejsca w szeregu. A największym kłopotem jest ona sama...

- Pomożesz jej czy nie?!

- Co chcesz usłyszeć? Z kim kręci interesy, kogo wykręciła i na czym? Tego chcesz?!

- Tak.

- Ja mam dobrą pamięć, ale krótką... A teraz wsiadaj w brykę i przyjeżdżaj do mnie, chłopaku.

- Nie mam nastroju do zabawy.

- Tysiące ludzi zginęło, te popierdoleńce mogą za chwilę wysadzić cały świat w kosmos, a ty mnie męczysz, żebym zajmował się babą, która wyżej sra, niż dupę ma. Pawka, czy ciebie pogięło?!

- Może i pogięło - Paweł zapalił papierosa, trzęsły mu się ręce.

- Wiesz, niedawno zastanawiałem się nad tobą. I doszedłem do wniosku, że nie lubisz gadać, pić, przebywać z facetami. Ty najchętniej zamknąłbyś się z jakąś babą, którą kochałbyś, i stał się giermkim. Byłaby dla ciebie najważniejsza, całym światem. Nie możesz zrozumieć, że baba nie jest kumplem faceta? Facet, jak pójdzie w bok, to go męczą wyrzuty sumienia, łasi się, a baba zaraz sobie wytłumaczy, że ten jej to jest głupi, zaniedbują, poza tym brudas, nudziarz, chrapie. Co cię obchodzi ta cała Iwona? Myślisz, że ona pomogłaby ci, gdybyś miał kłopoty, kiedy coś by ci groziło? Gdzie ona jest?

- Pojechała pekaesem do Warszawy.

- Dobrze, chłopaku. Przyjeżdżaj do mnie. Siemanko.

Paweł wszedł do pokoju. Nalał sobie whisky i usiadł w fotelu. W co ona jest zamieszana? Przemyt, narkotyki, wyłudzenia podatkowe, kogoś oszukała na pieniądze? Odsunął szklankę z alkoholem, wstał i zaczął chodzić po pokoju, w tę i z powrotem, po jednej linii, jak to robił w więzieniu. „Psycholka, głupia żółza” - powiedział głośno. Przystanął, zgasił papierosa i znów zaczął chodzić jak więzień spragniony ruchu. To chodzenie i obracanie papierosa coś mu przypomniało. To coś było mgliste, jakby oddzielone prześwitującą zasłoną. Dopiero po chwili widzi bladą, nerwową twarz Łysego, który mówi szeptem, co chwila sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje ze śpiących: „Gdy wyszedłem z więzienia, to nie piłem, chodziłem do kina, ale nic przewidziałem, że dziwka, z którą byłem, zacznie gadać. Rozdelałem współnikom forszę, kupowałem wódkę, dobre jedzenie, ciuchy w Peweksic i komisach. A oni, jak się popili, to zaraz nawijali, chwalili się, jak to kradliśmy. Gdy tę moją dziwkę skęcili, to powiedziała, że niczego się od niej nie dowiedzą. To oni wzięli ją w obroty. Oni nie są gumowym zrobieni. Inteligentni, pokończyli prawo, psychologię,

specjalne kursy. Odstawili jedzenie, picie, wciąż przesłuchania, pod celę wrzucili lesbiję, konfidentkę, która kazała się lizać, no i załamała się. Zaczęła gadać, że ja, kiedy tylko była mowa o przestępstwach, zaraz kazałem jej wychodzić z pokoju”. Deszcz pada miarowo, stuka po dachach i parapetach, w celi jest ciemno, jedynie przez szparę w drzwiach wdziera się promyk światła z korytarza, po którym dudni butami oddziałowy. Na pasie śmierci szczekają owczarki alzackie.

Jezu, czy to ja jestem, czy kto inny? Co ja tu robię? Jeśli powrócę kiedyś z twarzą ocaloną w jakimś obłoku cudu, jeśli będę mógł przeżyć jeszcze raz was, niebo, las i wstawanie słońca... Skąd te słowa? Skąd je znam? Uspokój się, nie wariuje wszystko przetrzymasz”. Jarzący ognik wędruje z ust do ust. W rurach kanalizacyjnych szumi woda. Andrzej, który siedzi za kolportaż ulotek i nielegalnych wydawnictw, śpiący na górnej pryczy, przewraca się na wznak.

- Uściski od babci, dziadka, całej rodziny. Bądź zdrów. Gdy ci będzie coś dolegało ze zdrowiem, to zgłoś przełożonym.

- Możesz zgłaszać do woli, a jak będziesz robił to za często, to dostaniesz łomot i tak to się skończy! - w głosie Łysego jest pogarda, zmieszana z nienawiścią. - Frajer dęty! Prawie wszyscy polityczni zadzierają nosa, a ilu kapuje, to głowa mała!

- Skąd wiesz?

- Wiem i tyle. Ze mną inaczej gada klawisz, milicjant, esbek, bo ja jestem złodziejem. Kradnę i będę kradł. Nie mam zamiaru stracić zdrowia jak mój ojciec. Był hutnikiem, harował i nic nie ma, tylko siwe włosy i zszargane zdrowie. Te kilka lat, które dostanę, traktuję jak naukę. Wyjdę i już nie popełnię żadnego błędu. Zmarnowałem osiem lat. Rozumiesz, osiem lat przesiedziałem w puszcze...

- Tyle lat przesiedziałeś, a nie masz nawet siwych włosów.

- Boja podchodzę do tego inaczej psychicznie niż zwykli ludzie. Ty robisz coś innego w życiu, inny też, a ja jestem złodziejem i liczę się z ryzykiem zawodowym. Ale już nie będę siedział. Teraz będę kradł na całego i tylko bardzo bogatych. Bogaty to jeszcze większy złodziej ode mnie. Nie mam zamiaru tyrać za parę groszy na komunę. Nie zrobią ze mnie niewolnika. Nie złamały mnie izolatki, bicie, twarde łoże. Tylko mogą mnie zabić.

Siedzą skuleni z zimna, opatuleni śmierdzącymi kocami, które wchłonęły liny potu i spermy. Rozlega się walenie w ścianę. Rytmiczne, nadawane alfabetem Morse'a.

- Dwanaście-cztery, Wojtek.

- Baj era.

- Dostałem list od narzeczonej.

- To będziesz trzepał kapucyna, co?

- A jak, całą noc.

- Nie lepiej, żeby jakiś cwel wypolerował ci laskę?

- Nie świruj. Nawet cwel ma jaja.

- Ja babie wierzę, gdy na niej leżę. One wszystkie są dobre, ale na raz.

- Kiedy masz jak palec, to pewnie, że drugi raz nie chce. Trzeba mieć zaganiacza.

- Ciach bajera.

Papieros parzy w palce. Andrzej znów odzywa się przez sen: „Proszę Boga, aby dał ci moc przetrwania i rozwagi, żebyś wrócił do domu zdrowy na ciele i duszy. Najważniejsze to nie upadaj na duchu, a ja, w miarę możliwości, będę starała się widywać z tobą i pisać. Całuję cię, zostań, Andrzeju, z Bogiem”.

- On tak nawija prawie co noc. Nauczył się tych idiotycznych listów na pamięć i zapiernicza jak tabliczkę

mnożenia! - na twarzy Łysego pojawia się zły grymas, pochrząkuje, dotykając kciukiem górnych zębów.

- Co ci przeszkadza, że mówi o Bogu? To on mówi, nie ty...

- Nie mogę mówić dobrze, bo musiałbym się mocno wypowiadać, nawrócić albo skończyć ze sobą. Ja, żeby żyć, muszę być zły. Moim władcą jest diabeł...

- Co ty gadasz, Łysy? Stary chłop, a gada takie kocopały.

- To ty gadasz kocopały, Matejko. Prawdziwej cnoty szuka się w czasach trudnych. W czasie pokoju największymi względami cieszą się nie ludzie prawdziwe zasłużeńi, lecz bogacze lub ci, którzy posiadają wpływowych krewnych.

- Łysy, ty nawijasz jak filozof...

- Mam niezłą pamięć... Kiedyś siedziałem z politycznym, on czytał różne książki. Tatarkiewicz, Machiavelli, Tołstoj. Wszystko czytałem.

- Co wy tak gadacie? - Andrzej opiera się na łokciu, mruga zaspany, ziewa. - Spać nie dajecie...

Łysy łapie go za koszulę pod szyją, cały się trzęsie, w kącikach ust zbiera mu się ślina.

- Milcz, ty frajerze dęty, bo jak się wkurwię, to cię przecwele i będą cię dmuchać w dupala! Czego się sadzisz, no czego?! Ja jestem tu panem, ja pan złodziej, nie ty frajerze!

Andrzejowi oczy prawie wychodzą na wierzch, łapie powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

- Paweł... Pomóż... Błagam.

Paweł krępuje ręce Łysego. Odpycha go. Wykręca dłonie.

- Matejko, nie wpierdalaj się, bo jeszcze ty będziesz miał kłopoty... Odejdź!

- Łysy, nie wygłupiaj się... On nic takiego nie powiedział. Daj mu spokój.

Łysy puszcza Andrzeja, który trzęsie się jak galareta. Zaczyna płakać jak skrzywdzone dziecko. A następnego dnia, chodząc po spacerniku i spoglądając w niebo, słyszy z tyłu, jękającego się Andrzeja:

- Paweł, już nic wytrzymam. Gdybym wiedział, co to więzienie, to bym nigdy niczego nie robił w podziemiu... Boję się, że wszystko powiem.

W powietrzu unosi się mgiełka, chociaż niebo jest bezchmurne, ze wszystkich stron dochodzą słowa *Roty*. Kończy się msza, myśli i widzi, jak idzie z Gabi alejką wśród grobów, przystają przed mogiłą jego ojca. Oddycha głęboko. Słońce spływa w nozdrza, usta, oczy.

- Przetrzyj jeszcze trochę. Wszyscy mówią o amnestii. No i pomyśl, że kiedyś wyjdiesz i będziesz musiał spojrzeć w oczy tym, których wpakujesz do pudła.

- Oni mówią, że nikt się nie dowie, że to ja... - Andrzej, nie czujesz, że już gadasz jak kurwa? Ty, inteligent, naukowiec...

- Ale oni straszą, że sfingują wypadek samochodowy, w którym zginie mój ojciec...

- Nie gadaj, tylko chodź grzecznie, żebyś miał siłę walić konia! - wrzeszczy strażnik, który wyszedł ze swojej budki; stoi rozkraczony, z pistoletem maszynowym zwisającym lufą w dół. - Po dobroci radzę, skurwysynu!

Andrzej patrzy na niego ze strachem, kuli się i ze spuszczoną głową, zaczyna szybciej chodzić po spacerniku.

- A ciebie bardzo męczą? Co ci mówi śledczy?

- A potrzebne ci to jest do życia?

- Nic, nic... Tak pytam. To co mam robić?

Czuje w sobie narastającą złość. Od początku nie lubi Andrzeja, jego rozbieganego wzroku, mówienia szeptem, wtrącania się w rozmowę, poczucia wyższości, że jest naukowcem, zna trzy języki.

- Chcesz kapować, twoja sprawa. Tylko niech ci się nie wydaje, że teraz dasz dupy, a później, jakby nic się nie stało, będziesz odgrywał bohatera i patriotę. I jeszcze jedno: jak wyjdę na wolność, to w gazetkach ukaze się ostrzeżenie przed tobą. Rozumiemy się?

- Tak, tak, Pawie... Masz rację, trzeba mieć kręgosłup. Dziękuję ci. Bardzo dziękuję... Nigdy ci tego nie zapomnę!

Położył się na łóżku. „Gdzie jest teraz cały ten Andrzej, co robi? Pewnie wyemigrował, jest gdzieś naukowcem. A ty? Żyjesz w zapadłej dziurze, w której leje deszcz i malujesz akwarelkę, żeby dostać pięćdziesiąt dolarów. Nie grzesz, kolego. Nie jesteś głodny, masz dach nad głową, nie chorujesz. Wszystko zaczyna mnie przerażać, coraz częściej wydaje mi się, że jestem kruszyną, którą można zdeptać albo zabić. Strach mną rządzi. Boję się zasnąć, boję obudzić. Dlaczego nie umiem normalnie żyć, cieszyć się z drobiazgów, mieć zwykłych, normalnych przyjaciół i znajomych? Czy muszę natykać się na kobiety, które nie wiadomo, kim są, szemranych biznesmenów i agentów?”

Wziął piłeczkę tenisową i zaczął chodzić po pokoju, odbijając ją o podłogę. Nie mógł się skupić, myśleć o niczym innym, bo jak ćmiący ból w zębie, jak tętnienie w żyłach po wielkim wysiłku, powracała myśl: „Boże, o co tu chodzi? W co się wpieprzyła Iwona, a przy okazji i ja?” Usiadł w fotelu, patrząc bezmyślnie na porozrzucane rzeczy Iwony: dwie sukienki, sweter, spodnie od dresu... Piłeczka tenisowa wypada z rąk, toczy się w stronę przedpokoju, omija stare buty Pawła, czarne półbuty ojca...

- Kobieto, czy ty oszalałaś? Po co mu druga rakietka tenisowa?

- Jak będzie używał na przemian obu, to tak szybko się nie zniszczą.

- Przede wszystkim nic powinien grać na asfalcie, po drugie, nie w butach. Nic szanuje rzeczy, bo wszystko mu za łatwo przychodzi. Tak samo jest z ubraniami. Pochodzi, pochodzi i rzuca w kąt...

- Jerzy, nie znasz powiedzenia, że tak cię piszą, jak cię widzą? Jego ubrania, piłki, rakiety tenisowe świadczą o tobie... O tym, że jesteś dobrym ojcem, dbasz o dom.

- Kcc, nic bierz mnie w siódmą stronę. To, co robisz, jest zwykłym szastaniem pieniędzmi!

- A dlaczego mam oszczędzać na dziecku? Mamy go przecież jednego. Mam wydawać na swoje stroje, pierścionki, kosmetyki? Dobrze się uczy, nauczyciele go chwalą. Powinieneś być z niego dumny...

- Jestem, ale to nie znaczy, że mam nie widzieć pewnych spraw. No, powiedz sama, ale tak z ręką na sercu, czy jest mu potrzebna taka ilość ubrań i butów? Czy on jest dziewczuchą? Po co mu tyle farb i to tak drogich? Nawet nie chce mu się ich dokładnie zakręcić, przez co wysychają i trzeba je Wyrzucić...

- To co, chcesz być takim ojcem jak ten wojskowy, ojciec biednego Rysia? Przecież ten chłopiec zachowuje się czasami jak zaszczute zwierzątko. Rozmawiałam z lekarką szkolną... Rysio jest tak znerwicowany, że siusia do łóżka, a ten gestapowiec za to go bije.

- A co mogę zrobić? Zrób tak, żeby ten Rysio przychodził jak najczęściej do Pawełka, niech je porządne śniadanie, nie żałuj dobrych rzeczy. Ale rób to dyskretnie, niech chłopaczyna nie czuje się gorszy.

- Widzisz, Jerzy, jaki z ciebie porządny człowiek. Pogadasz, pogadasz, pokrzyczysz, ale to pozory, że jesteś taki cyniczny, liczą się dla ciebie pieniądze... Przestań, stary, weź te ręce. Jeszcze dziecko się obudzi... Ty coś piłeś? No, przyznaj się.

- Troszeczkę. Wiesz, jak to jest. W Polsce bez wódki niczego się nie załatwi. Jeszcze dobra z ciebie sztuka...

Matka chodziła z Pawłem na wystawy, do muzeów, kina, nawet na mecze piłkarskie, pomagała w lekcjach, dyskutowała o przeczytanych przez niego książkach. Nie osiągnęła niczego wielkiego. Była lekarką w szpitalu, chociaż nie lubiła tej pracy, nie zrealizowała marzeń (chciała być malarką), ale była święcie przekonana, że syn wybiję się w życiu, a wtedy ona będzie naprawdę szczęśliwa. Ojciec też chciał, by syn był kimś, ale nie za wszelką cenę i nie w Polsce. A gdyby, co nie daj Boże, nie wyemigrował, to lepiej, żeby był weterynarzem albo jubilerem, bo wtedy byłby przynajmniej w miarę niezależny. Nie musiałby wchodzić w układy z komunistami. Często kłócili się. Możliwe, że później staliby się nawet kolegami, ale ojciec zmarł, kiedy Paweł miał zaledwie dwadzieścia lat. I skończyło się życie, które ojciec układał, próbując uchronić rodzinę przed codziennymi kłopotami. A Paweł, wraz z upływającym czasem, zaczął ojca idealizować, wierząc, że opiekuje się nim i wyratował z wielu kłopotów.

Wyszedł na werandę. Malutki, rozwijający się pączek na gałązce peonii, gałąź chwiejąca się pod każdym podmuchem wiatru, róża kołysząca pod oknem, zielone kulki pomidorów, jakby witały go radośnie. Często chwycił się na tym, że prowadzi milczące, przyjazne rozmowy z otaczającą przyrodą. Ten nieduży dom, był dla niego odrodzeniem, a każdy przyjazd dawał mu spokój i radość. Wziął kilka oddechów. Przeciągnął się. Czuł w sobie słowa, które wyrażały myśl, że to wszystko jest doskonale w swojej prostocie i powtarzalności i że nic nie jest przypadkowe. A może sprzedać mieszkanie w Warszawie i tu się osiedlić? Wpłacę do banku i nareszcie przestanę się bać, że któregoś dnia nie będę miał pieniędzy najedzenie albo czynsz. Od śmierci matki bał się obsesyjnie nędzy. Porównywał ceny i wybierał sklepy, w

których było taniej, przestał prawie palić papierosy, nie kupował książek, albumów z malarstwem i ubrań, nie umawiał się w kawiarniach. Wiedział, że staje się to chorobliwe, ale nie chciało mu się z tym walczyć. „Nie, nie wyjadę, powiedział głośno i gdy tylko to powiedział, poczuł jak nabiera sił, rozlewa się spokój i radość. Tak nie mogę żyć. Robi się melodramat w tandetnych dekoracjach. Muszę pisać do niej listy, wysyłać maile, telefonować, załatwiam jej bzdurne sprawy, a gdy przyjeżdża do Polski, to godzinami gniję w łóżku, piję alkohol, kłócę się z nią, szwendam po knajpach albo łażę do jej znajomych. Tak samo podejrzanych jak ona...” Wyjął z kurtki kopertę. Później list napisany różnokolorowymi długopisami i mazakami.

Mój kochany Pawelku! Już niedługo będę w Polsce i będę się do Ciebie tuliła. Piszę szybko, bo może uda mi się złapać Marcina i jutro mógłbyś czytać te moje bazgroły. Wiem, że istnieje Internet, ale ja wolę sposoby tradycyjne. Uwaga, mam niespodziankę, czytaj uważnie. Marcin tydzień temu zakomunikował, że jego znajoma jeszcze ze Szwecji, bardzo ekscentryczna kobieta, jak się wyraził, urządza luksusom przyjęcie, i zaproponował, żebym się z nim wybrała. Zgodziłam się natychmiast, bo, jak wiesz, uwielbiam „ekscentryczne osoby”, ponieważ i ja do nich należę. Mój mąż i niemąż krzywił się, ponieważ nie znosi, kiedy wychodzę z domu i najchętniej zamknąłby mnie xv złotej klatce. Ale co miał zrobić, biedaczysko?! Miałam na sobie elegancką, czarną suknię za dwa tysiące funtów. (Chcę, żebyś’ kiedyś wziął mnie xv niej, szybko, bez ceregieli.) Do tego drapieżny makijaż. Piotruś, kiedy wychodziłam, przytulił się do mnie i powiedział: „Mamusiu, jesteś piękna jak księżniczka z bajki. Kocham Cię i kiedy będę duży, to się z Tobą ożenię”. Mój słodki synek. I jesteśmy na miejscu. Dobrze utrzymany, ale nie za duży ogród z basenem. Wszystko w dobrym stylu, nie tak

jak u Pączka. Mało ludzi, ze mną i Marcinem piętnaście. Pani domu po czterdziestce, typ urody przesłodzony, jak z przedwojennych filmów. Taka dziewczyna z dworków. Z portretów Kossaków, Malczewskiego Ud. itp. Jasne, długie włosy splecione w warkocz, twarz bez makijażu. Duże oczy, jakby nic niewidzące, Niby, ale takie oczy mają spryculi i bardzo namiętne. Ubrana xv džinsy, bawełnianą, czarną koszulę. Na nogach żółte trampki. Prawda, że dziwacznie? Przysięgam, że natychmiast pomyślałam, iż jest to Twój ulubiony typ urody i poczułam do niej niechęć. To śmieszne, że lubisz mimozy albo wampy. Ale to wynika z tego, że masz dwoistą psychikę. Lubisz rzeczy wykluczające się. Z jednej strony życie towarzyskie, gadułki, przyjaźń, winko, muzyka, z drugiej strony ten twój domek, przyroda, las, spokój. Jedzenie świetne, alkohole wspaniałe, wyszukane. Muzyka: Santana ze swoim japońskim „Lotusem”, Bruce Springsteen, „Simple Minds”, dużo czarnego bluesa i muzyki hinduskiej, której organicznie nie trawię. Towarzystwo paliło trawkę, ale pani domu, ta mimoza, nie paliła. Postanowiłam z nudów zwiedzić dom, wchodzę na górę, a tu kolekcja malarstwa. I co odkrywam? Obraz podpisany Twoim nazwiskiem. Surrealistyczny bohomaz, z wpływami Malczewskiego i Dalego. Nagle czuję, że ktoś mi się przygląda, nim się odwróciłam, to usłyszałam: „Podoba się pani ten obraz”. Bąknęłam, że tak, bardzo mi się podoba. To ona spytała, jak mam na imię, bo ona, sorry, nie zapamiętała. Ucieszyła się, że jestem Polką, przeszłyśmy na nasz świszczący język i zaproponowała, byśmy mówiły sobie po imieniu. Dałyśmy sobie buzi. A jak poczułam jej ciepłe i słodkie usta, to przeszła przeze mnie fata gorąca. Słowo, choć, jak wiesz, nie jestem lesbijką. Objęła mnie i poprowadziła w stronę kanapy. Czulałam, jak z jej dłoni płyną tajemne fale, które mnie przenikają. To było niesamowite, podniecające wrażenie.

Siedziałam na tej kanapie, dziwnie skrepowana, bojąc się odezwać, a ona, znaczy la mimoza, gapiała się na tego Twojego bohomaza i bawiła srebrnym pierścionkiem z różyczką. Identycznym jak mój, który dostałam od Pączka.

JA: Skąd masz obraz tego Polaka?

ONA: Namalował to mój chłopak.

JA: I wozilaś go ze sobą po całej Europie?

ONA: Nie... Był u kogoś na przechowaniu i ten ktoś przywiózł mi go dwa lata temu... Miałam dwadzieścia lat, byłam, na anglistyce. Wpadłam do przedziału, tuż przed odjazdem pociągu, zaczęłam czytać książkę. Nie wiem, kiedy usnęłam. Gdy się obudziłam, była noc, a moja głowa leżała na kolanach długowłosego faceta, który gładził mnie po głowie.

Później wypiliśmy masę czerwonego wina i usłyszałam, jak to ona, zamiast pojechać gdzieś, gdzie była umówiona ze swoją paczką, pojechała z Tobą nad morze. A tam też był. Marek, Pączek, Irokez. No i całym dniami leżeliście na plaży, wieczorami łąziłeś z nią po plaży, całowaliście się i przysięgaliście sobie miłość do grobowej deski. Oczywiście straciła z Tobą dziewictwo. Co dla niej, jako praktykującej katoliczki, było dużym wydarzeniem. Poza tym nauczyłeś ją pływać, rzucać nożem i rozpalać ognisko w czasie deszczu. Potem ona wyjechała do Szwecji, pisała do Ciebie listy, ale Ty nie odpisywałeś, wyszła za męża i zapomniała o swoim księciu z bajki. Szybko się rozwiodła. Nie powiedziała dlaczego. W ogóle wygląda na to, że nie lubi zbyt wspominać. Teraz osiadła w Londynie. Ma kupę forsy, ale nikt nie wie, jak się dorobiła. A może ona jest z KGB? To byłby numer, co?!

Nie bój się, nie napiszę donosu do angielskich władz. Masz dobry gust, jeśli chodzi o kobiety, na co wskazuje i to, że jesteś ze mną. Ale ona nie jest w moim typie. Ładna, tajemnicza, pociągająca, ale nie ma ikry. Często telefonuje i zaprasza do siebie albo do luksusowych knajp. Nawet

zapropnowała, abyśmy zimą pojechali na jej koszt na narty. A może ona jest lesbijką, co? Czasami jest ładząco podobna do Jean Seberg. Szczególnie z okresu, kiedy grała w westernie „Macho Callahan”. Widziałeś ten film? Tytułowy bohater zabija pewnego faceta, a jego żona, którą gra właśnie Seberg, rozpoczyna pościg za mordercą, jreńen dramatycznych sytuacji. W końcu łapie zabójcę i stacza z nim pojedynek na śmierć i życie. Jest przy tym bezwzględna i okrutna. Bardzo lubię len film...

Paweł odłożył list. Drżały mu ręce. Dlaczego Iwona napisała, że spotkała Gabi? Ale czy naprawdę ją zna, czy znowu nie zmyśla? A jeśli kłamie, to dlaczego? Co by uzyskała? Że będę wściekły, że ułożyła sobie jakoś życie, była mężatką? Co to za ściemnianie, że pisała listy ze Szwecji, a ja nie odpisywałem? Przecież napisałem ich chyba z pięć i nigdy nie było żadnej odpowiedzi... Nie, oprócz jednego, żebym dał spokój. Dlaczego Iwona napisała, że spotkała Gabi? Po to, żeby mi pokazać, że Gabi ma mnie w dupie, żyje sobie i bimba na mnie? Dlaczego nie cieszę się, że Gabi żyje, jest bogata i, jak się uprę, to w każdej chwili mogę ją zobaczyć? Nie, to absurdałne, dziewczyna, którą kochałem, nie mogła przecież któregoś dnia zniknąć. Ktoś musiał ją gdzieś spotkać, bo przecież gdzieś mieszkała, mieszka, z kimś się spotyka, przyjaźni, z czegoś żyje... A może Iwona napisała, że Gabi żyje w Londynie, bo jest przekonana, że teraz na pewno do niej przyjadę? A właściwie nie do niej, tylko zobaczyć się z Gabi? Kto przywiózł Gabi mój obraz?

Wszedł do pokoju i rzucił się na łóżko. Patrzył intensywnie w ścianę, tak jak to robił godzinami w więzieniu. Gubi się kolor ścian, otoczenie; zamienia się w tamten krajobraz, nastrój, scenerię. Maluje surrealistyczne obrazki, pejzaże pod Flamandów, by udowodnić sobie, że ma dobry warsztat, a przy okazji zarobić pieniądze, projektuje i robi dla

podziemnych gazetek dziesiątki rysunków, kalendarzy, znaczków pocztowych. Dni pośród farb, płócien, brystolu, tuszu, ścinków materiału, terkotu maszyny do szycia, muzyki, spotkań z przyjaciółmi i znajomymi, wyjazdów z bibułą, strachu przy drukowaniu gazetek i książek, kłótni, co się stanie jutro albo za dziesięć lat. Po ulicy chodzili zgnębieni lub pijani ludzie, patrole zomowców, co chwila ktoś był aresztowany, mury były pełne napisów przeciwko władzy i ustrojowi. Kończył się rok 1985... To dziwne, ale nigdy nie zastanawiałem się, co robi Gabi, z kim jest. Wspominałem ją tak, jakby umarła. Gabi... Stała się tylko cieniem i odgłosem piękna, które idą ze mną przez tyle lat. Żeby zapomnieć o niej, tkwiłem wśród tych, którzy charczą na miłość, biel kwitnących jabłoni i wierzą tylko w pieniądze. Przez nią wmawiałem sobie, że coś czuję do kobiet, które kombinują jedynie o wygodzie albo modnych szmatach...Usiadł na łóżku. Nie wspominać, nie wspominać... Znów zaczął czytać list od Iwony.

Pisane po dwóch godzinach. Snułam się po domu. Paula nie ma, Piotruś bawi się w ogrodzie w Indian. Myślałam o Tobie, o nas. Gdy się poznaliśmy, gdy pocałowałeś mnie, a ja przytuliłam się do Ciebie, zapaliła mi się w głowie czerwona lampka. To on, to facet, o którym marzyłam i czekałam od dzieciństwa. Mój rycerz, który przyjechał na białym koniu. Byłam gotowa zrobić dla Ciebie wszystko. Pierwszy raz, od bardzo dawna, chciałam być z kimś do końca. Kocham Cię i uwielbiam się z Tobą kochać. Ale wiem, że jesteś facetem niebezpiecznym... Dalej nie będę się tym zajmowała. Wiesz, niedawno przeczytałam książkę Austriaczki, Marlen Haushofer. Przepisuję fragmencik: „Kobieta, która ma dziecko, przestaje być wolnym człowiekiem. Albo ktoś jest dobrą matką i niczym więcej, albo zawodzi jako matka i zachowuje swoją osobowość. Wszystkie książki, zajmujące się

tymi problemami, nie umiały się z nimi uporać i musiały się zadowolić szukaniem rozwiązań kompromisowych, których żaden człowiek nie mógł zrealizować, ponieważ w tych sprawach w ogóle nie ma kompromisów”. To jest mój problem, mój śliczny! Tak, kocham Cię. Przez dłuższy czas xv to wierzyłam. Ale przede wszystkim decydował o tym seks, te noce, te chwile, to moje chore zaufanie. To wszystko było fantastyczne, ale kompletnie niezwiązane z życiem, bo przecież wtedy prawie o nic nie musiałam się troszczyć. To było życie na niby. Byłeś Ty, erotyzm i nic więcej. I to było początkiem naszego końca, bo nie ma nic straszniejszego niż wolność, którą się już ma. I dlatego wielokrotnie byłam zdecydowana wyjść za Ciebie i przyjechać do Polski. Ale, mój śliczny, ludzie nie mogą sobie wybierać domu, ojczyzny, kochanko i bliskich. Tak jak nie mogą wybierać sobie rodziców, czy rodzeństwa. Bóg, los, życie (co kto woli) daje i zabiera, a największy kłopot to pogodzić się z tym. Eee, coś smucę i bełkoczę!

Od wielu lat szybko żyję. Ale żyję jedynie wtedy, kiedy robię interesy, uczestniczę w „jakiejś awanturze” albo kocham. A gdy ktoś mnie kocha, chcę być mu wierna i nie puszczam się do końca życia. Mogłabym zrobić dla tego ukochanego wszystko. Ale to nie trwa długo. Takie jest życie. Wszystko, co przychodzi łatwo, nudzi mnie. Potrzebuję kropli trucizny, by moje namiętności stały się aż do bólu prawdziwe. I przyznaję, że odczuwam upływ czasu. Teraz nawet histerycznie. No i miewam chwile całkowitego załamania. Ale nie łączę do psychoanalityków i innych szarlatanów, bo nie będę nabijała im kasy. Ja wiem, jaka jestem, czego mi brakuje. Gdy mam depresję, nie wychodzę z domu, słucham muzyki, pracuję xv ogrodzie, unikam knajp, przyjęć, ludzi. Doszłam do takiego luksusu, że nie potrzebuję udawać inteligentniejszej i ładniejszej. Ale pójdę na operację plastyczną, bo przestaję siebie akceptować. No i lubię forszę,

jestem podejrzliwa, kapryśna, zdaniem niektórych zboczona. Po raz któryś powtarzam: rodzina niszczy miłość. Miłość to zachwycenie, euforia, ciągle zdziwienie i dlatego, kiedy tego nie czujesz, to znaczy, że miłość sobie odeszła. Uwierz dojrzałej, doświadczonej kobiecie. Hi, hi, hi, aż za bardzo! „Kto kocha na sto sposobów, cierpi na sto sposobów. W kim jest jedna miłość, xv tym jedno cierpienie, xv kim nie ma miłości, xv tym nie ma i cierpienia”. Tak nauczał Budda.

Iwona

PS Gabi podarowała mi Twój obraz. Wisi w sypialni. Nie gniewaj się, że nazwałam ją mimozą. Gdybym była dobrą wróżką, to sprawiłabym, że bylibyście ze sobą, kochalibyście się i mieszkali na Wyspach Kanaryjskich albo Hawajach.

Zmiał list i rzucił do kosza. „Płacze, gada, że chce być moją żoną, a tu pisze, że małżeństwo niszczy miłość.”

Właściwie żegna się ze mną. W co ona gra? Jest podła czy chora? Dlaczego udaje, że lubi ludzi, taka jest uczynna i serdeczna? Stale robi komuś grzeczność; przywozi lekarstwa, pożycza pieniądze, daje prezenty, a przecież tak naprawdę nie znosi ludzi i uwielbia opowiadać o ich tajemnicach, grzeszkach. Ta historia z nią jest pomyłką, chorobą, ale trzeba z niej wyjść. Wyzdrowieć. Trzeba się rozstać, jak najrzadziej widywać, nie udawać przyjaźni”. I gdy to postanowił, powiedział głośno, raptem poczuł w sobie energię, której od dawna nie miał. Dygotały mu ręce, ale czuł ulgę.

Zaczął pakować ubranie do torby. Robił to szybko, jak automat.

- Halo, jest tam kto? - rozległo się wołanie. - Halo!

Paweł podszedł do okna. Przy furtce stało tych samych dwóch mężczyzn, którzy na skraju lasu obserwowali przez lornetkę okolicę.

- O co chodzi? - starał się, by jego głos brzmiał bez troski, bez cienia podejrzliwości.

- Przyjechaliśmy na grzyby i ukradziono nam samochód - odpowiedział Grubas, trzymając nad głową gazetę, która miała go chronić przed deszczem.

- Ma pan telefon?

Wpadam w paranoję, pomyślał Paweł. Faceci stracili samochód, a ja podejrzewałem, że zabawiają się śledzeniem. Założył kapelusz, podbiegł do furtki, otworzył ją i wpuścił nieznajomych.

- Kurna, co za pogoda! - Grubas kulił się z zimna, idąc w stronę domu. Miał na sobie tylko czarną koszulę. Jego przemoczone adidasy wydawały charakterystyczny odgłos plaśnięcia. - Nie boi się pan mieszkać na tym wygwizdowie?

- Nie mieszkam tu na stałe - odpowiedział Paweł, zerkając na drugiego mężczyznę, który co chwila podciągał opadające dzinsy; miał chudą, dziobatą twarz, rude wąsy i smutne, niebieskie oczy.

- Ja bym się bał tak mieszkać - powiedział Grubas. - Teraz człowieka zabijają za dziesięć złotych. Najgorsze są te małolaty. Wezmą jakieś świństwo, amfetaminę albo ekstazy i myślą, że są panami świata.

- Takie mamy czasy - Paweł wytarł buty w korytarzu, to samo zrobił: nieznajomi.

- Ładnie tu u pana - stwierdził Dziobaty, rozglądając się po pokoju: jego głos nie pasował do niego, miał miłą barwę, mógł być spikerem radiowym. - Tyle obrazów... Pana?

- Moje. Kawa, herbata, coś mocniejszego?

- A z chęcią coś byśmy łyknęli! - Grubas zatarł dłonie i roześmiał się. - Zmarzliśmy, jak gówno w przereźlu.

Paweł rozlał whisky do szklaneczek. Postawił na stole.

- Na zdrowie! - Grubas podniósł szklanekę i uśmiechnął się szeroko; w górnej szczęce, po obu stronach, nie miał zębów. - Jednak są dobrzy ludzie na tej przeklętej ziemi.

Stuknęli się i wypili. Paweł rozkaszał się. Załzawiły mu się oczy. Dziobaty spojrział na niego z rozbawieniem. Co chwila gładził się po ogolonej na łyso głowie. Mówiąc, trochę seplenił, a w kącikach ust zbierała mu ślina. Na szyi miał srebrny krzyżyk, na grubym, złotym łańcuchu.

- Artysta, który krztusi się po alkoholu, coś takiego widzę po raz pierwszy w życiu.

- Moja mama mówiła w takich wypadkach, że nie poszło w tę dziurkę... A panowie co robią?

Grubas odchrząknął. Wyglądał na zakłopotanego. Poruszył się w krześle, które zachrząściło, jakby miało się rozpaść.

- Jakby tu panu powiedzieć... Ogólnie rzecz biorąc, wszystkim, co może jakoś dać pieniądze. Teraz na tapecie jest ekologia. To modna dziedzina, niezłe są też dzieła sztuki...

- Poszukujemy ciekawych okazów! - Dziobaty zachichotał i nalał sobie whisky. - O, przepraszam, można jeszcze?

Paweł skinął głową i spojrział na Grubasa, który miał zamknięte oczy i co chwila oblizywał usta.

- Zostawiliśmy auto dosłownie na pięć minut. Wróciłem po scyzoryk i już go nie było! - Dziobaty pokręcił głową i westchnął ciężko. - Ktoś się nie bał i zajebał!

- Te inteligenciki obsrane zostawili ludzi, bo im już są niepotrzebni! - rzucił Grubas ze złością; przestał się bujać wraz z krzesłem, patrzył Pawłowi prosto w oczy. - Wyjechali, zdobyli władzę na plecach robotników, zwykłych ludzi, a teraz pomiatają nimi. Nieważne, że ktoś ma pięćdziesiąt lat, całe życie ciężko pracował, jakiś kapitalista, obszczymurek, ma prawo powiedzieć, żeby się wynosił. A w takim Pcimiu roboty nie znajdzie. Bida aż piszczy. Solidaruchy jebane! Kiedyś było jak było, ale każdy miał pracę. Nie musiał bać się, że nie będzie miał co wrzucić do garnka. Nikt nikogo nie

wyrzucał z mieszkania na bruk... Te inteligenciki nie rozumieją spraw jasnych dla każdego prostego, uczciwego człowieka. Co człowiek wybierze? Bezrobocie, upodlenie, wyrzucanie z mieszkań, czy stałą pracę, bezpieczną starość, bezpłatną naukę i leczenie, tanie leki? Komu jest teraz lepiej? Tylko złodziejom i szumowinom! I ciągle te tematy zastępcze; tropienie agentów, ta cała lustracja, budowanie tych kościołów, co wyglądają jak zamki warowne...

- Chce pan zatelefonować? - przerwał mu Paweł i pomyślał: to jakieś komuszki, którzy kiedyś mieli trochę władzy, a teraz wegetują na bocznym torze.

- Za chwilę - odpowiedział Dziobaty z roztargnieniem, wstał i zapalił papierosa.

- Kolega trochę się uniósł, ale niedawno splajtował. Miał taki nieduży sklepik, ale zjadły go podatki i supermarket... No, dobrze, czas to pieniądź. Gdzie ona jest, panie Pawle?

- Kto? - zapytał Paweł nagle zachrypniętym głosem.

- Pana kochanka, Iwona - odpowiedział Dziobaty łagodnie, jak do dziecka.

- Pojechała do Warszawy - powiedział Paweł i pomyślał: „Urwała się, wiedziała, że jest śledzona, zrobiła zmyłkę, że wychodzi na spacer, dlatego wzięła koszyk. Ale kim są ci faceci?”

- Do Warszawy - Grubas stanął przed Pawłem i położył mu rękę na ramieniu. - Do kogo?

- Nie wiem, nie jestem wrózką! - Paweł starał się być rozluźniony, nawet kpiący, tylko po to, żeby nie zobaczyli, że się boi - To wasz kłopot, gdzie ona jest.

Grubas wolno odwrócił głowę w stronę okna i uderzył Pawła otwartą dłonią w twarz.

- Gadasz, czy chcesz odgrywać gieroja? - spytał Dziobaty i wypił whisky jednym haustem.

Paweł roześmiał się. Wziął butelkę whisky ze stołu i schował do szafki, stojącej pod oknem.

- Lepsi od was straszili i nie pękłem.

- Słuchaj, człowieku, naprawdę nie chcemy zrobić ci krzywdy. Nawet cię szanujemy na swój sposób. Naraziłeś się, byłeś głupi i gówno z tego masz, a twoi znajomi są milionerami, koszą forszę, że aż hej - Grubas mówił powoli, beznamiętnie, starannie wymawiając słowa. - Powiesz, gdzie jest ta bladź, przeproszę cię i już nas nie będzie.

- Jak jesteś taki kozaczek, to dlaczego nie oddajesz? - zaśmiał się Dziobaty. - Dostałeś strzał w pysk i podkuliłeś ogon pod siebie.

- Nie warto się bić, ponieważ zawsze ktoś ci odda. Gdy dorastasz, to już wiesz, że twoja złość niczego nie zmieni i w niczym nie pomoże. W gniewie jesteśmy bliżsi zbrodni, bo gniew może prowadzić do morderstwa. Trzeba więc być bardzo ostrożnym i kontrolować emocje.

- Uuu, jaki filozof - gwizdnął Grubas.

Paweł wzruszył ramionami. Przestał się bać, czuł jedynie złość na siebie, że dał się tak łatwo podejść.

- Jesteście gangsterami, policjantami czy ze służb?

Grubas rozsunął ortalicionową kurtkę, wyjął z kabury, podwieszanej pod pachą, pistolet i zaczął okręcać go na palcu, jakby był rewolwerowcem z westernu.

- Zrobię ci przysługę. Za chwilę możesz się dowiedzieć, czy znajdziesz się w niebie, czy w piekle. I czy w ogóle istnieje Bóg. Myślisz, że straszę? Strzelę ci w łeb i pies z kulawą nogą nie będzie wiedział, kto to zrobił.

- Znasz takie powiedzenie: nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz?

- A wiesz, czym się różnię od większości ludzi? - Grubas zmrużył oczy w szparki i podrapał się po policzku. - Ano tym,

że większość unika głupców, a ja po prostu ich likwiduję! Jak pluskwę, komara albo inną swołocz.

Paweł spojrzał prosto w oczy Grubasa, próbując znaleźć w nich coś, co by przeczyło jego słowom. Nie znalazł. Deszcz wzmógł się; bębnił z coraz większą siłą w dach i blaszany parapet.

- Twój upór obraża moją inteligencję i bardzo mnie złości - odezwał się Dziobaty. - Jesteś praworęczny czy mańkut?

- Praworęczny - odpowiedział Paweł machinalnie i pomyślał: trzeba iść na przeczekanie, może ktoś przyjedzie, pojawi się jakiś grzybiarz. Spojrzał na zmoczoną gazetę, której używał Grubas jako parasola. Otworzył ją w połowie. Zaczął czytać, by zyskać na czasie i wyprowadzić z równowagi prześladowców.

TERROR XXI wieku. To prawdziwe Pearl Harbour dla ludzi, którzy zajmują się zwalczaniem terroryzmu - twierdzi Anthony Condeswan, ekspert ds. terroryzmu w Centrum Badań Strategicznych i Międzynarodowych w Waszyngtonie. Jesteśmy dziś świadkami historii. Po raz pierwszy terroryści zaatakowali Amerykę w tak obezwładniający i skoordynowany sposób. Terroryzm nigdy już nie będzie taki sam...

- Ty, misiu, to nie czytelnia! - podniósł głos Grubas.

Dziobaty wziął siekierę, stojącą przy starej kuchni węglowej; zaczął się nią bawić, przechylać na boki, po czym powiedział ze śmiechem:

- Będziesz z pięć lat musiał trenować, żeby malować lewą ręką.

- Ale nic będziesz musiał się martwić o pieniądze - w głosie Grubasa było prawdziwe rozbawienie. - Jak nie będziesz miał prawej dłoni, to dostaniesz rentę inwalidzką. Chyba że wcześniej się wykrwawisz. To jak, gdzie ona jest?

- W Warszawie - odpowiedział Paweł, nie mogąc oderwać wzroku od ostrza siekiery. Myśli rwały się,

odchodziły, to znów wpadał w wirowanie skojarzeń, dziwnych obrazów, które wydobywała pamięć.

„Gdzie on jest?!” - krzyczy niski esbek, ze sztucznym futrem na kołnierzu palta. „Kto?” - pyta jeszcze zaspany Paweł, podciągając opadające spodnie od piżamy. „Twój ojciec” - odpowiada niski esbek, zaciskając i otwierając dłonie, na których ma plamy i złuszczoną skórę. „Co tu się dzieje?” - pyta matka, wchodząc do przedpokoju; ma na sobie wzorzysty szlafrok, który co chwila poprawia na piersiach. „Pani mąż potrafił po pijanemu człowieka i uciekł z miejsca wypadku”. Matka otwiera usta, jakby nie mogła złapać powietrza. Osuwa się na podłogę. Niski przykłęka przy niej. „Gdzie on jest?!” Paweł spogląda na trzech esbeków, stojących w przedpokoju. Dwóch ma spuszczone głowy, są wyraźnie speszeni, unikają wzroku Pawła, który myśli: „To jakaś podpucha, ten kurdupcl kłamie”. „Nie widzi pan, że matka jest w szoku, niech pan rozmawia ze mną!”, „Ja i syn damy krew, może jest potrzebna transfuzja” - mówi matka niewyraźnie, przez płacz. „Kurwa, gdzie on jest?!” - wydziera się niski esbek, potrząsając ją za ramiona. „Gdzie on jest?!” Matka zaczyna głośno jęczeć. Na bladej twarzy pojawiają się krwiste wypieki. „Niech pan rozmawia ze mną” - odzywa się Paweł. Niski esbek podrywa się, wykręca mu prawą rękę, prowadzi do pokoju rodziców. Ja cię, kurwa, nauczę moresu, gówniarzu”. Wykręcona ręka boli coraz bardziej. Paweł uwalnia się z uchwytu. Dłońmi uderza z całych sił esbeka w pierś, ten leci, łapiąc równowagę, w stronę okna. Odbija się plecami od betonowego parapetu. Doskakuje z pięściami, robi zamach i zastyga z ręką w powietrzu. Między nim a Pawłem stoi wysoki esbek, z sumiastymi wąsami, o pstrych rysach twarzy i wypukłych oczach. Bierze Pawła delikatnie za łokieć. „Niech pan wyjdzie ze mną do drugiego pokoju” - mówi ledwo dosłyszalnie, jak brzuchomówca. Wchodzą do pokoju

Pawła. Esbek zamyka za sobą drzwi. Patrzy dobrotliwie, oczami krótkowidza. „Przepraszam za kolegę. Pana ojciec nikogo nie potrącił. Mamy rozkaz go zatrzymać. Ale za co? Nie mogę panu powiedzieć. Taka jest procedura. Niech pan nie daje się sprowokować, bo jak pan go uderzy, to pójdzie pan siedzieć. Chyba nie ma pan złudzeń, że będę pana bronił, co?” „Nie mam”. „To niech pan zaciśnie zęby, nie odzywa się, a my zrobimy rewizję...”

- Wszyscy umieramy, ale nie każdy potrafi żyć! - westchnął Dziobaty i zaczął powoli iść w stronę Pawła, który bezwiednie spojrział w lustro. Wysoki, chudy mężczyzna z widocznym już brzuchem. Twarz pociągła, z bruzdami, włosy długie, szpakowate. - Zobacz, kurwa, jaki narcyz. Straci dłoń, będzie kaleką, a jeszcze zerka w lustro - zaśmiał się Dziobaty. - Zawsze wiedziałem, że artyści to jebnięci klienci. Jak nie pedał, to wariat!

„Tylko nie panikuj” - pomyślał Paweł i przez chwilę nie był pewny, czy nie śni, czy to dzieje się naprawdę.

- To jak, gadasz, gdzie ona jest, czy nadal zgrywasz bohatera? - spytał Grubas i wyjrzał przez okno. - Nikogo nie ma... Nikogo!

Paweł roześmiał się i przeciągnął.

- Naprawdę myślicie, że jestem tak głupi i was wpuściłem, nie zabezpieczając się?

- Co ty kombinujesz? - rozłościł się Dziobaty.

- Zanim was wpuściłem, to włączyłem magnetofon. Malutki, wszystko nagrywa. Musielibyście ze dwa dni tu siedzieć, nim byście go znaleźli. A za pół godziny będzie tu mój kumpel, żeby mnie zabrać na przyjęcie... Widziałem was, jak się wałęsaliście w okolicy, obserwowaliście nas przez lornetkę. Iwona dokładnie was opisze, poza tym was opisałem, w rozmowie telefonicznej, mojemu kumpłowi. On jest ustawiony, ma forszę, różne ciekawe znajomości. Mam z nim

braterstwo krwi. Może pamiętacie, jak to się robiło... Nacinało przegub i dotykało. Byliśmy wtedy dziećmi, ale on do takich rzeczy podchodzi poważnie...

- Ty, co ty za głodne kawałki sprzedajesz? Kryminał piszesz, czy co?! - Grubas podciągnął spodnie, przygryzł wargi i zamknął oczy, jakby coś nagle go zabolalo.

Paweł uderzył go prawą ręką, prawie bez zamachu, w szczękę. Grubas zachwiał się, upuścił pistolet i zasłonił twarz rękami. Paweł kopnął broń pod łóżko i trafił go z całej siły głową w nos. Rozległ się charakterystyczny chrzęst łamanej przegrody. Grubas runął bezwładnie na plecy, wrzeszcząc z bólu i zalewając się krwią. Rozległ się sygnał telefonu komórkowego.

- Kurwa, zabiję cię! - wrzasnął Dziobaty, rzucił siekierę w kąt pokoju i skoczył w stronę Pawła z wyciągniętą nogą, ten uskoczył w bok, wpadł na krzesło, które przewróciło się. Padając, zakrył głowę rękami. Poczul kopnięcia w żebra i brzuch. Zrobiło mu się słodko w ustach. „Boże, jak głupio umieram” - pomyślał z żalem, nim otoczyła go ciemność...

V

Paweł zdjął z gazu czajnik i nalał wody do szklanki.

- Chce tata napić się herbaty?

- Dzwoniła twoja wychowawczyni, że masz za długie włosy i nie chcesz iść do fryzjera.

- Przecież tata wie, że ta walka z długimi włosami to idiotyzm. - Wiem, ale co poradzę? Ja nie mam władzy. Założę się, że za dwadzieścia lat będzie można nosić do pasa, a ty wtedy będziesz nosił na zapałkę.

- Dlaczego?

- Bo będziesz łysy! - ojciec śmieje się, wstaje i kładzie talerz do zlewu. - Ja jestem łysy, to i ty będziesz.

- Ale dowcip.

- Dobrze, leć do fryzjera.

- Nie pójdę.

Ojciec siada w krześle, obok lodówki, zapala papierosa, puszczając kółka.

- Po co się narażać za takie bzdury? Pamiętaj, że jesteś beznadziejny z przedmiotów ścisłych i masz trójki tylko dlatego, że opłacam korepetycje u kolegów matematyka i fizyka. Zdasz maturę, to sobie zapuścisz włosy nawet do pasa. Masz tu dwadzieścia złotych i biegnij do fryzjera.

- Nie pójdę.

- Paweł, czy ty jesteś normalny? Jak nie zetniesz włosów, to cię wyleją ze szkoły.

- Trudno.

Ojciec gasi papierosa w popielniczce. Wyciera chusteczką spoconą łysinę, później ręce, nie patrząc na syna.

- Czy kiedykolwiek cię poniżyłem? Nazwałem głupkiem, czy uderzyłem? Nie. A rodzice twoich kolegów to robią... Popatrz, kim jest ten wojskowy, kim ojciec Marka. Czy dużo od ciebie wymagam? Nic. Chcę, żebyś poszedł do fryzjera

- Nie pójdę do żadnego fryzjera.

Ojciec wstaje i przeciąga się. Jest wyższy od syna, szerszy w ramionach, muskularny.

- Mówisz, że nie pójdziesz?

- Wcale nie są długie. Zapuściłem włosy, bo mam odstające uszy. Po tacie...

Ojciec robi krok w stronę syna. Uderza błyskawicznie w splot słoneczny. Paweł osuwa się, jak podcięty, na podłogę, nie mogąc złapać tchu...

Nagle odzyskał przytomność. W pokoju było ciemno, gdzieś blisko wyły psy. Deszcz i wiatr zacinały w okna. Był zlany potem. Wszystko go bolało. Nie widział na prawe oko. Z trudem przetykał ślinę. Piekły poranione wargi. Spróbował wstać, ale zaraz opadł z jękiem na podłogę. Miał świadomość, że zdarzyło się coś okropnego, jednak nie mógł sobie

przypomnieć, co się konkretnie stało. Dopiero po chwili wszystko wróciło: dziwne zachowanie Iwony, jej nagły wyjazd, wizyta dwóch mężczyzn, bijatyka. Zacisnął zęby, oparł rękami o łóżko i, jęcząc, dźwignął się z podłogi. Kuśtykając, podszedł do okna. Przy werandzie stał samochód. Stare bmw, to stare, ale zawsze auto, pomyślał. A komórka? Jest, leży na stole. Spojrzał na zegarek. Był nieprzytomny ponad dwie godziny. Rozejrzał się. Przy ścianie wałało się rozwalone krzesło. Podłoga była wmyta, nic było widać śladów krwi. Nie było też butelki z whisky i szklanek, z których pili nieznajomi. Sukinsyny, zabrali dowody, że byli. Gdy opowiem komuś, co się stało, to mi nie uwierzy, pomyśli, że jestem cwaniaczkiem szukającym rozgłosu, powiedział Paweł głośno i jęknął, bo poruszył się zbyt gwałtownie. Spojrzał w lustro. Wyglądał jak lump: spuchnięty nos i górna warga, prawe oko zasłonięte purpurowo-fioletową opuchlizną. Wolno i ostrożnie, ze strachem otworzył usta. Przynajmniej mam wszystkie zęby, pomyślał. Przez chwilę zdawało mu się, że dochodzi do siebie, ale zaraz poczuł, że zemdleje albo zwymiotuje. Położył się na łóżku. Skulił jak embrion. Wirowało mu przed oczami, umykały ściany i podłoga. Wykręcił numer telefonu komórkowego do Pączka.

- Dlaczego jeszcze cię nie ma, chłopaku? - Pączek lekko bełkotał, słychać było głośną muzykę, strzępy rozmów i śmiechy.

- Rysiek, przyjedź po mnie... Jacyś faceci napadli na mnie.

- Gdzie jesteś? - zapytał Pączek szeptem, a Paweł pomyślał, że na sto procent w tym momencie wytrzeźwiał.

- Na działce.

- Kurwa, nic się nic dzieje przypadkowo, zawsze jest jakaś przyczyna i konieczność...

- Nie filozofuj, tylko mnie ratuj - Paweł zaczął się bać, że nieznajomi wrócą i go zabiją. - Na tym zadupiu można z człowiekiem zrobić wszystko, co się chce...

- Idioto, romansów ci się zachciało! - rozłościł się Pączek i rozkaszał. - Uprzedzałem, żebyś się trzymał od niej z daleka, to nie, musi spróbować. Dopiero jak się sparzy, to szuka pomocy. Właściwie to powinienem ci powiedzieć, żebyś poszedł się bujać, bo kłopoty to nic moja specjalność...

- A kogo mam prosić, jak nie Ciebie? - zapytał Paweł żałośnie.

- Przyjadę z kierowcą. Cześć.

Paweł zamknął drzwi wejściowe na zasuwę. Nie mógł chodzić, miał wrażenie, że głowa rozpadnie mu się na kawałki. Odwaga, refleks i kondycja to przeszłość, pomyślał. Ale mam ponad czterdzieści lat, nadwagę i znowu palę papierosy. Zadzwoił telefon komórkowy.

- Czy pan Paweł Tyszka? - głos męski był młody i trochę niepewny.

- Tak.

- Czy zna pan Andrzeja Turkowskiego?

- Nie widziałem go wiele lat...

- Jestem oficerem brygady antyterrorystycznej. Turkowski wjechał samochodem do hali dworcowej, siedzi w nim i krzyczy, żeby do niego nie podchodzić, bo ma przy sobie bombę i wysadzi się w powietrze...

- Panie, co pan robi za jaja?!

- On zgadza się rozmawiać tylko z panem... Czy może pan wystąpić w roli negocjatora?

- Panie, to są chuj owe żarty. Możliwe, że czasami zachowuję się jak debil, ale na te bzdury nie dam się nabrać. Dajcie mi spokój...

- Pan jest pijany?

- Dlaczego mam być pijany?!

- Dziwnie pan mówi, jakby bełkotał...

- Panie, podobno ma pan do mnie interes, to niech się pan streszcza, bo inaczej kończę rozmowę...

- Niech się pan nie rozłącza. Rzucę mu komórkę po ziemi i zaraz będziecie rozmawiać. Daję panu słowo honoru, że to nie są żarty. Dworzec jest obstawiony, są snajperzy. Musi się poddać, bo inaczej go rozwalimy.

Paweł ścisnął palcami skronie. „To jakaś paranoja, to nie jest wszystko prawdą” - pomyślał.

- To ty, Pawka? - usłyszał głos Irokeza i na chwilę zaniemówił.

- Irokez, co ty za cyrki urządzasz?

- Uciekałem przed nimi po całym świecie, ale oni dzisiaj, po tym zamachu na Nowy Jork, zażądali, abym wysadził w powietrze Sejm. - Irokez mówił wolno, zacinając się. - Ledwo im uciekłem.

- Co za oni? - Paweł słyszał każde swoje słowo z opóźnieniem, jakby odbijało się od czegoś. „Założyli podsłuch” - pomyślał. „Muszą przecież wiedzieć o czym rozmawiamy”.

- Po prostu oni. Mogą być w żółtych płaszczach, jak i eleganckich, włoskich garniturach. Mogą być też z krzyżami na piersiach. Są wszędzie.

- Irokez, nie wygłupiaj się. Poddaj się, bo zrobią z ciebie marmoladę... Rozmawiałem z oficerem, wszędzie są snajperzy. Zrobisz ruch i wpakują w ciebie setki kul... Szkoda tak głupio umierać.

- Sprawiedliwy nie boi się śmierci. Nie boi, ponieważ wierząc, ma pewność lepszej przyszłości, a miłość, której przykazania spełniał, napawa go ufnością, że nic spotka na tamtym świecie nikogo, którego spojrzenia miałby się obawiać.

On zwariował albo się naćpał, pomyślał Paweł i znowu odniósł wrażenie, że wszystko, co się dzieje, jest nieprawdą.

- Irokez, to, co robisz, jest Samobójstwem - starał się, by jego głos był łagodny; wiedział, co chce powiedzieć, ale brakowało mu słów. - Jeżeli człowiek miał odwagę popełnić zło, to powinien mieć też odwagę poddać się jego skutkom. Przecież ciągle tak mówiłeś.

- Mylisz pojęcia, Pawka. Zawsze miałeś kłopoty z logiką i byłeś naiwny. Szczególnie do ludzi... Moja śmierć to będzie wzniosły czyn, a nie samobójstwo. Bóg to pochwali, bo nie będzie to ofiara zbyteczna. Każda ofiara, poniesiona kosztem własnego szczęścia, jest wielką zasługą w oczach Boga. Jest spełnieniem prawa miłości bliźniego. Ponieważ żywot ziemski jest darem, któremu człowiek przypisuje wartość największą, więc ten, kto zrzeknie się go na korzyść swego bliźniego, spełnia wielką ofiarę.

- A dlaczego twoja śmierć ma być wielką ofiarą? - spytał Paweł, łapiąc się na tym, że Irokez wciąga go w macki swojej choroby, a on poddaje się, wpada w to jak w bagno.

- Będzie wielką ofiarą, bo dowie się o tym cały świat. Tysiące ludzi już wie, co się dzieje na tym dworcu. Są dziennikarze, ekipy telewizyjne. Zdeponowałem też w wielu miejscach dokumenty i moje relacje, co oni robią, co musiałem dla nich robić i do czego jeszcze chcieli mnie zmusić.

- A co takiego robiłeś?

- Dowiesz się w odpowiednim czasie. Ty i świat.

- Ale, gdy zdeponujesz tę bombę, to też zginą niewinni ludzie. Nie będziesz miał wyrzutów sumienia?

- Teraz miłuję tylko Boga. Nie kocham ludzi. Człowiek jest rzeczą niedoskonałą. Miłość do ludzi o mało nie zabiła mnie.

- Irokez, błagam cię, poddaj się... Załatwimy ci najlepszych adwokatów, trochę posiedzisz i znów będziesz żył. Będziesz na wolności... Z nami.

- Pawka, rozmawiasz ze mną jak z wariatem. Ale wybaczam ci, bo mało wiesz. Jesteś dobrym facetem, ale naiwnym. Czasami głupawym. Oni zawsze nas otaczali. Pamiętasz takiego chudego faceta, mieszkał w tej samej klatce co Pączek, zawsze ubranego na czarno, w berecie?

- Pamiętam... Był zegarmistrzem. Niekiedy grał z nami w piłkę. Miał niezły strzał z lewej nogi i dobrze się kiwał...

- On był księdzem... Kiedyś. Szedł rano do pracy, do tego punktu zegarmistrzowskiego, a na zapleczu był sztab, który rozdzielał pracę. Kogo śledzić, jak, kogo zabić... Gdy umarł na raka, naprawdę był chory, to ta jego żona zaraz umarła, chociaż na nic nie chorowała. Bali się, że zacznie mówić prawdę. Wiedzieli, że ona zawsze opierała się złu. I zabili ją. Dodali specjalnej substancji do herbaty i umarła na zawał serca.

- Skąd to wszystko wiesz? - spytał Paweł; nie traktował już wszystkiego, co mówi Irokez, jako bredzenia chorego.

- Oni wiedzieli, że nie boję się śmierci i dlatego kiedyś zagroziłem, że czegoś nie zrobię, jeśli nie powiedzą na przykład o tym byłym księdzu. Oni nas obserwowali przez lata...

- Co takiego robiliśmy, że byliśmy tyle lat śledzeni? Piliśmy wino, graliśmy w piłkę, słuchaliśmy muzyki, podrywaliśmy dziewczyny, spaliśmy z nimi...

- Właśnie, właśnie... Nie należeliśmy do ich organizacji, nie chcieliśmy robić dzięki nim karier. Dlatego byliśmy groźni i musieli nas kontrolować. Jedni są silni przez sztukę, inni przez naukę, jeszcze inni przez pieniądze albo przez stanowiska. Ja jestem silny sam z siebie, przez mój szkielet

wewnętrzny, którego nikt nie złamie, bo nikt się nigdy nie dowie, czym on jest.

- Irokez, błagam cię, wyjdź z tego samochodu z podniesionymi rękami. A później wyciągniemy cię z tego bałaganu. Marck jest znany, był posłem...

- On też jest z nimi. Został wybrany w poprawczaku. Oni specjalnie go męczyli psychicznie i torturowali, by go wypróbować. Doszli do wniosku, że się nadaje, by walczyć o nowy porządek świata. Jego trener go prowadził. Wszystko mu załatwiał. Gdyby nie oni, to nie zrobiliby nawet matmy, bo robił straszne błędy ortograficzne i nie potrafił sklecić najprostszego wypracowania. Pisałem je za niego.

- Skoro Marek był lewy i ty to wiedziałeś, to dlaczego mu pomagałeś? - spytał Paweł ostrożnie i przypomniało mu się, co niedawno powiedział Pączek: nic się nie dzieje przypadkowo, zawsze jest jakaś przyczyna i konieczność.

- Kiedy ukradłem dla Pączka kotlety' schabowe i wszystko było na Filutka, tego mojego ukochanego kundelka, i matka postanowiła go oddać, to uciekłem z domu. I od tej chwili strasznie bolała mnie głowa i brzuch. Oni zrobili mi operację, że niby mam chory wyrostek robaczkowy, i ukryli w brzuchu nadajnik. Przez niego wydawali rozkazy, wpływali na moją wolę...

- Nadajnik ukryty w brzuchu... Irokez, sam oceń jak to brzmi?

- Pawka, oni dysponują taką techniką, że zwykłym ludziom, ba, najwybitniejszym naukowcom nie śni się, że coś takiego może istnieć. Czy wiesz, że mają komputery, działające bez użycia myszki i klawiatury? Czy wiesz, że mają tak potężne komputery, że mogą one wychwycić wszystkie operacje czynione w komputerach domowych, instytucjach, bankach? Wychwytyją i natychmiast analizują. Czy wiesz, że wszystkie rozmowy telefoniczne na świecie są rejestrowane?

Ten, kto naprawdę ma władzę, nigdy nie stoi w pierwszym szeregu. Za sznurki pociąga się z ukrycia, bo inaczej można zapłacić głową.

- Proszę, poddaj się.

Pawłowi załamał się głos. Zaczął bezgłośnie płakać. Płakał nad Irokezem i nad sobą.

- Rafał nie popełnił samobójstwa. Oni go zabili. On wcale nie kochał tej głupiej nauczycielki. Była pierwszą, ale on przecież miał pełno panienek. Dziewczyny leciały na niego...

- Irokez, jeśli nie słuchasz mnie, a Markowi nie wierzysz, to może porozmawiasz z Pączkiem? Przecież kumpłowaliście się, robiliście interesy, pożyczał ci pieniądze...

- Niedawno dowiedziałem się, że on jest także... Oni zwerbowali go, kiedy wyszedł z wojska. Stwierdzili, że będzie pomocny w tworzeniu zaplecza finansowego, bo ma głowę do interesów. Zawsze był obserwowany, bo przecież jego stary był generałem.

- Irokeziku, wyjdź z tego samochodu, a ja za kilka godzin przyjadę do ciebie z adwokatem...

- Pączek dawał nam pieniądze na drukowanie tego naszego pisemka, bo się uwiarygodniał. Pamiętasz, jak się wściekł na Marka, gdy ten zaczął mówić prawdę temu brudasowi, co robił niby film dokumentalny, jak brudasa wyrzucił z przyjęcia i zabrał mu kasetę z nagraniem tego, co mówił Marek? Pamiętaj, że największym osiągnięciem diabła jest to, że wmówił ludziom, że go nie ma. Już święty Piotr powiedział: „Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć”.

- A dlaczego oni nic zdołali, czy też nie chcieli, mnie zwerbować?

- To jest na dłuższą rozmowę. Podsuwano ci kobiety, które pracują dla nich. Najgroźniejsza była Ola, inteligentna,

nimfomanka. Tylko Gabi była normalna i kochała cię. Dlatego ci ją zabrali. Chcieli, żebyś się zapił, zwariował, sam wykończył.

Paweł rozplakał się. Z żalu, ale i bezsilności.

- Irokez, błagam cię na wszystko, poddaj się... Przecież wiesz, że cię kochamy... Brakuje mi słów, nic mogę pozwolić, żebyś i ty umarł... Zostaw tę bombę i wyjdź z podniesionymi rękami...

- Nagle zemsta się pojawi, sto rąk, pragnienie i głód, kiedy kometa przemknie. Zaraza przeszła, świat staje się mniejszy. Przez długi czas lądy będą zamieszkałe w pokoju, ludzie będą bezpiecznie podróżować przez niebo, lądy i morza. Potem wojny wybuchną na nowo...

- Co ty mówisz?

- Apokalipsa... Oni też niedługo zgłoszą się do ciebie. Bądź czujny. Ale pamiętaj też, że wśród twoich cierpień są i takie, którym musisz podołać aż do końca. Bóg zwraca zawsze uwagę na naszą dobrą wolę...

- Błagam cię, przestań... To ja, Pawka... Proszę cię na wszystko...

- Nie mam żadnej bomby. Mam pod kurtką grubą księgę *Świat, symboli chrześcijańskich*...

Rozmowa została przerwana. Paweł wstał, ale musiał się złapać stołu, żeby nie upaść. Nogi miał jak z waty. Napił się whisky. Poranione usta zapiekły. Ogarnęło go dziwne, aż do bólu wzruszenie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę jak bliski jest mu Irokez, którego znał od zawsze i którego, mimo woli, zawsze traktował jak dziecko. Bo wyglądał młodo, nie siwiał, nie miał zmarszczek i zawsze miał jakieś kłopoty. Boże, co on wygadywał? Marek, Pączek, Ola, agentami, ale czyimi? Co to za „oni”? Nie, przestań, nie daj się wciągnąć w tę chorobę. Irokez jest chory. A jeśli to jest prawda i moi przyjaciele od lat są kapusiami? Paweł czuł jak rośnie w nim złość, jak zaczyna

go dławić, rodzi szaleństwo, jakie miewają ludzie, którzy stale muszą tłumić swoje prawdziwe uczucia. Co bym zrobił, gdyby okazało się, że oni wszyscy zaszkodzili mi i przez nich miałem kłopoty? Podszedł do ściany, na której wisiała fotografia, na której był on, Marek, Irokez i Pączek; roześmiani, z wciągniętymi brzuchami, przeżący mięśnie. Widzi w przybliżającym się krążku światła, ognisko strzelające w ciemność purpurowymi iskrami, morze, które zabarwiło się na chwilę czerwienią, błyskające punkciki statków i kutrów rybackich, twarz Irokeza, który mówi:

- Teraz dużo myślę o micie Edypa. I dochodzę do wniosku, że ogłupiają nas politycy i wszelkiej maści kapłani. Politycy, bo ustanawiają prawa, chroniące ich interesy, a kapłani, ponieważ budują swoje imperia wpływu tylko po to, by kontrolować polityków, wiernych i przepływ pieniędzy.

- To dlaczego tak chętnie piszesz w pismach katolickich i biegasz na msze za ojczyznę? Bo w kościołach są kamery zachodnich telewizji, można sobie wyrobić układy i zarobić trochę marek albo dolarów?

- Marku, proszę, nie obrażaj mnie - mówi Irokez żałośnie, pociągając nosem. Zdejmuje okulary i przeciera je rękawem koszuli.

- Irokez, nie rób miny skrzywdzonego psa bernardyna, bo znamy te twoje zagrywki aktorskie - odzywa się Marek.

- Chyba nie obrazisz się na miesiąc? - diwi Paweł, bo Irokez potrafi nie odzywać się miesiącami, gdy ktoś, według niego, obraził go; wtedy nikt nic wiedział, co się z nim dzieje, bo nie otwierał drzwi, nie odbierał telefonów albo znikał u kumpla hipisa w Bieszczadach.

Irokez podrywa się z ziemi. Staje naprzeciwko Pawła. Wygląda przy nim jak krasnal.

- Wyszedłeś z więzienia, masz zszargane nerwy. Wiem, że musisz być traktowany na innych prawach, ale nie wtrącaj się, kiedy rozmawiam z Markiem.

Paweł czuje wzbierającą złość, która prawie zatyka, namawia do złego.

- Dlaczego traktujesz mnie jak przygłupa?! Co ma do rzeczy to, że wyszedłem niedawno z więzienia? Wyszedłem jako debil? Nie prowokuj, bo naprawdę się zdenerwuję i zrobię ci krzywdę!

Irokez siada przy ognisku. Co chwila zagryza wargi i pociąga nosem, nieomylny znak, że czuje się poniżony i nieszczęśliwy. Paweł zapala papierosa. Jest zły na siebie, że tak napadł na Irokeza; żałuje, że dał się namówić na mieszkanie w kurnej chacie i musi udawać, że zachwyca się łaciatą krową, uciekającym zającem lub znalezieniem robaczywego grzyba.

Marek rozlewa czerwone wino do plastikowych kubeczków.

- Panowie, na pohybel czerwonym. Do dna! Wypijają. Gdzieś z daleka dochodzi łoskot przejeżdżającego pociągu.

- Marku, weźmiesz ode mnie artykuł? - pyta Irokez oficjalnym tonem, w którym nadal pobrzmiewa uraza. - Niedługi, trzy strony maszynopisu.

- Ile chcesz? - pyta Marek, jedząc pieczoną na ogniu kiełbasę i starając się nie ubrudzić ubrania tłuszczem.

- Jak najwięcej - odpowiada Irokez szybko, ze wzruszeniem ramion. Gdy chodziło o pieniądze, potrafił wyklócać się o każdą złotówkę; zniknęła wtedy jego nieśmiałość, lubił przy tym powtarzać, że to komuniści nauczyli ludzi wstydzic się pracować dla pieniędzy.

Marek śmieje się głośno i dokłada gałęzi do ogniska.

- Nie zdziwię się, kiedy po twojej śmierci znajdą schowane pod podłogą brylanty i dolary. Na sto procent dojdiesz z nędzy do pieniędzy.

Irokez zakłada okulary. Pokaśtuje, marszczy brwi, jakby się nad czymś usilnie zastanawiał.

- Niedługo upadnie komunizm i powstanie problem, bo Ameryka i Rosja podziela świat między siebie... Rosja na wschodzie, Ameryka na zachodzie, a narody, znajdujące się między nimi, czyli i Polska, będą zbyt zdegenerowane, by wiedzieć, czym były kiedyś i jak się odrodzić. Ludzie będą pozbawieni energii, odzwyczajeni od myślenia, przerażeni tym, że będzie bezrobocie, trzeba będzie szukać pracy, przemieszczać się z miejsca na miejsce. Daję głowę, że tak będzie.

Marek klepie go mocno w dłoń.

- Przyjmuję twoją głowę. Drobne podarunki podtrzymują dobre stosunki między ludźmi.

- Impulsem był list Fryderyka Grimma do carycy Katarzyny...

- Ojej, nie osłabiaj mnie! - jęczy Marek teatralnie. - Chcesz, żebym się poczuł przy tobie jak kompletny nieuk?

Irokez uśmiecha się szelmowsko, jak chłopiec, który coś zbroił i cieszy się, że nikt tego nie wykrył.

- Precz ze smutkami, panowie! Róbmy coś, nawet ryzykując, że zostaniemy uznani za męczenników, bohaterów albo wariatów! W ostateczności zamkną nas...

- Irokez, wypłuj te swoje prorocтва, bo inaczej stwierdzę, że mózg nic jest twoim ulubionym organem! - śmieje się Paweł.

- O, wypraszam sobie, mam iloraz inteligencji geniusza i od szesnastego roku życia nie bawię się nieczystym!

Marek i Paweł wybuchają śmiechem. Wypijają wino z kubeczków, krzywiąc się, po czym kładą na trawie, spoglądając w rozgwieżdżone niebo.

- Przepraszam - odzywa się Paweł, alkohol przyjemnie buzuje we krwi, napięcie i złość minęły. Irokez jest zdolny, przyjacielski. W trudnych chwilach można na nim polegać. To on nie bał się i nachodził prokuraturę, wyklócając się, że są łamane prawa człowieka, próbując znaleźć sposoby, by mnie wypuszczono z aresztu.

- Kiedy się nareszcie ożenisz? - pyta Marek z rozbawieniem, opierając głowę o dłoń. - Będziesz miał posprzątane mieszkanie, śniadanie do łóżka, uprasowane koszule.

Irokez uderza się otwartą dłonią w czoło, że niby takie to dla niego zaskoczenie. Przewraca oczami.

- Co za cymes być ze mną? Jestem biedny, brzydki, niezbyt dobry w łóżku. No i jestem zazdrosny jak Otello. Już raz byłem dłużej z babą i co się stało? Zdradzała mnie. Mówiłem wam, jak się o tym przekonałem? Rano wstałem, zrobiłem śniadanie, zachowywałem się jak myszka, żeby jej nie obudzić. To był czerwiec, jechałem ze znajomym w delegację, dał mi zarobić, ale w tym żuku były nieheblowane deski i jak usiadłem, to rozwaliłem sobie spodnie na dupie. Poprosiłem, żebyśmy podjechali pod dom, włączę cichutko, żeby tej mojej nie obudzić... I co widzę? Męską dupę, leżącą na Bronce. Miłość, panowie, powoduje zawsze rany, które nigdy skutecznie się nie goją, bo miłość występuje zawsze obok brudu. To wymyślił stary, genialny Kafka. Przelecieli ją wszyscy, oprócz samolotu. Na stojaka, stole, podłodze, ale nigdy w łóżku. „Łóżko to dla dziadów, zgredów” - mówiła. To cud, że mogłem chodzić, mając tak ogromne rogi.

Paweł i Marek śmieją się głośno, prawie pokładają się ze śmiechu. Irokez patrzy na nich groźnie, lecz zaraz uśmiecha

się pod swoimi okularkami, przechylając na boki głowę i zacierając dłonie.

- Irokez, ty powinieneś zająć się aktorstwem komediowym - odzywa się Marek, ocierając łzy z oczu i co chwila parsając śmiechem. - Masz wybitny talent...

- Tak mówił ubek. Bez przerwy się śmiał. Nie wiem dlaczego. Zaczęło się od tego, że jak mnie zwinęli z ulicy i zawieźli na Mostowo, to na pytanie, jak się nazywam, odpowiedziałem, że z tego stresu zapomniałem. Na koniec stwierdził, żebym sobie wyrobił wariackie papiery, które dostanę od ręki, a wtedy nikt nie będzie mnie ścigał.

Marek grzebie kijem w ognisku. Chmara iskier strzela w niebo. Szumi morze, uderzając falami o brzeg.

- Kończy się nasza młodość, powinniśmy dobrze zarabiać, podróżować, a nie bawić się w konspirę, łązić na demonstrację i wydawać jakieś zasrane pisemko.

Paweł spogląda na niego zaskoczony. Irokez siada w kucki, kiwa się w przód i tył, jak dziecko cierpiące na sierocą chorobę.

- Mamy, jeszcze kilka lat... Trzeba oświecać umysły i czekać na dynamikę społeczną. Nastroje rewolucyjne przybierają na sile tym gwałtowniej, im większych udziela się im ustępstw.

- My tego nie dożyjemy - stwierdza Marek zmęczonym głosem, z westchnieniem.

Paweł podrywa się. Wszystko w nim drga. Złość wręcz dławi, nic może jej opanować.

- To ty wymyśliłeś to pisemko, ulotki, a teraz gadasz, że to wszystko jest bzdurą?! To ty gadałeś, że nie można stać z boku, trzeba walczyć, a teraz bierzesz ogon pod siebie?! To po co mi to wszystko, to siedzenie w pierdłu, nerwy?!

- Wybacz, to takie gadanie - odzywa się Marek po chwili cicho, nie patrząc w oczy. - Każdy ma zły dzień.

Pawłowi robi się gorąco, to znów zimno. Siada na trawie, nogi robią mu się jak z waty. Ma trudności z oddychaniem. Serce wali. Trzęsą mu się ręce.

- Nigdy tak nie mów, Marek... Nawet w żartach.

Irokez siada obok Pawła, co chwila poprawia okulary, otwiera kilka razy usta, ale nic nie mówi, tylko popatruje smutno na kolegów.

- Niech to szlag trafi! - Marek kopie jakiś niewidoczny kamień. - Jeszcze tego brakuje, żebyśmy się pokłócili. Paranoja.

- Nie było mnie kilka miesięcy i stwierdzam, że kompletnie się zmieniliście! - Paweł mówi coraz głośniejszym głosem, z coraz większą złością. - Gdzie twoja wiara w szczęśliwą gwiazdę?

Marek palił papierosy, mając jedenaście lat, pił tanie wina, bił się, nawet ze starszymi od siebie, kradł słodczyki w sklepach, okradał piwnice. Ocaliła go piłka nożna. Boisko było jedynym miejscem, gdzie czuł się szczęśliwy, bezpieczny i naprawdę podziwiany. Gdy miał niecałe szesnaście lat, pobił sąsiada, starego złodzieja recydywistę, który niedawno wyszedł z więzienia, za to, że uderzył w twarz jego matkę, a ten oskarżył go o pobicie, kradzież trzystu złotych i zegarka. Trener Marka załatwił, że był niecały rok w poprawczaku. Znęcali się nad nim wychowawcy, ale nigdy nic poprosił o litość. Po wyjściu, zaczął się uczyć w technikum wieczorowym, grał coraz lepiej w piłkę, jeździł na Zachód. Mając dziewiętnaście lat, grał w pierwszoligowej drużynie piłkarskiej. I wtedy naderwał ścięgno Achillesa. Trener, który traktował go jak syna, znalazł mu pracę w instytucie badawczym, wyreklamował od wojska i zapisał na wieczorowe studia.

- Chłopcy, co zjecie? - woła Ania, żona Marka, idąc od strony domu; ma na sobie długą, białą sukienkę, podkreślającą opaleniznę.

- Jak prosiłem, żebyś zrobiła coś do jedzenia, to powiedziałaś, że nie masz czasu! - odpowiada Marek, wygrzebując z ogniska pieczonego kartofla.

Z domu wychodzi Pączek z Olą. Idą objęci, zataczając się i usiłując śpiewać jakąś angielską piosenkę.

- Człowiek wie, że należy żyć nadzieją, bo jest ona zaprzeczeniem wiedzy - odzywa się Irokez takim tonem, jakby prowadził wykład. - Wiedza wpędza w pychę, domaga się odpowiedzi coraz precyzyjniejszych. I to bez końca. Tego uczy mit. Sfinks pojawia się przed każdym z nas...

- Co ty znowu wieścisz? - przerywa mu zaczepnie Pączek, nazywany tak od czasu, kiedy zjadł trzydzieści pięć pączków i musiano mu płukać żołądek. - Ciesz się, no, że masz co jeść, jest piękna pogoda i pijesz dobre wino. I to nie za swoje pieniądze. Znasz ileś języków, ale w żadnym nie gadasz nic mądrego, porąbańcu...

- To ty jesteś porąbańcem! Za bardzo lubisz pieniądze...

- Bo dają wolność.

- I dlatego zadajesz się z cinkciarzami, jakimiś ubekami?

- Głupi frajerku - Pączek staje nad Irokezem, łapie za kołnierz koszuli. - Zapomniałeś, że beze mnie nie byłoby powielacza, papieru, farby. Gdybym nie ja, to te swoje artykułiki mógłbyś pisać na ścianach publicznych sraczy...

- To by się jeszcze okazało!

- Ja mam zawód, frajerku, mogę wyemigrować, kiedy chcę. Faceta, znającego się na drukowaniu, samochodach i elektryczności, weźmie do roboty każdy na Zachodzie...

- Na Zachodzie, śmiechu warte! - przerywa piskliwie Irokez, ale nie widać, żeby się bał. Taki był od dziecka;

wiedział, że dostanie lanie, ale jeszcze dogadywał, nie tchórzył.

- Marek, powiedz temu frajerkowi, żeby się zamknął, bo inaczej będzie straszył przerwą w zębach...

- A kto ci, geniuszu techniki, rękę rozbija? - wykrzykuje Irokez za plecami Marka, pewny, że w razie bójki ten na pewno go obroni.

- A co ja jestem waszym ojcem?! - denerwuje się Marek.
- Ciągłe muszę coś rozstrzygać, decydować, pomagać. Już mam tego, kurwa, po dziurki w nosie!

Marek rzuca na ziemię tackę z niedojedzonych kartoflem i odchodzi; zgarbiony, zwałisty, kołysząc się na boki, po czym wchodzi do domku rybackiego.

- Co mu się stało? - pyta Irokez bezradnie. Zawsze potrzebował kogoś, kogo mógłby prosić o radę albo podjęcie decyzji. W szkole podstawowej i średniej, ponieważ był jedynakiem i nie miał starszego brata, zwracał się o to do Marka. Na studiach do Miszy, krostowatego chudzielca, który po osiemdziesiątym dziewiątym roku został oficerem służb specjalnych i zaczął nie znosić Irokeza, uważając go za wariata i gangstera, później wreszcie do Pączka. Podziwiał ludzi pewnych siebie i stanowczych. Ale wiedział też, że mają oni pełno wrogów. A on chciał, żeby wszyscy go lubili.

- To frajer jeden! - wścieka się Pączek - Co rusz popisuje się jakimś cytatem i uważa za geniusza. Przez takich jak on jest burdel na świecie. Za chwilę nie będzie komuny, a on pisze o powstaniu styczniowym albo insurekcji kościuszkowskiej. Głupotami mózgi ludziom lasuje. Intelktual pojebany...

- Nic za naszego życia upadnie komuna! - stwierdza Irokez, tym swoim charakterystycznym tonem człowieka, który wszystko wie najlepiej, a Paweł przez chwilę zastanawia się, czy mówi to, by podlizać się Markowi, czy też chce

zdenerwować Pączka. - Twierdzenie, że komuna ma plan, obmyśla, jakby tu oddać władzę, jest zbrodnią...

- No nie, zaraz zwariuję! - Pączek rozkłada ręce i teatralnie wznosi głowę ku niebu. - I takie półmózgi nazywają siebie elitą...

- Chcę ci przypomnieć, że mam dwa fakultety, znam biegle kilka języków i przeczytałem minimum pięć tysięcy książek...

- I co masz z tego? Lepiej dymasz, masz więcej bab albo forsy? Tylko okulary jak denka po piwie!

- Może się założymy, że mam rację?

- A co masz do przegrania? - Pączek prycha pogardliwie.

- Tylko łupież.

- Cykasz, mądralo...

- Dobra.

- Dobra to jest świńska dupa w chrzanie - próbuje się odcinać Irokez, używając słownictwa Pączka.

- Sto dolarów i trzy butelki dobrej whisky.

- Gra muzyka.

Podają sobie ręce. Ania przecina zakład. Ola, która stoi z boku, przy ognisku, śmieje się, zakrywając usta dłonią.

- Chłopcy, a teraz coś zjedzcie - odzywa się Ania. - Czas na kolację...

- Zwyczajny hydraulik jest mądrzejszy od ciebie - przerywa jej Pączek, który nigdy Ani nie lubił i nie krył się z tym. - Gdyby nie twoi starzy, no, którzy przysyłają ze Stanów dolce, to byś skończył na śmietniku. Co ty umiesz robić, oprócz czytania książek i pisania artykułków?! Nawet nie umiesz wbić gwoździa w ścianę...

- Pączek, zamknij się! - wrzeszczy Paweł, bo ma już dosyć uczestniczenia w tej swoistej psychodramie; tych dni pełnych wina, zastanawiania, kto jest na pewno konfidentem, kłótni, gadania o polityce.

Pączek rzuca butelkę po winie w krzaki.

- Przepraszam, ale wkurwia mnie to pieprzenie o niczym, to bicie piany! Czy uczciwy listonosz będzie umiał kierować pocztą? Uczciwy sędzia sądem? Trzeba facetów z jajami, którzy nie będą się bali, w razie czego, kogoś stuknąć. Inaczej nic będzie to normalny kraj, tylko anarchia. Jak przed zaborami. Potrzeba z dywizjon takich Piłsudskich...

- Jaki sens mają dyskusje, kto przejmie władzę po komunistach i jak należy wtedy rządzić, skoro oni nie zamierzają jej oddawać, gnoją w więzieniach uczciwych ludzi, a cały świat jest gotowy dać im dupy - odzywa się Ola, jej głos podoba się Pawłowi; trochę zachrypnięty, bluesowy. Ma ochotę dotknąć jej ręki, sprawdzić, czy w tym obłoku smutku naprawdę toczy się krew. Ciekawe, czy Pączek i ona są parą, myśli, ale to go nie obchodzi, chce tylko położyć się do łóżka i zasnąć, bo wino już na niego nie działa i znów czuje dołujący smutek, rozsadzający klatkę piersiową.

Pączek obejmuje Irokeza. Całuje w policzek z pijacką wylewnością.

- Wybacz, koleżko... Diabeł mnie podpuścił. No, musimy trzymać się razem. Dobrze nawijam, Pawka?

- Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich! - odpowiada Paweł, siląc się na wesołość, bo nie chce, żeby zauważyli jak naprawdę się czuje; przestali traktować jak twardziela, którego nie złamie nawet więzienie.

- Moczymordy, do domu! - rozlega się z ciemności głos Marka. - Przez was nie słyszę „Wolnej Europy”.

Ania żartobliwie tarmosi Pączka za ucho.

- Duży chłopiec, a nie wie, że alkohol rozwala system nerwowy?

- Co ja zrobię, że nie znam umiaru? Lubię się upodlić, sponiewierać, żeby bańka pękała...

- Dobrze, Rysiu, jutro mi wszystko opowiesz - Ania całuje Pączka w policzek i obejmuje w pól. - Teraz umyj się, wyszoruj zęby i lulu. Jak grzeczny chłopiec.

- Dobranoc - mówi potulnie Pączek, rozciągając sylaby, a Wtóruije mu Irokez, po czym idą w stronę domu, chwiejąc się i podtrzymując co kilka kroków. Raptem Pączek przystaje i mówi, grożąc palcem: - Wy jesteście solą dla ziemi. Lecz jeśli sól utraci swój smak, czymże ją posolić?

- Gites, Rysiu, tylko nie uwalaj się na moim ramieniu, bo zaraz się przewrócimy...

- Jestem jak John Wayne, symbol szlachetnego kowboja!
- wyśpiewuje Pączek w rytm tylko sobie znanej melodii. - Jestem człowiekiem prostym, bez tajemnic, i wierzę w tlen, energię i prawdę. Obstawę przy tym i dlatego zawsze ląduję na cztery łapy. I gdzieś mam intelektualistów i innych posrańców!

- A ja wyśpiewuję, że uwielbiam jeść i że życie jest piękne! I widzę rzecz)' lepsze i pochwalam je, idąc jednak za gorszymi! - wydziera się Irokez, który za kilka lat postanowi zostać bogaczem, pożyczyci pieniądze od Pączka i zacznie handlować na Stadionie Dziesięciolecia ubraniami sprowadzanymi z Tajlandii, kupi sobie starą limuzynę amerykańską, w której będzie wyglądał jak karzeł, obroni doktorat z historii, aż wreszcie zostanie restauratorem. I będzie nim dwa lata, wyprawiając raz w miesiącu przyjęcie dla znajomych z podziemia, dopóki ktoś nic podłoży w nocy bomby i knajpa się spali.

- Naprawdę znacie się od dzieciaka? - pyta Ola, popijając wino łyżkami. Widział ją kilka razy, wiedział, że jest daleką krewną Ani, ale dopiero teraz zauważa, że jest bardzo ładna; klasyczne rysy, duże, brązowe oczy, jakby zdziwione i nieobecne, ładne dłonie. Mogłaby być trochę niższa, myśli. Ile może mieć lat? Dwadzieścia pięć, sześć?

Dotyka dłoni Oli. Jest chłodna. Dziewczyna przechyla głowę. Zaczyna bawić się niebieską klamrą, wpiętą w jasne włosy.

- Wychowaliśmy się na jednym podwórku i chodziliśmy do tej samej klasy w podstawówce.

Milczą, patrząc w oświetlony prostokąt pokoju, po którym krząta się, rozebrany do pasa Marek, to znów na Anię rozwieszającą pranie, tuż przy drzwiach rybackiego domku.

- Marek był waszym szefem?

Paweł zwleka z odpowiedzią, bo nie chce jej opowiadać o tym wszystkim, co ich łączy i co pamięta.

- Najlepiej grał w piłkę nożną i najlepiej się bił. Sprawiał lanie każdemu, kto nas pobił... Ale kochaliśmy się w innych dziewczynach.

- Czyli rzeczywiście wszyscy za jednego, jeden za wszystkich. Jak muszkietierowie... To dlaczego to ty poszedłeś siedzieć, a nie wszyscy?

Zapala się w nim czerwone światełko: dlaczego ona tak wypytuje?

Szczuje mnie na chłopaków, chce, żebym zaczął ich podejrzewać? Może to agentka? Bezpieka na pewno ma mój rys charakterologiczny, wie, że lubię taki mimozowaty typ urody. A jeśli nawet jest konfidentką, to co z tego? Co może mi zrobić? Milczą, patrząc na czarną taflę morza, oświetlaną wojskowymi reflektorami, a wówczas powierzchnia wody wygląda jak zwoje mózgowie, a Paweł, wbrew sobie, broniąc się, wchodzi w ten nastrój, słyszy coraz wyraźniej kroki przechadzającego się po pokoju esbeka i jego charakterystyczny, niski głos:

- Ja wiem, że chciałeś dobrze; żeby ludziom było lepiej. Dobrze opłacana praca, paszporty, prawa człowieka i obywatela. Takie pierdolenie o Szopenie. Wydawało ci się, że pomagasz ojczyźnie, walczysz, jak rodzice i przodkowie, o

wspaniałe ideały. Tylko jest szkopuł... Oni nie współpracowali ze szpiegami.

- Kto jest niby tym szpiegiem?

- A twój przyjaciel Mareczek. Myślisz, że my nie wiemy o tym, że on dostaje pieniądze od CIA?

- Gdyby je dostawał, to nie mieszkałby w dwóch pokoikach z żoną i dzieckiem.

- O, on jest cwaniakiem. Inni od razu szaleją, kupują mieszkania, wille, dacje. On nie. Przyczaił się... Nic znasz go, on tobą manipuluje. Masz tu długopis i opiszesz swoje przestępstwa.

- Nie popełniłem żadnych przestępstw.

- A ulotki, koperty z pieczętkami „Solidarności”, znaczki, gazetki, to psi fiut?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Przecież to wszystko znaleźliśmy u ciebie.

- Nic było mnie wiele dni w domu. Ktoś mi to wszystko podrzucił. Klasyczna prowokacja...

- A kto miał to zrobić?

- Nie wiem.

Esbek śmieje się głośno, szczerze.

- Oj, widzę, że gubi cię pycha, bo wydaje ci się, że jesteś lepszy ode mnie. Że jesteś dobrym człowiekiem. I tu popełniasz wielki błąd, ponieważ człowiek, kiedy staje się pewny swojej cnoty, zamienia się w potwora, tyrana, zbrodniarza. Bo człowiek jest wielki tylko w swoim upadku.

- Po co to filozofowanie? I tak niczego nie podpiszę.

- Nie poszedłeś do wojska, kiedy nie dostałeś się na studia, bo lekarze stwierdzili, że jesteś chory na głowę. Osobnik nerwicowo-neurasteniczny z zaburzeniami układu krążenia. Przecież wiesz, że oni z chorego robią zdrowego. To jak musisz być świrnięty, skoro od razu dali ci papier, że jesteś wariatem? Tylko wydaje ci się, że jesteś taki odważny,

twardziel. Po prostu superman. Naprawdę jesteś pojebusem, chorym psychicznie klientem, który pewnego dnia zeżre fiolkę wynalazków albo się powiesi. Wiesz, dlaczego cię rzuciła, wyjechała na Zachód ta twoja Gabi? Bo stwierdziła, że jesteś zerem, wariatem. Nic z ciebie nie będzie. Nie chciała zmarnować sobie życia, gnić przy świrusie. Rzuciła cię jak parszywego kundla. Teraz dyma się z bogatymi facetami i sra na ciebie. Czy przysłała ci choćby kartkę na święta? Nie... Posiedzisz kilka miesięcy w areszcie i wyjdiesz... Wyjdiesz do wariatkowa. A teraz, kurwa, pisz. Z kim drukowałeś, z kim się spotykałeś, komu oddawałeś te swoje rysunekzki...

- Niczego nie będę pisał.

- Na początku wszyscy tak mówią. Potem przypominają sobie i piszą całe tomy. Jakby byli Tolstojami albo Dostojewskimi. Nie było wypadku, żeby ktoś, kogo obrabiam, niczego nie napisał i nic podpisał. Przecież za coś tego kapitana dostałem, nie?

- Dobrze, napiszę... Napiszę, że odmawiam zeznań.

- Słuchaj, piździelcu, przesłuchiwałem już pełno misiów, którzy nawijają obcymi językami, mają tytuły naukowe, wałą towary, pod które przeciętny Kowalski może jedynie trzepać kapucyna, ale gwarantuję ci, że właśnie tacy najszybciej pękają. Wystarczy ich wrzucić pod celę z recydywą, co to lubi takich inteligenciaków posunąć w dupala, a już pękają i śpiewają jak kanarek. To nie ja, panie kapitanie, to mój kolega, on mnie zmusił. Żałuję, nie miałem wyjścia, nie wiedziałem, co robię. Dlatego mówię po dobroci: nie kozakuj, pucuj się, to nie będziesz miał kłopotów.

- Co znaczy to pucuj się?

- Oj, nie świruj, Pawełku, nie świruj. Znasz to słownictwo. Twoi koledzy ze szkoły podstawowej, z gry w piłkę, to znani złodzieje i bandziorki. Słoń, Łysielec, Włodar, Kisiel. Mam wymieniać dalej? A twój przyjaciel Marek też

zna grypserkę. Jeszcze z poprawczaka. A swoją drogą, to dziwię się, że ty, chłopak z dobrej rodziny, porządny, z zasadami, przyjaźnisz się z kimś, kto kiedyś napadł na człowieka i okradł go...

- Pan dobrze wie, że ten złodziej, który oskarżył Marka, był waszym konfidentem...

- Może był, może nie był. Marcczek poszedł do poprawczaka z takim zarzutem. I to będzie się za nim ciągnęło do końca życia. A teraz wróćmy do ciebie, Pawełku. Ja naprawdę bardzo dużo wiem o tobie. W którym roku chorowałeś na świnkę, ospę wietrzną, ile razy na zapalenie płuc. Ba, kiedy pierwszy raz umoczyłeś ogórka. Nie wierzysz? Na wakacjach. Miałeś siedemnaście lat. Z córką kumpla twojego ojca... Zosia, Żydóweczka, jest teraz w Szwecji. Mam opowiadać dalej?

Paweł przygląda się esbekowi, jakby siedzieli w kawiarni albo na ławce w parku. Wyzywa mnie, straszy, co chwila wymachuje pistoletem, jest przekonany, że może zrobić ze mną wszystko, co chce, tymczasem nad nim też jest ktoś, kto może na niego wrzeszczeć, kazać utopić, otruć, powiesić, spowodować zawał serca. Paweł śmieje się cicho i rozpira w krześle.

Kapitan podchodzi i kładzie mu rękę na ramieniu, po czym pyta z troską:

- Żlc się czujesz? - Nie.

- To co ci tak, kurwa, wesoło?! - wrzeszczy esbek i wali pięścią w biurko. - Świrujesz wariata?

- Nie muszę udawać. Sam pan powiedział, że jestem psychicznie chory.

- Oj, nie przeginaj, Pawełku. Nic przeginaj. Możesz tego żałować do końca życia. Z czego się śmiałeś?

- Wyobraziłem sobie, że siedzi pan na sraczu, napina się, stęka, czerwienieje na twarzy...

- Nie graj w kulki, bo się Wkurwię. Radzę po dobroci.

- Dobrze, porozmawiajmy... Czy Zosia nadal lubi ajerkoniak i naleśniki z serem?

- Oj, chyba będę musiał cię wrzucić pod celę z recydywą, a oni wydymają cię na wszystkie otwoiry. Będziesz gubił gównem jak kartofle. A później cię wypuszczę, Pawełku. Do tej pory nikt nie poszedł siedzieć z twoich koleżków. Ale jak wyjdiesz, to nastąpią aresztowania. Do tego agentura puści informację, że sypiesz. Wyjdiesz, a tu ludzie odsuną się od ciebie jak od trędowatego. I co zrobisz? To będzie twój koniec...

- Tyle razy obiecywałam sobie, że będę się odchudzać i wciąż łamię przyrzeczenie - wzdycha Ania, siadając obok Pawła i Oli, kładzie na kolanach tackę z ryżem i warzywami, zaczyna jeść. - A już słodczyce to mój narkotyk.

Paweł przygląda się jej, jakby zobaczył po raz pierwszy: wysoka, tęga, ładna, chociaż nie dba o siebie. Marek ciągle zmieniał dziewczyny, a wybrał ją, milczka. Ania miała prawie trzydzieści lat, tytuł magistra filologii polskiej i piękne, zielone oczy. Kochała książki, ukradkiem pisała wiersze i wysyłała je na różne konkursy. Jej ojciec miał kilkanaście hektarów ziemi, uprawiał pomidory i cebulę, matka była urzędniczką w gminie. Marek poznał Anię przez Pączka, którego ojciec pochodził z tej samej wsi i miał tam rodzinę. Straciła z nim dziewictwo, zachodząc od razu w ciążę. Wesele odbyło się w ogrodzie. Było ponad stu gości, trwało trzy dni, a Irokez zaraził się chorobą Weneryczną od siostry ciotecznej Ani.

Paweł przytula Olę. Czuje ciepło jej ciała. Rozlewa się w nim tkliwość. Znowu wchodzi do kawiarni, w których umawiał się z Gabi, odwiedza miejsca, gdzie mieszkali. Nie, to niemożliwe, ona jest ze mną, zaraz przyjdzie, obejmie,

spojrzy śmiejącymi się oczami i powie: „Ale ci zrobiłam psikusa, co? Naprawdę myślałeś, że już nigdy nie wrócę?”

- Gdy rodzi się dziecko, człowiek znów się poniza, walcząc o żłobek, przedszkole, zdobywając pieluchy, trochę mięsa i kiełbasy, lekarstwa - rozlega się bełkotliwy głos Pączka, obok niego stoi Irokez. Chwieją się na nogach, żarówka nad drzwiami oświetla ich, butelka z winem krąży z rąk do rąk - Ciągłe trzeba się gdzieś wcisnąć, wyrwać, coś wybłagać. No, jak żebracy.

- Ojej, znowu ci pijacy - wzdycha Ania. - Normalni faceci gadają o babach i piłce nożnej, a ci tylko o polityce.

- To polska choroba - stwierdza Ola, a Paweł kładzie się na trawie; spadają gwiazdy, szczekają psy.

- To co proponujesz, mądralo? - Irokez buja się w przód i tył, próbując zachować równowagę.

- Nie wolno się układać z komuchami i trzeba się uczyć o akcjach, giełdzie, obligacjach, papierach skarbowych. Robię to codziennie. I tak jak Reagan czytam do snu dwie strony Gildera *Bogactwo i ubóstwo*. Trzeba czekać, parszywy system się rozwali, zrobić Norymbergę...

- Wojny i rewolucje są marzeniem prostaczków, mój ty niemądry przyjacielu Pączku, bo umożliwiają im zostanie męczennikami albo bohaterami...

- Spać do jasnej cholery! - wrzeszczy Marek, wychylając się przez okno. - Zrywam was o siódmej i za karę robicie śniadanie!

Irokez i Pączek stoją przez chwilę, nie wiedząc co robić, po czym wchodzi do rybackiego domku. Trzaskają drzwi. Ania okrywa się kocem. Bawi wisiorkiem, wiszącym na szyi.

- Nie poznasz wielu ludzi, coraz częściej mówi się o pieniądzach... Chcesz wydrukować książkę albo kalendarz, byle co, podziemny drukarz zaraz pyta za ile...

- No i co z tego? - Paweł wzrusza ramionami; rodzi się w nim rozdrażnienie. - Jak są pieniądze, to dlaczego nie płacić za pracę? Robić coś pożytecznego i jeszcze zarabiać pieniądze, to idealny układ.

Ania wpatruje się natarczywie w jego profil, jakby spodziewając się, że powie coś więcej, lecz on milczy.

- Ja nie umiem się przestawić, bo żyję tym, co było na początku „Solidarności”. Wtedy była euforia, pracowało się dla idei i nikt nie pytał o pieniądze.

Ania wstaje, zapina sweter, poprawia spódnicę. Pokasłuje.

- Jak dajecie sobie radę? - pyta Paweł, żeby zatrzeć tę sprzeczkę; zaczyna tęsknić za zapachem farb, ulubioną muzyką, samotnością.

- Marek pracuje w Instytucie, a ja dorabiam korepetycjami. Wegetacja. Ale zmieniłam się. Już nie jestem tak zręczliwa. Nie czepiam się... Nie ma w tym prawie mojej zasługi. Po prostu poddaję się losowi. Wiesz, był taki okres, że bez przerwy bałam się, że Marka zamkną i co wtedy zrobię? Sama, z dzieckiem.

- A Pączek nadal pracuje w warsztacie stolarskim swojego stryja?

- Tak... I za dużo pije. Po wódce obraża ludzi, wyzywa od kapusi, ubeków.

- Może i ma rację - Paweł uśmiecha się. Zawsze cenił Pączka za to, że potrafił mówić, co myśli. Bez niego działalność ich grupy byłaby niemożliwa. Przypadały na niego najtrudniejsze zadania: wyjazdy w teren, kontakty z innymi grupami podziemnymi, zdobywanie papieru, wymiana usług drukarskich i wydawniczych. Skromny i precyzyjny w działaniu. Był drukarzem, ale gdy było trzeba, to malował napisy na domach, rozlepiał ulotki i plakaty. Rzadko mówił o polityce, bo nie lubił zajmować się teorią.

- Broń Boże nie osądzam go. To dobry chłopak, zawsze można na niego liczyć. Ale mniejsza o niego. Ja się martwię o Marka, bo on jest idealistą, a polityka jest brudna. Także po naszej stronie. On się do tych intryg, knucia i koterii nie nadaje.

- Przesadzasz! - Paweł wznisza ramionami i ziewa, zakrywając usta dłonią. - On nie jest taki łatwowierny.

Ania przygląda się Pawłowi, który dorzuca gałęzi do ogniska. Na jej twarzy pojawia się nowy wyraz: zaradności, desperacji i swoistej chytrości.

- Sam powiedz, Pawka, co może robić w komunie polonistka, która nie należy do partii i nie ma wpływowych rodziców? Zostaje uczenie w szkole za marne grosze. Jestem chora, kiedy muszę patrzeć na te nauczycielki, użerać się z analfabetami... Do konspirowania nie nadaję się. Nie będę odgrywała bohaterki, bo jestem za nerwowa i boję się bicia... Marek zwodzi mnie, że tak, wyjedziemy, ale gdy dziecko skończy pięć lat. Ja wiem, że nigdy nie wyjedzie z Polski. Aleja wyjadę. Uczę się angielskiego...

- Ja też jestem w dziwnym momencie - odzywa się Ola, wstaje i grzebie kijem w ognisku. - Dwa tygodnie temu wróciłam z Paryża, chociaż miałam zostać na stałe... Zachód to bezduszny materializm, zimne i mechaniczne poleganie na prawie, brak moralnych hamulców, ludzie nastawieni na sukces. Tylko sukces i pieniądze. Tu, w Polsce, zawsze trzeba swój czyn osądzać. Wobec siebie, sumienia, innych. Tutaj jeszcze ludzie myślą o innych. Nawet jeśli są niesympatyczni i ponurzy. I najważniejsze to kochać. Nawet martwe przedmioty.

Paweł spogląda w zmrużone oczy Oli, na jej szczupłą, opaloną twarz, na te niezwykle, lśniące włosy w kolorze morskiego piasku i uświadamia sobie, że jest mu dobrze, rozmawiając z nią i patrząc na nią, i wie, że może się wplątać

w kłopoty, ale nie wywołuje to w nim popłochu. Ania obejmuje go, przytula do siebie.

- Każda minuta, którą przetrwałeś w więzieniu, dodawała nam wszystkim nadziei. Twoje świadectwo, człowieka, który przetrzymał tak dużo, jest dowodem na to, że istnieje coś, dla czego warto żyć... Nagle człowiek, mający chwilę słabości, pyta: „Dlaczego on przetrwał, przecież miał prawo się załamać? Ale proszę, nikogo nie wsypał i nie dał się złamać!”. I dochodzi do wniosku, że musiałeś przestać ograniczać się do swojego ja.

Paweł jest wzruszony. Wie, że dobrze byłoby coś powiedzieć, ale brakuje mu słów. Ona całuje go w policzek.

- Nic daj się już zamykać... No, idę do tego mojego wściklicy, który zrobił się zazdrośnikiem, a wtedy mam ochotę zbić go na kwaśne jabłko, bo myślę, że traktuje mnie jak coś własnego. Jak biurko, płyty, piłkę.

„Marek zazdrośny, to coś dziwnego” - myśli Paweł ze zdziwieniem, bo to nic pasuje do obrazu przyjaciela, który zna.

- Chcesz, żebym z nim porozmawiał? - proponuje i zaraz tego żałuje, bo nigdy nie mieszał się w życie osobiste swoich przyjaciół.

- Broń Boże! - Ania macha ręką i na mgnienie na jej twarzy pojawia się przestach. - To dobranoc... I nie zapomnijcie zamknąć na noc drzwi. A jak chciałoby wam się pić, to w kuchni, pod oknem, jest zsiadłe mleko. To pa.

Stale o kogoś się troszczyła; zdobywała lekarstwa, obdarowywała kawą, butami albo ciepłym swetrem z zagranicznych paczek. Działała w niezliczonych komitetach i organizacjach kościelnych. Wyglądało na to, że jedynym jej celem jest czynić wokół dobro. Jedenaście lat później, kiedy Ania będzie od dwóch lat w Kanadzie, a Marek zostanie posłem, powie Pawłowi, po dużej ilości whisky, że była

konfidentką służby bezpieczeństwa. Została nią, kiedy Marek siedział w więzieniu na początku stanu wojennego, a kapitan Matysik złamał ją groźbą, że jeśli nie będzie kapowała, to zostanie także aresztowana, a ich dziecko zostanie oddane do sierocińca. Z czasem polubiła pisanie raportów i kapitana Matysika, w którym się podkochiwała. W zamian dostawała kawę, alkohol i zagraniczne lekarstwa. Załatwiono jej także i to, że dostała wyróżnienie na prowincjonalnym konkursie poetyckim. Najbardziej, jak się okazało później, kiedy Paweł przeczytał swoją teczkę, którą dostał z Instytutu Pamięci Narodowej, nie lubiła właśnie jego. Charakteryzowała go jako seksoholika, pijaka i wyjątkowo sprytnego człowieka pozbawionego zasad moralnych. Sugerowała, że może być agentem któregoś z zachodnich wywiadów...

- Jesteś z kimś? - pyta Ola, biorąc od Pawła papierosa i śmiesznie się zaciągając. Wystrzelona rakieta oświetla na chwilę niebo i morze.

- A masz ciekawą propozycję? - Paweł nie czuje zdziwienia, bo przeczuwał, że takie pytanie padnie, a może nawet zdarzy się coś więcej.

- Podobno byłeś przez wiele lat zjedną kobietą i bardzo się kochaliście... Po takiej miłości trudno być z kimś innym.

- Dlaczego o to pytasz?

- Ciekawią mnie ludzie - Ola wzrusza ramionami i wrzuca papierosa do ogniska. - Ale układy między kobietą a facetem są nudne. Ktoś mówi: Jezu, nie chcę żyć solo, łączę po kawiarniach, parkach, jeżdżę do sanatoriów, ale nie mogę spotkać tej drugiej połówki”. A prawda jest prozaiczna. Tę połówkę dawno spotkali i zawsze znaleźli powód, by ją zdyskwalifikować albo od niej uciec. I tak będą brnęli, myśląc z rozpaczą, że są samotni. To właśnie czynimy całe życie. Zwodzimy się w uczuciach, w układach z rodzicami, partnerami.

Paweł wrzuca gałęzie do ogniska. Iskry pikują w górę i zaraz gasną. Ola pochyła się, patrząc z zagadkowym uśmiechem w ogień. Ona wcale nic jest naiwna, tym bardziej afektowana, myśli Paweł i znów zapala się w jego głowie ostrzegawcza lampka. Zadrwiła ze mnie, udaje inną, niż jest, prowadzi grę, bawi się tą sytuacją?

- Zawsze jesteś tak małomówny, pasywny i nieufny?

- Nie wiem.

Obejmuje go. Muska wargami w policzek. Ładnie pachnie; słońcem i dobrymi perfumami.

- Jesteś, jak większość kobieciarzy, stale podejrzliwy. Nie mogłabym się z tobą zaprzyjaźnić. Nie ma w tobie naturalności.

- Miłości i przyjaźni się nie szuka. Jest albo jej nie ma - odpowiada Paweł z irytacją, chociaż tego nie chce. Drażni go ta dziewczyna, ale i pociąga.

- Większość kobiet boi się facetów, ale ja nimi gardzę... - Jesteś lesbijką? - próbuje być kpiący, zaczepny.

- Nie, ale może kiedyś - śmieje się cicho, mrużąc oczy. - Podrywasz mnie...

- Ja, żarty sobie robisz! - wzrusza ramionami. Sam nie wie, czego od niej chce. Czerwieni się i kaszle nerwowo.

Ona przyciąga go do siebie. Całuje w policzek, potrząsa żartobliwie. Znowu go obejmuje i całuje długo w usta.

- Dobranoc - mówi wreszcie i odchodzi, wyprostowana, nie oglądając się za siebie. Ma ochotę zatrzymać ją, powiedzieć, że tęskni do tego, by mieć kochaną kobietę i dom daleko od wszystkich. Siada przy dopalającym się ognisku. Zapala się światło w pokoiku, w którym mieszka Ola. Przechodzi przez niego dreszcz. Otula się kurtką i zaczyna cicho pogwizdywać.

- Pawka, Pawka - słyszy głos z ciemności. Odwraca się zaskoczony.

- To ty, Irokez?

- Idź w moją stronę, w mrok, żeby nikt nas nie widział.

Staje przed Irokezem, który patrzy mu prosto w oczy, jakby chciał poznać jego myśli.

- Dlaczego nie śpisz?

- Słuchaj, nikomu nie wierz. Nikomu. Nic się nie dzieje przypadkowo. Zawsze jest jakaś przyczyna i konieczność...

- To znaczy?

- Pomyśl, a sam do tego dojdiesz. Świat nie jest idealny, ale prawie wszystko zależy od człowieka. Nie wierzę w fatum i miejsca, gdzie ludzie rodzą się i znikają bez śladu. Tylko, że nic nie przychodzi bez pracy nad sobą. Doskonaleniem siebie. Przyszedł czas, by zastanowić się nad sobą. W którym miejscu się jest i co się chce osiągnąć.

- To wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

- Czy zastanawiałeś się, dlaczego zostałeś aresztowany? Skąd tyle wiedzieli o tobie?

- Owszem... Ktoś wśród nas kapuje.

- To wiadomo! - Irokez macha ręką ze zniecierpliwieniem. - Ale to jest drobiazg. Niedługo, Pawka, dużo się zmieni. Pojawi się nowa klasa. W polityce i biznesie. To będzie prawdziwa władza i prawdziwe pieniądze. Senat, prezydent, a ci, którzy będą na górze biznesu, ludzie służb, będą obracali miliardami dolarów...

- Jeszcze niedawno kłóciłeś się z Pączkiem, że nic się nie zmieni...

- Eee tam, podpuszczałem go, żeby wychylił się, ile on wie. Oni chcą, żebyś był z nimi. Jesteś zdolny, nie zламаłeś się, podobasz się babom...

- Nie myślę o nich...

- Odpoczniesz, pojesz obiadków u mamy, kotletów Schabowych i znów rzucisz się do polowania. Poza tym ludzie cię lubią. Zaproponują układ, że jeśli będziesz z nimi, to na

starcie będziesz miał przewagę. Będziesz miał galerię albo fabrykę. Ale z tego się nie wychodzi. Nie można się wycofać. To jak podpisanie cyrografu z diabłem. Pieniądze, sława, powodzenie, przebywanie wśród rządzących, ale i posłuszeństwo. A jak nic, to śmierć. W rzece, w lesie, w wypadku. Oni stworzą nową elitę. Rotacja będzie obejmowała całe społeczeństwo, bo oni uważają, że elity są niczym złoty piasek. Im więcej chce się pozyskać złota, tym więcej trzeba wypłukać piasku.

- Ciebie też chcieli zwerbować?

- A jak myślisz? - głos Irokeza stał się nagle chłodny, obcy.

- Chcieli.

- Odmówiłem. Ale wiem, że nie odpuszczą. Znają mój charakter. Wszystkie słabości...

- Jak to wszystkie? Co ty pierdolisz? Siedzą w twojej głowic?

- Jestem brzydki, ale mogę sobie kupić najpiękniejszą kobietę. A więc nie jestem brzydki, bo odpychająca siła mojej brzydoty została zniwelowana przez pieniądze. Pieniądze zamieniają moje życzenia w rzeczywistość. I to jest ich prawdziwa, twórcza siła. Rozumiesz?

- Czyli za szmal pójdziesz na układ?

- Oj, Pawka, Pawka... Żądasz prostych odpowiedzi. Życie nauczyło mnie, że nic ma białego i czarnego. Nie ma złego człowieka i dobrego. I nie ma ludzi czystych. Są tylko stany pośrednie. Odpowiem ci inaczej... Kiedy jest wojna, zwycięża ten, kto zdobędzie zaufanie wroga. A jak to zrobić? Uratować mu życie.

- Namawiasz mnie, żebym zgodził się i prowadził swoją grę, był na tyle przebiegły, żeby, w ostatecznym rachunku, być górą, osiągnąć to, co się chce?

Irokez rozkłada ręce. Wtula głowę w ramiona.

- Wybór należy do ciebie.

Paweł patrzy w okno pokoiku Oli. Jest mu zimno, czuje przygnębienie i nie chce mu się już rozmawiać z Irokezem. Gdy człowiek czegoś nie rozumie, to przynajmniej może mieć złudzenia, że istnieje tajemnica, myśli i rozlewa się w nim przygnębienie. Znowu czuje się nikim, zaczyna bać, że już nic pięknego nie przeżyje, ani nie zobaczy.

- Cześć - odzywa się nagle Irokez, odwraca i idzie w stronę plaży. Paweł stoi przez chwilę, wsłuchując się w szum morza, i ma wrażenie, że go nie ma. Nic nie dzieje się naprawdę. A później, kierowany impulsem, puka do drzwi pokoiku Oli. Jest duszno, pachnie rozgrzaniem drewnem. Skrzypi podłoga. Ola leży na niskim łóżku. Rozpuszczone włosy sięgają połowy pleców. Jest ubrana tylko w długą, białą koszulę nocną. Wstaje, nie patrząc na niego. Podchodzi do niej. Kładzie dłonie na jej ramionach. Są równi wzrostem. Czuje zapach jej ciała, zmieszany z kremem i perfumami.

- Chcesz porozmawiać o malarstwie, społecznych determinantach zjawisk artystycznych, czy też o antropologii strukturalnej Levi-Straussa?

Jest skrępowany, bo wydaje mu się, że ta sytuacja coś mu przypomina i to mu przeszkadza.

- O pieniądzu. O łatwym interesie, dzięki któremu będę mógł żyć w kraju, gdzie panuje bezduszny materializm i brak moralnych hamulców.

Szybko, niezręcznie podaje jej różę, którą zerwał z kwietnika obok domku rybackiego. Ola kładzie kwiat na stoliku, po czym śmieje się, nie patrząc na Pawła, który przeklina pomysł przyjscia do tej dziwnej dziewczyny, o której nic właściwie nie wie. By ukryć zmieszanie robi kilka kroków. Napotyka w lustrze swoją spoconą twarz. Słyszy raptem w sobie głos Irokeza: „Nic się nie dzieje przypadkowo. Zawsze jest jakaś przyczyna i konieczność”.

Ola przekrzywia głowę, przyglądając mu się z uśmiechem, po czym bierze jego dłoń i wodzi palcem po wewnętrznej stronie.

- Masz niezwykle ruchliwą energię, doskonale adaptujesz się we wszystkich środowiskach dzięki naturze kameleona oraz upodobaniu do wolności i zmian... Bardzo szybko rozumiesz innych, ale możesz uchodzić za powierzchownego, bo w rozmowie często zmieniasz tematy. Jesteś ciekawy wszystkiego, lecz zachowujesz również pewien dualizm. Bawisz się też sytuacjami ekstremalnymi dla samego spróbowania wszystkiego. Masz też w sobie niestałość i cechy awanturnicze, które mogą sprowadzić na margines społeczny... Mam mówić dalej?

- Skąd to wszystko wiesz? - pyta zmieszany i świadomość tego, że ona to widzi, wprawia go w jeszcze większe zakłopotanie.

- Całe życie, także twoich przodków, jest w tobie. Miejsca są najważniejsze. Chociaż dla facetów bardziej, ponieważ trzeba być do czegoś przywiązany. W jakimś miejscu musi istnieć dom. Jako dziecko zostajesz zaprogramowany, otrzymujesz rozkaz „do boju”...

- Jakbym słyszał Irokeza - wzrusza ramionami i siada na łóżku; nie może się pozbyć obsesji, że cuchnie potem, w dodatku buty cisną go w palcach.

- Miałeś dużo kobiet?

- W jakim sensie?

- Z iloma uprawiałeś seks... Z dziesięcioma, stoma?

- Nie liczyłem.

Ola bierze różę. Podnosi ją, wacha, bawi się płatkami, nie spuszczając z niego wzroku.

- Kłamiesz... Każdy facet liczy, ile miał kobiet. Tak jak myśliwy zwierzynę po polowaniu.

- Skąd to wszystko wiesz, śliczna? Dziewczyna rozkłada ręce. Robi bezradną minę. - Jestem czarownicą i miałam wielu kochanków.

- Nikt nie jest doskonały.

- Ale to prawda.

- Widocznie masz skłonności samobójcze albo nie wierzysz w istnienie AIDS.

- Kim była twoja pierwsza dziewczyna?

Spogląda na nią zaskoczony. Ona uśmiecha się, po czym przesuwa językiem po górnej wardze. Ten gest powoduje, że on czerwieni się. Wydaje mu się wulgarny. Jego pierwsza dziewczyna miała na imię Kasia, on miał siedemnaście lat, ona o rok starsza. Poznał ją na prywatce u córki ojca współnika. Kasia była chuda, śmiała się głośno i z byle czego. Już tego samego wieczoru, na klatce schodowej, podciągnęła spódnicę. Od tej chwili, przez blisko pół roku, telefonował do niej, a później robili to gdzieś w parku, na klatce albo w jej mieszkaniu, kiedy wyszli rodzice. Była namiętna, szybko się podniecała. Na koniec całowała go w usta. Nigdy nie proponowała, żeby poszli do kina, kawiarni albo na prywatkę. Lubił się z nią spotykać, bo nie musiał jej uwodzić i nie miał żadnych zobowiązań. A poza tym przynosiła swoiste pocieszenie. Przyjmowała go takim, jaki był: postrzelonym, niedojrzałym gówniarzem, który nie wiedział, czego chce i kim jest.

Ola bierze jego rękę. Nagle, szybkim ruchem, całuje w dłoń, patrząc mu prosto w oczy.

- Chciałabym się z tobą zestarzeć. Widzieć jak stajesz się siwy jak gołąbek.

- Wszyscy moi przodkowie na starość byli łysi - odpowiada, próbując nagle to wszystko, co się między nimi dzieje, zamknąć w żarcie.

Dziewczyna śmieje się głośno, tym swoim charakterystycznym, zachrypniętym głosem, który tak bardzo mu się podoba.

- Przypominam, że obowiązują dobre maniery.

- To znaczy?

- Faceci po pójściu do łóżka głupieją i zaczynają mówić o miłości. Obejmuje ją mocno. Czuje ciepło piersi uwolnionych ze stanika, gorąc podbrzusza i ud. Łagodny parasol nocy kręci się wokół niego w zapachu jej włosów i ciała.

- Kim ty jesteś naprawdę? - pyta szeptem i całuje ją w szyję, tuż przy uchu. - Cyniczna, zła, dobra, kochana...

- Możesz się sam przekonać.

- W jaki sposób? - pyta z zamkniętymi oczami, sunąc dłonią po jej udzie, wyżej i wyżej, aż dochodzi do kępek włosów, a wtedy ona zaczyna poruszać biodrami, nacierając na jego męskość.

- Przestań - mówi cicho, lecz w jej głosie jest uległość; ciało napiera coraz silniej, prawa ręka manipuluje przy suwaku jego spodni. - Wykorzystujesz, że mam do ciebie słabość...

- Od kiedy?

- Nieważne... Może od godziny, może od lat. Powiedz mi teraz coś, czego nie wiem.

- Ziemia jest płaska i wśród nas żyją kosmici.

- A teraz powiedz coś, czego nie mówiłeś żadnej kobiecie.

- Chciałbym z tobą mieszkać.

Zarzuca ręce na jego szyję i patrzy mu w twarz, jakby chciała go prześwietlić, po czym kładzie się na łóżku. On stoi bezradnie. Kim ona jest? Czy naprawdę chce być z nią?

- Chodź do mnie.

Kładzie się obok niej. Obejmuje go. Jej piersi przylegają do jego żeber. Wsuwa lewą rękę pod jego koszulę, pieści plecy, drugą wyjmując męskość i zaczyna rytmicznie poruszać.

- Pamiętaj, mój rycerzu, że trzeba przez całe życie bujać w obłokach - mówi cicho do jego ucha. - Tęsknić za czymś i czekać. To jest właśnie szczęście.

Kładzie rękę na jego ramieniu. Raptem potrząsa. Otwiera oczy, zdziwiony i trochę przestraszony tą gwałtownością. „Ona jest piękna, wzruszająca i niepospolita” - myśli i czubkami palców gładzi ją po policzku.

- Masz wspaniałą dupkę. Jak orzeszek - odzywa się, a jej oczy rozjaśnia uśmiech.

- A ty nogi. Szkoda, że tylko dwie.

Dziewczyna parska śmiechem. Przyciska do piersi jego głowę. Tuli mocno. Ciszę maści szum morza i krzyk spłoszonego ptaka.

- Miałeś po wyjściu jakąś kobietę? - Nie.

Wyczuwa, że mu nie wierzy, a raczej, że nie traktuje jego słów poważnie. Gniewa go to; pragnie udowodnić, że mówi prawdę, ale nie wie, jak to zrobić.

- Chcesz seksu czy miłości?

- Miłości - odpowiada i przechodzi przez niego dreszcz.

- To bądź grzeczny i idź do siebie - jej głos jest tkliwy, jakby oddzielony od twarzy), oczu, ust. - Jestem naprawdę czarownicą i dużo wiem.

Pochyla się nad nim. Palcami wodzi po jego wargach.

- Dlaczego się ze mną drażnisz?

- Skoro chcesz miłości, to pójdziemy do łóżka za miesiąc... I w moim mieszkaniu.

- Co ty kombinujesz?

Ona kładzie się na wznak. Podkłada ręce pod głowę.

- Dwa lata temu byłam z kimś... Musiałam odejść, by nie cierpieć... Byłam chora z miłości i żeby o nim zapomnieć,

rzucalam się na facetów. Piłam, brałam narkotyki, byłam w szpitalu psychiatrycznym. To był koszmar... Nie mam zamiaru być gumową lalką? Rozumiemy się?

- Nie.

Nagle dziewczyna obejmuje go mocno. Zaczyna całować. Prawą rękę wsadza między jego nogi, on liże jej ucho. Dyszą, trzymając się w objęciach.

- Nic jesteś chory? - pyta ona i zaczyna mocno uderzać biodrami.

- Nic - odpowiada i ich ciała zaczynają tłuc się o siebie, coraz szybciej i szybciej...

Ola była namiętna, dowcipna, miała wielu znajomych. Lubiła modne ciuchy, kompletnie nie interesowała się polityką. Pracowała w prywatnej galerii, fascynowała się awangardowym malarstwem i filmem, symboliką ewangelistów, gnozą. Miała dużo pieniędzy, bo dostawała je od bogatej rodziny z Francji. Nigdy się nie kłócili i nigdy nie próbowała go zmienić. Byli wobec siebie lojalni, ale nie kochali się. W dziewięćdziesiątym trzecim roku, po wyborach parlamentarnych, które wygrali postkomuniści, zakomunikowała, że emigruje, bo nie chce żyć w kraju bez przyszłości. Nie zaproponowała, żeby z nią wyjechał. Z Paryża napisała, że rodzina załatwiła jej pracę w znanej galerii, ale ona chce pojechać na dłużej do aszramu w Indiach i żeby zawsze pamiętał, że we wszystkich trudnych chwilach podaje mu rękę. I to była ostatnia wiadomość od niej...

Zadzwoił telefon komórkowy. Paweł odebrał, ale nikt się nie odezwał. Miał wrażenie, że przez dłuższą chwilę, nim przerwał połączenie, słyszał po drugiej stronie oddech. Zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju, nie zważając na ból w nodze i coraz bardziej podpuchniętym oku. Myślał o Iwonie. „Gdzie jest, co robi i czy wie, że jest tropiona? Chcą ją zabić, czy też postraszyć? A jeżeli zabić, to jak? Powiesić, zastrzelić,

otruć, przejechać samochodem, utopić? Co ona takiego zrobiła, że ścigają ją bandyci? Może jest prowokatorem, wydała kogoś ważnego? A może okradła?” Zaklął i uderzył pięścią w stół. Nalał whisky i popijał łyčzkami. Drżały mu ręce. Z trudem utrzymywał szklanę. „Faceci, którzy mnie pobili, przyczaili się czy też zaraz wrócą? Nareszcie uświadomił sobie, że grozi mu realne niebezpieczeństwo. Miał przed sobą ludzi, których nie znał, a którzy wiedzieli, czego chcą. Ale wiedział, że musi coś zrobić dla Iwony i Irokeza. Gdy to postanowił, poczuł ulęę. A może Iwona i Irokez są wplątani w te same interesy? Tylko grali przede mną, że się nie lubią? Co ten Irokez wygadywał, Jezus, Maria, Pączek niby jest agentem, Marek też... Co on wymyślił z tym zamachem terrorystycznym? Bzdury. Irokez jest chory. Zawsze był dziwny, gadał o metafizyce, poczwórnych, równoległych światach. Ma schizofrenię i tyle... A jeśli jest chory, lecz wiele rzeczy wie i mówi prawdę? Dlaczego zakładasz, że twoi przyjaciele nie mogą prowadzić gry? Prawda, zapomniałem, że według Irokeza i Ola była agentem. A może on ma rację? Skąd miała zawsze tyle forsy? Może wcale nic od bogatej rodziny we Francji? Nie, zaraz zwariuję. Kurwa; w co ja się wplątałem?! Dlaczego nie przyjeżdża Pączek? Poczł lodowaty strach. A może Pączek jest w zmowie z tymi bandytami? Aleja przecię naprawdę nic wiem, gdzie jest ta suka i jakie robi geszefty! Zamknął oczy. Spod zamkniętych powiek popłynęły łzy. Jestem wykończony psychicznie, żyję w napięciu, boję się przyszłości i teraz jeszcze te parszywe zdarzenia. Wypił jednym haustem whisky. Zapiekło w żołądku i ustach. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, liczył w myślach. Zaraz przestanie boleć, zmiękcę się alkoholem, przestanę się bać, coś wymyślę... Kto za tym stoi? Kim jest Iwona? Ktoś mi ją podstawił? Ale po co? Przecieł nic nie znacę, jestem biednym źuczkiem, bojącym się byle

czego, nie mającym żadnego wpływu na bieg wydarzeń. A może jestem, kurwa, do czegoś im potrzebny, o czym sam nic wiem?!”

Zadzwoił telefon komórkowy. Przez chwilę wahał się, czy odbierać, ale przemógł się, bo chciał, sam przed sobą, udowodnić, że panuje nad sytuacją.

- Jestem gdzieś dwadzieścia kilometrów od tej twojej Panderozy - Pączek mówił szybko, bełkotliwie, wypuszczając do słuchawki dym z papierosa. - Ale kurwa jego mać, nie wiem, w którym miejscu skręcić z szosy w lewo.

- Jak miniesz po prawej stronie motel „Kwiatek”, to przejedziesz około kilometra i będzie przystanek pekaesu. I za tym przystankiem, gdzieś dwadzieścia metrów, skręcisz w lewo...

- Dalej to trafię.

- Oni mogą być gdzieś niedaleko...

- Nie peniaj. W razie czego to rozpierdolę skurwysynów w drobny mak!

Paweł wypił prosto z butelki. Wstrząsnął się. Zaraz okaże się, gdzie będę dzisiaj spał. Czy w łóżku, czy też w piachu. Zgasił papierosa. Położył się na łóżku. Podłożył ręce pod głowę. Zamknął oczy. Alkohol przyjemnie szemrał spokojem. Dziwił się, że zdrada Iwony, zbytnio go nie zaboląła. Wytłumaczył sobie, że jest dowód na to, iż nie była dla niego kimś naprawdę ważnym. Tymczasem potrzebował bezpiecznej kryjówki, w której mógłby dojść do siebie, ocenić sytuację i postanowić, co robić dalej. W grę wchodziła dobrze strzeżona rezydencja Pączka, z kamerami i ochroną, albo mieszkanie Marka. Najlepiej byłoby gdzieś wyjechać. Zachciało mu się spać. „To tylko nerwy” - powiedział głośno, z ziewnięciem. Patrzył w okno i przypomniało mu się, jak wiele lat temu tak samo spoglądał, zastanawiając się, gdzie będzie za rok, pięć o tej samej porze. Robił to, żeby

zapomnieć, gdzie jest, nie słyszeć słów esbeka, który przechadzał się po pokoju, co chwila przeczesując palcami włosy, spadające mu aż na ramiona.

Niewielki pokój, biurko, dwa krzesła. Lampa pałaca się mdłym światłem, stojąca na parapecie. W powietrzu unosi się zapach parzonej kawy. Matysik, nie podnosząc wzroku, pokazuje dłonią krzesło i mówi:

- Proszę, niech pan siada, panie Pawle.

Czuje łomot serca. Pot spływa spod pach. Łzawią oczy. - Jak się panu siedzi, panie Pawle?

- Nieźle.

Esbek wzdycha i podnosi na niego wzrok. Jego oczy są błękitne, wielkie i śmiejące się.

- Niech pan nigdy nie mówi, że dobrze, bo zaraz pana wsadzą do zboczeńców, którzy dadzą panu tak popalić, że odechce się panu żyć. Niech pan się skarży na brud, złe traktowanie, brak opieki lekarskiej, żąda traktowania jak więźnia politycznego.

Paweł próbuje odnaleźć normalny rytm oddechu. Kaszle nerwowo i spogląda na swoje długie, brudne paznokcie.

- Postaram się tak robić - mówi cicho. „Z tego esbeka emanuje pewność siebie” - myśli. Jest w nim coś bezwzględного i silnego. Na pewno niebezpieczny wróg. Co on może wiedzieć, poza tym, co mi powiedział w trakcie pierwszego przesłuchania?”

- Zapali pan? - esbek wyciąga paczkę carmenów. Paweł bierze papierosa, podpala. Dym wydaje mu się nadzwyczaj smaczny. - Nie traćmy czasu, panie Pawle. Jak pan wie, w czasie rewizji, znaleziono w pańskiej pracowni wiele nielegalnych wydawnictw i matrycę. Oczywiście może się pan tłumaczyć, jak to robią niektórzy, chyba nawet i pan to próbował, że to nie pana, ktoś panu podrzucił... Jednak myślę,

że pan nie będzie się przy tym upierał, bo jest pan człowiekiem inteligentnym. A więc?

- Odmawiam składania zeznań.

Esbek wstaje i przeciąga się. Zdejmuje zieloną, amerykańską kurtkę wojskową. Zostaje w samym białym, góralskim swetrze. Ma około metra dziewięćdziesięciu. Szczupły, wysportowany. Staje za plecami Pawła. Kładzie mu ręce na ramiona. „To wszystko jest nierealne” - myśli Paweł i zamyka oczy. „Raz, dwa, trzy, cztery, policzę do dwudziestu i na pewno się obudzę”.

- Gadaj, kurwa, jak do ciebie mówię! - teraz ten głos jest zły, zduszony. Kciuki naciskają na szyję Pawła. Z obu stron. Coraz silniej. - Jak pan myśli, przypierdołę panu, czy nie?

- Myślę, że gdyby pan mógł, to już by mnie pan uderzył. A nawet ciężko pobił... Na przykład wybił ząb albo złamał nos.

Paweł słyszy śmiech. Otwiera oczy. Esbek siada na biurku. Naprzeciw niego. Znów jego oczy śmieją się.

- Ja mam dla pana, panie Pawle, konkretną propozycję... Zaczyna pan z nami współpracować, wychodzi za pół miesiąca. Wszystko panu ułatwiamy. Zakupy obrazów, wystawy. Ba, nawet dostanie pan paszport. Co pan na to?

- Nic idę na to.

Matysik zamyka oczy. Głośno wypuszcza powietrze i rozkłada ręce.

- No to będzie pan pierdział w pasiaki. I to wiele lat. Tak z piąta. Przez ten czas wypadną panu włosy, zęby. Dostanie pan na bank reumatyzmu.

- Trudno.

Esbek kręci głową, po czym uśmiecha się szeroko, pokazując nieskazitelnie białe zęby. „Kobiety muszą mieć do niego słabość” - myśli Paweł bezsensownie. „Jest inteligentny, pewny siebie, przystojny”.

- Skoro nie chce pan myśleć o sobie, to niech pan pomyśli o matce. Ma swoje lata, zdrowie jej szwankuje. Ma tylko pana. Co się z nią stanie, gdy zachoruje? Kto się nią zaopiekuje, poda szklankę herbaty, przyniesie jedzenie do łóżka? Wiem, że kocha pan swoją matkę. Ja też Kocham swoją i nigdy bym nie dopuścił, żeby została sama... Na pastwę losu zostawić starą kobietę? Nie ma pan Boga w sercu. A propos, naprawdę wierzy pan w Boga?

- Wierzę - odpowiada Paweł i rodzi się w nim podejrzenie, że ta rozmowa jest tylko wstępem; że ten esbek bada go, ustawia, by zaproponować coś innego. Bardziej groźnego.

- Taaaak, panie Pawie, żyjemy w czasach trzydziestej szóstej karmy bezpośredniej - mówi Matysik i stawia lampę na biurku tak, że świeci Pawłowi prosto w oczy. - Jest napisane w Biblii: „Zbierzesz to, co zasiałeś”. Za błędy płaciło się w następnym wcieleniu, lecz teraz od razu. To jak, dogadamy się, czy też będę musiał być niegrzeczny? Nic lubię być niegrzeczny. Dlatego jak jestem, to tym bardziej nie lubię tego, który mnie do tego zmusił.

- Konfucjusz powiedział: „Jak ktoś, kto nie panuje nad sobą, mógłby rządzić innymi?” - Paweł usiłuje być drwiący, bronić się przynajmniej w ten sposób; światło oślepia go, ma wrażenie, że do oczu dostały się odłamki szkła.

- Ładna odzywka, panie Pawle... Ładna. Ale ja jestem tylko oficerem. Kto mówi, że ja chcę rządzić?

- Nie idę na żadne układy.

- Panie Pawle, toczy się walka. Na śmierć i życie. Ma pan do czynienia z fachowcem... Ja wiem, co mówię. Tylko kretyn pokonuje przeciwnika i w ostatniej chwili darowuje mu życie. My pana wyjęliśmy, a kosztowało nas to sporo zachodu, pieniędzy, itede. I co, myśli pan, że pozwolę, że pan będzie sobie odmawiał współpracy ze mną, że będzie pan siedział,

robiąc z siebie bohatera? Skończyłem psychologię i wiem, że nie można liczyć na wdzięczność pokonanego wroga. Będzie pamiętał o upokorzeniu, a darowanie życia poczyta za słabość.

- Pan mi grozi? - Paweł stara się, by w jego głosie była drwina. - Utopi mnie pan? Wy lubicie topić. Tak jak księdza Popiełuszkę.

- A Broń Boże! Tylko uświadamiam panu, w co gramy... Jest pan artystą. Tak, Wiem, że nie lubi pan tego słowa, czyli człowiekiem wrażliwym, subtelnym. Nikt się nie zdziwi, że pan się powiesił w więzieniu. Jeszcze puści się informację, że leczył się pan na głowę... Że z tego powodu nie poszedł pan do wojska. Są kwity? Są. Jest książeczka wojskowa? Jest.

Wszystko w nim drga. Krew łomocze w skroniach, oczy pieką, w ustach czuje suchość. Więzienie, ten pokój i esbek, konsekwencja uporczywości, wspomnienie matki i własna histeria powodują, że ma tylko jedno pragnienie: chce umrzeć.

- Jak pan chce, panie Paweł... Widocznie lubi pan kłopoty.

Paweł gasi papierosa. „Rzucę się na niego” - myśli. „Nie spodziewa się tego... Przewrócę go, a wtedy zacznie się bać, że choć jest silniejszy, to ma do czynienia z wariatem. Wyciągnie pistolet i mnie zastrzeli...”

- Opowiedziałem panu jeden scenariusz, ale może być i drugi - odzywa się Matysik takim tonem, w jakim dorośli zwracają się do dziecka, którego wybryki tolerują i wobec którego najlepiej być cierpliwym. - Na przykład jakiś więzień napisze oświadczenie, że próbował go pan zgwałcić. Albo wręcz, że go pan zgwałcił. Wszystko będzie się zgadzało... Badania lekarskie, zeznania. No i zostanie pan skompromitowany. Pies z kulawą nogą się za panem nie wstawi. Z politycznego zrobi się pan kryminalnym.

Paweł czuje, że coś zaczyna palić go w żołądku.

- Róbcie, co chcecie.

Matysik podkłada dłoń pod jego podbródek. Unosi głowę. Marszczy brwi. Wydyma wargi.

- Co pan, kurwa, panie Pawie, pęka? Życ się panu nie chce?

- Nie chce.

- To po france włąził pan w to gówno? My naprawdę mamy wszędzie swoich ludzi. Gdybym panu wymienił nazwiska tych, którzy dla nas pracują, to by się pan załamał... Gdybyśmy chcieli, to całe to zasrane podziemie zlikwidowalibyśmy w miesiąc.

- To dlaczego tego nie robicie?

- Jednych wsadzamy, zabieramy sprzęt, likwidujemy kanały przerzutowe, a drudzy robią swoje. Nigdy to pana nie dziwiło? Z kimś trzeba będzie się dogadać. Może pan w to wierzyć albo i nie, ale czuję do pana dziwną sympatię. Ma pan trochę podobny do mnie życiorys, upodobania. Ja naprawdę wiem o panu prawie wszystko... Aparat przyniesie siłę, kadry, doświadczenie. Wciągnie armię, policję, służby specjalne. Opozycja da zaufanie mas i ich poparcie. Chce pan rządzić czy być pionkiem w grze?

- Skoro pan wie o mnie wszystko, to dlaczego proponuje, żebym został kapusiem? Nawet gdybym się zgodził, to i tak nie miałibyście ze mnie żadnego pożytku. Nie wiem, czy życie jest przypadkiem, ale wiem, że należy tak postępować, jakbyśmy widzieli dobro i zło.

Matysik drapie się po skroni. Nagle wyprowadza błyskawiczny cios, który trafia Pawła w bok głowy, tuż przy uchu, zwalający go z krzesła. Ból rozsada skronie. Dzwoni w uszach. Esbek kopie go w nerki, bark. Paweł próbuje zasłaniać się rękami.

- Skurwysynu, mówisz czy nie?! Skończyły się żarty! Nie wyjdiesz stąd żywy!

Paweł dostaje kilka kopów. Leży na podłodze, z zamkniętymi oczami. Ból z nerek promieniuje, pali. Ma wrażenie, że zaraz pęknie mu czaszka. Matysik sadza go na krześle. Podaje szklanekę z zimną herbatą. Pije łyżkami. Szczękają mu zęby.

- No i po co to było, panie Pawie? - głos esbeka znów jest łagodny, cichy. - Obudził pan we mnie diabła... Mam o to do pana żal.

- Ma pan władzę nade mną...

- Ja mam władzę? - jego śmiech jest głośny, szczery. - Władzę to ma politbiuro. Byle jaki zasrany, głupi sekretarz. Ja jestem od czarnej roboty ty... Szczęśliwie nie rządzę, tylko doradzam. Władza z natury, panie Pawle, jest wulgarna, prostacka. Ludzie władzy to niewolnicy... Ja wolę grę, subtelny wpływ. Analizowanie. Tak jak na szachownicy. Coś mówię, obmyślam, ludzie mi ulegają, chociaż przecież nic muszą. To dopiero jest pasjonujące.

- To pan, ten wasz resort ma władzę - mówi Paweł, zacinając się ze zdenerwowania. - Pan dobrze wie, że ten, kto ma władzę, nigdy nie stoi w pierwszym szeregu. Za sznurki pociąga się z ukrycia, bo inaczej można zginąć. Zawsze tak jest. Niech pan przestanie pierdolić banialuki!

Esbek klepie go po ramieniu. Bierze z jego rąk szklanekę i odstawia na biurko.

- Jest pan bystry, podoba mi się pański wybuch... Cieszę się, że nie zawiodłem się. Przepraszam pana, panie Pawle, za to, co się stało... Ale to był swoisty test przed prawdziwą propozycją...

- Nie chcę słyszeć o żadnych propozycjach! Za kilka lat będziecie musieli oddać władzę, bo wszystko się rozsypie. Chyba że chcecie wojny domowej, terroryzmu i rewolucji kulturalnej, takiej jak w Chinach. Najpierw posypie się Rosja. Już zaczęła się pierestrojka...

- Niech mnie pan nie rozśmiesza - esbek trzyma się za brzuch, udając chichot. - Wic pan, co to jest naprawdę ta pierestrojka? To stara, leninowska idea... Wzięła się z tego, że było coraz gorzej z gospodarką i przyrost dochodu narodowego spadł do zera. Poziom życia był sztucznie utrzymywany za petrodolary i ze sprzedaży wódki... System całkowicie się wyczerpał. Trzeba było rozruszać gospodarke, żeby jakoś się ratować. A to wymagało modernizacji, bo technologie były gówniane, przemysł przestarzały. Trzeba było wymyślić motywacje...

- Chcę iść do celi.

- Ojej, panie Pawle, ja panu zdradzam sekrety, o których wiedzą nieliczni, a pan nawija, że chce iść pod celę. Do smrodu, kryminalistów, półmózgów, do gnoju historii. Nieładnie.

- Znowu chce mnie pan bić?

- Nic, niech się pan nie boi... Chcę panu zaproponować pewien numer. Pan się godzi na współpracę i niczego pan nie podpisuje. Nigdzie nie będzie pan rejestrowany. Będzie pan, tak to nazywamy w żargonie, nielegałem. Załatwimy wszystko. Dobre recenzje, występy w telewizji, wystawy, sprzedaże. Wyobrażam sobie, jak ucieszyłaby się mamusia, gdyby miał pan, na przykład, wielką wystawę w Londynie... Zobaczyłaby, jak pana szanują, ile osób pisze o panu w superlatywach, że zna pan sławnych ludzi. No i zobaczyłby pan swoją wielką miłość, Gabi... Jestem przekonany, że jesteście stworzeni dla siebie. Daję panu wszystko, jak czarodziej, jak dobry księżę z bajki. Pan, panie Pawle, wzbudza zaufanie. Ludzie pana lubią, baby pana lubią. Jest pan jebakiem. Pana zadaniem byłoby poznawać wpływowych ludzi, zaprzyjaźniać się z nimi, mieć wpływowe kochanki, itetc. My pomożemy zrobić światową karierę...

- Nie znam dobrze języków obcych.

- To nie jest problem... Gwarantuję, że w ciągu pół roku będzie znał pan świetnie angielski. Mamy znakomitych nauczycieli.

- Chce mnie pan zrobić w szpiegostwo?

- Czy robienie kariery i znanie wpływowych ludzi to szpiegostwo? Niech pan nie przesadza, panie Pawle... Rozstrzygająca wojna między komunizmem a kapitalizmem, tak to nazwijmy umownie, jest nieunikniona. Oczywiście dzisiaj nie jesteśmy dostatecznie silni. Ale nasz czas przyjdzie za piętnaście, dwadzieścia lat. Aby zwyciężyć, potrzebujemy zaskoczenia. Kraje kapitalistyczne, głupie, dekadentkie, przeżarte liberalizmem, będą się cieszyć z możliwości współpracy. Zdobycia nowych rynków zbytu. Będą działały, nawet o tym nie wiedząc, na rzecz swojego zniszczenia. Pożyteczni idioci, jak ich nazwał kiedyś Lenin, będą się oburzali na tych, którzy coś zaczną podejrzewać. Świat burżuazyjny skorzysta z kolejnej szansy, żeby stać się naszymi przyjaciółmi. Kiedy się odsłonią, to uderzymy ich naszą zaciśniętą pięścią.

- Manipulacja zawsze kończy się porażką, bo ludzie są wolni. Manipulacja zakłada, że ludzie nie są wolni, są jak kukielki, którymi można pociągać w lewo, w prawo. W górę, dół.

- Dobra, szkoda czasu... Ma pan minutę na odpowiedź, czy zgadza się pan na współpracę.

Esbek podwija rękaw swetra. Błyska zegarek. Paweł zamyka oczy. Słyszy głośnie, zbliżające się kroki. Piskliwy, wystraszony głos młodego mężczyzny, otwieranie drzwi w sąsiednim pokoju, trzaśnięcie, później krzyk zmieszany z płaczem, przekleństwa, jęki, cisza i znowu krzyk.

- Jak pan się naprawdę nazywa?

- Dzisiaj mogę nazywać się Mikołaj Kopernik, jutro Galileusz, pojutrze Stanisław Poniatowski.

- Boi się pan podać swojego nazwiska? Wstyd panu?
- Wstyd to kraść i z dupy spaść.
- Chcę wrócić do celi.

Esbek uśmiecha się. Jego oczy są przekorne. Drapie się po policzku, wydłużając twarz.

- Nie jest pan ciekaw, jak czuje się mamusia?
- Jeśli coś się stanie mojej matce... To... To przysięgam, że odnajdę pana i zabiję...

- Ojej, ojej, jak się boję - odzywa się Matysik trzęsącym głosem, jakby udawał śpiew dziada kościelnego. - Boję się... Ojej.

Esbek wyjmuje z kurtki kartkę. Podaje Pawłowi, który czyta z rosnącym wzruszeniem.

Kochany Pawełku, nie załamuj się. Gdy jest Ci ciężko, pomyśl o Ojcu. Więzienie u bolszewików, rok na Pawiaku, a później obóz koncentracyjny Oświęcim. No i dwa lata więzienia za tzw. władzy ludowej. Zaciśnij zęby i powiedz sobie: „Muszę nie poddać się rozpaczy!”. Zawsze jest aktualne powiedzenie, że i w nasze okna zaświeci słońce. Staraj się zająć byle głupstwami, aby nie rozmyślać. Kocham Cię i czekam na Twój powrót. Pobyt w areszcie traktuj jak zły sen, z którego obudzisz się jako wolny człowiek. Kochany synku, nie martw się o mnie. Nawet, nie staram się zobaczyć z Tobą, ponieważ boję się, że będzie to dla mnie za duże przeżycie... Tęsknię za tobą bardzo.

Całuję Cię, synku. Mama

Łzy płyną mu z oczu. Nawet nie stara się opanować. Esbek zabiera mu list. Drze w kawałki. Podpala zapalniczką. Zaczyna chodzić po pokoju, podkrecając wąsy i gładząc się po długiej, jak u popa, brodzie.

- Co pan kombinuje? - pyta Paweł cicho; ból rozsadza mu klatkę piersiową.
- Czytał pan książkę niejakiego Wołkowa *Montaż*?

- Nie.

- Tak myślałem... Kilka podziemnych wydawnictw przymierzało się do jej wydania, ale zawsze nic udawało się... Skutecznie przeszkadzaliśmy. Tam jest kawałek prawdy o tym, co będzie... Tradycyjne elity rozbije się przez wywołanie w nich poczucia winy. Wytworzy się w społeczeństwie i u najsłabszych przedstawicieli elit przekonanie, że były w przeszłości szkodliwe i wciąż takie pozostają. A jednocześnie, nie oglądając się na konsekwencje, będzie się starało wykazać, że grupy te nie przynoszą żadnego pożytku. Są pasożytami, iluzją. Będą zarabiali grosze. Gorzej od robociarza, jakiegoś hydraulika albo murarza. Dzięki temu, oczywiście mówię skrótom, wytworzy się przepaść między rodzicami i dziećmi, przełożonymi i podwładnymi. Między dowódcą i jego żołnierzami. Nasi agenci będą się posługiwali potrójnym sloganem: dobra wiara, słuszność, zdrowy rozsądek. Wychodząc z pozycji siły, będą atakowali władze. Te nowe, które powstaną na początku transformacji, pod szyldem przedstawicieli społeczeństwa, czyniąc je odpowiedzialnymi za wszelkie rzeczywiste zło, istniejące w tym społeczeństwie. Łącznie ze złem wymyślonym. Na przykład, że to ich wina, iż nie poprawia się ludziom, jest inflacja, zamyka się zakłady pracy. To tak w skrócie... Ja chcę, żeby pan nareszcie zrozumiał, panie Pawle, że chcę dla pana dobrze. Będzie pan człowiekiem poważanym, bogatym. Nawet sławnym. Jeśli pójdzie pan za tym, co panu proponuję. Jeżeli pan tego nie przyjmie, to za kilkanaście lat będzie pan na marginesie. Nic pan nie będzie znaczył. Nic. Zamiast cieszyć się życiem, będzie pan bał się przyszłości i czy będzie pan miał co jeść. Rozumiemy się? Z potęgi wiążącej wszystkie istoty, uwolni się ten, kto się przeistoczy. Oto klucz do wyzwolenia według Goethego.

Jeżu, dlaczego nigdy nie pomyślałem o tym, w jaki sposób mama przekazała ten list Matysikowi? Nie, to niemożliwe, nie mogła pójść z nim na układ. Złożyłem podanie w Instytucie Pamięci Narodowej o teczkę jej i ojca, gdyby była agentką, to nie dostałbym zgody. Kurwa, zaraz zwariuję. Przecież to niemożliwe, żeby wszyscy ludzie obok mnie byli agentami. Jeżu, co ten Irokez nawywijał, o co chodzi w tej jego historii? Napił się whisky prosto z butelki. Już nie zwracał uwagi na ból. Wziął buty i zaczął je pastować. Zawsze to robił, kiedy chciał się uspokoić. But wypadł mu z ręki. Nie podnosił go, bo coś mu się przypominało, majaczyło w pamięci, nachodziło strzępami. Zatrzymał to wspomnienie.

- Pawełku, może poszlibyśmy do kina? Dzisiaj jest sobota.

Matka siedzi naprzeciwko niego w fotelu. Ręce splotła na brzuchu. Uśmiecha się. Gdy był dzieckiem, uwielbiał sobotnie popołudnia, bo zaraz była niedziela, nie trzeba było iść do szkoły, można grać dłużej w piłkę i rysować, a wieczorem szedł z matką do kina, a później na ciastka albo lody.

- Ale na co? Grają tylko jakieś ruskie filmy i głupawe amerykańskie.

- Może poszlibyśmy na jakąś komedię?

- To niech mama wybierze.

- Ale to ty czytasz gazety, recenzje...

- Mamo, nie komplikuj, wybierz sama i już.

- To ty ciągle komplikujesz sobie życie! Bez przerwy są z tobą kłopoty. Od dziecka. Choroby, dziwne przygody, nieodpowiednie dziewczyny, które od ciebie odchodzą, a ty pijesz tygodniami, aja się zamartwiam. A teraz to więzienie. Wiesz, jak się czułam, co przeżywałam? Przecież mam chore serce, nadciśnienie, nie mogę się denerwować. Myślałeś kiedykolwiek o mnie? - mówi coraz głośniejszym, z narastającym gniewem. To, co widocznie gnębiło ją od lat, zaczyna kipieć. -

Wiesz, ile musiałam przeżyć upokorzeń, żeby dotrzeć do tych ubeków, tego całego zbója Matysika? Wiesz, co on mi powiedział? Że takich jak ty powinno się od razu zabijać i że jesteś bezgranicznie głupi!

Paweł wzrusza ramionami, starając się nie zdenerwować, nie powiedzieć czegoś, co doprowadzi do awantury.

- Posiedziałem, wyszedłem z amnestii, i po sprawie...

- Po prostu nie znoszę jak czyścisz te buty! Przypominasz mi wtedy swojego ojca. On też miał kota na punkcie butów i potrafił godzinami je pastować, bo podobno się przy tym relaksował. Tego, że zepsuł się kran, trzeba wynieść śmiecie, wytrzepać dywany, nie widział. To go nie relaksowało. Tylko te zasrane buty.

- Trudno, jestem jego synem. Kłaniają się geny. Nie miej do mnie pretensji - odpowiada spokojnie, chociaż ma ochotę wykrzyknąć, że woli być podobny do ojca niż do niej. Nawet gdyby miała się obrazić na niego śmiertelnie. Do kurwy nędzy, kto się ożenił z ojcem, on czy matka?!

- Mam pretensje, bo jestem stara i przyszedł czas, żebyś o tym pamiętał. Myślał także o mnie. Kto ma się mną opiekować? Sąsiadki?

- Dobrze, mamo, od dzisiaj będę przychodził późnym wieczorem i nie będę miał nic wspólnego z polityką. Jesteś zadowolona?

- A czy coś powiedziałam o tym, że masz być tchórzem? Siedzieć cicho, jak mysz pod miotłą? Dlaczego wmawiasz we mnie coś, czego nie powiedziałam? Tak samo robił twój ojciec.

Paweł śmieje się. Kochają, ale teraz ma jej dosyć, a raczej nie jej, ale świadomości, że zna właściwie każdy jej podstęp. Niemal w każdej sytuacji potrafi sobie wyobrazić, jak się zachowa.

- Z czego się śmiejesz?

- Coś mi się przypomniało.

- Synku, naprawdę chcę dla ciebie jak najlepiej - głos matki jest tkliwy, łamie się. - Pomyśl o sobie. O swoim talencie. Nie marnuj czasu na duperele.

Paweł żartobliwie grozi matce palcem. Zna to spojrzenie pełne urazy. Wie, co oznacza skubanie frędzli wełnianego szala, pokasływanie, kładzenie ręki na sercu. Po prostu chce wzbudzić w nim wyrzuty sumienia. Próbuje część winy za to, że uważa, iż zmarnowała życie, przerzucić na niego. Chce go w to wciągnąć. Paweł, dopóki nie poszedł siedzieć, nie wiedział, kim jest naprawdę i na co go stać. Czy jest odważny, jak sobie poradzi wśród kryminalistów, czy jest podatny na pochlebstwa, nie przestraszy się bicia. Tylko wiedział, że jest nadzieją matki, córki zdeklasowanego arystokraty, który w młodości był odważnym człowiekiem, walczył z bolszewikami, dostał Virtutii Militarii, lecz później został pijakiem i kabotynem, pełnym pogardy dla ludzi niewykształconych i ciężko pracujących, bojącym się panicznie komunistów i więzienia.

- Wiesz, muszę ci coś opowiedzieć... To było dwa miesiące temu. Kiedy zaczęli remontować nasz blok, pomyślałam sobie, że zapłacę któremuś z tych robotników, by wymalowali ci pokój. Żeby ci było przyjemnie, jak wyjdiesz. Umówiłam się z tym brygadziwą, że da człowieka w piątek... No i minęły dni, a tu nikt nie przyszedł. Po tygodniu poszłam. Ci robociarze przebierali się w pralni, w naszej klatce. Byli smutni. Pytam, dlaczego nikt nie przyszedł. On mówi, że poprosił Krzyśka, ale jak dowiedział się nazwiska, później sprawdził na spisie lokatorów, to odmówił. Ten brygadziwą nawrzeszczał na niego i wreszcie wydusił, że nie pójdzie, bo ten człowiek jest jego ojcem, chociaż się go wyparł. Twój ojciec miał też syna. Z inną kobietą. A tego Krzysztofa zabili

tego samego dnia jakieś łobuzy. Poszedł do knajpy, upił się, a bandyci zabrali mu pieniądze i tak tłukli, że zabili.

- I ty na takiej podstawie, że jakiś facet twierdzi, że twój mąż jest jego ojcem, już w to wszystko wierzysz? - Paweł śmieje się, całuje matkę w głowę, obejmuje. - Zawsze jesteś tak nieufna, a tym razem od razu wierzysz. A dlaczego? Bo można oskarżyć ojca. Nie może się bronić.

- A czy wiesz, że ta kobieta oskarżyła ojca i on musiał przejść badania w Krakowie? Co prawda, wyniki wskazały, że nie jest ojcem jej dziecka, ale przecież wiesz, że za pieniądze można wszystko załatwić. Za pieniądze i dojścia.

- Czyli uważasz, że ojciec był podły, bo wiedział, że ma drugiego syna, ale nie opiekował się nim, tak? - spytał ostrożnie, dziwiąc się, że te rewelacje matki nie robią na nim żadnego wrażenia.

- Był podły. Oszukiwał wszystkich. I przyjdzie dzień, że się o tym przekonasz.

- Co jeszcze zrobił podłego? - Paweł czuje jak rodzi się w nim złość. Ostatkiem sił hamuje się, by nie krzyczeć. - Miał kochankę, dwie, przegrywał w karty, na wyścigach?! Zapierniczał jak dziki osioł, a ty miałaś pretensje... Zawsze znalazłaś pretekst, by się z nim kłócić, o coś oskarżać. Ktoś nagadał bzdur, a ty jeszcze powtarzasz!

Matka macha ręką. Zaciska wargi. Patrzy w okno, skubiąc frędzle wełnianego szala, zarzuconego na plecy.

- Niech ci będzie... I tak wiem, że zawsze będziesz go bronił, bo jesteś mężczyzną. A poza tym zawsze to robiłaś. On cię wyzywał, poniżał, bił, a ty i tak byłaś za nim...

- Co ty opowiadasz?! Jakie bicia, wzywania, poniżania?! Wierzysz w swoje kłamstwa, mitomańskie historie! Chcesz mi wmówić, że miałem ojca potwora, ale za to matkę anioła?!

- Nieprawda... Oszukiwał nas. Prowadził potrójne, poczwórne życie... Zaczyna płakać. Jej płacz zawsze

wyprowadzał go z równowagi, bo uważał, że w ten sposób wzbudza w nim litość. Wiedział, co będzie dalej: wymówki, utyskiwanie nad swoim losem, oskarżanie o niewdzięczność.

A gdy po godzinie znów wchodzi do pokoju matki, ona leży na łóżku, na prawym boku, kreśląc coś palcem po ścianie. Siada obok. Dopiero po dłuższej chwili patrzy na niego i mówi cicho:

- Pawełku, tyle lat zmarnowaliśmy... Jak głupcy.

- Może nie potrafiliśmy inaczej...

- I co będzie dalej? - w jej oczach lśnią łzy, wygląda na bardzo zmęczoną.

- Musimy nauczyć się jakoś żyć z tym wszystkim - głaszcze ją po siwych, krótko ostrzyżonych włosach. - Było, minęło... Ojciec nie żyje. Może i masz rację, ale po co stale wspominać, przypominać stare rany, mamó? To są twoje pretensje. Ja chcę pamiętać to, co było fajne... Jak grałem z nim w piłkę, jak dawał mi pieniądze na dzinsy, płyty, farby. On nie był złym człowiekiem.

- Masz rację, synku - próbuje się uśmiechać, bierze go za rękę, patrzy prosto w oczy. Jest blada, źle wygląda. - Chciałabym, żebyś się ożenił, miał dzieci... Chciałabym czuć się potrzebna. Rozumiesz mnie, starą kobietę?

Kiwa głową. Czuje wzruszenie. Niecałe trzy miesiące później matka umarła na zawał serca. We śnie. Zadzwoił telefon komórkowy. Odebrał, ale nie odzywał się.

- Halo, to ty? - usłyszał głos Iwony i z trudem przełknął ślinę. - Halo, odezwij się...

- Dzwonisz, żeby mnie wkurwić?

- Co się stało? - w jej głosie był strach. - Mów szybciej, dzwonię z budki, skończy mi się zaraz karta.

- Wpadło dwóch bandziorów, poszukując ciebie. Wyglądam jak befsztyk tatarski. W co się wpierniczyłaś?

- Nie mam czasu na tłumaczenie... Jak oni wyglądali?

- Słuchaj, ja ma tego dosyć. Twoich kłamstw, ciebie. Dosyć! Rozumiesz?!

- Już więcej mnie nie zobaczysz... Przepraszam cię za wszystko złe, co było. Proszę, sprawdź, czy pod telewizorem jest taka mała saszetka.

Paweł spojrział na stolik, na którym zawsze stał telewizor. Dopiero w tym momencie zauważył, że stoi on na podłodze.

- Nie ma żadnej saszetki... Telewizor zdjęli. Widocznie jak leżałem nieprzytomny, zrobili gruntowny kipsisz...

- Kurwa jego mać! Jak oni wyglądali?

- To ci, którzy siedzieli pod lasem...

- Przepraszam cię... Schowaj się gdzieś. Może u Pączka. To są wyjątkowo źli ludzie.

- W co się wpakowałaś?!

- Za dużo tłumaczenia. Takie jest życie. Niestety, często tak się składa, że wierzymy tylko w to, w co chcemy wierzyć...

- Kurwa, przestań filozofować i powiedz, o co tu chodzi?

- To ciebie nie dotyczy...

- Jak to nie dotyczy?! Wpadają faceci, szukają ciebie, muszą się z nimi bić, oni spuszczaają mi lanie, a ty jeszcze gadasz, że mnie to nie dotyczy. Iwona, ty jesteś chora czy bezczelna?

- Myślę, że jedno i drugie... Kiedyś może wyślę do ciebie list, w którym wszystko wyjaśnię. A teraz żegnaj, kociu. Co złe, to nie ja. Nic znasz tych ludzi i czego chcą... I to lepiej dla ciebie. I jeszcze jedno: ta twoja była narzeczona, ta Gabi to naprawdę fajna baba. Cześć, mój śliczny.

Rozłączyła się. Nigdy więcej z nią nie rozmawiał ani nie dowiedział się, co się z nią stało. Człowiek, z którym mieszkała w Londynie, także nie był zainteresowany w jej odnalezieniu. A w 2002 roku sprzedał wszystko i wyjechał w nieznanym kierunku. Oczywiście z małym synkiem.

Spojrzał na zegarek. „Dlaczego nie przyjeżdża Pączek?!” Zaczął chodzić po pokoju. „Przynajmniej wyjaśniło się, gdzie ona jest... Żyje i znowu coś kombinuje. Nie, nie dopadną jej. Nie ma mowy. Jest za sprytna. Może jest w Wiedniu albo Pradze? Przyczai się, skombinuje inny paszport i wyląduje w Ameryce Południowej. Kim ona jest? Szpiegiem, z jakiej mafii? Upiję Pączka, podpuszczę go i mi powie. To jeden kłopot z głowy”. Chodził szybko po pokoju, przystając i zapalając jednego papierosa od drugiego. „Ale co z Irokezem?

Jak pomóc temu świrowi? To już wymyśli Pączek... Kurwa, zaczną się kłopoty, przesłuchania. Co wymyślił ten Irokez? Zawsze wpadam w bałagan... A kim jest Pączek?” Paweł wiedział, że o Pączku mówią różnie: bystry człowiek, mający wspaniałą intuicję albo że to bezwzględny, cyniczny facet, mający nie wiadomo skąd pieniądze, przejmujący dobrze prosperujące firmy. Pączek kupował pensjonaty w górach, gospodarstwa rolne, stacje benzynowe. Z początku kontrolował je osobiście, później pozwalał, żeby prowadzili je inni, bo nigdy nie miał zbyt dużo czasu. Lubił podróżować, w zimie wyjeżdżał do Dominikany, wiele godzin spędzał w restauracjach, rozmawiając o interesach, układach między politykami i biznesmenami, możliwych scenariuszach wydarzeń. Całymi godzinami buszował też w Internecie, znajdując nieprawdopodobne informacje. Ale przede wszystkim czytał: gazety, książki, tygodniki. „A może wszyscy moi przyjaciele, ludzie obok, to jacyś cichociemni, tylko ja jestem biednym zuczkiem?” Usiadł na łóżku. Wyciągnął przed siebie nogi i nagle pomyślał: „Kto wie, gdybym się zgodził na to, co proponował Matysik, czy nie byłbym bogatym malarzem, wystawiającym w znanych galeriach? Czy musiałem spotkać tego Matysika? Czy to poznanie było zaplanowane w scenariuszu mojego życia? Co by się stało, gdybym poszedł na układ, który zaproponował mi

ten esbek? Na pewno byłbym znany, pokazywałbym się, gdybym chciał, w telewizji, udzielałbym wywiadów w kolorowych magazynach. A tak, to jestem dla przeciętnego Kowalskiego, ba, swojego sąsiada z tej samej klatki schodowej, zwykłym nieudacznikiem. Bo co on widzi? Marek jest posłem, pokazują go w telewizji, to jest dla niego namacalny znak władzy i popularności, Pączek jest bogaczem, mającym rezydencje i ileś luksusowych samochodów, nawet Irokez przy mnie był milionerem. Wystarczyło tylko coś podpisać. Zapomnieć o godności, wstydzie. Tak robiły i robią miliony. Mogłem tak zrobić, ale nie zrobiłem. Może mnie za słabo bił? Czy kapowali, jak twierdzi Irokez, Marek i Pączek? A jeśli tak, to o czym donosili? Z kim spałem, ile razy się upiłem, jakie mam słabości? Nie, to niemożliwe. Irokez jest chory, dostał paranoi”. Zapalił następnego papierosa. Zaczął się zastanawiać, jak to się stało, że Iwona stała się przestępcą. Ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że nie czuje do niej odrazy. Bo niby dlaczego miałby? Odeszła, to trudno, on także porzucał. Kłamała, może musiała. Może to na niej w jakiś sposób wymogłem. A to, że łamała prawo, nie ona pierwsza i nie ostatnia. On także kiedyś przemycał buty, zegarki, kosmetyki.

Znów zadzwonił telefon komórkowy. Na ekranie nie było numeru. Odebrał, ale się nic odzywał.

- Halo, halo - usłyszał podenerwowany głos Iwony i postanowił mówić jak najmniej.

- Czego chcesz?

- Pawka, naprawdę nie znalazłeś tej saszetki?

- Nie.

- Proszę, poszukaj. Może spadła obok albo pod stół.

- Nie ma.

- Na pewno?

- Na pewno to Kopernik był cwelem i wszyscy pójdziemy do piachu - odpowiedział odzywką więzienną i pomyślał, że ona mu nie wierzy.

- Jeśli odzyskam tę saszetkę, to dostaniesz pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Myślę, że jest to ciekawa propozycja.

- A gdzie słowa o miłości, tęsknocie, pożądaniu? - zaśmiał się i lekko uchylił zasłony. Samochód stał. Nikogo nie było w okolicach bramy wjazdowej ani ganku. Mżył deszcz. Nagle zaczął się znowu bać. Wyobrażnia projektowała różne obrazy, podsuwała przyszłe wydarzenia: napad na niego, przesłuchania, rewizje...

- Na wszystko przyjdzie czas.

- Nie dostaniesz tej saszetki - powiedział, wiedziony impulsem, zanim zdołał pomyśleć.

- Siedemdziesiąt tysięcy.

- Nigdy w życiu jej nic dostaniesz - stwierdził twardo, udając powagę, chociaż naprawdę chciało mu się śmiać z całej tej sytuacji. - Czy ta saszetka będzie uszczerbkiem w twojej kolekcji?

- Słuchaj, nie żartuj sobie, bo jest to za poważna rzecz - jej głos stał się twardy, z trudem hamowała wybuch. - Kłopoty to na pewno twoja specjalność, ale przyszedł czas, żebyś zmądrzał...

- Ooo, grozisz mi? Czy wiesz, że za groźby karalne można pójść do więzienia? Chcesz, żeby się tobą zajęły stare lesbije? Szukasz przygód?

- Myślałam, że jesteś inny, a okazałeś się skurwysynem...

- Zgaśnij, wadc światło. Życie jest tylko wędrującym cieniem, powieścią idioty - deklamował patetycznie, popijając z butelki whisky. - Głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą. To Makbet, moja miła. Ja udawałem milutkiego facecika, ty zakochanego wampa. Czas na finał.

- Muszę mieć tę saszetkę.

- Hej, lala, przestań się mazać! - powiedział z rozbawieniem i pomyślał: ona jednak jest głupsza, niż przypuszczałem. Czy to wszystko już kiedyś się zdarzyło? Czy to ja tak śmieję się idiotycznie, gadam piskliwym tonem? Nie mógł stać ani siedzieć nieruchomo, bo kręciło mu się w głowic. - Rozumiem, agent musi się bać. Najbardziej tych, których podchodzi i tych, dla których pracuje. Ale swoich musi bać się więcej. Przed nimi trudniej się bronić. Nigdy nie wiadomo, kiedy zechcą wysłać na tamten świat. Dobrze mówię? No, dla kogo pracujesz? Mafii, Ruskich, starych ubeków, Arabów...

- Jesteś pijany...

- No i co z tego? No, opowiedz mi swoją historię... Jakaś wzruszającą. O biednym dzieciństwie, molestowaniu, jakimś gwałcie. Wzrusz mnie.

- Mogę zginać.

- No i co z tego? Jednej bladzi będzie mniej.

- Oj, kociu, przesadzasz...

- Od kiedy jesteś tak honorowa? Zadzwońska, bo chcesz mieć saszetkę i tyle. Nie dam ci jej. Nie udawaj, nie gadaj bzdur i siedź cicho. Zrozumiałaś?

- Owszem... Od przeszło czterech miesięcy mam kochanka, to dla niego przyjeżdżam do Polski, a nie dla ciebie. Jest od ciebie o wiele młodszy, przystojniejszy, bogatszy i lepszy w łóżku. Kiedy mnie rznąłeś, zawsze myślałam o nim. O jego ptaku, ciele, że mnie dotyka. Chciało mi się rzygać, kiedy mówiłam, że cię kocham. Rozumiesz?

Przeszedł przez niego dreszcz, ale odczuł ulgę. Teraz na zawsze zostawi go w spokoju.

- Naopowiadałaś w życiu tyle kłamstw, zmyśliłaś multum mitomańskich historyjek, że już sama nic wiesz i nie pamiętasz, jak to było naprawdę... Kim jesteś, z jakiej rodziny, z kim spałaś, kogo znałaś i z czego żyjesz.

Nic była w stanie udowodnić, że to, co mówi jest prawdą, przez co nie udało się jej poniżyć go. Ugodzić go w męską próżność. Co jest w tej saszetce, że proponuje za nią tyle pieniędzy? I co się z nią stało? Zabrali bandyci, czy jest gdzieś schowana, a ona zapomniała, gdzie ją ukryła? A może ją ma, tylko udaje przed kimś, że jest inaczej?

- Jeżeli nie chcesz mieć kłopotów, to natychmiast oddaj tę saszetkę. Wtedy będziesz miał święty spokój i siedemdziesiąt tysięcy dolarów. To kupa kasy. Będziesz mógł żyć dzięki niej wiele lat w Polsce. Wiem, że bywasz głupawy i uparty jak osioł, ale zastanów się. Tu chodzi o ważne sprawy...

Wrzeszczała, a później wściekłość ulotniła się. Zastąpiła ją pustka, w której był strach przed nim. Wiedział o tym, mógł się o wszystko założyć, że właśnie to czuje; strach przed tym, co może zrobić, a czego nie mogła przewidzieć.

- Pocałuj mnie w dupę - powiedział i przerwał połączenie.

Poczuł ulgę i radość. Telefon znów dzwonił i dzwonił. Sprawdzał, czy to nie Pączek i nie odbierał.

Nagle poczuł irracjonalny lęk. Coś mu podpowiadało, żeby natychmiast wyszedł z domu. Ostrożnie podszedł do okna. Nikogo nie było. Wiatr szarpał drzewami. Zacinał deszczem. Założył kurtkę. Wziął dokumenty. „Nie, nie mogę jechać samochodem, może coś wsadzili, ruszę i wylecę w powietrze” - pomyślał. „Eee, bzdury. Naoglądałeś się za dużo filmów gangsterskich. Jakby chcieli cię wykończyć, to by wywieźli, wrzucili do rzeki albo bajora i zakopali w dole z wapnem. Ale po co ryzykować? A może stoją w krzakach, tuż przy drodze? To co, pójść do sąsiadów, ukryć się u nich? Nic to nie da, jak będą chcieli mnie dopaść, to i tam dopadną”.

Wszedł po drabinie na strych; Bał się. Serce tłukło się, jakby przebiegł kilka kilometrów. Miał trudności z oddechem. Otworzył okno. Opuścił się na rękach i skoczył. Przewrócił

się. Wstał. Bolała go noga. Niezdarnie przeszedł przez ogrodzenie i zaczął biec, kuśtykając, skrajem lasu, wzdłuż polnej drogi prowadzącej do szosy.

Miał podrapaną twarz, zmoczone włosy i ubranie. Woda chlupotała w butach. Starał się o niczym nic myśleć, tylko biec równym tempem, oddychając przez nos. Kilka razy przewracał się, ale zaraz podnosił, nie zważając na ból w nodze i to, że nie widzi na jedno oko.

Usłyszał przejeżdżające szosą samochody. Skreślił w lewo. Wybiegł z lasu i znalazł się na wąskiej, polnej drodze pełnej kałuż. Przystanął. Zgiął się wpół, łapiąc oddech. „No, już mnie nie dopadną” - pomyślał z ulgą. Zaczął iść szybkim krokiem, ale zaraz musiał przystanąć. Nogi odmawiały posłuszeństwa. Najchętniej położyłby się na mokrej ziemi, okrył kurtką i zasnął.

Usiadł na poboczu polnej drogi. Oparł się plecami o drzewo, z głową pochyloną tak nisko, że brodą dotykał klatki piersiowej. Ciężko oddychał. Tracił poczucie czasu. Znów widział purpurowe róże, ogród dziadków, szedł zieloną łąką, patrząc w słońce...

U wylotu polnej drogi błysnęły reflektory.

Zbliżały się dwa samochody. Raptem potężny zastrzyk adrenaliny wyrwał go z odrętwienia. Poderwał się i popędził w stronę swojego wiejskiego domku. Kluczył jak zając, oczekując, że zaraz usłyszy strzał.

Obejrzał się.

Samochody jechały za nim, błyskając światłami.

Nagle pierwszy przyspieszył.

Paweł biegł, ile miał sił, wpadając w kałuże.

Potknął się, próbował złapać równowagę, ale przewrócił się. Uderzył głową w leżący konar drzewa. Poczł ból rozsadzający lewą skroń. Chciał wsiać, ale tylko jęknął. Było mu coraz zimniej. Widział zbliżające się samochody,

błyskające światła, słyszał warkot, silników... Nagle przystanąły. Otworzyły się z obu stron drzwi. Dwóch wysokich mężczyzn, w czarnych skórzanych kurtkach, z kapturami na głowach, szło w jego stronę. Jezu, jak głupio umrę, pomyślał z żalem, bez strachu i zaczął lecieć gdzieś z ogromną szybkością, jak kula. Czuł w sobie radość. Wyostrzony słuch rejestrował głosy, dobiegające z dołu, z Ziemi. Wyłapywał niektóre. Słyszał, jak ludzie kłócą się i kochają. Wszędzie widział niebieskie chmury, rozpędzane przez wiatr. Wydobywały się z jaskiń i wąwozów. Raptem poszybował, wbrew sobie, z powrotem. Po drodze zachłystywał się słońcem. Był przekonany, że umiera, ale nie bał się. Zobaczył siebie, leżącego bezwładnie w kałuży. Przy nim pochylało się dwóch mężczyzn.

- O, rany Boga, zobacz, jak on wygląda - odezwał się jeden, a Paweł zobaczył, że jest to Pączek, a drugi to Marek. - Wygląda na to, że nie będzie widział na oko...

- Pieprzysz jak stara baba! - obruszył się Marek. Jak to dziwnie wgląda z góry, pomyślał Paweł i przyjrzał się dokładniej, jak wygląda w tej kałuży. - Stracił przytomność i tyle.

- Pawcio, obudź się! - zaczął nim potrząsać Pączek. - To ja, Pączek, twój koleżka... Kurwa, proszę nie umieraj! Nie umieraj!

Pączek osunął się na kolana. Płakał i bił pięściami o ziemię.

- Boże, co ty robisz?! Zabierasz normalnych ludzi, a pozwalasz żyć skurwysynom! Błagam, nie zabieraj tego człowieka! Wiem, że popełniał błędy, latał za dupami, ale przecież zmienił się, coś zrobił dla ludzi... Przysięgam, że jeśli nic umrze, to założę fundację, która będzie się opiekowała chorymi. Nie zabieraj tego faceta, tego popierdolcńca, bo on nie jest zły. Naprawdę. Boże, błagam cię...

Marek położył rękę na ramieniu Pączka. Rozglądał się bezradnie. Lśniły łzy w kąciakach jego oczu.

Paweł nagle odzyskał przytomność. Wstał. Głowa mu pękała. Miał wrażenie, że jest wielkości kilku piłek futbolowych.

Pączek otworzył szeroko usta. Patrzył na niego jak oniemiały.

- Co tak lukasz jak szpak w cipe? - spytał Paweł, siląc się na uśmiech. - Pewnie już liczyłeś, ile cię będzie kosztował mój pogrzeb i nekrologi, co?

Pączek poderwał się z ziemi. Śmiał się jak oszalały, bijąc pięściami w klatkę piersiową i podskakując w górę, jakby ćwiczył na batucie. Po chwili podszedł do Pawła i położył ręce na jego ramionach. Patrzył mu prosto w oczy, zaciskając wargi, by znów się nie rozplakać. Wreszcie powiedział:

- Rany Boga, jak ty wyglądasz?! Jakbyś bił się z koniem albo kangurem... Jak nie dojdiesz do siebie, to będziesz musiał walić kapucyna do końca życia, bo nawet najbrzydsza kurwa nie będzie chciała pójść z tobą do łóżka!

VI

Jechali w milczeniu. Z radia płynęła stara piosenka Stonesów. Pączek podśpiewywał, fałszując. Marek siedział obok niego, pijąc whisky z butelki. Paweł leżał z tyłu, mając pod głową kurtkę. Na oczach miał apaszkę, bo Pączek wymyślił, że może mieć wstrząśnienie mózgu, a wtedy trzeba wystrzegać się światła; drzemał, budząc się co chwila. Wszystko go bolało i marzył o chwili, kiedy znajdzie się w łóżku.

- Dlaczego uciekałeś? - spytał Marek, odwracając się do Pawła; był już podpity, miał potargane włosy, bez przerwy mrugał oczami, jakby go piekły.

- Dostałem paranoi, że te samochody, to z bandytami, którzy zaraz mnie zabiją.

- Myślałeś logicznie - stwierdził Pączek, pogwizdując i ruszając lak rękami, jakby dyrygował - Dwie bryki, pustkowie, zajeżdżają drogę... Można było spanikować.

- A gdzie jest ten drugi samochód? - zapytał Paweł i dotknął czołem szyby, by choć na chwilę uwolnić się od bólu głowy.

- Puściłem ich, z tobą nie mogę jechać szybko. Poza tym jestem wpity, jest noc i kiepska widoczność.

- Gdy Pączek zadzwonił, że masz kłopoty, to w pierwszej chwili pomyślałem, że jest pijany i robi sobie jaja - powiedział Marek i zdjął skórzaną kurtkę, zostając tylko w bluzie z kapturem.

- Bo cały problem z tobą, zresztą nie tylko, polega na tym, że traktujesz mnie jako tego Pączka sprzed trzydziestu, dwudziestu lat... Ja nie mam pretensji. Badania wykazały, że jeśli ludzie spotkają się po raz pierwszy, powiedzmy na wycieczce, i ktoś z nich coś zgubił, to już do końca będzie postrzegany jako fajtłapa, ofiara, a jak ktoś będzie opowiadał kawały, będzie się śmiał, to będzie traktowany jak wesolek. I tak jest ze mną. Oczekujesz, że mam śpiewać, tańczyć, recytować, ale nic mówić o sprawach poważnych. Dobrze nawijam, Pawełek?

- Facet ze złotym zegarkiem na rękę, to przyznaję, jest wielkim cwaniakiem, ma naprawdę duże pieniądze i wpływy - odpowiedział Paweł cicho, trochę niewyraźnie, bo nie mógł szerzej otwierać ust. - Natomiast ja, Marek i większość tych, którzy obżerają się i piją za pieniądze Pączka, myśląc, że go wyzyskują, to frajerzy mający siebie za spryciarzy. Pączek nie potrzebuje kłamać i udawać lepszego niż jest. Za niego robią ci, których ma w rękę albo opłaca: adwokaci, dziennikarze, politycy, emerytowani oficerowie służb specjalnych, policji i wojska...

- Ze służb się nie wychodzi i tak jest na całym świecie - wtrącił się Marek i zapalił papierosa, którego mu zaraz Pączek zgasił.

- Dziękuję za charakterystykę, ale nie wiem, czy mam się obrazić, czy też nie?

- Cieszyć się - odpowiedział Paweł, układając się z jękiem na fotelach auta. - Jak wydobrzeję, to ci to lepiej wytłumaczę... Na razie dziękuję, Rysiek. I masz u mnie trzy kilo schabowych i trzy liny wódki. Nawet się napiję tej wódki.

- Niestety, koluniu, odchudzam się, bo wyglądam jak tłusty wieprz - powiedział Pączek, wzdychając głośno. - Siłownia, basen, rowerek. W nowym roku odchudzę się na bank. Dzwoniła do ciebie Iwona?

- Owszem... Dawała siedemdziesiąt tysięcy dolarów za jakąś saszetkę, która była pod telewizorem.

Marek gwizdnął. Machinalnie odwrócił się i przez chwilę przyglądał się Pawłowi, który znów usiadł, pojękując.

- Muszę mieć tę szmatę na oczach jak skazaniec?

- Musisz, koluniu, dla twojego dobra - odparł Pączek i ściszył radio. - Masz tę saszetkę?

- Nie mam... Jak odzyskałem przytomność, to telewizor był zdjęty i nic nie leżało na stoliku.

- Co było w tej saszetce? - zapytał Marek.

- Nie wiem... Podejrzewam, że ona ją wzięła i zatelefonowała przy kimś, robiąc sobie legendę, że ta saszetka jest u mnie. A może myślę się, nie wiem...

- Co tam może być takiego, co jest dla niej warte tyle kasy? - Pączek pokręcił głowę i wciągnął głośno powie trze, jakby nagle zabolał go ząb. - Dyskietka z czymś super, tajemny papier, weksel?

- Może narkotyki - odezwał się Marek.

- Poseł, za dużo oglądasz telewizji! - skrzywił się Pączek.

- Za narkotyki karałbym śmiercią! - powiedział Marek ze złością, podnosząc głos. - Publicznie bym wieszał...

- Narkotyki? A kto każe je brać? - zaśmiał się Pączek, wzruszając ramionami. - Czy któryś z nas wziął heroinę, morfinę czy inne gówno, jak byliśmy młodzi? Nie. Narkotyki powinny być sprzedawane legalnie. Tak jak przed wojną, w aptekach na receptę. Małolat szedłby do apteki i co widział? Trzęsące się stwory, z obłędem w oczach. I wtedy zastanowiłby się, patrząc na tych obszczymurków, do czego prowadzi branie narkotyków... A dzisiaj? Wała. Małolaty traktują narkotyki jako coś fajnego, zakazanego jak seks. Gdyby zabronili pić wodę mineralną, to zobaczyłbyś jakby ludzie ją chlali. Na potęgę. Byłby to złoty interes. Narkotykami handlują na całym świecie służby. Tak jak bronią. Specjalnie narkotyzują coraz to nowych ludzi. Jest z tego pieniędzy. Narkomana łatwo kontrolować i nie jest zdolny do prawdziwego buntu...

- Pączek, co ty za pierdoły opowiadasz?! - obruszył się Marek - Masz paranoiczne hipotezy...

- To jest podwójna moralność. Między innymi. Na zewnątrz krzyczy się, tropi, ale tylko obcych...

- Rysiek, a nie myślałeś, że Iwona jest związana z jakimiś służbami? - zapytał Paweł, trzymając się za obolałą szczękę i dotykając spuchniętym okiem do zimnej tafli szyby samochodu.

- Wszystko możliwe - odpowiedział Pączek. - Tylko jakimi?

- Może być podwójna, potrójna, poczwórna - powiedział Marek. - Tak jak ci nasi gangsterzy, kiedyś mieszkający na Zachodzie lub teraz... Przecież czytacie gazety. Okazuje się, że kapowali dla służb komunistycznych, a później dla zachodnich.

Pączek roześmiał się.

- Nie załamuj, chłopaka! On ma stale niefart. Jak Jonasz.
- Ty o niej dużo wiesz, Rysiek. Ja to czuję.
- Ostrzegalem, żebyś trzymał się od niej z daleka. Ale tobie zachciało się przygód. Pewnie prowadził cię nieczysty, bo inaczej nie można wytłumaczyć twojej głupoty...
- Oj, Pączek, nie przesadzaj! - roześmiał się Marek, walcząc z czkawką. - Sam widziałem jak latałeś przy niej...
- Co innego pójść do wyra, a co innego być z kimś - skrzywił się Pączek. - Kwestia smaku...
- Powinieneś mi to powiedzieć jasno. Nie ogólnikami...
- Kurwa jego mać, jeszcze ma pretensje! - rozłościł się Pączek. - Jestem twoim ojcem albo lekarzem? Masz oczy, uszy i podobno rozum. Miałem zabronić ci dymać się z nią? Co ty z fujarą na głowę się zamieniłeś?!
- Ci, którzy są w służbach, żyją w świecie nienormalnym
- odezwał się Marek, trzymając za nos, by zwalczyć czkawkę.
- Większość tego, co robią, jest nielegalna, zakłamana i podstępna. Gra służb jest mieszaniną powątpiewania, nadziei, uniesienia i rozpacz.

- Olala, aleś odkrył prawdy nieznane! - zadrwił Pączek. - Wyczytałeś to w książkach szpiegowskich, czy sprzedał ci te banialuki jakiś cichociemny?

Marek przez chwilę wyglądał tak, jakby dostał w twarz. Ale szybko się opanował.

- Jak wiesz, miałem swoje powody, żeby się rym zainteresować.

- O, gadasz jak Bond! - zaśmiał się Pączek. - Jakie to powody, panie pośle? Oczywiście, jeśli to nie naruszy etyki poselskiej albo nic złamie tajemnicy państwowej...

- Ania.

- Eeee tam, nic masz kogo wspominać? - skrzywił się Pączek pogardliwie i napił coli. - Jesteście strasznie sentymentalni. Ja nawet nie pamiętam tej swojej byłej. Wiem,

że była brunetką, która farbowała się na rudo i miała zdrowy cys. No i pamiętam jej dzyndzelka.

Roześmiali się. Obok przejechał, głośno trąbiąc, biały samochód na niemieckiej rejestracji, ciągnąc za sobą dziesiątki kolorowych baloników.

Paweł podciągnął lekko apaszkę. Spoglądał na mijane domy, zabudowania, światelka i myślał o ludziach, którzy tam żyją; jedzą, oglądają telewizję, rozmawiają, kłócą się. Czy boją się, że będzie wojna, czy też mają wszystko gdzieś? I czuł, jak rośnie w nim cisza i bezruch. Jakby coś obumierało. „Gdybym tu mieszkał, to co bym robił? Byłbym bezrobotnym robotnikiem z upadłego pegeeru, zachlewającym się codziennie winem z siarką? A może nienawidzącym świata nauczycielem wychowania fizycznego, mającym gromadkę dzieci i żonę uczącą matematyki, oglądającą wszystkie telenowele?”

- Tak, różni mają na siebie haki - odezwał się Marek, zdejmując bluzę i zostając w czarnym podkoszulku. - Niesamowita potęga służb powoduje, że wielu ludzi jest uwikłanych, bo zgodzili się kiedyś na współpracę. Także po dziewięćdziesiątym roku. Metoda haków spowodowała, że gdzieś są papiery na różnych ludzi. Nie zawsze musiała to być agenturalność, bo ludzkie słabości są rozmaite. Ktoś miał jakiś feler w księgach rozrachunkowych, ktoś inny zrobił szachermacher z podatkiem. To jest straszliwy system oparty na wykorzystaniu ludzkiej słabości. Słabości, nie siły... A słabości mają wszyscy. Mniejsze, większe, śmieszne, groźne albo parszywe.

- Skąd to wszystko wiecie? - zapytał Paweł, a w głowie pulsowało mu pytanie: Jeśli Irokez ma rację i oni rzeczywiście są agentami, uczestniczą w grze, której reguł nie znam? Przyjechali, żeby mnie porwać, zmusić do powiedzenia

czegoś, o czym nie mam zielonego pojęcia? Nie, to niemożliwe, dostaję paranoi...

- Zna się różnych ludzi i sporo się widziało - odpowiedział Pączek po chwili żartobliwym tonem. - Prawda, panie pośle?

- Prawda - potwierdził Marek, odwracając się do Pawła, z szerokim, szczerym uśmiechem. - Czym więcej widzę, tym więcej się boję...

- Poseł, a czego ty się boisz? - zaśmiał się Pączek i zaczął wybijać dłonią jakiś rytm na kierownicy auta. - Prokuratora, starości, bezrobocia?

- Życia, kolego, życia - odpowiedział Marek z westchnieniem i napił się whisky. - Starości, choroby, samotności...

- Rysiek, podziałałeś coś w sprawie Irokeza? - spytał Paweł i pomyślał bezsensownie, że Marek i Pączek wyglądają w świetle reflektorów mijanych samochodów jak zjawy, jakby ubrali się we własne widmo. Zamknął oczy. Miał wrażenie, że świat się kurczy, to znów rozszerza. Kręciło mu się tak w głowie, jakby był pijany. Wszystko uciekało spod nóg.

- Nie za dużo - mruknął Pączek takim głosem, jakby nic chciał rozmawiać na ten temat. - Na razie za mało wiadomo.

- Ja gadałem z kimś ze służb - ożywił się Marek. - Wezmą go na obserwację, posiedzi z trzy miesiące i go wypuszczą. Tylko ktoś będzie musiał za niego poręczyć. Ale to się załatwi. Chłopaki z „Solidarności” dadzą kwity...

- Tylko, że za miesiąc będą rządziły komuchy i ci wszyscy nasi, którzy są teraz w służbach, zostaną wyjebani na zbity pysk - powiedział Pączek drwiąco. - A koniuszki wcale nie będą mieli interesu, żeby wypuszczać na wolność szalonego solidarucha... Bo to wiadomo, co może strzelić mu do głowy? Może zdetonuje bombę, tym razem prawdziwą,

któregoś zastrzeli? Poza tym można się sprytnie zemścić za to, że tyle lat ich podgryzał.

- Rysiek, przestań już gadać, dręczyć mnie! - powiedział Marek. - Chcesz, żebym się bił w piersi, przeprosił, rozplakał, podpalił przed Sejmem? Co mogłem zrobić? Znasz takie powiedzenie, że wyżej ptaka nie podskoczysz?

- A co takiego niby zrobiłeś?! Wyszedłeś na mównicę, kiedy obrady były transmitowane przez telewizję, i powiedziałeś prawdę, ostrzegłeś, do czego to wszystko zmierza? Nie. To po kuta pchałeś się do tego Sejmu?!

- Już dawno temu mówiłem, że odchodzę z polityki...

- Powinieneś to zrobić po kilku miesiącach, kiedy zobaczyłeś, że nie masz jaj. Ale nie, ty wybrałeś to pierdolone mniejsze zło... Coś może ugram. Nie jestem taki zły. Dupę ci przyspawało do fotela. Spodobały się wyjazdy zagraniczne, gadułki, przeświadczenie, że jest się kimś, no bo gada się z ministrem, premierem. Do tego niezła kasa, jak się porówna przeciętne zarobki w Polsce. Jakbyś wygarnął wszystko, rzucił w dupu cały ten Sejm, to przynajmniej ludzie by cię szanowali. A tak, jak spytasz przeciętnego Kowalskiego, co mówi twoje nazwisko, to powie, że to jakiś sportowiec albo piosenkarz. Straciłeś wielką szansę, obsrałeś przeszłość i nazwisko. Polacy, jak zobaczą, że ktoś nie pęka, nie przestrasz)' się po drodze, to pójda za nim. Mogłeś być premierem, cesarzem, naczelnikiem państwa, prezydentem...

- A ty wtedy byłbyś moim doradcą, szarą eminencją, tak? - zadrwił Marek.

- Oj, poseł, nie przeginaj... Nie przeginaj.

- Czy was pogięło? - krzyknął Paweł i jęknął; ból w szczęce eksplodował jak następne uderzenie.

- Pączek, proszę, daj mi spokój - powiedział Marek błagalnie, składając ręce jak do modlitw)' . - Naprawdę mam dość... Jeszcze ten atak na Nowy Jork, historia z Pawciem i

Irokezem... Nie męcz mnie. Wystarczy, że sam daję sobie w dupę...

- Ej, poszukiwacz przygód, żyjesz? - spytał Pączek barytonem i głośno beknął dwa razy. To był jego popisowy numer w szkole podstawowej. Doprowadzał tym do wściekłości nauczycielkę historii, sekretarz podstawowej organizacji partyjnej. Ale nigdy nic nie zrobiła Pączków, bo jego ojciec był już wtedy pułkownikiem, pracował w Sztabie Generalnym i często podjeżdżał pod szkołę czarną limuzyną, symbolem potęgi.

- Żyję, ale co to za życie - odpowiedział Paweł wyświechtanym zwrotem; snuły mu się po głowie myśli o kłopotach, w które się wpakował i o cenie, jaką będzie musiał zapłacić za swoją naiwność.

- Polska jest od ponad sześćdziesięciu lat w niewoli - powiedział Pączek i zaczął jeść jabłko. - Tylko u nas, jako jedynym kraju satelickim, nie przeprowadzono reprivatyzacji, dekomunizacji i lustracji. Czy to przypadek? Oczywiście, że nie... Ruski, ich agentura, znowu chcą nas wpędzić w zależność od Moskwy. Dlatego jedyną szansą jest Unia Europejska. Skoro wszystkie rządy, nie chciały być blisko Stanów Zjednoczonych Ameryki, to trzeba, niestety, wybrać to pierdolone mniejsze zło. Polską powinien rządzić ktoś inny. Jakiś namiestnik, kto nawet lepiej kradnie od polskich polityków. Nie tak bezczelnie i dużo... Zachód weźmie za mordę, posypie kasy, zacznie budować mieszkania i autostrady, powsadza złodziei do pudła, zabierze majątki i będzie normalnie. Za trzydzieści lat. A my wtedy będziemy szczać po nogach z powodu prostaty. Jesteśmy pokoleniem, które miało niesamowitą szansę. Przecież to my, po tylu latach niewoli, stworzyliśmy „Solidarność”, setki wydawnictw i gazet w stanie wojennym. To my, nasze pokolenie,

napieprzało się z zomowcami w czasie demonstracji...
Wszystko było w naszych rękach. Prawda, Pawciu?

- Prawda - odpowiedział Paweł, kiwając głową. Myślał o Gabi. Nie takiej, jaką była, kiedy przyszła do niego pierwszy raz do domu, mając na głowie dziwną, białą czapkę zrobioną na drutach, a później siedziała przy stole, zagryzając wargi i podnosząc zwolnionym ruchem łyżkę z rosółem, którego, jak się okazało, tak się brzydziła, że już na sam widok wymiotowała, co zrobiła na porcelanowe figurki matki, stojące na kredensie, bo nie udało się jej dobiec do łazienki. Nic tej Gabi, która w czasie jednej z piywatek weszła nagle do pokoju, w którym całował się z dziewczyną, którą kilka lat później ktoś wyrzucił z dziesiątego piętra hotelu w Monachium, i dostała furii, bijąc go i ganiając z ogromnym nożem kuchennym po całym mieszkaniu. Ta Gabi była wtedy zbyt dorosła i szalona. Myślał o Gabi, kiedy grała w siatkówkę z Markiem i Pączkiem, co chwila wbiegała do morza po piłkę, miała na sobie żółty kostium kąpielowy i widział w jej wzroku miłość. Tak, wszystko było w ich rękach. Ale głupcy wszystko tracą, bo myślą, że wszystko im się należy i że zawsze będzie im się udawać.

- Zawsze mnie to interesowało, nie obraź się, przecież jesteśmy kumplami tyle lat, powinniśmy sobie pewne rzeczy mówić - odezwał się Pączek, rozkaślał i napił coli. - Prawie wszyscy nasi kolesie z podziemia, których znam, brali kasę... I to tak, że aż szumiało. Oczywiście możesz nie odpowiedzieć, twoja sprawa... Brałeś kasę?

Marek milczał przez chwilę, później odwrócił się i spytał:

- Jak myślisz, Pawciu, brałem forse?

- Nie brałeś.

- A dlaczego tak myślisz?

- Bo gdybyś brał, to zacząłbyś bywać na dziwnych bankietach, miałbyś drogi samochód i młodą kochankę.

- Widziałeś, jaki mądry kubuś jest z naszego koleżki? - zaśmiał się Pączek. - Taki milczek, z cicha pęk, a na wszystko ma oko. Dobrze, że nie jestem posłem, bo byłbym podpadnięty...

- Masz młodą kochankę? - zdziwił się Marek.

- A co, nie wolno? Dlaczego mam się męczyć przy starej? Mam taką mizerotkę, sierotkę Marysię. Przyjechała z Łomży, studiuje zarządzanie, dwadzieścia dwa lata. Opłacam jej kawalerkę, tysiąc złotych, daję osobiste stypendium, tysiąc pięćset, ekstra prezenty. Przegląda mi różne papiery, opiniuje, doradza. Głowę majak komputer. Daleko zajędzie. Dwa razy w tygodniu czyszczę jej komin. Przyznaję, nie jestem hojny, ale nie chcę, żeby się rozbestwiła... Naprawdę, chłopaki, przestałem się bulwersować, kiedy dowiaduję się, że ten, czy inny koleś okazuje się być łapownikiem albo złodziejem... Miałaś głodną kieszeń?

- Kiedyś byłem bardzo blisko tego, żeby wziąć forszę - odezwał się Marek cicho, co chwila pokaszując. - Facet miał kłopoty z urzędnikami, nie dawali pozwolenia na budowę. Dotarł do mnie przez znajomego. Zrobiłem raban, to było kurestwo w biały dzień, co wyczyniały te urzędasy, i dostał odpowiednie papiery. Był strasznie wdzięczny, ciągle dzwonił, dziękował, zapraszał do siebie. Wreszcie pojechałem. Dworek, piękne lasy obok, popływałem, odpocząłem. Byłem dwa dni, sobota i niedziela. Na obiad wędzone węgorze, kawior, francuskie wina... W pewnym momencie sięgam do kieszeni kurtki, a tu koperta, w niej trzydzieści tysięcy złotych. Siedzę na kiblu i kombinuję, co jest grane. Przypadek, ktoś się pomylił, włożył do mojego ubrania? Niemożliwe. Oglądam tę forszę, wacham, nowiusieńkie banknoty... I zaczynam się wahać. Facet bogacz, taka forsa to dla niego przyszcz. Rzeczywiście mu pomogłem, nałaziłem się, telefonowałem... A tu wydatki. Samochód w

warsztacie, trzeba zrobić generalny remont, a najlepiej to kupić nowy albo trochę używany. Już, już się zdecydowałem, że biore, to przecież nic łapówka, i nagle, możecie wierzyć albo nie, złapał mnie przeraźliwy strach. Skamieniałem. Nie mogłem ruszyć ręką ani nogą. Pomyślałem, że to znak. Ostrzeżenie. Wypadłem ze sracza, złapałem faceta za koszulę, prawie podniosłem do góry, zacząłem wrzeszczeć, on przeprosza. Awantura na całego... Przyznaję, byłem bliski wzięcia forsy.

- Wszystko dobrze, ale co się stało z forszą? - spytał Pączek, dodał gazu i wyminął TIR-a na rosyjskiej rejestracji.

- Wrzuciłem do basenu... Facet wskoczył do wody w butach i spodniach od garnituru. Zbierał banknoty i wydierał się, że jestem jebanym solidaruchem. O mało się nie utopił...

- Jak się nazywa ten misio?

- Karol Ziemko.

Pączek gwizdnął i zaśmiał się głośno.

- To ty, koleżko, wywinąłeś się spod brzytwy... Ten Ziemko to stary esbecki kapuś. Za komuny miał warsztat, właściwie fabryczkę, robił różne duperele z plastiku. Dwa razy siedział, ale zaraz go wypuszczali. Teraz ma kontakty z mafią. Ktoś cię chciał ugotować... Pewnie wszystko było filmowane i nagrywane. Mieliby cię w ręku...

- Z mafią? Nie pomyliły ci się nazwiska? - w głosie Marka był strach.

- Tak, tak, z mafią... A co ty myślisz, poseł, że mafia to bandziory bez szyi? Kielbasy, Kiszki, Słoniny, Komandosy? Czy tacy kolesie są w stanie zorganizować siatki przemytnicze, kombinacje z wyłudzeniem podatku VAT, przewalać elegancko banki? Oni tylko potrafią kogoś pobić, wziąć haracz, napaść na ciężarówkę, ukraść samochód... Prawdziwa mafia to ludzie w drogich garniturach,

wykształceni, szanowani. Bywają na rządowych bankietach, w Sejmie, ambasadach, różnych imprezach charytatywnych.

- Ja cię kręcę! - Marek pokręcił głową i napił się whisky.

- Po rozmowach z tobą nie mogę spać.

Pączek roześmiał się i napił coli. Wziął kilka głębokich oddechów.

- Ojej, ale mnie suszy... Wypiłbym wiadro kefiru. Ojej... Czy zauważyłeś, że każda ekipa rządząca przez tyle lat, broni się przed powiedzeniem, że w Polsce jest mafia? Nie, u nas w Polsce nie ma, panie redaktorze. Jest tylko przestępczość zorganizowana. Kurwa, są narkotyki, zboczenia, moda, filmy jak na Zachodzie, ale mafii nie ma... Popatrz pan, jacy jesteśmy wyjątkowi. Wszystko to pic na wodę, fotomontaż, jak mówi mój pracownik... Zdemoralizowali nas. Większość uważa, że nie może być lepiej. Nie warto nic robić. Że wszyscy kradną. Od lewego do prawego. Od księdza do komuszka. Tylko w rajach podatkowych, Wyspach Dziewiczych albo Panamie, pośród palm i egzotycznych owoców, rosną jak wymiona krów konta bankowe niektórych misiów... Eeee, szkoda gadać... Pawcio, śpisz?

- Nie mogę, wszystko mnie boli.

- Dusza też.

- Przede wszystkim.

- Oto ogłaszam wam tajemnicę: nic wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy odmienieni - zaczął Pączek wyśpiewywać tonem kaznodziei. - W jednym momencie, w mgnieniu oka, na dźwięk ostatniej trąby, zabrzmiał bowiem trąba, umarli powstaną nienaruszeni, a my będziemy odmienieni.

- Przestali błaznować - powiedział Marek bez gniewu.

- A co mam płakać? Jakieś świrusy atakują najpotężniejsze państwo na świecie, za minutę może być wojna nuklearna, koniuszki znów będą rządzić w Polsce,

koleżkowie mają kłopoty... A mnie czerwoniaki rzucają się do gardła. Przetrzepią papiery, będą nachodzić inspekcje za inspekcją, izby skarbowe. Mam to jak w banku... Muszę się rozładować. Jakby coś mi się stało, to chcę, żeby nad moim grobem grała kapela góralska i żeby Irokez zagrał na saksofonie... Ciebie, poseł, zobowiązuję, żebyś to przypilnował.

- Masz makabryczne poczucie humoru - wzdrygnął się Marek. - Dlaczego miałoby ci się coś stać?

- A to wiadomo, co komu sązione? Chciano mnie przejechać samochodem na pasach, wrzucić pod pociąg na Dworcu Centralnym, spalić w domu na Mazurach.

Paweł pomyślał, że Pączek przez lata pomijał w rozmowach rzeczy naprawdę ważne. Właściwie nic nie mówił o swoim pobycie w wojsku, skąd miał zawsze papier do drukowania ich pisemka, maszynę drukarską, jakim sposobem zdobył pierwsze duże pieniądze, za które wybudował dom jak fortecę? Dlaczego to robił? Ze skromności, świadomego wyboru, że lepiej nie wysuwać się na pierwszy plan, wyrachowania? Kim on jest naprawdę? I kim jest Marek, Irokez, Iwona, Ola? Naprawdę nic się nie dzieje przypadkowo, zawsze jest jakaś przyczyna i skutek? Ułożył się wygodnie na fotelach. Zamknął oczy, leciał w sen, w tasowanie strzępów obrazów. Pączek coś do niego mówił, jego twarz wydłużała się, to znów rozszerzała, jak w gabinecie krzywych luster. Okrągłe promienie niebieskiego światła przenikały przez szyby samochodu i wylatywały jako kule przez boczne szyby. „Co się ze mną dzieje? Mam jakieś halucynacje... Może te bandziory wmusiły we mnie narkotyki i nic będę mógł bez niego żyć, zostanę ćpunem? Przecież gdzieś czytałem, że są już takie, po których natychmiast, po pierwszym razie, zostaje się uzależnionym, zostanę obrzydliwym stworem bez mózgu, z robakiem, który będzie chciał zjeść tę chemię... Ile wtedy

będę żył? Rok, pół?” „A widzisz, zawsze śmiałeś się ze mnie, że boję się umrzeć, brzydzę się robaków” - mówi nagle Iwona, dotykając jego policzka ogromnym, czerwonym paznokciem. „Odejdź, ciebie tutaj nic ma, gdzieś się kryjesz jak szczur” - chce wykrzyknąć, ale nie może otworzyć ust. „Nienawidzę cię” - szepcze mu do ucha. Jej gorący, śliski język wwierca mu się prawie do mózgu. „To była zabawa, mówiłam, że chciałam być aktorką. Byłabym świetna, prawda? Nienawidzę ciebie, tych wszystkich facetów, którzy śmierdzą potem, myślą, jakby tu włożyć, upokorzyć. Myślałeś, że jestem taka uległa, chora, że możesz wszystko ze mną robić?” Czerwony paznokieć dotyka oka, wpija się, ale nie czuje bólu. „Oko nic jest ci potrzebne. Bez jednego będziesz lepiej malował, ciekawiej. Jeszcze mi podziękujesz, mój mały. No, teraz ci zrobię dobrze. Nie wstydz się kumpli. Niezłe z nich numery. Ten Pączek chciał mnie przelecieć, jest obrzydliwy nago. Okropne, pełne włosów i picprzyków plecy. Włochatyjak małpa. Zboczeniec, który filmuje swoich gości z ukrytych kamer, a później napala się, oglądając jak siedzą na sraczu albo się branzlują”. „Odejdź, proszę cię... Odejdź. W imię Ojca i Syna...” „Nie módl się, jesteś zakłamanym. Nie pozwalam ci uciec”. Ona raptem rozszerza się, nabiera ciała. Wygląda jak monstrualne postacie z obrazów kolumbijskiego malarza Botero. Wyjmuje ogromne piersi ze stanika. Wpycha mu do ust. Ciepłe mięso wlewa mu się w przełyk, wędruje do żołądka. „Dobry chłopczyk, dobry”. Próbuje krzyknąć, ale nie może wydobyć z siebie głosu. Widzi jak niebieska kula, wielkości jabłka, lata niczym owad po samochodzie, odbijając się od szyb i dachu. „Coś opowiem, lubię opowiadać ci różne historyjki. Był mróz, zadymka, szłam i płakałam, bo czułam się biedna i samotna, i spotkałam nauczyciela z liceum. Ucieszył się, lubił mnie, czytałam książki, interesowała mnie sztuka. Zaprosił do siebie. Miałam wtedy dwadzieścia trzy

lata, jego żona zrobiła kolację, on wyjął wódkę. Pierwszy raz wypiliśmy butelkę, to była żubrówka. Kręciło mi się w głowie, opowiadaliśmy śmieszne historie. Było mi ciepło i dobrze. Dorota, żona Jurka, pomogła mi się rozebrać. To łóżko było ogromne, przedwojenne. Nic wiem, ile spałam, obudziłam się, bo poczułam rękę na dziurce. Przeraziłam się, że Dorota się obudzi, ale mi przeszło, bo tak przyjemnie te palce masowały w górę i w dół, no i byłam pijana. Gdy miałam tuż, tuż orgazm, to zorientowałam się, że są to palce Doroty. Później całowałyśmy się, ona robiła to wspaniale językiem i zaczęłam ją pieścić, i dołączył Jurek. On mnie, ja Dorotę. Nigdy nie czułam z tego powodu obrzydzenia, wyrzutów sumienia, wstydu. Taka jestem. Boisz się mnie, prawda?” Iwona znika. „Jak się czujesz, Pawciu?” Oczy Pączka mieniają się jak szlachetne kamienie, słyszy jak ślina odbija mu się od ścianek płuc i z pluskiem uderza o żołądek. „Paweł, co jest?” Marek potrząsa nim, pociera uszy. Opada mu głowa, leci na siedzenie auta. Leży, uśmiechając się, na prawym boku. Tu jest Irokez, zre pestki, odzywa się, a słowa mają dźwięk dzwonu. „Kurwa, nie odlatuj, nie odlatuj” - wrzeszczy Marek. „Musimy jechać do szpitala”. Jego oddech śmierdzi whisky, oczy straciły blask. „Pączek ma rację, straciłeś jaja, pchałeś się tam, gdzie nie powinieneś. Przez takich jak ty, dyletantów i płaczków, wszystko się rozpieprza. Głupcy mają dziurawe ręce i dziury w mózgu. Gubią wszystko. Nie chcę cię znać. Będę pamiętał tylko dzieciństwo i młodość. Nie chcę znać i pamiętać siwego, nadętego zgreda w garniturze, przerażonego i potulnego”. „Pawciu, co ty mówisz?” „Daj mu spokój, nie widzisz, że nie wie, co się z nim dzieje?” „Głupcy mają dziurawe ręce i dziury w mózgu”. Pączek gładzi go po ramieniu. „W porządku, Pawciu, w porządku. Spij, śpij...” Samochód jechał wolno. Miarowo tykały wycieraczki. Deszcz bębnił w dach. Klaskała woda w kałużach. Pączek i Marek rozmawiali, ale

nie słyszał o czym. Docierały do niego tylko pojedyncze słowa. Świat chybotął na boki. Przez chwilę zdawało mu się, że gdzieś blisko szczeka pies, jedzie karetką pogotowia i wyje syrena. Drzemał, budził się półprzytomny, zdrętwiały i obolały, zaraz zasypiał.

Nagle zobaczył, chociaż nie mógł otworzyć oczu, siedzącego obok ojca.

- Narozrabiałeś, synku...

Ojciec pokasłuje, zakrywa usta dłonią. Na twarzy ma czerwone plamy, pod oczami sińce, ale jego oczy śmieją się dobrotliwie.

- Wiem, tato... Ale nie wiem dlaczego i czy ja tylko jestem winny.

- Tuż przed śmiercią chciałem z tobą porozmawiać, ale ty powiedziałeś, że nie masz czasu, bo jesteś umówiony. Nie miałeś później wyrzutów sumienia z tego powodu?

- Miałem, ale wtedy był taki czas, że cię nie lubiłem... Ciągle cię denerwowałem, śmiałeś się z moich długich włosów, ubrań. Z tego, że chcę malować... Mówiłeś, że takie marzenia są dla bogaczy. Że mężczyzna powinien mieć solidny fach w ręku.

- Gdy człowiek żywi złość przeciw drugiemu, jakże u Pana szukać będzie uzdrowienia? Nie ma on miłosierdzia nad człowiekiem do siebie podobnym, jakże błagać będzie o odpuszczenie swoich własnych grzechów? Sam, będąc ciałem, trwa w nienawiści, któż więc odpokutuje za jego przewinienia?

- Gdy byłem dzieckiem, traktowałeś mnie, jakbym był dorosłym. Zabierałeś na mecze piłkarskie i bokserskie. Przyzwyczajaleś, jak mówiłeś, do walki, przebywania wśród tłumu, bólu, widoku krwi...

- Bo byłeś za delikatny. Z byle powodu płakałeś, nie potrafiłeś się odgryźć.

- To wychowanie mamy. Gdy przychodziłem z podbitym okiem, płakała, histeryzowała. Później dostawała ataków wściekłości i biła mnie. Dlatego wołałem nie oddawać...

- A dlaczego kupiłem rękawice bokserskie, uczyłem cię bić, uderzałem w nos, w twarz? Właśnie dlatego, żebyś nauczył się walczyć i być odporny na ból.

- Ale uczyłeś mnie także innych rzeczy... Nie brataj się z ludźmi, których nie znasz długo. Nie opowiadaj o sobie i swoich problemach, choćbyś miał wyc jak pies. Gdy pijesz alkohol, zawsze kontroluj się i popijaj dużą ilością wody albo herbaty. Nie licz na krewnych. Jak najpóźniej zakładaj rodzinę i nie traktuj kobiety jak przyjaciela i powiernika. Myślisz, że te wszystkie prawdy pomogły mi żyć?

- A czy jesteś przekonany, synku, że gdybyś nie znał bólu, przemocy fizycznej, to rozmawiałbyś tak w czasie przesłuchań? A może recydywiści, z polecenia esbeków, zaczęliby cię bić, a wtedy załamałbyś się? Nie pomyślałeś o tym? Gdybyś mnie słuchał, nie traktował Gabi jako swojego najlepszego przyjaciela, to nie przeżywałbyś takiej odejścia.

- Nie wiem, kim jestem, tato. Nie wiem też, kim są moi przyjaciele. I nie wiem, kim byłeś ty. Czy miałeś syna, którego się wyparłeś?

- Co to zmieni, kiedy się dowiesz? Żyj i ciesz się każdym dniem. Co cię obchodzą inni, ich grzechy, zaniedbania? Zajmij się sobą, swoimi przewinieniami. Nie jesteś od osądzania.

Otworzył jedno, zdrowe oko. Nadal bolała go głowa, ale już nie zbierało mu się na wymioty i nic widział wszystkiego podwójnie. Samochód jechał wolno. Reflektory oświetlały część szosy. Na poboczu stały prostytutki, machając rękami.

Pączek pił z plastikowej butelki wodę mineralną, Marek kręcił gałką radia. Zostawił stację, która puszczała starą piosenkę Presleya.

- Naprawdę wyjadę, wyemigruję. Ruszę na szlak, wielka podróż jest przede mną. Spróbuję odnaleźć egipską część lustra, które jest drzwiami dla sobowtóra. Co mnie obchodzi to wulgarne życie, którym rządzą fabrykanci patosu, handlarze emfazy i pajace poetyckiej frazy? To lubił wykrzykiwać po pijanemu Irokez, pamiętasz.

- Pamiętam - odpowiedział Pączek zmęczonym głosem.

- Czy to nie dziwne, że ten nasz Irokez, kumpel od dzieciaka, najzdolniejszy z nas, nagle znika, nic wiadomo, co robi przez lata, a później odnajduje się na jakimś obsranym dworcu?

- Irokez jest pojebusem, ma nierówno pod deklek i tyle. Zawsze był dziwadłem. Parapsychologia, duchy, demony, wirujące stoliki, marihuana... Poleży w dobrej klinice, przy okazji będzie miał wariackie papiery i nikt nie będzie mógł zrobić mu krzywdy. Wróci do świata. Załatwię to. Zamieszka u mnie, będę miał go ciągle na oku! Będzie rwał panienki, czytał trzy książki naraz i znowu mnie wkurwiał.

- A jeśli on ma schizofrenię? Jego dziadek miał...

- To będzie o niej wszystko wiedział. Lepiej od niejednego profesora. - A ty kim jesteś naprawdę, Rysiek? - spytał Marek nagle z napięciem w głosie, przybliżając do niego twarz i kładąc rękę na ramieniu.

- Jestem po prostu Pączek... Chłopak z Warszawy, który dużo wie.

- Ale skąd wzięła się ta twoja potęga? Te znajomości, pieniądze... Więcej możesz ode mnie i rzeczywiście więcej wiesz.

Pączek roześmiał się cicho.

- Boja, kolego, bez fałszywej skromności, mam jaja... Nic boję się, kiedy trzeba, komuś przypierdolić, postraszyć. Wiesz, kiedy byłem w wojsku, to tak mi dawali popalić, bo kazał mój pierdolony tatuś, że pewnego dnia poszedłem do

sracza, wyjąłem żyletkę i pochlastałem się. Znaleźli mnie, położyli w izbie chorych. Zrobiła się zadyma. Ale nie zawiadomili prokuratora. A jak wyzdrowiałem, to wezwał mnie do siebie dowódca kompanii, ten co mnie najbardziej gnębił, i powiedział, że jestem debilem. Że jak już byłem tak zdeterminowany, nie chciało mi się żyć, to powinienem najpierw zajebać jego, a później siebie. Miał rację... I od tego dnia nie pękam. Nic mnie nie może załamać. Będą bili, zacisnę zęby, zemdleję, a później wstanę i będę żył, jakby nic się nie stało. Wierzę w siebie, bo siebie poznałem. Rozumiesz? A ty miałeś jaja, kiedy byłeś młody, a teraz masz wydmuszki. I dlatego mnie drażnisz. Nie mogę z tobą normalnie rozmawiać, od razu szukam zwady... Miałeś okazję być kimś, kogo się szanuje i idzie za nim...

- Rysiek, nie masz pojęcia, jak to jest, gdy wiesz, że musisz postawić krzyżyk na kimś, kogo nadal kochasz - Markowi załamał się głos. - Kochałem ją, a ona leciała do tego esbeka i wszystko opowiadała... A on skarżył się w raportach, że ma jej dosyć i musi ją dmuchać...

- No i co z tego? Była suką i tyle... Weź sobie normalną kobietę, niech ci gotuje, sprząta, kupuje krawaty, skarpetki... Nie musisz gadać z nią o polityce, historii, piłce nożnej. I będzie git.

Marek przytknął butelkę do ust. Pil szybko, z bulgotem. Wstrząsnął się z obrzydzeniem i otarł usta rękawem koszuli. Postawił butelkę na podłodze auta. Tuż przy skrzyni biegów.

- Poseł, ty wytrąbiłeś prawie całą flachę! - powiedział Pączek z uznaniem i dodał gazu, wymijając mikrobus na niemieckich numerach. - Nie poznaję cię... Pijesz z żalu, że już nie będziesz w Sejmie?

- Rysiek, nie drwij, proszę - odezwał się Marek żałośnie, bełkotliwie. - Rozmawiam z tobą jak z kumplem, a ty mi bez przerwy przysrywasz.

- Gites, przyjmuję, przepraszam
- Wiesz, dlaczego nie jestem z żadną kobietą?

Marek mrugał bez przerwy powiekami, jakby szczypały go oczy, opadała mu głowa na piersi. Pączek roześmiał się.

- A skąd mogę to wiedzieć? Czyja jestem seksuologiem? Może polubiłeś chłopaków, bo teraz to takie modne, pomaga w karierze...

- Jestem impotentem... Boję się, że kobieta, jeśli jest ze mną, to dlatego, że ktoś jej kazał. Że jestem nagrywany, filmowany. Nawet leczyłem się kilka lat temu, i nic.

- Kotuniu, gdybyś mi powiedział o tym wcześniej, to bym cię poznał z takimi artystkami, że latałbyś z rozkoszy pod sufitem. I to nawet wtedy, kiedy wymyśliłbyś sobie, że obserwuje cię sto kamer. Sprytne paluszki wszystko by załatwiły.

- Nic by nie dało, to siedzi w głowic - powiedział Marek szeptem i wzdrygnął się.

- To wszystko przez te toksyczne matki! - rozłościł się Pączek - Polacy nic mają jaj, bo są wychowywani przez matki. Też taką miałaś...

- Przesadzasz. Co ma do tego moja mama?

- Ano ma. Uważasz za normalne, że musiałeś być, mając dwadzieścia lat, punktualnie o dwudziestej pierwszej w domu? Bo jak nie byłeś, to potworzyca łkała, histeryzowała, że już myślała, że coś się stało, jesteś w szpitalu, ktoś na ciebie napadł... Robiła też inne numery. Na przykład pewnego dnia byłeś u Anki, w pokoju, który wynajmowała z koleżanką, no i spóźniłeś się do domu. I co zrobiła twoja matka? Zadzwoiła do Anki, pytając, czy jesteś, bo się niepokoi, jest już wpół do dziesiątej...

- Rysiek, przesadzasz, miała prawo się niepokoić...

- Poczekaj do pointy, kolunium... Anka wybiegła, zaczęła cię szukać, pytać przechodniów. A gdzie ty wtedy byłeś? W

łazience, w swoim domu. Potworzyca kłamała. Specjalnie zadzwoniła, bo chciała ukarać twoją dziewczynę. Uważasz, że to było normalne, tak postępuje matka, która kocha swojego syna?

- Skąd to wiesz? - spytał Marek zaczepnie, szkliły mu się oczy.

- Wiem... A ja, skoro twierdzisz, że nie możesz zapomnieć o tym, co zrobiła ci Anka, to na twoim miejscu kazałbym ją sprzątnąć. Wynająłbym bandziora za tysiąc dolarów i miałbym kłopot z głowy.

- Pączek, ty chyba zwariowałeś?! - przeraził się Marek i wtulił głowę w ramiona. - Ty wiesz, co gadasz? Co mi radzisz?!

- A co Anka robi w tych Stanach?

- Skończyła jakieś kursy, jest księgową w dużej firmie komputerowej...

- Suka kapowała na męża, swoich przyjaciół i znajomych, waliła się z esbekiem, a teraz żyje wygodnie, ciepłutko i wszystko ma w dupie. Uważasz, że to sprawiedliwe, normalne? Pamiętaj: zabij człowieka, a zostaniesz mordercą. Zabij miliony ludzi, a zostaniesz zwycięzcą. Zabij wszystkich, a zostaniesz Bogiem.

Marek złapał się za głowę, kiwając na boki.

- Jezu, co ja tu robię?! Ty, Irokez i Paweł jesteście wariatami! Jesteście groźni dla otoczenia!

Pączek spojrział na niego z rozbawieniem. Na mgnienie zamyślił się, po czym powiedział nienaturalnie spokojnie, rozciągając sylaby:

- Jesteś tu, bo twój kumpel ma kłopoty. I twoim zasranym obowiązkiem jest mu pomóc. Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich. A teraz weź się, kurwa, w garść i przestań mazać, opowiadać pierdoły o jakieś suce i o tym, że jesteś impotentem. Co to fiut jest najważniejszy na świecie?

- Rysiek, nie dręcz mnie, nie obrażaj. Mam wszystkiego dosyć! - Marek mówił coraz głośniejszym głosem. - Nie potrafisz zrozumieć, że można nie wytrzymać wspomnień, nie móc odżałować pewnych decyzji, nie pogodzić się z ceną, jaką się za nic zapłaciło?!

- Zamknij się - powiedział Pączek bez gniewu, ziewając.

Marek zrobił ruch prawą ręką, jakby chciał go uderzyć albo nim potrząsnąć, ale zrezygnował. „Boże, Marek płaczliwy, skarży się, że jest impotentem, nie może zapomnieć o Ance, coś niesamowitego” - pomyślał Paweł. „Gdzie się podział ten twardy facet, nasz przywódca od dzieciaka?” Okazało się, że to Pączek jest najbardziej lojalny i odważny. Paweł od dawna nie wiedział, czy cynizm Pączka pochodzi z braku złudzeń co do ludzi, czy też jest pozą kogoś, kto tę wiarę ukrywa. Na pewno był wielkoduszny, serdeczny, nie znosił nudnego życia. Paweł lubił go, ale często nie rozumiał i trochę się bał, że przez niego może wplątać się w jakieś kłopoty. I gdy tylko pomyślał o kłopotach, opadł go dławiący strach. Dotknął bolącej głowy. Chciał poprosić o wodę mineralną, ale coś podpowiadało mu, żeby milczał.

- Kurwa, mamy ogona! Od kilkunastu minut jedzie za nami opel na warszawskiej rejestracji...

Samochód przyspieszył. Jechał ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Opel został w tyle. Później znów trzymał się blisko.

- Masz przy sobie broń? - spytał Pączek, nic odrywając wzroku od szosy i jadąc po niej zygzakiem.

- A po co mi ona? - zdziwił się Marek.

- Po jajco! - krzyknął Pączek. - To po co wyrabiałeś, kurwa jego mać, skoro jej nie nosisz?! Żeby szpanować, jaki to jesteś ważny?!

Pączek wyjął pistolet z kabury, którą miał pod pachą, położył obok siebie, przy skrzyni biegów. Marek patrzył ze

zdumieniem na niego, to znów na leżącą kilkanaście centymetrów od niego broń.

- To prawdziwa? - spytał, przelitykając ślinę, głos mu drżał. - A myślałeś, że co, plastikowa albo na wodę?

- Że gazowa... Masz pozwolenie?

- Nie interesuj się tym, bo dostaniesz kociego pyska.

Paweł słyszał ich słowa, choć wydawało mu się, że dochodzą gdzieś z daleka. Jakie to miało teraz znaczenie? Był pobity, miał kłopoty, Irokez siedział w więzieniu, jeśli nie pomoże mu Pączek, to spędzi w nim kilka lat, za chwilę może być wojna nuklearna. Słyszał dudnienie swojego serca i nachodziła go myśl, że najlepiej byłoby, gdyby umarł.

Samochód zahamował. Zapiszczały opony.

Pączek wrzucił wsteczny bieg.

Land-rover ruszył do tyłu, jadąc środkiem szosy.

Opel próbował minąć go, skręcił na lewe pobocze szosy, wpadł w poślizg i uderzył prawą stroną w drzewo.

Pączek wybiegł z auta z pistoletem w ręku. Za nim biegł Marek. Mżył deszcz. Mgła sunęła nad ziemią. Paweł z trudem wydostał się z auta i pobiegł, kuśtykając.

Z opla wysiadł Dziobaty. Rozejrzał się bezradnie, popatrzył na rozbity samochód i, widząc biegnących w jego stronę, popędził ile sił w nogach do lasu.

- Stój, bo strzelam! - krzyknął Marek. - Stój, bo strzelam!

- Niech ucieka, co cię to obchodzi? - rzucił Pączek. - Jesteś policjantem?!

Dziobaty zniknął w lesie.

Pączek otworzył drzwi od strony kierowcy.

- Wyłaź! - wymierzył pistolet w stronę niewidocznego mężczyzny. - I to migiem, bo ci rozwalę łeb!

Z samochodu wygramolił się Grubas. Na nosie miał opatrunek. Na czole ranę, z której płynęła krew.

- To on mnie bił, razem z tym drugim - powiedział Paweł i poczuł nienawiść, która namawiała do złego. Najchętniej skatowałby Grubasa albo wręcz go zabił.

- Gdzie saszetka? - Pączek przystawił mu pistolet do skroni.

- Nic nie wiem o żadnej saszetce - Grubas trząsnął się, wyglądał, jakby był bliski zemdenia. - Przysięgam, panowie, na życie moich dzieci...

- Pawka, co z nim zrobić? - spytał Pączek, łapiąc oddech i ocierając pot z twarzy.

Paweł był jak sparaliżowany. Wreszcie odezwał się cicho, ledwo dosłyszalnie:

- Rozwal go. Jednego śmiecia będzie mniej. Grubas złożył ręce jak do modlitwy.

- Proszę, niech pan nie słucha tego pacykarza... Oddam pieniądze...

- Kto ci dał zlecenie? - Pączek przyłożył mu pistolet do kroku. - Nawijaj, bo ci odstrzele jaja.

- Kazek... Dostałem kasę i nic nie wiem.

Marek zrewidował go. Wyjął z marynarki dowód osobisty.

- No to jak będzie, panie Miodowski, stary ubeku, mówisz prawdę?

- Nie byłem ubekiem.

- Gdzie saszetka?! - wrzasnął Marek. - Liczę do trzech... Grubas roześmiał się drwiąco. Włożył ręce do kieszeni spodni.

- Nic mi nie zrobicie. Kazek zawiadomi, kogo trzeba... Najpierw trafią do pacykarza, później do was...

- Taki jesteś pewny? - Marek zaciskał co chwila powieki, jakby szczypały go oczy. - No, gadaj, kto dał zlecenie?

- Ode mnie niczego się nie dowiedziecie.

- Po co z nim gadasz? - rozłościł się Marek. - Rozwal go, Rysiek, i będzie po kłopotcie.

- Niech to zrobi Paweł. Brzydzą się krwi... Mogę zemdleć.

Paweł powąchał lufę. Gdzie jest Gabi, Irokez, Ola? Co robią? Czy wszyscy żyją? Zaprzagnął naprawdę zabić Grubasa, zobaczyć jak rozbryzguje się czaszka, tyska krew...

- Idź przodem, spaślaku - powiedział Pączek.

Grubas spełnił rozkaz. Szli skrajem szosy w stronę land-rovera.

- Gadanie z nim to strata czasu - odezwał się Marek. Był podenerwowany, bez przerwy patrzył, czy nie jedzie jakiś samochód.

Stanęli. Pączek zapalił światło w aucie, po czym zapytał ze zniecierpliwieniem, zaciskając co chwila zęby:

- Chciałeś zabić naszego kumpla. Oko za oko, ząb za ząb. Rozumiesz? Grubas zaśmiał się cicho. W jego oczach pojawiły się złe błyski.

- Cmoknijcie mnie w małego! Koniec waszego panowania!

Marek uderzył go prawą ręką w podbródek. Poprawił lewą pod oko. Nie były to mocne uderzenia, ale rzuciły Grubasa na samochód.

- Ja cię rozwalę, śmieciu... Za to, że byłem za grubą kreską dla takich jak ty. Ja cię, sukinsynu, rozwalę za swoją głupotę.

Marek wziął od Pawła broń. Odbezpieczył. Wstrzymał oddech. „On naprawdę może go zabić” - pomyślał Paweł bez emocji. Jesteśmy świrusami. Każdy inaczej”.

- Co wy, oszaleliście?! - Grubas puknął się w głowę. - Przecież nie wywiniecie się... Pogieło was?!

- Słuchaj, śmieciu, rozwalimy cię i nikt nie będzie wiedział, co się z tobą stało - odezwał się Marek znudzonym głosem. - Wywieziemy do lasu, daleko stąd, zakopimy na dwa metry i już. Jesteś tak głupi, że wierzysz w to, że ktoś

będzie cię szukał? Myślisz, że ci, którzy cię wynajęli, będą chcieli, żeby zrobił się wokół nich smród? Żeby dziennikarze zaczęli węszyć, jakie mają układy polityczne, biznesowe, z policją i służbami? Odpierdolimy cię i nawet pies po tobie nie zapłacze... Kumasz to, frajerze?

Grubas zagryzł wargi. Po chwili spojrzął bystro na Marka i spytał, pokaszując:

- Jaką mam pewność, że jak powiem, to nic mi nie zrobicie?

- Taką jak Żyd w okupację - odparł Pączek i demonstracyjnie ziewnął. - Dziwi cię to?

- Kazek zaproponował tę robotę. Powiedział, że będziemy rozpracowywać babę, która przewaliła na grubą kasę potężnych ludzi... No i obserwowaliśmy, z kim się spotyka, gdzie mieszka. Pstrykaliśmy zdjęcia...

- Na czym polegał ten jej przewal? - spytał Pączek, zerkając na Pawła, który pomyślał, że oni naprawdę mogą za chwilę zabić tego Grubasa, a później kazać przysięgać na krzyż, jak to zrobili, kiedy zakładali podziemne pismo, czy wcześniej, gdy malowali napisy na murach przeciwko Gierkowi, że nikomu o tym nie powie.

- Nie wiem... Kazek powiedział tylko, że wyrąbała gości i że musi mieć karę...

- Z kim się spotykała? - zapytał Paweł.

- Ze znanym adwokatem, który lubi grać w pokera, ma kasę, bo od zawsze bronił bandziorków, gangsterkiem, który po latach wrócił do Polski, kupił posiadłość na Mazurach i świruje ziemianina...

- Jaką ma ksywę ten gangster? - przerwał Pączek i potrząsnął go za ramiona.

- Vico... Mieszkał w Londynie. Narkotyki, handel bronią...

- Skąd to wiesz? - spytał Paweł wolno, z zaciśniętymi zębami. - Wiele lat temu zwerbował tego Vico mój dobry znajomy. Był naszym kapusiem wśród przemytników, handlarzy dzieł sztuki, waluciarzy, prywaciarzy lubiących karty i ruletę...

- Gdzie jest saszetka? - przerwał Pączek i otulił się kurtką.

Wiatr wzmógł się, przeginał drzewa i przeganiał chmury, sunące tuż nad ziemią. Przejechał ITR, zamrugał światłami. - Już mówiłem... Mają Kazek...

- Co w niej jest? - zapytał Paweł i pomyślał, że Iwona nie znała nigdy żadnego autorytetu ani strachu, ani miłości, a dziecko, które kłamie, robi, co chce, nie dba później o nic i o nikogo.

- Nie wiem.

- Kto wam kazał szukać tej saszetki?

- Nie wiem... Kazek powiedział, jak pan leżał nieprzytomny, że musimy coś znaleźć... Kazek znalazł ją pod telewizorem. Natychmiast schował. Nawet nie sprawdzał, nie otwierał...

- Jaki daliście mi narkotyk?

- Jaki znowu narkotyk? - Grubas wzruszył ramionami, nad górną wargą miał krople potu.

- Mów jak na spowiedzi! - wrzasnął Marek i przyłożył mu pistolet do genitaliów.

- To podał Kazek... Nie wiem, co to było. Powiedział, że jak pacykarz się ocknie, to wsiądzie do samochodu, bo będzie chciał uciekać... Wtedy to zacznie działać, wpierniczy się w jakieś drzewo i będzie po kłopotcie. Ajak zrobią sekcję, to nikt nie będzie podejrzewał, bo artyści to pojeby.

„Jczu, byłem tuż przed śmiercią” - pomyślał Paweł bez emocji. „Zapłaciłbym karę za głupotę i szaleństwo. Śmierć uderza, ale puste miejsca wypełniają się na nowo. Wszystko

goi się w zapomnieniu”. Ujrzał wymierzony w siebie palec Boga.

- Gdzie jest saszetka? - zapytał Marek. - Chyba nie myślisz, że uwierzemy w te twoje bajki?

Deszcz przestał padać. Światełka gwiazd wychylały się zza chmur. Coraz gęściejsza mgła sunęła nad szosą.

- Nie wiem... Mają Kazek.

- Gdzie mieszka ten Kazek? - Marek szturchnął Grubasa pistoletem w brzuch, ten machinalnie pochylił się, z grymasem na twarzy, odsłaniając górne zęby. Pączek zaczął go rewidować.

- Gdzieś pod Warszawą. Dzwonił, jak czegoś potrzebował...

- Na kogo jest ten opel?

- Nie wiem... Kazek nim przyjeżdżał.

- A to co? - Pączek trzymał w ręku małą, plastikową torebkę z tabletkami, którą Wyjął z kieszeni kurtki Grubasa.

- Nie wiem.

- Kurwa, ty spaślaku, nie znasz innych słów, tylko to „nie wiem”? - wrzasnął Pączek, potrząsając torebką przed nosem Grubasa. - Myślisz, że masz do czynienia z frajerami?!

Na twarzy Grubasa na mgnienie pojawił się strach.

- Przysięgam na życie dzieci, że nie wiem... Nie jestem chemikiem.

Paweł pomyślał, że to zaklinanie się na życie dzieci, było zbyt ostentacyjne, by mogło być szczere. To była nienawiść i gra na czas. Nienawiść do nich, bo kojarzyli się z tym, co się stało po osiemdziesiątym dziewiątym roku; że ten Grubas nie ma już władzy, nie może niczego ukraść w trakcie rewizji, wziąć łapówki.

Pączek położył torebkę na fotelu land-rovera. Podszedł do Grubasa.

Ścisnął palcami skronie, a potem szybko przesunął dłońmi po włosach i zastygł w tym ruchu. Napięty, zamyślony, z wysuniętymi do przodu łokciami.

Paweł poczuł w gardle skurcz. Z trudem przełknął ślinę. Przez głowę przelatywały rozmaite myśli: dobre i złe. Nic były to właściwie myśli, tylko zmieniające się obrazy: zaciśnięte usta Iwony, jej piersi, oczy pełne złości, ponura twarz Dziobatego, swoje odbicie w lustrze...

Nagle Pączek uderzył Grubasa prawą ręką w żołądek. Poprawił lewą. Uderzał szybko i celnie, jakby trenował ciosy na worku treningowym. Grubas upadł na ziemię, zakrywając głowę rękami. Marek stał, oparty o maskę samochodu, pogwizdując i wpatrując się w srebrny księżyc. „Człowiek najpierw się gubi, później się boi i tak toczy się ta droga do piekła” - pomyślał Paweł, ale nie mógł sobie przypomnieć w jakich okolicznościach usłyszał to zdanie. „Oni naprawdę mogą go zabić. Ja tu się nie liczę. Ważny jest pretekst. Przez lata mówili niby w żartach, że dobrze byłoby zabić dla przykładu jakiegoś esbeka, żeby pozostali zaczęli się bać...”

- To ekstazy - wycharczał Grubas i rozplakał się. - Panowie, ja nic nie wiem, wykonywałem rozkaz... Oni mnie zabijają. Zrozumcie to...

- Co to jest ekstaza? - spytał Marek, wdeptując papierosa w ziemię. Spojrzał na Pawła i uśmiechnął się. Tak, zabije go, pomyślał Paweł. Za to, że Anka kapowała, odeszła od niego, a on teraz jest impotentem.

Pączek wziął kilka głębokich oddechów, przeciągnął się i poprawił dłonią włosy.

Grubas leżał skulony na ziemi. Był przerażony.

- To odmiana amfetaminy, zawiera składnik chemiczny o skróconej nazwie MDMA i działa bezpośrednio na korę mózgową - powiedział Pączek i szturchnął Grubasa butem. - Wstawaj, bo dostaniesz wilka... W Polsce ekstazy sprzedają w

postaci różnokolorowych tabletek albo kolorowych kapsułek. Jest kilkaset odmian. Gdy przestaje działać, pojawia się zmęczenie, bóle głowy, chce się rzygać, ma się kłopoty z pamięcią, pojawia irracjonalny strach... Jakie masz objawy?

- Boli mnie głowa, nie chce mi się żyć, chce się rzygać i mam kłopoty z pamięcią - odpowiedział Paweł, z trudem panując nad głosem; obezwładniał go strach, że Pączek i Marek zabiją Grubasa, a potem zaczną się kłopoty, które zmienią całkowicie jego życie.

Grubas stał przy samochodzie, trząsał się i spoglądał z przerażeniem na Pawła, który pomyślał, że chce on wzbudzić litość. Jest to jego nadzieja, mglista i niedorzeczna, bo przecież musi wiedzieć, że wpadł w pułapkę.

Pączek wziął torebkę, rozdarł ją i podsunął pod nos Grubasa.

- Sam weźmiesz czy mamy cię zmusić?

Grubas zakasłał. Mrugał oczami. Dwie duże łzy spływały mu po policzkach.

- Ilu zabiłeś ludzi? - spytał Pączek przez zaciśnięte zęby, ze złą twarzą. Grubas popatrzył bezradnie na Pawła i Marka.

- Żadnego... Robiłem tylko rewizje, śledziłem... Ja o niczym nie decydowałem...

Marek uderzył go pięścią w żołądek.

Grubas zgiął się. Łapał oddech jak ryba. Zrobił się czerwony na twarzy, spocił, wybałuszył oczy.

- Za co? - wysiekał.

- Bo jesteś stary, brzydki i cię nie lubię - odpowiedział Marek z rozbawieniem i coś powiedział na ucho Pączkowi, który zaśmiał się i zaczął czegoś szukać w samochodzie.

- Panowie, błagam... Panowie, błagam...

- Suń pyski i idź przed siebie. Nie próbuj uciekać, bo cię od razu rozwalę.

Szli kilkanaście metrów wąską, leśną drogą, omijając kałuże. Grubas szedł potulnie, ze spuszczoną głową. Marek szturchał go lufą pistoletu w plecy.

Nagle Pączek podciął mu nogi. Grubas przewrócił się. Marek usiadł mu na piersiach i zakleił usta taśmą, którą podał Pączek. Paweł wstrzymał oddech. Serce biło mu tak, że miał wrażenie, iż zaraz rozsadzi klatkę piersiową.

- Oko za oko, ząb za ząb - powiedział Marek, podnosząc się i otrzepując spodnie z błota. - Chciałeś' zabić naszego kumpla, dlatego musisz być ukarany.

Pączek zaczął polewać Grubasa benzyną z kanistra, mówiąc:

- Przypomnij sobie, ile razy biłeś czasie przesłuchań, łamałeś palce, szantażowałeś, że jeśli ktoś nie będzie współpracował z wami, to pójdzie na długie lata do więzienia, a dzieci zostaną oddane do Domu Dziecka... Przypomnij sobie, ile razy napadałeś na bezbronnych ludzi, katowałeś, straszyłeś śmiercią, ile razy podpalałeś mieszkania...

Marek zbliżył płomień zapalniczki do ubrania Grubasa, który wił się, próbując wstać. Oczy prawie wyszły mu na wierzch. Był w nich zwierzęcy strach.

- Dajcie mu spokój - odezwał się Paweł zachrypniętym głosem.

- Nie wcinaj się! - powiedział Marek ze złością. Pączek roześmiał się głośno.

- Zeszczął się, panowie... Nasz bohater okazał się słaby. Ciemna plama na spodniach Grubasa powiększała się.

Pączek zerwał taśmę z Ust Grubasa. Szarpnął go w górę. Pomógł wstać.

- Spadaj, ubeku... No, spadaj!

Marek kopnął go. To samo zrobił Pączek. Grubas zaczął biec wolno, niepewnie, oglądając się, później coraz szybciej, aż wreszcie zniknął w ciemnościach.

Paweł zaczął się trząść. Szczękały mu zęby. Płakał bezgłośnie, z zamkniętymi oczami.

- Przestań, Pawciu - wyszeptał Pączek. - Nic ci nie grozi...

VII

Paweł przez trzy tygodnie mieszkał w rezydencji Pączka, strzeżonej przez sześciu ochroniarzy, kamery i najnowocześniejsze systemy bezpieczeństwa. Jadł kilogramy owoców i witamin, które wmuszał w niego Pączek, lecz głównie spał, ponieważ brał środki przeciwbólowe i antydepresyjne. Nie mógł się skupić, często wymiotował, dręczyły go koszmary, że ktoś na niego napada albo chce zabić. Przeszedł badania lekarskie, które wykazały obecność narkotyku w organizmie. Najprawdopodobniej halucynogennego. Zrobiono mu także tomografię. Nie wykazała zmian w mózgu. Torebkę z kolorowymi tabletkami, jak twierdził Grubas, ekstazy, zabrał Pączek. Potwierdził po kilku dniach, że to narkotyki, ale więcej nie chciał na ten temat rozmawiać. Pączek chodził zamyślony, stale gdzieś telefonował, wychodząc do drugiego pomieszczenia. Często upijał się, opowiadając historie, które kojarzyły mu się z Irokezem, dopóki nie zasnął w fotelu. Wiedzieli o nim tyle, że siedzi w areszcie śledczym, ale nie było pewne, czy zostanie przetransportowany na badania psychiatryczne.

Iwona nie telefonowała, nikt podejrzany nie kręcił się w pobliżu rezydencji. Paweł dochodził do siebie; schodziła opuchlizna z twarzy, brał coraz mniejsze dawki leków antydepresyjnych. Zastanawiał się, co robi Grubas i ci, którzy Wydawali mu rozkazy. Czy machną ręką, przekonani, że rzeczywiście nic nie wie o interesach Iwony, czy też będą się mścić? Co mogło być w saszetce? Czeki, narkotyki, pieniądze, ważne dokumenty, dyskietka? Czy Irokez ma związek z ludźmi, którzy poszukują Iwony? Czy naprawdę cierpi na

paranoję, że wszyscy obok są agentami? Co ma teraz zrobić on, Paweł? Wyjechać za granicę, mieszkać u Pączka, ukryć się na prowincji u jakiegoś kolegi malarza? Ile mógłby być na Zachodzie? Najwyżej kilka miesięcy. Szybko skończyłyby się pieniądze, a nie chciał brać od Pączka. Poza tym wcale nie czułby się za granicą bezpiecznie. Tak samo na prowincji. Najlepszym wyjściem byłoby mieszkać u Pączka, aż wszystko się jakoś wyjaśni, ale miał swoje przyzwyczajenia, czuł się skrepowany, musiał ciągle rozmawiać z Pączkiem, co było męczące, dlatego postanowił wrócić do siebie. Pączek straszyl, że nieznani sprawcy włamią się w nocy do jego mieszkania, porwą, ale Paweł nie dał się przestraszyć. Poza tym wiedział, że jeśli pobędzie dłużej, to zaczną się kłócić. Gdy przypominał sobie, jak płakał, prosił, żeby Paweł żył, to zaraz budziła się w nim myśl, że był to spektakl. I sam nie wiedział, czy jest to sprawa związana z Iwoną, jej kłamstwami, czy też tym, co mówił Irokez. Bo skoro Iwona nie była tym, za kogo się podawała, tak samo Irokez, to dlaczego Pączek i Marek mieliby nie być innymi niż są?

Zmienił zamki. Wynajęci przez Pączka fachowcy sprawdzili, czy nie ma podsłuchu, urzędzeń mogących spowodować wybuch, zbadali też instalacje gazowe i elektryczne. Nie wychodził z domu, wyłączył telefony, jedzenie przywoził mu Pączek, próbując rozśmieszyć opowieściami o swoich znajomych posłach, którzy nieprzygotowani na przejęcie władzy przez postkomunistów, wpadli w panikę, gorączkowo poszukując pracy. Jeszcze inni, bojąc się aresztowań, za prawdziwe lub sfabrykowane przekrety, ukryli się u dalszej rodziny albo w Ameryce Łacińskiej. Odwiedził go też kilka razy Marek, który załatwiał ostatnie sprawy związane z emigracją do USA. Był wesoły, promieniował energią, sprzedał mieszkanie, nocował u Pączka i ciągle powtarzał, że w życiu jest jak w kasynie: w jednej

chwili jesteśmy bogaci, by za minutę wszystko przegrać. Próbował rozmawiać też o swojej byłej żonie i Iwonie, ale Paweł milczał. To on był z tą kobietą, on popełnił błąd i to była jego sprawa. Nic mógł tylko zrozumieć, jak to się stało, że był tak głupi i wierzył w prawie wszystko, co mu opowiadała. Wierzył, bo chciał? Godzinami przypominał sobie różne sytuacje, słowa, mimikę, by zrozumieć o co chodzi w całej tej historii, lecz nie znajdował wytłumaczenia. Czasami próbował wzbudzić w sobie odruch litości; że może jest szantażowana, musi się ukrywać, grozi jej śmieć, ale nie potrafił. A kim był dla niej? Kochankiem, terapeutą? Dlaczego ona tak kłamie? Z choroby, głupoty, wyrachowania? „Co stałoby się, gdybym przyjechał do Londynu? Uzależniłaby mnie, upokorzyła, strąciła na dno, a wtedy otrzymałbym propozycję nic do odrzucenia? Pracy dla mafii, dla jakiegoś wywiadu, bandziorów? Zjadałaby mnie po kawałeczku, pokazała miraż wolności, pieniędzy, a potem wypluła jak pestkę słonecznika”.

Leżał, paląc papierosy, i rozmyślał nad sobą, nad tym, kim był w młodości i co chciał osiągnąć w życiu. Co kilkanaście minut wstawał, parzył herbatę, robił coś nieważnego: opróżniał popielniczkę, mył szklanki, chował porozrzucane ubrania do szafy, czyścił meble. Patrząc na dwa obrazy, wiszące na ścianie, które namalował w młodości, przypomniało mu się, kiedy naprawdę postanowił zostać malarzem. Miał wtedy dziewiętnaście lat, nie martwił się zbytnio, że nic dostał się na Akademię Sztuk Pięknych, bo wierzył w swój talent i szczęście. Poza tym Marek, Irokez i Pączek ciągle mówili, że nie dostał się, bo nikt za nim nie stał, nie miał protekcji i na pewno dostanie się w następnym roku. Naprawdę to bał się tego, że może pójść na dwa lata do wojska. Ale udało się, dostał kategorię „D”. Całymi godzinami malował i rysował. Rzadko chodził z przyjaciółmi

na prywatki, mecze piłkarskie, do kina. Wolał oglądać obrazy w muzeach, wertować albumy z malarstwem, chodzić na lekcje rysunku. Mógł robić to, na co miał ochotę, pewien, że będzie dobrze rysować i malować. Jest to tylko kwestia czasu... Przesunął fotel do okna, żeby widzieć ulicę. Na ławkach siedzieli jego koledzy z dzieciństwa, z którymi chodził do szkoły podstawowej i grał w piłkę, popijając tanie wina. I ogarnęło go nowe uczucie; kompletnego osamotnienia. Uświadomił sobie, że jest zupełnie sam i że ludzie, których zna, w większości zdradzili go albo nie ma z nimi żadnego porozumienia.

Otworzył szerzej okno.

Niebo nad miastem pokrywały bure chmury. Nabite po brzegi tramwaje kołysały się na szynach. Przysiadały na resorach autobusy. Przez ciemne ulice i podwórka przewalali się ludzie. Zmęczony, bez energii tłum wracał do swoich betonowych dziupli. Jedynie przed bankomatem, jak codziennie o tej porze, stała kolejka pełna twarzy, których nie sposób zapamiętać od pierwszego spojrzenia. I nagle zobaczył siebie, malutkiego jak krasnoludka, idącego z matką równiną zasnutą mgłą: szli, trzymając się za ręce, deszcz żłobił w zaoranej ziemi, a od wschodu, gdzie zieleńiały drzewa, ciągnął się dym z ognisk, pachniało wilgocią i rozgrzanym piaskiem. Obraz zniknął jak para starta z lustra. Ten obraz prześladował go od wczesnej młodości.

Spojrzał na wersalkę. I zobaczył matkę, jak siedzi na brzegu, z lewą ręką na kolanach, czujna, potrafiąca walczyć jak lwica albo spasować, zależnie od tego, co przyniesie życie, jak będzie lepiej. „Jak to się stało, że Matysik wziął list do mnie? Przecież ten list wyraźnie mówił, żebym się nie poddawał. Co ten Matysik może teraz robić? Jest w mafii, w służbach, w jakiejś ambasadzie? A może jest szanowanym biznesmenem gdzieś pod Elblągiem albo Toruniem? Ma inne

nazwisko, życiorys, dokumenty... Chyba nie poszłaś na jakiś układ z Matysikiem, mamó? Nic zgodziłaś się kapować, żeby tylko syn wyszedł z więzienia?”

Znów usiadł w fotelu, wyciągnął przed siebie nogi i zamknął oczy. Siedział długo i nie myślał o niczym.

Gdy rozległy się dzwony kościelne, wyjął, kierowany impulsem, spod łóżka plastikową torbę pełną listów. Zaczął je czytać, niektóre pomijając, inne zaś czytając pobieżnie. (List pisany na białym papierze, wiecznym piórem. Dużo skreśleń i dopisków na marginesach. Strony numerowane czerwonym flamastrem.)

MÓJ SREBRNY KSIĄŻĘ, KOCIU - PAWEŁKU!

Jeśli chcesz wiedzieć, jaka jestem naprawdę, to oświadczam, że jestem nieśmiała. Ale o tym wiesz jedynie Ty. Twój list dotarł xv poniedziałek, o siódmej rano. Na dzwonek u drzwi, wyleciałam z łóżka jak z procy, wzięłam od listonosza list i wypuściłam czujnie Bellę, by na pytanie męża, kto to był i czego chciał, odpowiedzieć, że jakiś facet ostrzegł, iż rasowa suka ma ochotę zgrzeszyć z jakimś kundlem. Mąż zauważył przytomnie, że gdyby len sam facet spostrzegł białą lady, spółkującą z Murzynem, to pannie nie zareagowałby tak emocjonalnie na psucie rasy ludzkiej, jak rasy owczarek alzacki. Ale do rzeczy. Pytałeś mnie, czy często płaczę. Płaczę głównie z Wściekłości. Ale to ostatni etap. Wcześniej mówię cicho. Coraz ciszej. Gdy już płaczę i głos mi dygocze na wszystkie strony, to jakby grzmiał Zeus. Wtedy idę na całość i moim marzeniem jest zdobycie sztyletu albo trucizny. Popłakuję na filmach jak siksa. To znaczy bez skrepowania i wstydu. Miałam siedem lat, byłam pierwszy i ostatni raz na pogrzebie. Bardzo kochałam dziadka, który umarł xv strasznych męczarniach na raka, ale chichotałam. Całe miasteczko zamartwiało. Tylko fakt, że byt to cmentarz, matka xv żałobie z woalką oraz pełno znajomych, uchroniło mnie

przed laniem. No i płakałam w czasie stosunku. Dwa razy. Dobrze, opiszę. To było tydzień temu. (Ten drugi raz). Od czasu, kiedy Cię poznałam, nie pozwalałam się dotknąć. Ale zrobiło mi siego żal, jego psiego spojrzenia, nieszczęśliwej twarzy. Wziął mnie w milczeniu, z dziwną zaciętością, odstaniajcie zęby i sapiąc. Nie, nie patrzył mi w twarz, tylko gdzieś za moją głowę. Nie ruszałam się. I zamknęłam oczy, by wyobrazić sobie, że robię to z Tobą. Robić to z jednym i kombinować, że robi się z innym, to jeszcze większa zdrada niż walić się z kilkoma na oczach swojego faceta. Taka jest moja teoria. Dlaczego nie umiem powiedzieć mężowi, że nie chcę z nim spać”? Ze kiedy zabiera się do mnie, to przechodzi przeze mnie dreszcz i staję się soplem lodu? Bo nie chcę go zranić.

Przed chwilą odmówiłam kochankowi randki. Tak, mam kochanka od ponad roku. Jest mity, przystojny, bogaty, zakochany i obsypuje mnie prezentami. Podałam prawdziwy powód. A on powiedział z ironią, wściekłością i żalem: „Mam nadzieję, że nie jesteś zakochana”. Odpowiedziałam, że tak i jestem z tego powodu bardzo, bardzo szczęśliwa. Z niego jest niezły numer i ma przedziwną filozofię. Mogę robić, co chcę, mieć pełno narzeczonych, nawet miłości, bowiem to nie zmieni jego uczucia i będzie ze mną do końca życia. Ale jaką mu (kochankowi) powierzyć funkcję na starość? Usuwanie nocnika, czytanie książek, przynoszenie filmów, podlewanie kwiatów, gotowanie? Trudna sprawa, bo on jest ode mnie starszy o osiem lat i jeśli dorwie mnie oraz położy na łopatki starość, to on już będzie sparaliżowany. Jeśli oczywiście będzie żył.

KOCHANIE MOJE SŁODKIE, zawsze o Tobie myślę, ilekroć wyjmuję Piotrusiowi śpiochy z oczu. I pamiętam, na początku znajomości, Twoje skrepowanie, a moje rozbawienie. Bo kto w miejscu tak odpowiedzialnym i poważnym jak łóżko chciałby być traktowany jak dziecko?

Wyjmowanie śpiochów jest uważane za paskudztwo, a więc skoro to robię, to nie dostrzegasz W tym jakiego znaku? Gdy Piotruś był malutki i miał katar (zaraz się porzygasz), zapłakane oczy i spuchnięty nosek, przez co nie mógł oddychać, to wyciągałam jego smarki ustami. To jest miłość, kociu! Mam nadzieję, że nie będziesz mi wmawiał, że natychmiast, kiedy Cię zobaczyłam, to natychmiast zapragnęłam Cię uwieść albo omotać. Sorry, coś mi się przypomniało. Podobno po trzech rzeczach poznaje się człowieka: jak się upija, co ma w kieszeni i jak się denerwuje. Tak, boję się starości. Strasznie się boję. Mój kochanek powiedział: „Dopiero za dziesięć lat możesz mówić, że wchodzisz w wiek dojrzały i to jedynie po to, żeby innym, głównie babom, sprawić przyjemność”. Ale coraz częściej zastanawiam się nad swoim życiem. Siadam w ogrodzie, zamykam oczy, słońce liże po twarzy, w powietrzu unosi się słodki zapach kwiatów (czy zapach może być słodki?) i myślę, sobie, że moim kłopotem jest to, iż zawsze chciałam, aby moje życie nie było szare. Chcę oddechu, świata, pięknych przedmiotów, wspaniałych mężczyzn. Ale takie pragnienia doprowadzają do kłopotów...

Pisane wieczorem. Czy sprawiłoby Ci różnicę, gdym miała sto lal i wszystko miało zmienione lub zoperowane? Tak jak Cher albo Tina Turner? A jeśli tak, to dlaczego? Skoro jedyna rzecz, która nie udała się Bogu, to właśnie starość? (Skąd ten szacunek i pisanie z dużej litery, jeśli Go nie znam i nie wierzę w Niego?) Dlaczego ludzie rechoczą z tych, co chcą pokonać starość i to wszystkimi sposobami? Dlaczego mogę być hipiską i jeździć autostopem, gdy mam dwadzieścia lat, ale nie mogę, kiedy będę miała siedemdziesiąt? Wynika z tego, że będę koszmarną staruchą. Nie dosyć, że nie zgodzę się na starość, to jeszcze moja potrzeba prowokacji, wciąż rosnąca, tworzy mieszaną wybuchową. Chociaż, kto to wie...

Może Bóg istnieje i ten proces starzenia połączy z mądrością, pokorą wobec faktów oraz kpina z młodości. Ba, może dostąpię łaski oświecenia. Salon. „Miłuj tego, kto cię napomina i karze, a do nienawiści miej pochlebcę.”

Masz fantastyczną zaletę, której brakuje większości facetów. Stać cię na autoironię. Bardzo śmiałam się z Twojego listu. Polecałam go czytać (siódma rano) do łóżka Piotrusia i co chwila wybuchałam śmiechem. A dziecko cudowne, w ogóle nie zainteresowane, dlaczego chichoczę, śmiało się ze mną. Mąż przyleciał do pokoju i pytał, co się dzieje, bo on chce się też śmiać. A list pod kołdrą, tak jak miałam piętnaście lat i kochałam się w chłopaku, który był już na pierwszym roku studiów. Nikt nie miał na mnie takiego wpływu jak on. Trwało to trzy lata. Przy akompaniamencie wrzasków i przekleństw matki. Odeszłam od niego, bo poczułam się odpowiedzialna za swoje życie. Eee, było, minęło. Ale nie z nim straciłam cnotę. A jak to się stało? Głupio, żeby nie powiedzieć tragicznie. Poszłam z koleżanką do koledgu tego mojego chłopaka. Na wagary. Oni nie dostali się na studia, hipisowali. Piliśmy czerwone wino. I raptem rzucili się na mnie. Myślałam, że to żarty, ale oni zaczęli zdzierać ze mnie ubranie. Wyrwałam się, uciekłam do łazienki, zamknęłam na klucz. Gospodarz powiedział, że bym się nie wygłupiała, wyszła, daje słowo honoru, że nic mi nie będzie. No i wyszłam. A oni zgwałcili mnie we trzech. Wtedy po raz pierwszy płakałam w czasie stosunku. Pierwszy, gospodarz, działo się to w domu jego rodziców, był synem pułkownika milicji, drugi partyjnego dygnitarza, trzeciego starzy byli badylarzami. Nie miałam szans wygrać...

Wiesz, co pamiętam najlepiej z tych naszych pierwszych dni? Twoją rękę na moich oczach, kiedy Pączek wszedł do pokoju, w którym spaliśmy po jakiejś balandze, i zapalił światło. Ten gest mnie rozczulił. Właściwie to nic o Tobie nie

wiem i to samo Ty o mnie. Mam wrażenie, że nic innego nie robiliśmy, tylko się... Jestem zakochana, ale pewnie któregoś dnia odkryję, że nie jesteś tym, którego chciałam. I się rozczaruję, kociu. Pewnie na tym polega to moje kochanie. To przechodzenie w zupełnie odmienne nastroje i to bez cienia żalu, że COŚ było, lecz już nie jest. Zaraz wyjdzie na to, że nie kocham nikogo, jestem mitomanką, idiotką, demoniczną kurwą i najwyższy czas, żeby Bóg mnie ukarał. Czym? Oczywiście miłością.

Całe dni harowałam. Byłam kobietą-szefem, kobietą-dzierżymordą, kobietą-wyrobnikiem. Przez cały czas rozmawiałam z Tobą i nawet, zamiast listu, nagrałam kasetę. Ale skasowałam, bo wydała mi się za bardzo osobista. Podoba mi się ten nasz zwyczaj pisania listów. Jakby nie było poczty elektronicznej, komórek. Niech tak będzie, żyjmy w innym świecie! To pocieszające, że miłość to coś, co umiera.

A gdy umrze, rozkłada się i staje pożywką dla nowej miłości. Żyje w niej tajemnym światłem i dlatego, tak naprawdę, w miłości nie ma śmierci. Mówiłam, kodu, że j) o co ci taka kobieta w Londynie, a Ty odpowiadałeś, że to lepiej. Mówiłam też, że mnie będzie lżej, bo to JA odjeżdżam, a Ty zostajesz w tym syfie, tkwisz w tym cyrku, wśród komunistów, którzy są teraz kapitalistami, nędzy, zakłamaniu i totalnym ogłupianiu. Ja mam życie i obowiązki jo luksusowej scenografii i z ludźmi, których nie muszę się wstydić ani nimi gardzić... Dopiero później przychodzi tęsknota. Z nią też mi łatwiej, bo tylko ode mnie zależy, kiedy przyjadę i kiedy się zobaczymy. Niedługo przyjadę aż na miesiąc.

Mój kochanek zaprzyjaźnił się z moim mężem i stale do nas przychodzi. Gdybyś zobaczył jego oczy, kiedy na mnie patrzy i usłyszał powody - błahostki, dla których przychodzi?! Nawet idiota domyśliłby się czegoś i właśnie to robi mój mąż. Uff, wyszło obrzydliwie, bo Paul nie jest idiotą, lecz coś

podejrzewa. Chciałam napisać list miłosny, ale co mam napisać? Że oddałabym całą biżuterię, aby być teraz z Tobą? Wysiądę elegancka (czy wolisz styl łązugi?), pojedziemy do Ciebie i rozbierzesz mnie. Tym razem obejrzę wszystkie wystawy i wszystkie polskie filmy i będę Ci gotowała obiady. Skoro mam być elegancka, to musisz mnie pokazywać, bo w domu najwyżej założę fartuch. Pączek kiepsko mnie zna, I dlatego nie miał prawa powiedzieć o mnie, że jestem miłą wariatką. Kiedyś Nunu żartował, że niektórzy mężczyźni przyznają się do romansu ze mną, jak gdyby była to gwarancja męskości. Co najgorsze przyznaje się do tego kilkunastu facetów (o czym wiem), których absolutnie nie znam.

Kochanie, idę spać. Niestety, bez Ciebie. Oj, jaka jestem biedna. Pączka nie pozdrawiaj, ponieważ będzie trąbił, że nawet piszemy do siebie, a ja trochę się wstydzę tej mojej nagłej miłości do Ciebie. Albo właśnie pozdrów! Przed chwilą otworzyłam książkę Kapleau i natrafiłam na takie zdanie: „Pokora to wyrzeczenie się siebie. Gdy neguje się całkowicie siebie, to człowiek odkrywa, że wszechświat niczym się od niego nie różni”. Ładne, prawda? A teraz pytanie za milion funtów: Czy nasza miłość urodziła się z seksu, czy też seks z miłości? Póki co, kochaj mnie bardzo. Ja też kocham. I to strasznie mocno. Aż do bólu.

(List pisany na białym, perfumowanym papierze. Charakter pisma bardzo niewyraźny. Mało skreśleń.)

Kochanie Moje! Jest dzisiaj czwartek. We wtorek poszliśmy w cug z Markiem, moim kochankiem i Nunem, moim kolegą. Marek był cudowny, mądry, zabawny, a ja nawet nie awanturowałam się. Jeśli nie liczyć agresji w stosunku do kochanka. Marek przyjechał do Londynu w sprawach politycznych. Z delegacją. Pokazywała to BBC, był artykuł w gazetach. Jest nieprawdopodobnie elegancki, ma wspaniałe

garnitury, krawaty, włoskie buty, drogi zegarek. Angole wytrzeszczają gały, kiedy mówi tą swoją bezbłędną angielszczyzną. A jeszcze jak się dowiadują, że jest posłem, opozycjonistą itede, to goszczą go jak monarchę. No i wypytują o Lecha Wałęsę. Czy go zna, co teraz robi i jak to się stało, że przegrał wybory prezydenckie z byłym komunistą. Marek ma wyraźne wyrzuty sumienia, że tak rzadko się z Tobą widuje. Także mówi, jaki to jesteś lojalny, uczciwy itede. A kochanek umierał, to znów śmiał się histerycznie. Najgorzej przełknął wiadomość, że cieszysz się powodzeniem u różnych dam i słyniesz z jurności. To dodałam ja.

Jest wieczór. Piotruś śpi, a mąż pracuje ze swoim asystentem nad jakimś - ważnym planem czy wynalazkiem. Po tym miesiącu, chyba wyłącznie w łóżku, zważywszy na pogodę, zakończymy tę naszą historię. Może być z pompą. Marek powiedział, że Cię skrzywdzę. Może uważa, że jestem okrutna i niebezpieczna, a Ty taki uczciwy (a ja nie?!), lecz mnie nie jest słodko z taką miłością na odległość. Jestem widocznie za stara albo nie dość stara. Jeżeli w najbliższej przyszłości nie mam co marzyć, że Cię zobaczę i dotknę, to po co mi to wszystko?! Natomiast kochanek telefonuje codziennie i mogę zaraz go dotknąć, jeśli zechcę, albo pójść na spacer. A kij w ucho z tym! I tak będzie nuklearna wojna i wszystko zginie! Marek opowie Ci, jaki Londyn jest śliczny i jak mu się tu podoba. Nie przyjechałbyś do mnie? Schowałabym Cię w jakieś skrytce albo kieszeni.

Nastąpiło multum telefonów. Wstydziłam się powiedzieć, kiedy ostatnio rozmawialiśmy, jak bardzo za Tobą tęsknię, jak cieszę się, kiedy telefonujesz i że list (o zgrozo) znam na pamięć. Przyjadę do Ciebie, ale musisz przyrzec, że niczego nie będziesz oglądał, wszystko po ciemku i nawet macać nie będziesz za bardzo, lecz będziesz krzyczał: „Piękno jest okrągłe!”.

Cała ta historia z Tobą jest za karę i na złość. Jestem kuta na cztery łapy i tu, na ironię, gównu mi z tego! Najbardziej buntuję się, ale nie płaczę, z tego powodu, że nic nie mogę zrobić, by być z Tobą zawsze. Bardzo daleko jest ta Warszawa. I straszni ludzie tam żyją, mają pieniądze, rządzą, mają wpływy, układy... Już zapomniałam jak wyglądasz, choć nie bardzo. Stale mam przed oczami Twoje opalone plecy. Pamiętam usta, oczy, zęby i... dłonie. Hi, hi, hi! Marek był cudowny, gdy mówił do kochanka: „Popatrz, stary, jakie te kobiety są dziwne. Na pewno widziała faceta ze sto razy, ale go nie zauważała, a jak to zrobiła, to się natychmiast zakochała. A jaki on jest? Trochę dziwak, trochę śmieszny, samotnik”. A kochanek umierał. Tak, czasami miłość to jedna osoba, która cierpi i ta druga, która się nudzi, A propos. Francuzi, dopiero teraz zrozumiałam dlaczego, nie używają słowa „tęsknić”. Nie mówią: „Ja za Tobą tęsknię!”, lecz: „Nudzę się bez Ciebie”. To określenie oddaje mój stan. BEZ CIEBIE NUDZĘ SIĘ!!! Wolność to prawo do błędu. Jeśli nie mamy do tego prawa, nie jesteśmy wolni. Co za głupoty wypisuję?! A ja, Mój Srebrny Książę, za karę wyemigrowałam z Polski, tęsknię i marzę, żeby być z Tobą, I nie będę. Gdy zjawia się szczęście i spokój, zaroszę muszę narobić bałaganu. Jakbym myślała, że kiedy jest cicho i spokojnie, to znaczy, że czas umierać. A co jest dla mnie najważniejsze? Miłość. I to jedynie się liczy. Bo Twoja miłość jest jak kryształ, cudowna, bo potęgujesz ją i tworzysz każdego dnia mocniejszą.

Ranek. Masz laką urodę, sposób bycia, że powinieneś chodzić ubrany jak mężczyzna. Mężczyzna, nie młokos. Koniec ze skórzanymi kurtkami, džinsami. Marek mówił, że kiedyś byleś strojnisiem. I co się stało? Jesteś interesującym facetem. Nawet inni tak twierdzą. Jestem z tego bardzo dumna. Chwilowo, bo przecież wszyscy się zmieniają. Ja z mądrej stałam się głupia. A ty? Kiedyś Pączek skarżył się po

pijanemu, że jego życie jest beznadziejnie szare, nic się nie dzieje, tylko interesy, robienie pieniędzy, i że zazdrości mi życia, które jest we mnie i wokół mnie. A ja odpowiedziałam, że gdybym, tak jak Ty i Twoi koledzy artyści, zostawiła coś po sobie (poza dzieckiem i wspomnieniami), choć jeden obraz, okładkę książki, plakat, to byłabym szczęśliwa. Moja logika bije się z dumą, bo kto wymyślił, że niby artysta jest lepszy od rolnika albo ode mnie? Nawet te zakichane obrazy, książki czy filmy, też są narażone na klęski. I to gorsze od mojego życia, które tylko może się któregoś dnia zakończyć. Kurwa, ale muzea i biblioteki mogą przetrwać, natomiast ja na pewno umrę. Co ja piszę? Cała melancholia wynika z deszczu za oknem. Siedzę w moim gabinecie, objebałam przed chwilą księgowego. Zamiast pisać głupie listy, powinnam leżeć z Tobą w łóżku. Na przykład moim, całym na niebiesko, z koronką, falbankami. A my co? To Twoja ruina, że nie chcesz wejść do mojego łóżka i skazujesz na idiotyczną formę życia z Tobą.

Wieczór. Czuję się rozbita i nieszczęśliwa. Chce mi się płakać. Z pełną premedytacją wysłałam Paula po dwa albumy z malarstwem dla Ciebie. Jestem okropna? Nie ma moralności. Każdy środek prowadzący do celu, jest usprawiedliwiony i godziwy.

Noc. Nie mogę spać. Paul jęczy przez sen, to chrapie. Ty śpisz tak cichutko, ledwo oddychasz. Wyglądasz jak mały chłopczyk. Na wszelki wypadek, może to będzie odtrutką na moją tęsknotę, pójdę do łóżka z kochankiem. Albo nie, wezmę sobie młodego wielbiciela, który ma 29 lat, studiuje reżyserię filmową, coś robi dla BBC i jest synem multimilionera, nafciarza z Teksasu. Tobie także radzę, abyś wziął sobie małolatę. Wtedy nie będziesz spoglądał krzywo na moje lajdactwo. Żadnych erotyków nie napiszę. Nawet w łóżku trzeba mieć natchnienie. Ty nim byłeś. A więc całuję Cię

najczulej i powtarzam: „Nudzę się bez Ciebie”. Iwona. Możesz mnie rzucić. To zlikwidowałoby moje kłopoty. A jeśli ani Ci to w głowie, to, do diabła, kochaj mnie jeszcze bardziej i bardziej!

(Połowa listu pisana niebieskim długopisem na białym papierze, pozostała czerwonym flamastrem na dużych, żółtych arkuszach. Charakter pisma staranny. Przy niektórych literach ozdobne zawijasy.)

Mój Grubasio! Tak, jestem chamska, bezwzględna i nie uznaję żadnych „nie wypada”, gdy mam ochotę być taką. Ale tak naprawdę jestem krucha i lubię się zwierzać. Głównie facetom. Ale nie tym, z którymi byłam albo spałam. Potrzebuję czułości i troskliwości, lecz też jestem, przynajmniej się staram, kobietą opiekuńczą i troskliwą. Przede wszystkim dla mojego dziecka. No i od niedawna dla Ciebie. Dzisiaj sobota i zadziałała intuicja. Wyleciałam z łóżka o siódmej rano, odebrałam Twój list i okłamałam cały dom, że to komuniści chcieli sprzedać swoją gazetę. Pączek przyjechał, na trzy dni w interesach i pomieszka u mnie. Powiedział, że może się z Tobą skontaktować, bo gdzieś wyjechałeś, do jakiegoś znajomego, żeby w spokoju pomalować. Jestem miła, zrobiłam wspaniały obiad, Mój mąż pije whisky z Pączkiem i kłóć się o politykę. Mąż twierdzi, że Polacy nigdy w życiu nie powinni wstępować, do Unii Europejskiej, bo zostaną wycyckani. Wszystko będzie w rękach Niemców i Francuzów, a Pączek upiera, się, że jest to jedyna szansa dla Polski, by wyzwolić się z zależności od Moskwy i komunistów. Wstąpienie do Unii pozwoli odebrać im majątki, ścigać na podstawie prawa europejskiego, także zlikwidować mafię, którą kierują byli esbecy i wpływowi, do lej jwry, członkowie byłej PZPR. Dobrze, że pojechał kochanek. On jest Polakiem, mieszka w Londynie od przeszło dwudziestu lat, ma dużą firmę budowlaną i podejrzewam, że jest ukrytym alkoholikiem.

Nawet zjawiał się z córką, jakbym miała się przyzwyczaić do następnego dziecka, Jedenastoletniego. Kolacja odbędzie się na zasadzie: kto pierwszy, ten lepszy. Zimna kura, kawior, polskie grzybki, kotlety schabowe. Może, gdy się nażrą, to dadzą mi spokój i będę mogła pisać, jaką radość, sprawiają mi Twoje listy. Wtedy wyglądam jak kocica, co obłowiła się niedzielnym kotлетem. Mąż i Pączek są solidnie zaprawieni i cały czas klóćą się o politykę. Pączek wścieka się i twierdzi, że to przede wszystkim Angole sprzedali nas Stalinowi, a teraz popierają komunistów polskich, udających socjaldemokratów, bo chodzi im o pieniądze. Paul usiłuje coś tłumaczyć, ale Twój przyjaciel mówi głośniej, szybciej i ma mocniejszą głowę. Niedługo zjawi, się piętnaście osób. Kolacja na cześć Pączka.

Odpowiadam na Twoje pytania.

1. Piotruś nie znosi kobiet. Uwielbia facetów, chociaż na Paula mówi takimi wyrazami jak: świnia, głupi, palant. Ja, w jego wieku, umarłabym ze strachu na sarną myśl, że można kochać słowo ojciec z... Szacunek ma jedynie do mnie. Ale tylko dlatego, że wie, kto tu rządzi. Jest geniuszem, (na Zachodzie mają zajoba na punkcie różnych testów), nie bawi się piłką, lego, nie jeździ na rowerze, tylko siedzi przy komputerze. To mi się nie podoba. Pierwsze jego słowo, gdy miał około roku, brzmiało „kurwa”. Oczywiście po polsku.

2. Gdy intuicja mówiła, żeby zatelefonować w sobotę, to trzeba było posłuchać. To nie żadna zasrana intuicja, lecz ja, Męża nie było w sobotę i niedzielę, bo tyrał nad ważnym projektem, a ja szeptałam: „Zadzwoń, kochany! Zadzwoń!”.

3. Jeśli nie upijesz się ze mną, kiedy będę miała na to ochotę, to się upiję sarna w najgorszy sposób. Będę wulgarna, wyrzygam się, wysikam. Uwiodę jakiegoś Twojego znajomego; i to na klatce schodowej, wyśmieję Ciebie, cały ten wasz trud, spiskowanie, podziemie, styropian, a potem zamęcę kacem. Jeśli zaś będziesz grzeczny, to Cię uwiodę i

powiem, jakie mam plany co do Ciebie i przyszłości. Ale kto to wie, co będzie z nami, światem, Polską? Niedawno przeczytałam w gazecie fragment książki faceta, który twierdzi, że zaczął się 2.5-letni okres, którego kulminacją ma być koniec świata w 2012 roku. Ten facet apeluje do ludzkości, by się opamiętała, bo jest to ostatnia chwila, żeby „zmienić bieg”. Później będzie tylko NIC. Błagam, nie umieraj przede mną. Nie dam sobie rady z cmentarzami i trumnami. Przecież dożyję setki i będę musiała pochować wszystkich bliskich. I będąc ślepą, jeszcze zostanę zmuszona do pilnowania tych drani, żeby mnie nie oszukali; przywieźli dobre trumny, o prawidłowych wymiarach. Na domiar złego jeden będzie chciał leżeć pod drzewem, drugi przy głównej alejce, następny na cmentarzu ewangelickim, katolickim lub żydowskim, Pomijam koszty, na jakie narażą mnie truposze. Chyba że wszystko mi przepiszą to testamentach. Czytałeś opowiadanie Dostojewskiego o gadających umarlakach j)t. „Bobok”? A kto mnie spali? Tylko nie ziemia, nie ta drewniana skrzynka, w której nie można się nawet przewrócić na drugi bok, gdy źle mówią o człowieku. Tfu, tfu, tfu! Dlaczego upieram się, by mnie spalono, skoro powinno mnie przestać obchodzić co dalej? Śmierć, tak jak życie, jest chwilą między tym, co je poprzedza, a tym, co po niej następuje. No, kto to powiedział, mądralo?

4. Kochanek nie awansował na narzeczonego. Jestem Ci - wierna jak brzydka, stara baba swoim wspomnieniom z dzieciństwa! A ty, kretynie, piszesz, żebym myślała o 'łobie, kiedy leżę na plecach. Powinieneś zauważyć, debilu, że w śnie jestem zwinięta w kłębek.

Ja o niczym tak nie marzę jak o tym, żeby być z Tobą. Niekoniecznie w łóżku, ale gdzieś bardzo blisko. Wiem dużo o Tobie, lecz stale za mało. Obcinasz paznokcie czy pijesz? A może obgryzasz? Jeśli obcinasz, to co robisz z rękami? Wiesz,

gdzie chowam listy? Pod łóżko. Coś mi się przypomniało. Kiedyś szliśmy ulicą i Ty nagle stanąłeś jak wryty. Byłeś tak blady, jakbyś miał za chwilę wykopyrtnąć na tamten świat. Łaskawie bąknąłeś, że przeszła dziewczyna bardzo podobna do 'Twojej byłej narzeczonej z lat młodości. Dlaczego o niej nie opowiesz? To jakaś tajemnica? A właściwie to dlaczego nie masz dzieci? Często dzieci mają dzieci, dzięki czemu żyją wtedy ze sobą w symbiozie i nie wiadomo, kto kogo wychowuje. Uff, zajrzałam do portfela. Mam bilet lotniczy. Mąż uważa, że stać mnie na włożenie do piekarnika czeku na milion funtów.

Kocham Cię. O dziwo, nie sprawiło mi napisanie tego żadnej trudności, PAMIĘTAJ: jeśli cokolwiek krytykuję, to dlatego, żebyś pozbył się tej swojej mrukliwości. Zaczął mówić. Otworzył się. Ale i tak każdy człowiek mówi coś innego. Piszę to wszystko, bo zauważyłam, że lubisz krzyczeć na kobiety, nie znosisz, kiedy Ci się sprzeciwiają. W ogóle to jesteś przez nie rozpieszczany. Nieszczęście zaczyna się wówczas, kiedy coraz ciszej mówi się o tym, co było i minęło, a głośno i z samouwielbieniem o tym, co jest. I wrzaskliwie o radosnej przyszłości. Amen.

Och, jakbym się do Ciebie przytuliła i nie oderwała przynajmniej przez dwa dni. To nie był najlepszy pomysł z tą wiernością. Komu to potrzebne?! Chyba przyznasz, że nie jest to normalna sytuacja dla kobiety rozpieszczanej przez mężczyzn? Nie słuchać pochlebstw, nie otaczać się nimi... Zgroza! Taki układ może doprowadzić do gnuśnej starości, reumatyzmu, sklerozy. Proszę mnie przekonać, że jestem śliczna, inteligentna, dowcipna. Czyli JEDYNA! Może to zastąpi mi te legiony mężczyzn, którymi się otaczałam i, nie wiadomo dlaczego, już tego nie czynię.

Poznałam śmiesznego Rosjanina, wyemigrował jako dzieciak z rodzicami po latach sześćdziesiątych, Kosztowało to

podobno dwa kilogramy złota. Jest milionerem, Paul utrzymuje, że jest on agentem KGB, ale on ma obsesję i w każdym węszy szpiega. Niekiedy, niby w żartach, twierdzi, że jestem agentem wpływu. Bogacz przywiózł Piotrusiowi siedem pitek (dobry prezent, dla kogoś, kto tego nienawidzi, co?) i dziesięć lalek (dla chłopaka, dobre sobie), które mają zimne oczy. Wpycham je gębami do dołu i do kosza, Rusek zostawia mi klucze do apartamentu, limuzyny, bo wyjeżdża na trzy tygodnie na Cypr. Chce, żebym z nim ściągała (czytaj handlowała) z Rosji różne rzeczy. Drewno, gaz.

Jezu, ile zapisałam kartek? Uwielbiam Cię i chciałabym, żeby trwało to długo, długo, długo. Pożyjemy, zobaczymy. Twoja, narzeczona.

(List pisany czarnym flamastrem, na niebieskim papierze, z żółtymi i różowymi kwiatkami na brzegach kartek. Żadnych skreśleń.)

Kochanie moje, Twój list przeczytałam tylko raz. Tylko dlatego, że byłam strasznie zapracowana. Sprzedałam hotel. Nie muszę użerać się z obsługą, związkami zawodowymi, policją, klientami, księgowymi. Podobno cztery rzeczy mają moc przekreślenia złych wyroków wydanych na człowieka: jałmużna, modlitwa, zmiana, imienia i zajęcia.

Zawsze marzyłam (może dlatego, że chciałam zrobić na złość przesądom), by wziąć ślub w maju. Iz konwalia (nieszczęście) oraz perła (też nieszczęście). Na razie nie proponuję ślubu, ale wakacje ze mną. Myślałam dużo o Tobie i doszłam do wniosku, że masz taką zasadę: kocham albo nienawidzę. I robisz coś do końca, dając z siebie wszystko, albo w ogóle się do tego nie bierzesz. Chyba wiesz, że nie będziesz miał lekko w życiu?

Kupiłam trochę prezentów. Trzy koszule, piękną marynarkę, włoski krawat.

Noc. Zaczynam podejrzewać, że jestem nie tylko stara, ale i głupia. Może stąd bierze się ta wataha facetów? Z głupią jest weselej, łatwiej i bezpieczniej. To, że Cię spotkałam i kocham, sprawiło, Mój Srebrny Książę, że chodzę, nucąc i śmiejąc się. A sfera psów (czytaj facetów) lata za mną, a niektórzy gwizdzą. Jedynie mąż i kochanek są markotni. Nunu uważa, że jeśli chcę być jeszcze trochę zakochana albo i długo, to nie wolno mi za Ciebie wychodzić, ani mieszkać z Tobą, bo żadna miłość nie wytrzymuje codzienności przez lata. Dzień po dniu, godzina po godzinie, katar po katarze, ból żołądka po bólu żołądka. Ale też mówi, że gdybyś przyjechał do Londynu i wszystkich nas utrzymywał, to moglibyśmy Cię kochać długo. No i miałbyś przez nas ogromne wydatki. Hi, hi, hi! Ale koniecznie przyjeźdź do Londynu. Będiesz chodził ze mną po luksusowych knajpach, muzeach (Tale Ordery), galeriach (pogadamy z agentami, żeby wzięli Cię pod swoje skrzydła). No i noce razem. Powiem w domu, że muszę wyjechać do Szkocji albo Rzymu. Przypomniała mi się wizyta Marka i jego kolegów - polityków. Nie pamiętam, z jakich byli partii, ale byli tragiczni. Palili śmierdzące papierosy, jeden za drugim, pili na umór i jeszcze namawiali do tego Angoli. Zachowywali się jak Rosjanie na filmach szpiegowskich. Tylko że Rosjanie zajmują ogromne terytorium, mają tablicę Mendelejewa i broń jądrową, atomową, biologiczną i nikt nie wie jeszcze jaką, A co mają Polacy? Jak ma nas szanować Zachód, skoro ta niby elita zachowuje się jak żule?! Pewien Angol opowiadał mi kiedyś, że był w ambasadzie japońskiej, w jednej ze stolic afrykańskich, gdzie na przyjęciu polski ambasador tak się upił, że postanowił rękami sprawdzać wielkość biustu żony ambasadora, potem jej tyłka. Przyjęcie się skończyło, ambasador zaś Polski spał pijany do rana na kanapie. Następnie utworzył spółkę, która miała powołać uniwersytet, biuro podróży, organizujące wycieczki do

Częstochowy, by obejrzeć obraz Czarnej Madonny. Siedzę w kuchni, słucham muzyki i piję whisky. Dlaczego istnieją te jebane granice, systemy, rządy, pieniądze, banki, policje? Placzę z wściekłości.

Rzuciłam trzema szklankami w ścianę. Paul popatrzył smutno i poszedł do siebie. Kiedyś rozmawiałam z Latynosem, nie pamiętam nazwiska, znanym pisarzem, on powiedział, że samotność dotkliwiej czuje się w obcym kraju, bo Ojczyzna jest jak dom, jak ogień i jak dzieciństwo, jak schronienie u matki. Na obczyźnie natomiast, jest smutno, jakby mieszkało się w hotelu, anonimowo i obojętnie. Bez wspomnień, bez swojskich drzew, dzieciństwa, zjaw; bo Ojczyzna jest dzieciństwem i raczej należałoby ją nazwać MATCZYZNĄ. Czymś, co chroni i grzeje w chwilach samotności. Ładne, prawda? Co ci komuniści zrobili z Polski? Zadłużyli kraj na kilkadziesiąt miliardów dolarów, zmusili miliony ludzi do emigracji, tyle zabili, wysłali do łagrów. I co? Oni są bez winy. Bezczelność. Co widzę, kiedy przyjeżdżam do Polski? Moi koledzy ze studiów, komuniści, są teraz bogatymi biznesmenami, Ubecy i milicjanci to samo. W dodatku to oni naprawdę kierują mafią... Eee, szkoda słów.

Dalej piję whisky. Dla Ciebie mogę mieszkać nawet na pustyni. Oni, ci podli ludzie, myślą, że się poddam. Nigdy. Zostałeś już na zawsze w moim życiu i, choćby po trupach, ale nie poddam się. Cokolwiek miałoby się stać, będę broniła Ciebie. Jestem Ci najwierniejszą, najuczciwszą i taką pozostanę, dopóki będziesz chciał. Twoja Iwona.

Paweł stanął w oknie. Księżyc wychylał się zza chmur. Na przystanku jakiś mężczyzna zaczepiał ludzi, którzy uciekali od niego, a on wygrażał komuś pięścią. Cokolwiek miałoby się stać, będę broniła Ciebie? A może ona zrobiła wszystko, żeby mnie przed czymś uchronić? Nie kombinuj, nie próbuj siebie oszukiwać... Kłamała, wpakowała cię w

kłopoty. Dlaczego Pączek zatrzymywał się w Londynie u Iwony i nigdy mi o tym nie powiedział? Może razem prowadzili ciemne interesy? Czy jestem tak głupi, czy też chciałem być głupi, udawać, że nic mnie nie obchodzi ich sprawy, sposób w jaki zarabiają pieniądze? A może Pączek jest związany z jakimiś służbami, jeździ po świecie z tajnymi misjami, obserwował Iwonę, wystawił ją komuś? A może pracowała dla Pączka, była konfidentką, połapali się w tym jacyś przestępcy albo szpiedzy? Nie, nie dojdę do tego... Nie ma sensu nawet pytać o to Pączka, bo nie odpowie. A jeśli odpowie, to skłamię... A może Marek i Pączek spali z nią, a później mieli wyrzuty sumienia, było im głupio przede mną? Skąd Pączek zna tylu wpływowych ludzi, skąd ma tyle pieniędzy, czym naprawdę się zajmuje? Rozboliła go głowa, nie mógł się skupić. Napił się wody mineralnej, położył na łóżku i zaczął czytać listy.

(List pisany czarnym, zielonym i niebieskim długopisem. Strony numerowane czerwonym flamastrem. Niektóre słowa trudne do odczytania. Bardzo dużo skreśleń.)

MÓJ SREBRNY KSIĄŻA;! Piszę do Ciebie, bo długo do mnie nie telefonowałaś. Już myślałam, że mnie rzuciłaś i nawet chciałam zapalić świeczkę, podumać o Tobie i pogrzebać żywcem, Mam w dupie pieniądze, interesy. Wymyśliłam szatański pian. Wyślę Paula z Piotrusiem na wakacje w lipcu, służąca będzie na urlopie, a Ty zamieszkaś w moim domu. Jestem cyniczna, zimna i o niczym innym nie marzę, jak o tym, abyś mnie rozgrzał i roztopił. Stoję w oknie i patrzę jak suka biega po ogrodzie, cała roześmiana, i udaje, że chce złapać ptaszki i motylki. Co ja piszę, nie motylki, tylko niewidzialne duszki. Gdy jestem sama, to wydaje mi się, że jesteśmy razem. Jesteś bardzo blisko. W korytarzu albo sypialni. Natomiast, kiedy jestem z ludźmi w sytuacjach wesołych, to zdaje mi się, że mnie opuściłaś i że nigdzie Ciebie

nie ma. Niemożliwe, żebyś istniał... Jest mi Ciebie brak. I to jest ponad moje siły, cierpliwość. Słowo, że nigdzie nie łążę. Dlaczego? Bo nie mam w sobie radości. Zupełnie na marginesie, bo naprawdę nic przywiązuję do tego specjalnej uwagi: jestem Ci wierna. Dziewica! Gdy tak obserwuję ludzi, to myślę, że nie mają pojęcia o miłości. Traktują ją, jako rodzaj zabawy, umilającej życie. Niektórzy są zakochani w miłości. Jeszcze inni udają, że im zależy na niej, by nie być podejrzanymi. A w ogóle facetom nie zależy na miłości. Wolą kariery, picie alkoholu w swoim gronie, gadanie, o polityce, oglądanie meczy piłkarskich i strzelanie do zwierząt, W Polsce kobiety muszą dawać sobie radę, bo faceci nie są w porządku do swoich rodzin, zachlewają się, nie dbają o zęby i higienę. Nie dają kwiatów, książek, prezentów. Można iść błyskawicznie do łóżka, ale co dalej? Miłość do Ciebie spowodowała, że patrzę na Paula i nie mogę uchwycić tego momentu, w którym przestałam go kochać i dlaczego. Nic takiego specjalnego nie wydarzyło się, co mogłabym potraktować jako punkt zwrotny. Jedziemy samochodem i milczymy. Jemy i milczymy. Oglądamy telewizję i milczymy. Nie mogę się z nim pieprzyć, a teraz nawet przytulać. Był taki okres, kiedy odczuwałam potrzebę dotykania jego dala. Dzisiaj jest to dla mnie okropne. Paul twierdzi, że jestem okrutna. A może uczciwa? Zacząć żyć z kimś innym, zacząć wszystko od nowa, to dla mnie samobójstwo. Gdybym nie miała dziecka, to mogłabym to robić i nawet bawić się w statystykę, z którym byłam dłużej i namiętniej, lecz nie mogę uprawiać tej zabawy i fundować dziecku (może dzieciom) co chwila nowy dom. A może dom właśnie jest tym garbem, który trzeba dźwigać? To naprawdę jest przerażające, kiedy człowiek uświadomi sobie, że każdy jego czyn ma swoje konsekwencje i może oznaczać rozwidlenie się dróg prowadzących do całkiem odmiennych znaczeń. Może dom

wymaga siódmego zmysłu? Innej filozofii? Skąd masz o tym wiedzieć, wolny ptaku? Nawet nie wlałeś w trud mieszkania z kimś, kto inaczej śpi, nie zawsze lubi jeść co Ty, jest kobietą, ma okres, używa perfum, lubi lustro, nie znosi piłki nożnej, polityki, wstać z wyra lub pragnie milczeć przez cały dzień. Tak, tak, mieszkałeś ze swoją narzeczoną, ale kiedy to było? Byłeś o wiele młodszy i mniej nerwowy. Boże, ile nas różni i dlaczego mężczyźni mieszkają z kobietami, a nie razem? Czy wiesz, jak wygląda życie we dwoje? Nie ma miłości, jest dom. Nie ma domu, jest pasja. Jakąś niezależność. Podobno ludzie, którzy mają nieuporządkowane sprawy związane z dzieciństwem i rodzicami, zostają artystami albo politykami. Ani mi w głowie nowe związki, które i tak się kończą milczeniem, choć przy jednym stole i łóżku. To jedynie kwestia czasu, szczęścia i układu. Dlatego nie mam co liczyć na cud. Boże, jakie to proste! Każdy gubi mlecze zęby i każdy musi przejść przez małżeństwo. Mam to za sobą. I jeszcze jedno: zazdrość rodzi się wraz z miłością, ale nie zawsze z nią umiera.

Pisane po godzinie. Błagam: dbaj o siebie, nie jedz tłustych potraw, sprawdzaj ciśnienie, nie pij wódki, nie wracaj późno do domu, bo jeszcze mogą napaść na Ciebie bandyci, nie interesuj się polityką, tylko maluj, rysuj. Zajmij się wreszcie sobą. Piszę i spoglądam na Twoją fotografię. Moja babcia mówiła o takich facetach jak ty, że są „rasowi”. Zawsze patrzę na Ciebie z czułością, kiedy dyskutujesz. Z trochę sennego, w jednej chwili, stajesz się lwem. Tak, jakby ktoś podłączył Cię pod elektryczność. Jesteś najprzystojniejszy i najmądrzejszy. Takim pozostaniesz. Jestem pewna, że mnie nie skrzywdzisz. A tak na marginesie, to w życiu człowieka najważniejsze jest to, co ociera się o tajemnicę. I bardzo dobrze, ponieważ najbardziej pasjonujące wydarzenia są wynikiem nieporozumień.

Czy Ty zwariowałaś?! Jestem oburzona i obrażona. Miałabym iść do łóżka dla interesu? Koniec świata... Choć i to możliwe, bo ponoć wszystko można sprzedać i kupić. Gdy za bardzo dużo, to idę. Amen. Wyobrażasz sobie, że nagle zarabiam pięć milionów dolarów? Jedziemy na Hawaje, Galapagos, Dominikanę, Bora-Bora. Wspaniały klimat, pływamy, opalamy się, łazimy po piasku, czytam książki, a ty sobie malujesz. Czy nie warto byłoby pójść z kimś do łóżka i mieć te pieniądze? Bo czym jest ciało? Ciało marnieje, czas pomyśleć o duszy. Czy zauważyłaś, że byli narzeczeni mnie lubią? O, przepraszam, nie znasz ani jednego. Mam nadzieję, że poznasz. Co do ludzi, to nie mam żadnych złudzeń. Pamiętam jednak mądre zdanie z „Przybysza z Narbony” Strykowski, które wypowiedziała umierająca matka do swojego młodziutkiego syna: „Bądź wyrozumiały dla ludzi. Oni wszyscy są biedni”. Tę książkę pożyczył mi pewien mój znajomy z Polski, Żyd. A teraz dowcip, który mi opowiedział.

- Pani Rebeko, ma pani dzisiaj na sobie piękną suknię.

- A czy widział pan na mnie kiedyś coś brzydkiego?

- Owszem, widziałem. - A co?

- Pana Łabędzia.

Bardzo się cieszę, że po raz pierwszy ostrzegano mnie przed Tobą, Petona Polka. Usłyszałam, że jesteś porywczy, nietolerancyjny wobec ludzi i za bardzo serio podchodzisz do miłości. Pamiętaj, że kobieta zapomina swoje romanse tak, jak zapomina się choroby. Odłożyłam pióro i dumam. A może to prawda, że wrażliwość kobiet zamyka się najczęściej w strefie poddania oraz cierpienia, no i że ekshibicjonizm i masochizm są kobiecie równie właściwe jak biust.

A teraz z innej beczki. Niestety, większość Polek zachowuje się na Zachodzie fatalnie. W moim hotelu, była niedawno wycieczka z Polski, z Warszawy. A w nocy okazało się, że cztery baby urządziły sobie „dyżury” i za pieniądze

„polerowały laski”, jak to mówi Pączek. Obsługiwały mój personel. W ogóle błąd emigrantów z Polski polega na tym, że dostrzegają styl życia na Zachodzie w postaci ogromnej drabiny obfitości, Rzeczywiście mamy wszystko, lecz nie wszyscy. Albo inaczej: każdy ma coś innego i dopiero razem mamy wszystko. Jest nieliczna grupa bogaczy. Reszta oszczędza i ciężko pracuje. Nie kombinuje, oszukuje, lecz pracuje. Niedawno byłam na przyjęciu u pewnego Anglika, który działał przed laty w organizacji popierającej „Solidarność” i było pełno emigrantów. Bródki, wąsy, brudne dżinsy i marynarki, cug do kieliszka i te stałe gadki, międlenie na wszystkie sposoby słów: ojczyzna, wolność, cierpienie, naród, geopolityka, Rosja, agenci, konfidenci. Rekord świata pobił laki kurdupel, ze spoconymi łapkami, który wygłosił laki spicz: „Jesteśmy przekonani, że tylko ofiarność Zachodu może nas uratować. Ale jeśli świat wolny i bogaty nie zrozumie tego, że on też poprzez ofiarę może się uratować, to zginie od skażenia środowiska, działalności agenturalnej komunistów i to, że niestabilna masa byłego bloku sowieckiego, głodna i wściekła, mająca broń jądrową, może doprowadzić do końca świata”. Czyli, dawaj ta kasę! A co robi Zachód.? Pokazuje wała. Zamiast mieć pretensje, że nas sprzedał, nie pomaga, jak matka nieudanym dzieciom, powinniśmy być wdzięczni, że jeszcze nas przyjmują, dają pracę, stypendia, pożyczki itede. Polacy uważają, że muszą natychmiast dostać pracę odpowiadającą ich ambicjom i wykształceniu. Poza tym nie ciężką, lecz łatwą, przyjemną i popłatną.

Przypomniała, mi się moja podróż do USA. Byłam w Nowym Jorku, Los Angeles, Chicago. Wszystko ogromne. Kraj, autostrady, wieżowce, samochody. Wszyscy, może procent nie, chcą mieć też ogromne pieniądze, Ludzie nie mają czasu, zapierniczają za kasę, najbardziej interesują ich propozycje dawane przez banki, handlarzy nieruchomościami

i samochodów. Mówiąc górnolotnie, komputery, forsa i media rozczłonkowały świat ducha. Jeśli coś się stanie, nie wiem, wojna, atak na nich, to USA zginie. Tak jak imperia: Rzym, Babilon, Ale mimo - wszystko - wolałabym, żeby Polska związała się z Ameryką niż z Europą, Bo jest większa, bogatsza i mądrzejsza. Będzie, co ma być.

Mój Srebrny Książę, jesteś przyklejony do mnie niczym guma do żucia, Budzę się i myślę o Tobie, idę spać to samo. W rezultacie śniesz mi się co noc. I zawsze występuje inny mężczyzna, i jesteś piekielnie zazdrosny, i na mnie krzyczysz, świdrujesz oczami. Dobrze, że nie bijesz. Gdy będziemy razem, to pewnie będziesz mnie wkurwiał, ale na razie jesteś ideałem. Czyli jeszcze raz kłania się teoria Nuna. Osobno - cudownie i cała ta miłość może trwać latami. Razem - tylko chwilę. Gdy sobie przypomnę, że co rano jesteś zamulony, nie umiesz zreperować głupiego kontaktu, boisz się elektryczności jak diabeł, święconej wody, jak nie dbasz o przyszłość i pieniądze, nie zmywasz od razu talerzy, czytasz gazety przy jedzeniu, emocjonujesz się meczami piłkarskimi, obrażasz bez powodu ludzi, to cały ten anielski śpiew zaczyna mi przechodzić. Ale jestem przekonana, mimo wszystko, że żyję tylko dla Ciebie i tylko z Tobą chcę spędzić resztę życia. Jestem skazana na Ciebie, tylko Ciebie chcę pieścić, całować, przytulać, robić wszystko, co sprawia Ci przyjemność. Pragnę, abyś uwierzył, że czuję się Twoją żoną. Oj, zawstydziałam, się tego, co napisałam. Tak piszą kilkunastoletnie dziewczynki. Co Ty ze mną zrobiłeś?! Całuję mocno.

BEZ CIEBIE NUDZĘ SIĘ!!!

Paweł zaczął chodzić bez celu po mieszkaniu. Czy to możliwe, żeby ktoś, kto pisał takie rzeczy, mógł kłamać? A jeśli kłamała, to dlaczego? Jest nienormalna, ktoś jej kazał? Ale dlaczego? Co miałyby przez to osiągnąć? Namówić mnie,

żebym wpakował się w przestępstwo? Dotknął skronią ściany. Popatrzył na ulicę. Niczego nie widział, nie mógł się skupić. Przesunął bransoletę zegarka, zdjął go z ręki i położył na parapecie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Wszyscy mnie oszukiwali? Ale po co? Rozumiem, jeśli spali z nią, ale jeżeli nie? Coś zaczęło mu się zaciskać w klatce piersiowej, przeszkadzając oddychać; złość i zraniona duma. W jakie pułapki mogę wpaść? Czego chcą ode mnie ci ludzie? Pieniędzy? Nie mam... A może się mszczą? Może coś im zrobił mój ojciec albo matka? A może Irokez wcale nie jest chory, wie, co mówi, zna fakty, prawdę?

Łyknął leki przeciwdepresyjne, popił wodą mineralną i znów położył się na łóżku. Wziął listy Iwony i zaczął je czytać.

(List pisany zielonym flamastrem, bardzo niewyraźne pismo i dużo dopisków na marginesie.)

Mój Srebrny Księżu, przechodzę z miłości do wzruszenia ramion. Tak łatwo, jakbym wchodziła do kina bez biletu. Coraz częściej dochodzę do wniosku, że Twoja miłość, piękna miłość należy się komuś innemu. Jestem niedobrym człowiekiem. Wszystko jest ślepe. Bóg, miłość, los, Temida. I tym mogę tłumaczyć to, że jesteś ze mną. Jestem jak stary żółto. Nie wiadomo, czy żyje, czy też się przyczaił. Wczoraj, patrząc w okno, powiedziałam niechcący, bez emocji, że nie chce mi się żyć. Wywołało to zdumienie męża, kochanka i Nuna. Boże, tyle widziałam, przeżyłam, lecz i tak wszystkiego nie zobaczę, ani nie zrozumie! Zmęczyłam się tą moją wesołością, układnością, robieniem, co wypada. Chcę być bezczelna, arogancka, zapomnieć o takcie i manierach. Chcę być amoralna. A może naprawdę taka jestem? Zamiast pisać te brednie, powiem, co robię, chociaż dramatem jest to, czego nie robię. Po południu piekłam ciasto, bo Piotruś ma w szkole bal, a później oglądałam w telewizji film „Życie przed sobą”,

według książki Romain Gary'ego. Wniosek jest taki, że nie można żyć bez miłości. A nie przyszło Ci do głowy, że może jestem, niezdolna do miłości? Każde moje miłości określa czas. Najwyżej dwa lata.

Przełóżam, gazety z Polski. Strajki, brak pieniędzy, padające zakłady, wściekli ludzie, którzy wszędzie wietrzą oszustwo i łapówki. Poniekąd mają rację. U Pączka poznałam kiedyś satyryka, który powiedział, że w Polsce za dużo gada się o polityce i za dużo ludzi z niej żyje. Gdyby nie polityka, to tysiące pałętaloby się bez zajęcia. W telewizji brytyjskiej bardzo rzadko pokazują coś o Polsce. Głównie chwalą za wzrost gospodarczy albo puszczają coś o antysemityzmie. A mnie wtedy przypominają się relacje z manifestacji w latach osiemdziesiątych, te kordony ZOMO, pały, tarcze i bezbronni ludzie mający za broń podniesione palce w „V”, krzyże i okrzyk „Nie ma wolności bez Solidarności”. Co z tymi ludźmi, ich nadzieją? Są bez pracy, sprawiedliwości, a ci, którzy ich gnębili są teraz kapitalistami, siedzą w bankach i radach nadzorczych, różnych spółkach i spółeczkach. Pamiętam jak Irokez powiedział kiedyś (to jest facet fascynujący, szkoda, że tak brzydki), że żyć to znaczy być wolnym i nie wszystko, co jest rzeczywiste, jest rozumne. Wszystko zaś, co jest nieludzkie, jest bezsensowne i nieużyteczne. Dlaczego pozwoliliście, żeby komuniści, ich agenci nadal rządzili, nękali ludzi? Eee, szkoda gadać. Chcę spać, ale nie mogę. Wracam do pojęcia Polski. Napisałam i natychmiast myślę o chaosie, męczeństwie, buncie, biedzie, głupocie, pijaństwie. Poza tym widzę maciejkę, malwy, brudne wsie i zwierzęta, szosy z wybojami, zapchane autobusy. Polska to trochę wspomnień, znajomi i nostalgia do czegoś, do czego wracam, ale skąd po dwóch dniach chcę uciekać. Nie lubię polityki, bo nie mam na nią żadnego wpływu. Bo co to za wpływ, że mogę głosować? Polityka jest odcięta od człowieka. Jego cierpienia. Absolutnie

nie bierze pod uwagę jednostki, choć pretenduje do roli zbawicielski. Działa ponoć w naszym imieniu, a później okazuje się, że popełniła błąd albo nie chcieli jej ludzie. A poza tym służy uprzywilejowanym, którzy mogą manipulować masami. Dzięki niej mają dostęp do ogromnych pieniędzy, władzy, sławy, służb specjalnych, ambicji. Zależy od apetytu. (Pisane po dwóch dniach).

Niedawno oglądałam wspaniały film, był leż w Polsce, „Czerniony krąg” Mevilla. W gazecie wyczytałam, że tytuł i motyw zostały oparte na fragmencie „pożyczonym” z Buddy. Gdy ludzie, nawet jeśli się nie znają, mają się spotkać jednego dnia, to wszystko może się zdarzyć każdemu z nich i mogą iść zupełnie innymi, różnymi drogami, lecz w dniu, wyznaczonym nieubłaganie, spotkają się w „czernionym kręgu”. Tak się stało z nami. Tak się stało ze mną i Paulem. Ze mną i Nwnem. Z Tobą i Twoją narzeczoną, o której nie chcesz opowiadać. Jak się wychodzi z tego „czernionego kręgu”?

Mój kochany, święty człowieku. Nie zdradza, nie pije, nie szlaja po knajpach i bankietach. Tak mi przekazali moi szpiedzy w Warszawie. Może rób to, bo polem okaże się, jeśli zdarzy się nam POTEM, że nie wyszalałeś się i będziesz mnie zostawiał w domu, aby trochę zaprawić, poszlajać się i poupadlać. Dobrze pamiętam, jak wyglądałeś, gdy kopnąłeś bosą stopą xv ścianę. Wyglądało, jakbyś miał lekkiego zeza albo jedno oko mniejsze. Och, jakbym chciała byc Tobą. Gdybym nie miała dziecka, to przyjechałabym natychmiast do Polski. Do Ciebie. Ale teraz, pisząc to, uświadomiłam, sobie, że zaraz byłabym wściekła na brud, szarość, zakłamanie rządzących, żarcie, chamstwo ludzi, fałsz, skłonność do zdrady. Polska to rozwalony naród, który składa się z multum zdeprawowanych ludzi. Tym sposobem moja złość, obróciłaby się przeciwko Tobie, bo Ty byłbyś najbliżej i tym, dla którego stałam się częścią paranoicznego systemu. A więc chyba jest

lejnej, że... Dzięki temu jesteśmy dla siebie świętem, Ale wiem też, że nawet gdybyś mieszkał ze mną w Londynie, to życie ze mną nie byłoby dla Ciebie przyjemne. Mam paskudny charakter i od przeszło dwudziestu lat nie liczę się z nikim. Ja to lubię i byłoby podłością, gdybym chciała Ci wmówić, że chcę się zmienić. Jest mi dobrze. A innym? Co mnie to obchodzi! Jest taka piosenka, że jak jesteśmy zakochani, to zachowujemy się jak chorzy. Chorzy z miłości. Ale najbardziej, gdy się z niej wyleczymy. A czekanie nic nie daje, jak to masz w zwyczaju. Tak można myśleć, kiedy się żyje sześćset, lat, A może to ma związek z Twoim siedzeniem w więzieniu, w którym nauczyłeś się tego kurewskiego czekania?! Wiem, że nie lubisz się ze mną kłócić, rani Cię, kiedy demonstracyjnie milczę. Ale za kilka lat te kłótnie byłyby straszne, bo to ja prowokuję i jestem awanturnicą. Paul jest chodzącym spokojem i łagodnością.

Nawet po alkoholu, A gdy się kłócimy, czego nie urnie i nie lubi, to natychmiast chce załagodzić sytuację, jak gdyby wstydził się tego, że dał się wciągnąć w awanturę; że w gniewie powiedział kiedyś słowa, których nigdy nie wypowiedziałby bez mojej prowokacji. A ty, furiacie? Zjadłbyś mnie albo rozszarpał. Na razie bawi mnie to, ale jak wybuchnie awantura o coś, co jest drogie mojemu sercu, to mogę okazać się przeciwnikiem na poziomie. A wtedy drzyjcie bogowie, sąsiedzi i pogotowie ratunkowe! Wniosek jest i tak nietypowy: byłabym z Tobą nawet od wczoraj, gdyby nie Piotruś i to, co się dzieje w Polsce. Denerwuje mnie, że niekiedy zachowujesz się jak święty Franciszek i potrafisz gadać i gadać o biednych ludziach, którzy ledwo żyją w zbankrutowanych pegeerach. Co oni Cię obchodzą? Oni są motłochem, który pójdzie za tym, kio znów będzie im obiecywał, że będą mieli pracę i nic nie będą robić, a do tego będą kraść. To są ludzie, którzy nie znają, słowa lojalność,

wdzięczność, życzliwość, miłość. To są zwierzęta. Oni nie potrzebują wolności, moralności, etyki.

Jest wieczór. Chłód wpełza do mieszkania. Niebieska mgła rozlewa się po świecie. W takich chwilach człowiek czuje się pyłkiem wszechświata. Co znaczy nasze cierpienie, nasze marzenia wobec tego ogromu i czasu, którego nie możemy objąć i zrozumieć? Palę papierosa, popijam whisky i wertuję książkę Kapleau. Zabawimy się we wróżenie. Otwieram... Budda powiedział: „Jeżeli chcesz znać przyszłość (przyczynę), patrz na swoją terażniejszość (skutek)”. Odpowiedź na znany refren: „Co ja takiego zrobiłem, aby na to zasłużyć?” brzmi zawsze: „Wiele”. „Jednak cierpienie może również Wpływać z karmy zbiorowej, w której każdy członek zbiera to, co zasiała grupa, jako całość. A kiedy przyczyny warunkujące czyjąś karmę, bez względu na to, czy jest to karma mokoła i haniebnych niepowodzeń czy też szczęścia i zaszczytów, wyczerpią się, ta karma znika!”

A więc nadal poruszamy się w „czerwonym kręgu” i wokół, pytania, jak się z niego wychodzi i kiedy. Każdy z nas, Mój Srebrny Książę, odkupuje swoją przeszłość i każdy znajduje drzwi, by uciec ze swojego więzienia.

(List pisany wiecznym piórem. Charakter pisma nerwowy i niewyraźny. Niektóre słowa nieczytelne.)

Moje Słodkie Maleństwo!

Wczoraj byłam u Alice, mojej byłej współpracownicy od butiku z ciuchami, którą porzucił Polak - narzeczony. Znam na pamięć, co powiedział, kiedy podniósł głos i jak się zmarszczył. Emigrant, siedział w więzieniu, działał w podziemiu, przyjechał w osiemdziesiątym piątym. Pracował w firmie budowlanej, dorabiał sobie renowacją mebli. Uczył się języka, skończył multum dokształcających kursów. W Polsce był inżynierem, chyba od elektroniki. Stwierdził, że musi wracać do Polski, nie może opuścić, zdradzić Ojczyzny, bo

trzeba włączyć się w to, co się dzieje i co decyduje o kształcie Polski na tysiąclecia. Alice płacze, jest w depresji, Józek popija piwko, uparł się i już. Pytam, czy wie, co będzie robił w Polsce, że jest bezrobocie, padają firmy, firemki. On, że umie robić wszystko i da sobie radę. Szczęść Boże! Z tego wszystkiego, aby się rozładować, gdy zadzwonił kochanek i zaprosił do restauracji, to się zgodziłam. Namawianie było w stylu: „Przyjedź, bo mam Jankesów i muszę zrobić, z nimi biznes”. Poszłam, ale wzięłam Alice i Józka, Kochanek był zdziwiony, ale najbardziej tym, że podziękowali serdecznie za zaproszenie. Ha! Był ugotowany. A później jeden z grubasów spytał, w jakim działam biznesie. Byli to, jak łatwo się domyślić milionerzy, których znam na pęczki, lecz nic z tego nie mam. Oburzyłam się, jakby uszczypnął mnie w pośladek, że jak może podejrzewać mnie choćby o sekundę pracy, że sobie wypraszam i absolutnie mnie to nie obchodzi, a mój mąż jest znanym uczonym. A grubas po chamsku, korzystając z tego, że kochanek poszedł do toalety, zapytał, czy nie przyjechałabym do Kalifornii. Odpowiedziałam, że o tym porozmawiamy, gdy schudnie czterdzieści kilogramów. Ted umierał ze strachu, że grubas się obrazi. Nie obraził, lecz biznesu i tak nie zrobił, Nunu ma rację, że oni (moi przyjaciele i znajomi) pójdą przeze mnie z torbami, ponieważ ja, zamiast zajmować się milionerami, kocham Polaka - gołodupca, który w dodatku nie chce Wyemigrować. PRZYJEŹDŹAM! Przeżyłam godzinę trwogi, bo mąż wyraził nagłą ochotę zwiedzenia Polski. Jesteś moim słońcem za niemniej ogromną zasłoną, z czarnych chmur, które nie wiem jak rozpedzić. Jestem wierna i kochająca. Całuję. Kocham. Niedługo zrobię kilka awantur...

Włożył listy do plastikowej torby, schował pod szafę i usiadł w fotelu, patrząc bezmyślnie na swoje zagracone mieszkanie. Nie czuł złości, żalu, tylko zdziwienie. Kto jest

kim? Czy wszyscy ludzie obok niego odgrywają role, a on tego nie widzi? Dlaczego pisała listy, w których zapewniała o miłości? Jaką rolę odgrywała? Zakochanej kochanki, światowca, intrygującej kobiety otoczonej przez zakochanych mężczyzn? A może oni także myślą, że on udaje kogoś innego, odgrywa jakąś rolę, tylko udaje, że jest głupi? Matka, która знаła go najlepiej, wcale nie uważała go za kogoś, kto ma więcej zalet niż wad. Ale był jej synem i jedynakiem, dlatego uważała, że jej obowiązkiem jest opiekować się nim, jakby był zawsze małym chłopcem, ochraniać z męczącą troskliwością. Wiedziała dobrze, jaki jest. Mimo jego udawania grzecznego, milczącego i zamkniętego w sobie dziecka. Wiedziała, że pił specjalnie zimne mleko, jadł śnieg w chwilę po tym, jak prosiła, by tego nie robił, bo chciał się zaziębić, nie iść do szkoły i rysować albo czytać książki, a poza tym, żeby się bała, że on się znów rozchoruje. Roześmiał się. Środki antydepresyjne działały. Wszystko było nieważne. Obok. Będzie, co ma być. Tak, moja miła, wydawało ci się, że mnie poznałaś, wysondowałaś, odkryłaś słabości, miałaś mnie w ręku. Pomyliłaś się, droga Iwonko. Czy wiedziałaś, co myślałem w dzieciństwie? Ja, w piżamie, z wielką gulą przy szczęce. „Niech pani nie płacze, rozumiem pani uczucie, ale to jedynie gruźlica kości. Synek weźmie serię zastrzyków i wyzdrowieje. Nienawidzę tych zastrzyków, gdy za oknem kołyszają się drzewa i tysiące chłopaków gra w piłkę, a na łąkach pachnie rozgrzaną trawą i mleczem, powietrze jest pełne śmiechu, nawoływań ptaków. Albo jako żul, w rozkloszowanych spodniach, butach ze szpicem, brakuje tylko na ciele tatuaży, pętający się po dzielnicy z takimi samymi jak ja: spragnionymi pięknymi miejscami, miłości lak pięknej jak na amerykańskich filmach, pijący wina w cuchnących nędzą, chorobami i nieszczęściami mieszkaniach, rechoczący z głupich kawałów, wiedzący o kolejkach, robionych przez

starszych kolegów na tych dziewczynach, które przed chwilą całowali ze świadomością poddania się losowi, ze zgodą na brud i okrucieństwo. Ciekawe, co robiłaś, gdzie byłaś, kiedy słyszałem, że nic ze mnie nie będzie? Ominąłem, droga Iwonko, więzienie, te chwile obolałe, odmierzane dzwonekami, przesłuchaniami. Te setki lodowatych nocy, w czasie których okrywałem się wspomnieniami. Gdybym został na mojej ulicy, byłbym, tak jak inni, kierowcą, ślusarzem, drukarzem, właścicielem małej firmy i używałbym kilkuset słów prostych, ozdobionych wymyślnymi przekleństwami. Jeszcze miałbym grę w Lotka, telewizję, mecze piłkarskie, wyjazdy na ryby, a w sobotę picie do oporu wódki. W niedzielę zaś kościół i leczenie piwem kaca z kumplami z dzieciństwa. To wszystko, połączone z awanturami z żoną, ciągłą walką o pieniądze, zmusiłoby mnie do zapomnienia o marzeniach”. Podszedł do okna.

Przy kiosku z warzywami, teraz zamkniętym, stał skulony młody mężczyzna w brązowej, skórzanej kurtce, spoglądając w okna bloku. „Cichociemny, tylko od kogo? A może z powodu Irokeza?” - pomyślał Paweł z rozbawieniem, bo od chwili, kiedy zaczęły działać leki, nic go nic denerwowało.

Mężczyzna spojrzął na zegarek. Podniósł kołnierz kurtki i zaczął iść wolno w stronę przystanku autobusowego.

Paweł przytknął do oczu lornetkę wojskową. Ustawił ostrość. Widział młodego mężczyznę tak blisko, jakby stał obok; dotknął kołnierza kurtki i coś powiedział, po czym przyspieszył kroku i podszedł do zielonego auta, stojącego na parkingu. Wsiadł do niego. Za chwilę wysiadł z samochodu wysoki, chudy mężczyzna w długim, czarnym płaszczu. Przeszedł kilkanaście metrów i stanął dokładnie w tym samym miejscu, w którym tkwił nieznajomy w skórzanej kurtce.

„Cichociemny” - powiedział Paweł głośno, odszedł od okna i postawił czajnik na gazie. Jego kawalerskie mieszkanie składało się z dwóch pokoi, łazienki i kuchenki. Miało niecałe czterdzieści metrów. Na ścianach wisiały jego obrazy, ale i przedwojenne; sygnowane przez nieznaną malarzy. Na podłodze leżały postrzępione dywany, na szafie i półkach stało pełno książek, bibelotów i lichtarzy, a we wszystkich kątach tkwiły w wazonach sztuczne kwiaty. Paweł lubił swoje mieszkanie, mimo ciasnoty, brudnych ścian klatki schodowej i odlatującej zielonej lamperii.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Kilka razy, charakterystycznie. Tak dzwonili ludzie, którzy znali ten sygnał od lat: Marek, Pączek, Irokez i jeszcze kilku, którzy byli w latach osiemdziesiątych kolporterami podziemnych wydawnictw.

Spojrzał przez wizjer.

Na klatce schodowej stał jego sąsiad, Jurek, z którym Paweł chodził do jednej klasy przez całą podstawówkę. Był synem elektryka, pracującego przy słupach wysokiego napięcia. Gdy zabił go prąd, Jurek zaczął wagarować, palić papierosy, pić alpagi i łączyć ze starszymi chłopakami, którzy niedawno wyszli z poprawczaka. Na początku siódmej klasy uciekł do ZSRR i został złapany dopiero we Lwowie. Nigdy nie zdradził, w jaki sposób przeszedł granicę i dlaczego właśnie tam postanowił uciec. Później skończył zawodówkę samochodową, pracował jako kierowca w państwowych firmach, gdzie kradł i kombinował, jak tylko mógł, z czego był dumny. W osiemdziesiątym ósmym roku ożenił się z córką pułkownika milicji i stał się właścicielem sklepu spożywczego, hurtowni sprzętu elektrycznego i trzech nowych ciężarówek. Ale naprawdę żył z przemytu papierosów, podróbek markowych butów sportowych, kosmetyków. Znał wielu gangsterów. Wtedy byli kierowcami albo mechanikami.

Handlował z nimi w latach osiemdziesiątych kradzioną benzyną i dolarami. Paweł otworzył drzwi, ale nie zdjął łańcucha.

- Co jest?

- Masz pół godziny? - Jurek śmiał się radośnie, zacierając ręce. - Jesteś sam?

- Tak.

Paweł wpuścił gościa do mieszkania. Wyrzął na korytarz. Był pusty. Starannie zamknął drzwi na wszystkie zamki.

Jurek wyjął zza pazuchy czarnej, skórzanej kurtki butelkę bolsa i postawił na stole.

- Nie piję - powiedział Paweł i pomyślał: „On nie przyszedł tak sobie, ktoś go wysłał. Ale jak się zachowywać? Udawać głupka, grać na zwłokę?”.

- Nic nie szkodzi, ja wypiję - Jurek powiesił kurtkę na wieszaku przy drzwiach, cały czas rozglądając się po mieszkaniu.

Paweł wyjął z szafki kieliszki, dwie szklanki, z lodówki wodę mineralną i wszystko postawił na stole. Czuł, że ogarnia go paniczny lęk. Wiedział, że daje się unosić chorobie, lecz nie mógł się od tego uwolnić.

- Dobra, nie podróbka. Przywiozłem z Niemiec. A może jednak łykniesz na rozgrzewkę.

- Nie piję.

- Chory jesteś, a może się zaszyłeś? - zaśmiał się Jurek i usiadł przy stole, wpatrując w butelkę z wódką.

- Biorę antybiotyki - skłamał Paweł, nie patrząc na gościa.

- Kto cię tak urządził? - Jurek wskazał palcem na oko Pawła, zaciągnął się papierosem i zaczął bawić złotym, grubym sygnetem.

- Żli ludzie - odparł Paweł i w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie nalać sobie wódki. Znów zobaczył oczy Grubasa, siekierę, swoją pobitą twarz w lustrze i przeszedł przez niego dreszcz.

- Ale co, napadli tutaj? - Jurek pochylił się, spoglądając prosto w oczy Pawła. W jego głosie było zdziwienie.

- To stało się na działce... Było, minęło.

Jurek nalał sobie wódki do kieliszka. Powąchał i wypił z zamkniętymi oczami. Wstrząsnął się i popił wodą mineralną.

- Gdybyś miał jakieś kłopoty, to truknij... Przecież wiesz, że ja znam wielu ludzi. Jedno słowo, a ci, którzy cię tak urządzili, będą błagać na kolanach o wybaczenie.

Paweł kiwnął głową. Męczyło go to, że nie mógł panować nad powiekami; im bardziej starał się ukryć ich nerwowe drganie, tym bardziej stawało się widoczne.

- Nie chcesz tnikać, twoja sprawa. Widziałeś Irokeza w telewizji? - spytał Jurek, z przechyloną głową i zamkniętymi oczami. Powiedział to nagle, nic zmieniając tonu.

- Nic... A z jakiego powodu go pokazali? - zapytał Paweł. Własny głos wydał mu się obcy.

Jurek popatrzył na niego poważnym, nieomal smutnym wzrokiem.

- Uuu, to ja widzę, że nie jesteś w temacie... Gruba sprawa. Irokez wlaź na dworzec kolejowy i niby miał przy sobie bombę. Pół miasta ściągnęli ze strachu. Nic się nie stało, tylko zwinęli Irokeza i siedzi... Nic byli u ciebie?

- A po co mieli być? Przecież ja nic nie wiem! - odpowiedział Paweł z irytacją i zaraz uświadomił sobie, że popełnił szkolny błąd. Nigdy nic należy się tłumaczyć, a tym bardziej przyznawać do czegokolwiek, jak długo nie zostało się oskarżonym.

Jurek pochylił się. Zakrył twarz dłońmi.

- U mnie byli... Tajniacy. Pytali o Irokeza, co mogę o nim powiedzieć. Odpowiedziałem, że kiedyś go znałem. Teraz to nie, że zawsze był z niego dziwny facio. Już za dzieciaka i małolata... Pytali też o ciebie. Kto do ciebie przychodzi, dlaczego nie jesteś żonaty, czy nie utrzymujesz kontaktów z przestępcami...

- I co powiedziałaś? - zapytał Paweł, siląc się na rozbawienie. Za ścianą sąsiad pogłośnił radio, na chwilę wdarła się w ciszę głośna, ludowa muzyka.

- Że jesteś spokojny, charakterny, nie sadzisz się jak niektórzy, co to mają układy. Że muchy byś nie skrzywdził. To nie były normalne psy. Trochę brali mnie na huki, ale ze mną to krótko... Nie byłem i nie będę kapuśniakiem.

Paweł był przekonany, że Jurek słysz)' każde uderzenie jego serca. Machinalnie nalał sobie wody mineralnej.

- Wiesz, dużo wypytywali o baby, które do ciebie przychodzą. Szczególnie o taką efektowną, przesadnie elegancką, od której wieje Zachodem, kto ją podwoził, jakim samochodem. Może zapamiętałem numery rejestracyjne.

„No, obława się zacieśnia - pomyślał Paweł - ale bez lęku. Macają, ale dlaczego jeszcze nie zrobili rewizji, nie wezwali na świadka, nie przesłuchali? Chcą mnie zdenerwować, żebym zrobił błąd, kogoś odwiedził, coś powiedział? Dlaczego przyszedł Jurek? Chcą sprawdzić, jak zareaguję? Nie, wtedy nie przysłałiby Jurka, tylko kogoś, z kim jestem bliżej... Ale może nie mają takiego?”

Włączył radiomagnetofon. Rozległy się pierwsze takty Koncertu Fortepianowego Mozarta. Bezwiednie włączył ulubiony utwór Irokeza.

- I co będzie dalej, Pawciu? - spytał Jurek, nalewając sobie następny kieliszek. Miał czerwone plamy na twarzy, co chwila oblizywał wargi. Niebieskie oczy rozwodniły się.

- Z czym? - Paweł usiadł przy stole, patrząc na butelkę z wódką. Coś go ciągnęło, aby się napić. Z trudem panował nad tym.

Jurek złapał go za rękę i powiedział patetycznym głosem:

- Ze wszystkimi... Z nami, ludźmi, światem, Polską. Co będzie po tym 11 września?

- Nie jestem Nostradamusem - odpowiedział Paweł, spoglądając prosto w oczy Jurka, bo chciał go sprowokować, żeby wreszcie ujawnił, co wie i dlaczego zjawiał się u niego.

- No nie, ale znasz wpływowych ludzi... Marka wiele razy widziałem w telewizorze. Przecież to poseł, figura. Wie, co w trawie piszczy...

- Były poseł.

- Ale co poznał, to poznał. Nikt mu tego nic zabierze. Jak się ma układy, to ma się wszystko. Człowiek wszystko może... Napije się, zrobi jaki numer, na przykład kogoś potrąci samochodem, ale nic mu nie będzie, bo ma układy.

- Co ty kombinujesz? Co to za gadki?

- Jejku, jaki ty zrobiłeś się nerwowy! - zaśmiał się Jurek; kiwał się w krześle, drapiąc po policzku. - Nawijam ogólnie... Gdyby Marek chciał ze mną gadać, to wszyscy bylibyśmy zarobieni do końca naszych dni. I nasi krewni, dzieci, kochanki. Cynki, wiadomości, to jest prawdziwe bogactwo. Kiedyś spotkałem go na Mazurach, poszliśmy się napić, powspominaliśmy stare czasy i ja nawinałem, że możemy coś wyrzeźbić. Mam swoje układy, znam ludzi, którzy rzygają forszą. Ale on się wkurwił; rzucił kasę na stół i poszedł. Widocznie źle gadałem, co?

Paweł nic odpowiedział od razu. Wiedział, że każde jego słowo musi być przemyślane.

- Marek nie wchodzi w lewe interesy.

- To jakim cudem Pączek jest tak zarobiony? Skąd te samochody, dom z basenem, pełno firm? W życiu nie uwierzę, że legalnie, bez cynków, pomocy ważniaków...

- Możemy porozmawiać o czymś innym? - zapytał Paweł, starając się panować nad gniewem, który buzował w nim i podpowiadał najgorsze wyjścia.

- Gadułka o forsie jest najprzyjemniejsza - Jurek przymknął lewe oko, drugie, choć rozmyte alkoholem, było czujne. - Pewien mój znajomy powtarza, że możesz mieć w życiu wszystko, czego chcesz, jeśli pomożesz innym osiągnąć to, czego chcą.

Paweł wzruszył ramionami.

- Wolę o malarstwie, dupach albo piłce nożnej. Jurek podparł głowę na rękach, rozkaszał.

- Ja mam lewicowe poglądy. Już się nie zmienię, chociaż jestem człowiekiem interesu. Jak można nawijać, że ten kto nie ma kasy, to nieudacznik, nie umie przystosować się do kapitalizmu?! Mam lewicowe poglądy, choć nigdy nie należałem do tych korhućhowatych organizacji. Komuch to zawsze był dla mnie wróg... Ja dam sobie radę. Od klajniaka mam smykałę do handlu. A jak handel siądzie, to coś przemycę albo podpierdolę koniuszkowi. Bulwersujesz się, że gadasz z kimś, kto przyznaje się, że może być przestępcą? Co będę ściemniał. Najgorsi to ci na górze. Tam są ci, którzy pociągają za sznurki, mają największą kasę i najwięcej mogą. Ci są najgorszymi skurwysynami. Oni mają zwykłego człowieka za śmiecia... Nie dam się, Pawciu. Człowiek nic jest ze sztancy. Nie wyłazi z pieca martenowskiego. Ja, na przykład, nie umiem malować obrazów i za kuta nie jestem specem od komputerów... Co ma zrobić pielęgniarz albo nauczycielka z miejsciny pod granicą wschodnią? Ludzie są, jacy są. Chcą żyć, jeść i nic martwić się, czy za kilka dni nie A wyrzucą ich z mieszkania i nijak nie będzie znaleźć roboty...

- A jak ty pomagasz ludziom? Przemycając, nie płacąc podatków? Jurek roześmiał się hałaśliwie. Wypił trochę wódki i otarł dłonią usta.

- A dlaczego mam być świętobliwy? Żeby politycy i urzędnicy mieli więcej do podpierdolenia? W życiu. To nie jest moje państwo. Ja wiem, że na całym świecie kradną, ale w jednym państwie jest to promil, w drugim pięć procent, a w naszej ukochanej Polsce kilkadziesiąt procent. Gdzie nic pójdziesz, to wyciągają ręce. Dawaj i dawaj. Tylko ryba nic bierze. Urząd Skarbowy ściga za byle gówna. Urzędnik chce kasy za każdy papierek. Policjant za wszystko. I tak się kręci. Ale któregoś dnia ludzie się wkurwią i poleje się krew. Na bank. Małolatom, i nie tylko, wpajano, że mają się uczyć, żeby nam było tak wspaniale jak na Zachodzie. Ludzie harowali, płacili za naukę ciężkie pieniądze, a teraz nie mają roboty albo pracują w supermarketach za osiemset złotych...

- Możemy porozmawiać o czymś przyjemniejszym? - zaproponował Paweł pojednawczo; ta rozmowa coraz bardziej go niepokoiła. Podświadomie bał się, że zaraz usłyszy coś, co nic będzie mu potrzebne do życia, a przez co znowu wpakuje się w kłopoty.

- A o czym tu mówić? - Jurek zgarbił się, wtulając głowę w ramiona. Przez chwilę siedział z zamkniętymi oczami, jakby drzemał. W końcu podniósł powieki, wyciągnął rękę do Pawła i głosem zmienionym, łagodnym i zmęczonym powiedział: - Wszystko idzie na gorsze. A jak przyjdzie Europa, to rozjedzie jak walec. A jeszcze to zadłużenie zagraniczne...

- Dlatego głosowałeś na komunę?

- Ześwirowałeś czy co? Na nikogo nie głosowałem. Ja w tym cyrku nie biorę udziału. Te wszystkie partie obiecują przed wyborami gruszki na wierzbie, a później mają wyborców w dupie. To ja pomyślałem, że przynajmniej to ja

będę miał ich w dupie. Wzięli kredyty od Zachodu, część ukradli, część oddali Moskwie i towarzyszą na całym świecie, a co zostało, to wpakowali w tę gospodarkę socjalistyczną. Wszystkie te monstrualne huty, stocznie, kopalnie... Wiem, że nie można brać ze mnie przykładu, nie nadaję się na świętego, ale nie dam się ogłupić.

Przez chwilę milczeli, nic patrząc na siebie. Jurek kiwał się w krześle z zamkniętymi oczami, ocierając palcami usta. Dlaczego on przyszedł, czego chce? Te pytania odbijały się Pawłowi w głowic jak kule bilardowe.

- Przychodzi czas, kiedy człowiek zaczyna myśleć o bliskich, co będzie z dziećmi - odezwał się Jurek ochrypłym głosem i rozkaszał. - Mój chłopak, widziałeś jak wygląda, jak orangutan. Siłownia, siłownia i nic poza tym. Nie jest naukowcem i nie będzie. Jak się nic nie zmieni, to wyląduje na długie lata w kryminale, bo co będzie robił technik elektryk? Z czego żył? Już teraz nie ma dla niego roboty, ale on się nie przejmuje. Jest szefem małolatów. Zbiera haracze od sklepikarzy. Na czysto ma pięć, sześć tysięcy. I co ja mam powiedzieć? Żeby żył uczciwie, na moim garnuszku? Już teraz się ze mnie śmieje. Raz nawet wystartował. Uderzył mnie w twarz, ale się oszukał. Złapałem za bejsbola i tak lałem, że gdyby nie moja stara, to bym go chyba zatłukł na śmierć. Już nieważne są nazwy, kolory, tylko wspólne interesy, co da się zachachmęcić dla siebie. Chyba czytałeś, że za niektóre głosowania firmy zachodnie dają i milion dolarów. Wiesz, kiedyś miałem firmę elektryczną i ojciec współnika polecał nas różnym facetom. Wszyscy robili remonty w tych willach, które kupili za grosze od państwa. No i z jednym zaprzyjaźniliśmy się. Były wiceminister za czystej komuny. Przed osiemdziesiątym dziewiątym rokiem. Popijaliśmy. Wtedy dużo opowiedział, jak to jest, ile bierze się procent za załatwienie kredytu w banku, koncesji na paliwo, glejtu z

ochrony środowiska. On nawijał, że wiciu polityków to marzy, by dorwać się do kasy, ale inni nie pozwalają. Nie dopuszczają do dilów. Ci na górze pociągają za sznurki, ale stoją w cieniu. Nikt właściwie nie wie, kim oni są. Czy to stara ubecja, czy wojsko, stara milicja, prokuratura. Przecież nikt rozsądny nie uwierzy, że te stare bandziory potrafią wymyślić przekręty bankowe, podatkowe, zorganizować kanały przerzutowe broni, narkotyków. Dobrze nawijam?

Paweł skinął głową. Stał przy oknie. Padał deszcz. Wolno jeździły samochody. Światło z latarni odbijało się od czarnego asfaltu. „On mnie podpuszcza, chce się czegoś dowiedzieć” - pomyślał Paweł. „Ale czego? Może szukają na Marka haków? Może chcą zrobić szpiegiem, aferzystą albo boją się, że coś wie i ujawni, dlatego chcą go skompromitować? Ale dlaczego ta kombinacja ma przechodzić przeze mnie?”

- Wiesz, co się stało z Siwym? - zapytał Jurek i napił się wódki prosto z butelki.

Paweł nalał sobie wody mineralnej. Chodził po pokoju, popijając. Znów miał wrażenie, że wszystko dzieje się poza nim. Nic chciał rozmawiać z Jurkiem. Bał się, że popełni jakiś błąd.

- Wyjechał?

- Pił, pił i już tego nie wytrzymał. Powiesił się. Pamiętasz, miał dobry cug na bramkę i był świetnym tapicerem. A wiesz co się stało z Baniakiem?

- Nie.

- Kręcił dolarami, handlował. Później miał sklep spożywczy. Rzeźbił też na boku inne rzeczy i ktoś go walnął... Stłukł tak, że umarł. Znalezione go pod drzwiami kościoła. Jakby ktoś zrobił z tego symbolikę. W nocy go zatłukli. Chłopaki mrą jak muchy. Gorzała, papierosy, nerwy, więzienia. Tylko ja żyję. Też tankowałem, ale już czwarty rok

właściwie nie piję. Raz w tygodniu najwyżej pół litra. Trwa to od pogrzebu Kangura, który wypadł po pijanemu z balkonu. Nie ciągnie mnie. Ale też wiem, że od wódki mam słaby charakter i jak zacznę tankować, to będę pił dwadzieścia lat. Życie człowieka to chwila. Idzie ulicą i może wpaść pod samochód albo przewróci się, bo źle się prowadził, za dużo palił papierosów i dostał zawału. W każdej chwili można się przekreślić. Albo na człowieka napadną te szalone małolaty. Nawachają się świństwa, zobaczą klienta z siwymi włosami i mogą zabić.

Paweł spojrział mu prosto w oczy. Nie były pijane. Raczej czujne, wwiercające się w głąb, jakby chciały przeświecić.

- Przepraszam, Jurek, ale jestem zmęczony. Chcę się położyć spać.

- Chwila moment i spadam... Ile to już lat nie ma twojej mamy?

- Siedem.

- Dobra była z niej kobieta. Każdemu pomogła. Często leczyła za darmo. Nawet w nocy przychodziła. Nie pędziła, żeby pójść do przychodni. No i łapówek nie brała. Złota kobieta.

Paweł uśmiechnął się bezwiednie. Matka miała prostą metodę: tym, których lubiła, pomagała, ile mogła, od pozostałych trzymała się z daleka. Ludzie mieli do niej zaufanie, szanowali, szczególnie ci prości, bo uważali, że wszystko robi w odruchu serca. Ale, tak naprawdę, to o czym jej opowiadali, nappełniało ją obrzydzeniem. Czy naprawdę jest tak wielu mężczyzn, którzy przepijają pieniądze i nie mają wyrzutów sumienia, że ich dzieci będą głodne? Naprawdę żona wsadza męża do więzienia, bo chce go wyrzucić z mieszkania i zamieszkać z kochankiem.

Paweł przysunął fotel do stołu, jakby dawał znak, że uważa rozmowę za skończoną.

- Jestem wdzięczny, że powiedziałaś o tej wizycie tajniaków, ale teraz powiedz uczciwie, po co przyszedłeś?

Jurek uniósł brwi w geście zdziwienia i podrapał się po rzadkich włosach.

- Po nic, tak sobie... Przyjacielsko. Pomyślałem, że wpadnę do tego, z którym grałem w nogę i piłem alpagi, zobaczę, jak żyje, jaką teraz obraca babę.

Paweł drgnął. Czyżby chodziło o Iwonę? Co on chce przekazać? Jurek rozkaszał się. Wytarł dłonie w džinsy. Nagle podszedł chwiejnym krokiem do wieszaka i założył skórzaną kurtkę.

- Boże, ile nieszczęść jest przez te baby? A już najgorsze te, co mają klimakterium.

- Masz jakąś na myśli? - Paweł uśmiechał się, patrząc prosto w oczy Jurkowi, chociaż w środku czuł rozlewający się lód. Kto go wysłał? O co tu chodzi?

Jurek zatoczył się. Oparł rękami o drzwi. Z trudem trzymał się na nogach.

- Co ty się zrobiłeś taki podejrzliwy? W każdym słowie szukasz podwójnego sensu. Oj, ci artyści... Nie trafisz za nimi. No, git... Idę.

Paweł stanął bokiem do gościa, po czym, niezwykle u siebie, drwiącym i podniesionym głosem spytał:

- Coś chcesz mi powiedzieć, prawda? To powiedz... Nie pękaj! Jurek zastygł z ręką na klamce drzwi. Nagle podniósł głowę. Zagryzając wargi, patrzył rozmytym spojrzeniem w oczy Pawła. Machnął ręką.

- A niech tam... Wiesz, w osiemdziesiątym czwartym roku trochę siedziałem. Krótko. Niecałe dwa miesiące... Kupiłem niski telewizor. Okazało się, że kradziony... Na Białoleśce zobaczyłem Irokeza. Przysięgam na swoje życie! Mignął, kiedy szedłem na przesłuchanie... To był on. Na sto procent... Ale on później, już na wolności, szedł w zaparte, że

to nie on... I od tej pory zastanawiam się, dlaczego szedł w zaparte. Robił ze mnie głupa. Jaki miał w tym cel? No, cześć.

Trzasnęły drzwi. Zadudniły kroki na korytarzu. Nastąpiła wibrująca cisza. Paweł zaczął chodzić w tę i z powrotem, po jednej linii, z założonymi z tyłu rękami. „Czyżby Irokez był kapusiem? A może Jurek szczerze mnie na Irokeza, ktoś nie chce, żeby mu pomagać, robić zamieszanie wokół jego sprawy?”

Stanął przy oknie. Ostrożnie uchylił zasłony.

Nikogo nie było obok budki z warzywami. Odruchowo spojrzął w gwiazdy. „Odkąd pamiętam, zawsze byłem sam i pewnie tak zostanie” - pomyślał. Chłopiec, stojący w oknie, wpatrzony w gwiazdy i zastanawiający się, dlaczego żyje, marzący o świecie, w którym cnota i odwaga zostają nagrodzone, podłość i tchórzostwo ukarane; o świecie, w którym prawda zwycięża kłamstwo; o wspaniałym i sprawiedliwym świecie z czarodziejem mieszkającym w piwnicy.

Usiadł z fotografią matki W ręce; w srebrnej, szerokiej ramce. Matka uśmiechała się, patrząc prosto w obiektyw aparatu. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata. Zdjęcie i ramka zaiskrzyły się dziesiątkami refleksów. „Mamo” - szepnął, pochylając się nad fotografią. Już nigdy nie poda mu zupy, kiedy będzie głodny, nie zaproponuje pożyczki, nie kupi na imieniny ciepłego swetra. Jest daleko. Wszyscy są daleko. Zmienili dusze, by lepiej zdradzać. Prędzej zapomnieć. Mówić zawsze o czymś innym. Nieważnym. „Czy to moje myśli?” Pogłaskał opuszkami palców fotografię. Przypomniał sobie, jak wyglądała przed śmiercią: wychudzona, z otwartymi ustami. Z dnia na dzień stawała się bardziej słaba i bezsilna. Wieczorem i rano nosił ją do łazienki, sadzał w wannie i mył gąbką, jakby była dziewczynką. Często płakała albo skomlała jak skrzywdzone zwierzątko. Wtedy Paweł czuł, że za chwilę

tego nic wytrzyma i zacznie wyc razem z nią. Kiedyś wzięła go za rękę, zupełnie przytomna, i powiedziała głosem, sprzed choroby, że często jest w domu Gabi, widzi i słyszy, co robi i mówi... Zadzwoił telefon. Paweł podniósł słuchawkę.

- Mogę rozmawiać z panem Tyszką? - rozległ się przytłumiony głos męski, z pogłosem.

- Słucham.

- Mówi Galileusz... Niech się pan zastanowi z kim pan rozmawia. To łatwe.

Jakiś wariat” - pomyślał Paweł i w tej samej chwili prawie zmarł. W jednym momencie zaschło mu w ustach.

- Czego chcesz? - spytał cicho i zakasłał. - Wygrali twoi towarzysze, to znowu mnie dręczysz?

Po drugiej stronie rozległ się śmiech.

- Jacy towarzysze? Panie Pawle, co pan mówi? Telefonuję z sentymentu, po starej znajomości, bo dowiedziałem się, że ma pan kłopoty. Początek kłopotów.

- Co to znaczy?

- To, co pan usłyszał.

- Czego chcesz? - spytał Paweł cicho, bez gniewu, i pomyślał, że wszystko, co się stanie w najbliższych dniach, zaważy na jego losach do końca życia.

- Chcę się z panem spotkać.

- Kiedy?

- Niedługo. Do zobaczenia i życzę przyjemnych snów. No i niech pan dobrze sprawdzi zamki u drzwi.

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

Paweł siedział przez dłuższą chwilę bez ruchu. Nagle poderwał się i kopnął ze złością w szafę. Zrozumiał, kto powinien wiedzieć, co się za tym wszystkim kryje i kto wpakował go w kłopoty. Kto znał jego przeszłość i manipulował nim jak kukielką...

Usiadł na podłodze. Położył głowę na kolanach. Dopadły go dawne zmy. Dzieciństwo, zagmatwany życiorys ojca, szkoła, nieudana próba dostania się na Akademię Sztuk Pięknych, wyjazd Gabi, więzienie...

VIII

Jechali w milczeniu. Noc była zimna. Śnieg oblepiał szyby samochodu. Skrzypiały wycieraczki. Nieliczne auta sunęły wolno. Na poboczu szosy machały rękami zmarznięte prostytutki. Pączek patrzył przed siebie. Miał podkrążone oczy, wyschnięte wargi. Męczył go kac. Bez przerwy zmieniał płyty, pił colę, głośno bekał, palił cienkie papierosy, majstrował przy radiu.

- Gdzie jedziemy? - spytał Paweł, chociaż już kilka razy usłyszał, że dowie się w swoim czasie. - Do wariatkowa, do więzienia?

- Nie pytaj, nie rozglądaj się, a później zapomnij o dzisiejszym dniu.

Paweł wzruszył ramionami i pomyślał o Iwonie ubranej w czarną sukienkę z dużym dekoltem, śmiejącej się gardłowo i mrużącej oczy, kiedy tylko była zła. Przypomniał sobie jej nerwowe dłonie, ruch nadgarstka i strach, gdy mówiła, że musi zdobyć pieniądze. Gdzie ona jest? Żyje, ukrywa się?

- Zachowujesz się jak tajemniczy Don Carlos Carramba z kreskówek dla dzieci.

- To jest życie, z którym ostatnio nie miałeś zbyt dużo do czynienia. Nie licząc oczywiście spania, jedzenia, wydalania, potu i spermy.

- Nie dawaj mi rad. Każdy ma własny pomysł na swoją śmierć. Pączek spojrział na mgnienie na niego. Zagiął wargi, jakby miał w ustach niewidoczną pestkę słonecznika, którą uparł się rozgryźć.

- Tak samo jak i to, że miłość to czasami jedyna nadzieja. To cię usprawiedliwia, że byłeś z tą wariatką Iwoną. Nie widziałeś, że to czub?

- Gdybyś był kumplem, to powiedziałbyś od razu, co o niej wiesz, i byłoby po zawodach...

- Dobra, dobra. Tak nawijasz teraz. A gdybyś nie uwierzył? Nie miałbym kumpla, a jego kobietę za wroga. Już kiedyś przeciwiczyłem taki układ. Powiedziałem facetowi, żeby sobie odpuścił, bo jego kobieta wysiadywała całymi godzinami w klubie studenckim i z nudów oddawała się każdemu, kto tego zapragnął. Ale on w to nic chciał wierzyć. Uważał, że robię to z zemsty i zazdrości, bo wysnuł teorię jak każdy idiota, że skoro on się zakochał we wspomnianej samiczce, to tym samym uczuciem pałają do niej legiony mężczyzn. Nie wierzył dziesięć lat, dopóki nie ogołociła go z kasy i nie uciekła do Szwajcarii ze swoją przyjaciółką lesbijką.

- Ale teraz możesz powiedzieć, co o niej wiesz?

- A po co? - rozłościł się Pączek i napił coli. - W czym ci to pomoże? Chcesz usłyszeć, że jest agentką, należy do mafii międzynarodowej? Pawciu, nic masz innych zmartwień, tylko zastanawianie się nad kurwiszonem? Kolego, pokombinuj, jak tu zarobić kasę, nie dać się komunie, która podnosi łeb jak hydra, a nie zajmuj się bzdurami. Jesteś dużym chłopcem.

Ciepło i skrzypienie wycieraczek usypiało. Paweł próbował analizować wszystko to, co zdarzyło się w ciągu dwóch miesięcy, ale wiedział, że przeoczył istotne fragmenty układanki.

- Myślisz o śmierci? - spytał raptem Pączek, kiedy zatrzymali się w jakiejś spelunie, by napić się kawy; był spocony i podenerwowany, jak zwykle od kilku lat. Miętosił papierosa w palcach, rozglądał się czujnie i obserwował swój samochód terenowy.

- Oczywiście, że myślę - odpowiedział Paweł po chwili, bo nie od razu zrozumiał pytanie; był niewyspany, bo wyjechali rano, bolała go głowa i z trudem kojarzył. - Spuść oczy ku ziemi, nędzny robaku, i patrz na zwierzęta, których jesteś towarzyszem.

Pączek potarł palcami nasadę nosa i zapatrzył się w brudną podłogę. Przy sąsiednim stoliku dwóch mężczyzn, ubranych w brudne waciaki, coś bełkotało do siebie, klepiąc się po twarzach. Między nimi stała butelka wina.

- Wiesz, niedawno klient trzymał mi pistolet przy skroni i byłem na bank przekonany, że naciśnie na spust - Pączek mówił cicho, ledwo dosłyszalnie. - Po tej przygodzie zrobiłem testament. Jak walnę w kalendarz, to będziesz zabezpieczony.

Paweł znieruchomiał, zaciskając dłonie na oparciu fotela. Te słowa uderzyły w niego jak morska fala. Miał ochotę natychmiast wyjść - uciec gdzieś, ale nie miał siły się poruszyć.

- Rysiek, kim ty właściwie jesteś? - wykrztusił, pokaślując. - Na pozór jesteś nieskomplikowanym misiem, lubiącym gorzałę, kotlety schabowe i zabawę, ale wcale bym nie był zdziwiony, gdyby okazało się, że masz żonę, gromadkę dzieci. Albo że jesteś wspaniałym szpiegiem lub członkiem tajemniczego bractwa.

Pączek skrzywił się, jakby przełknął plaster cytryny.

- Nic gadaj jak Irokez... Wiem, że nawija o mnie jako o agencie. Tylko nie może się zdecydować czyim. Właściwie powinienem mu wpierniczyć po kościach za te gadulki, ale mam do niego słabość. I on to wykorzystuje.

- Skąd wiesz, że Irokez opowiada o tobie...

- Wiem i tyle - uciał Pączek; siedział przez dłuższą chwilę w milczeniu, trzymając się oburącz za brzuch, jakby coś mogło z niego wypłynąć, gdyby oderwał dłonie. Wreszcie uniósł brwi i spojrzał na Pawła równie obojętnie, jak patrzył

na swojego papierosa. - Już kiedyś zrobił mi taki numer... Rozmawiałem z szycią, on podszedł i powiedział: „Panie ministrze, uprzedzam pana, że obcuje pan z wyjątkowo niebezpiecznym agentem”. Dobrze, że ten klient był już uwalony, wypił prawie flaszkę whisky i potraktował to jako żart. Irokez ma świra na punkcie szpiegów i tajnych siatek. Dla niego wszyscy są agentami...

- A on nie jest?

Na twarzy Pączka pokazało się rozbawienie. Wzruszył ramionami i zapatrzył się na mężczyzn, siedzących blisko baru i kłócących się o to, kto najwięcej ukradł; komuniści czy politycy z rządu Buzka. Wreszcie powiedział ze znużeniem:

- Spytaj go sam... Ale jeśli jest, to i tak nie powie prawdy. W tym fachu nie mówi się prawdy.

- Wiesz, Pączek, mam podejrzenia, a właściwie pewność, że doskonale wiesz, o czym mówił Irokez, kiedy do mnie zadzwonił. Jedyne logiczne wytłumaczenie to takie, że był podsłuch telefoniczny. Ale jeśli był, to rodzi się pytanie, jak to się stało, że zwykły obywatel, przyjmijmy, iż takim jesteś, zna wyniki pracy operacyjnej służb specjalnych. Jasno się wyraziłem?

- A co to cię, kurwa, obchodzi? - rozłościł się Pączek, rozpiął skórzaną kurtkę i pochylił do przodu. - Ciągnie wpierniczyć się w gówno?

- W ciągu niecałych dwóch miesięcy grożono mi śmiercią, chciano siekierą obciąć rękę, zostałem pobity, a mój kumpel postanowił zostać terrorystą i siedzi w pierdłu. Wystarczy?

Pączek zaczął wybijać palcami jakiś rytm na blacie stołu, po czym westchnął teatralnie.

- Masz talent do wdeptywania w gówno. Nic da się tego ukryć. Gdybyś jeszcze złapał syfa i mendy, to byłby komplet.

- Dobrze, rezygnuję z dowiedzenia się, skąd wiesz o czym rozmawiałem z Irokezem i kim ty jesteś naprawdę, ale chętnie dowiem się czegoś o Iwonie. Taki drobiazg... Z czego naprawdę żyje, dlaczego ma kłopoty. To niewiele, prawda?

Pączek ziewnął. Zakrył usta dłonią. Jego nalana twarz przybrała niewinny wyraz ucznia, który poproszony do tablicy, nie umie wyrecytować zadanego wiersza.

- Drogi Pawle, to nie jest ciekawe. Dziwię się, że tego nie łapiesz... Pamiętasz, z jakim napięciem oglądaliśmy w polskiej telewizji *Kobry*? I co się okazywało na końcu? Banał. Facet mordował żonę, bo go zdradzała albo chciał przejąć majątek, by związać się z młodą kochanką. Nie było w zakończeniu tajemnicy.

- W porządku - Paweł uniósł dłonie w geście poddania się.

- Ojej, ojej, jaki ty jesteś namolny... Przyjmijmy, powtarzam, przyjmijmy, że gangsterzy poszukują wszędzie BMK i safrolu. Środków chemicznych potrzebnych do produkcji syn te tycznych narkotyków. Problem w tym, że nie może ich kupić zwykły człowiek, bo każdy nabywca jest sprawdzany. Musi przedstawić wiarygodne potwierdzenie od firmy farmaceutycznej, z którego będzie wynikać w jakim celu zostanie wykorzystany środek. Certyfikat końcowego użytkownika. Podobną zasadę stosuje się w handlu bronią... No i pewni ludzie dają kasę na BMK, ale to się okazuje gównem. Zupełnie nieprzydatnym do produkcji narkotyków. Późniejsze wydarzenia są tylko konsekwencją opowiedzianych przeze mnie zdarzeń. Rozumiesz?

Paweł kiwnął głową. Zrozumiał, że to, co podejrzewał, było prawdą i że poznanie jej grozi nawet śmiercią.

- Ale o kim opowiedziałeś? - zapytał kierowany impulsem. - Co oni mają wspólnego z gangsterami i tymi środkami chemicznymi?

- Oj, kolego, chcesz za dużo wiedzieć, a ta wiedza nie pomaga w życiu. Chyba jesteś na tyle kumaty?

- Przecież wiesz, że jestem z natury ciekawski.

- A jesteś z tego powodu mądrzejszy albo bogatszy?

- To już mój ból głowy. A jakie będzie zakończenie opowiedzianej historii? - spytał Paweł drwiąco, trochę za głośno, przekrzykując muzykę z radia i bełkot kłócących się, pijanych mężczyzn.

Pączek westchnął. Rozparł się w krzesło i rozłożył ręce.

- Może ktoś pójdzie siedzieć, a może popełni samobójstwo? Może zginie nieszczęśliwie? Nie wiem.

- Wynika z tego, że zadawałem się, albo nadal to robię, z nieodpowiednimi ludźmi, tak?

- Można tak to nazwać... Niektórzy ludzie przyciągają przestępców i wariatów. Do ciebie i Irokeza, choćby był tłum, zawsze podejdziesz wariat.

- Kim są ludzie, którzy szukają tej zasranej chemii?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

- Wiesz, wiesz... Mogę się założyć o wszystko.

- Mylisz się... Sporo widziałem i doszedłem do wniosku, że nadmiar wiedzy) to kłopoty. Do czego mi jest potrzebne to, dlaczego gangsterzy kolegują się z politykami z górnej półki, piją z nimi, dymają te same panienki, dają się filmować? Żeby imponować? Gdy za dużo wiesz, to źle śpisz, boisz się rannych telefonów, za bardzo zwracasz uwagę na mijające cię samochody i ludzi, których poznajesz. Wiem, że nic nie wiem, kolego.

- Rysiek, proszę, powiedz choć trochę, o co tu biega? - spytał Paweł prawie błagalnie i coś ścisnęło go za gardło. - Ciągłe wracam do Iwony, Irokeza. Różnych historii.

Pączek spojrzał mu prosto w oczy. Położył swoje duże dłonie na jego.

- Ja mogę tylko powiedzieć coś o sobie... Że jestem człowiekiem bez przyszłości, który jak idiota wraca do miejsc utraconych. W dodatku niszczyłem innych, ale i mnie niszczone. I to bez powodu.

- Co to znaczy?

- Sony, Winetou, ale i tak powiedziałem za dużo.

- Czy tkwisz w tym samym bałaganie co Iwona?

- Broń Boże... Ale coś wiem. Tu chodzi o kasę. Ogromną. A gdzie pieniądze, to i wpływy. Żaden ustrój się nie sprawdza. Tym jedynie, co funkcjonuje, jest władza. Co ci da, że usłyszysz, że pociąga za sznurki Malinowski, Kowalski, Smith, Brunei? Ludzie szanowani, chodzący w nienagannie skrojonych garniturach i drogich butach? Że to oni są naprawdę gangsterami, bandytami, którzy wydają rozkaz)' zabicia lub porwania? Czy dzięki temu odmłodniejesz, urośniesz, staniesz się mądrzejszy, bogatszy? Tak było i będzie. Chyba że stanic się cud.

Gniewne błyski w oczach Pączka i napięte mięśnie wokół jego ust, sprawiły nagle Pawłowi przyjemność.

- Wiesz, dlaczego tak pytam? Bo odezwał się po latach esbek, który mnie przesłuchiwał, bił, poniżał, to znów obiecywał złote góry. Niejaki Matysik.

Pączek otworzył na mgnienie szeroko oczy. Nagle lśniące jak polerowany bursztyn.

- To pewnie jedno z nazwisk operacyjnych. Teraz może się nazywać Izydor Długi ej aj a.

- Zatelefonował i dał do zrozumienia, że wie, co się ze mną dzieje, i zapowiedział, iż jeszcze się odezwie.

- No i co z tego, że zadzwonił? Pewnie zobaczył Irokeza w telewizorze, nawalił się gorzały i zadzwonił. Osiemdziesiąt procent csbeków to alkoholicy. Spotykają się, piją, wymieniają informacje i sami się utwierdzają w tym, że są ważni i groźni, bo wiedzą, który z polityków, biznesmenów

albo aktorów kapował, kto jest zboczeńcem albo ma wściekłą macicy. To śmiecie, gnój historii. Całkowicie pod kontrolą. Nie rozumiem, dlaczego się podniecasz, że zadzwonił do ciebie jakiś pierdolony Matysik?

Do knajpy weszło dwóch mężczyzn. Byli młodzi, ubrani w skórzane, czarne kurtki, krótko ostrzyżeni. Opalony blondyn usiadł przy stoliku obok drzwi Wejściowych, wyższy podszedł do baru i coś zamówił u barmanki. Pączek wstał, popatrzył na mały parking przed lokalem, po czym usiadł i dziobnął Pawła w żołądek swoim grubym, twardym palcem.

- Co się z tobą dzieje, Pawciu? Zamiast zajmować się sztuką, zajmujesz się bzdurami. Nie szkoda czasu?

- Przyjmuję, że wielokrotnie zachowywałem się jak głupiec, ale proszę cię, nie traktuj mnie jak skończonego debila. Myślisz, że wierzę w te bajdurzenia o alkoholikach esbekach, którzy nic nie mogą? Tym bardziej zastanawiam się, kim naprawdę jesteś ty, Irokez, Iwona, dlaczego mam dziwne przygody.

- Pawciu, trochę rzuciło ci się na głowę, nie uważasz?

- Po prostu zacząłem myśleć i patrzeć. I zobaczyłem, że wcale nie jesteś rubasznym grubaskiem. Więcej wiesz, niż chcesz, żeby ludzie wiedzieli. Do tego znasz prawie wszystkich ważnych w tym kraju i masz pełno pieniędzy...

- Drogi kolego, pamiętaj o pięknie tajemnicy...

- Pączek, nic błaznuj. Nie dam się nabrać...

- A czy ja chcę, żebyś się na coś nabierał?

- Interesuje mnie Gabi. Czy jest czysta?

- Drogi kolego, z tego co wiem, nigdy nie współpracowała z bezpieką i cię kochała. Jesteś zadowolony?

- Jestem.

- To cieszę się. Mogę też powiedzieć, że jest bogata, samotna, nie ma dzieci i nigdy nie była w Polsce.

- Iwona znają?

- Owszem... Ale z kolei Gabi nie wie, że byłeś z tą wariatką.

Paweł poczuł nagle, że jest zupełnie spokojny. Wiedział już, co powinien zrobić.

- Jeszcze godzinę temu byłem przekonany, że jak zadzwoni powtórnie Matysik, to go pogonię, ale po rozmowie z tobą, postanowiłem się z nim spotkać.

Pączek rozłożył z uśmiechem ręce.

- Życzę fartu... Jeśli myślisz, że dowiesz się rewelacji, to jesteś w błędzie. No i przygotuj się na zapłacenie dużego rachunku w knajpie.

- Skąd wiesz, że spotkam się z nim w knajpie? A może właśnie umówię się na spacer w parku?

- Nie zgodzi się. Możesz go czymś walnąć, jakimś łomem albo cegłą. Zastrzelić. W knajpie jest bezpieczniej. Więcej ludzi. No i takie spotkanie można sfilmować albo sfotografować, a później pokazać różnym ludkom. No, patrzcie, z kim się zadaje stary solidaruch. Kumpel prawicowców. Co prawda nie był rejestrowany, ale przecież mógł być nielegalnym. Właśnie klientem nierejestrowanym. No i w lud pójdzie smród. Starzy kumple zaczną się odsuwać. Źle kojarzyć pewne fakty. Twoi wrogowie już się postarają, żeby zaczęto mówić źle...

- Ty mnie straszysz?

Pączek uniósł brwi w geście zdziwienia i popukał się palcem w czoło.

- Chyba naprawdę dostałeś paranoi. Dlaczego miałbym cię straszyć? Ja tylko głośno myślę. Rozważam pewne warianty. Dla mnie to możesz się spotkać nawet z generałem Kiszczakiem. Twój wybór, twoje kłopoty.

Paweł zerknął na mężczyzn, którzy przed chwilą weszli do knajpy. O czymś rozmawiali z ożywieniem, zaśmiewając się.

- Niedawno ktoś mi powiedział, że widział na sto procent Irokeza w więzieniu. A przecież on nigdy nie przypuścił się, że siedział. Zawsze gdzieś uciekał, zaszywał się w Bieszczadach...

Paweł rozkasłał się. Pożałował tego, co przed chwilą powiedział. A jeśli Jurek kłamał, chciał rzucić podejrzenie na Irokeza?

Słońce wyjrzało zza chmur. Pączek wyjął okulary przeciwsłoneczne. Odwrócił twarz w stronę okna. Milczał, zagryzając wargi i wypu kując jakiś rytm wskazującym palcem o blat stolika.

- Dla mnie to jest wszystko nieważne - odezwał się po chwili zachrypniętym głosem. - Nawet gdyby Irokez mordował dzieci, to i tak bym mu pomógł. Ten stary wariat nawet, nie wie, ile dla mnie zrobił. Dzięki niemu żyję.

- Uratował cię, kiedy się topiłeś? - spytał Paweł drwiąco i zaraz pożałował, że próbuje się z nim spierać. Był zmęczony i zaczął się bać Pączka, bo to on był odważny, wpływowy, pewny swojej siły.

Twarz Pączka drgnęła nieznacznie. Przez chwilę wpatrywał się w okno knajpy.

- Piłem, byłem krok od tego, żeby coś zrobić niedobrego. I wtedy pomógł mi Irokez... A jak, niech zostanie tajemnicą.

Ta rozmowa układa się za dobrze, za łatwo, pomyślał Paweł. On jest podejrzenie za szczery.

- Irokez twierdzi, że Rafał nie popełnił samobójstwa. Ktoś mu pomógł.

- Wszystko możliwe.

- Ale dlaczego? Przecież był młodym chłopakiem...

- Może coś zobaczył albo usłyszał? Nie wiem.

- Naprawdę nie wiesz?

Pączek wstał i rzucił na stolik banknot dziesięciozłotowy. Później przeciągnął się, głośno ziewając.

- Spadamy... Przed nami jeszcze kawałek drogi.

- Gdzie jedziemy?

Pączek pogroził mu żartobliwie palcem.

- Oj, ciekawski, ciekawski. Kiedyś ta wada naprawdę wyjdzie ci bokiem, koleżko sympatyczny.

Ruszyli do wyjścia. Pączek szedł pierwszy. Raptem zatrzymał się. Oparł rękami o stół, pochylił w stronę opalonego blondyna i powiedział głosem człowieka proszącego o jałmużnę:

- Przepraszam bardzo, że panom przeszkadzam, ale... Urwał i zrobił zbolalą minę. Zaczął się kolebać na boki.

- O co chodzi? - opalony blondyn poruszył się nerwowo w krześle; w jego twarzy była czujność.

- Upadł panu pistolet.

Blondyn błyskawicznie schylił się pod stół.

Po chwili podniósł się wolno. Patrzył na Pączka osłupiały, z otwartymi ustami. Twarz drugiego była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu; szeroka, tępa i nieprzenikniona niczym blok kamienia.

Pączek pochylił się nad stolikiem, patrząc na swoje dłonie upstrzone brązowymi plamami, parking i na Pawła.

- Mam przy sobie kopyto. Jeden ruch i was odpierdołę... Kto was wynajął?

- Kurwa, co ty odpierdalasz? - blondyn spojrzał bezradnie na Pączka, później na swojego kolegę. - Zwariowałeś?

- Ja nie, ale wy na pewno.

- Chłopie, nie świruj nietoperza, idź swoją drogą.

- A może mi się nie chce?

- Naoglądałś się filmów i strugaszkozaczka - odezwał się facet z twarzą indiańskiego wodza i odchylił skórzaną kurtkę. Pod pachą, w czarnej kaburze, tkwił rewolwer.

Pączek podniósł ręce, na wysokości ramion, w geście poddania. - W porządku, chłopaki. Wiem, że nie jesteście bandziorami, bo macie buty z przydziału.

- Spierdalaj - powiedział opalony blondyn bez gniewu. - W porządku, w porządku... Przepraszam.

Wyszli z knajpy.

Szli w stronę samochodu, stojącego przy murowanym, parterowym budynku, ślizgając się i w ostatniej chwili łapiąc równowagę. Zimne słońce krążyło po niebie. Wiatr wciskał się w szczeliny ubrań.

- Pocięło cię, czego chciałeś od tych misiów?

- Postanowiłem sobie zrobić jaja... Niby cichociemni, ale z oszczędności łażą w przydziałowych butach...

- Pączek, co ty gadasz?

- No, w przydziałowych. Na moje oko chłopaki ze służb. Zobaczymy, czy śledzą nas, a może kogo innego.

Stanęli obok samochodu.

Pączek zaczął szukać kluczyków po wszystkich kieszeniach. Nagle w powietrzu, z hukiem, zaczęły szybować różnokolorowe światła; rozbłyskiwały i gasły.

- Przepraszam panów, czy nie wsparlibyście jakimś groszem?

Od parterowego budynku szła wolno młoda dziewczyna. Była przeraźliwie blada, ubrana w powycieraną kurtkę dżinsową, czarne rozkloszowane spodnie. Na nogach miała białe buty, podróbkę adidasów. Rude, krótkie włosy, sterczały we wszystkich kierunkach.

- A na co ta kasa? - zapytał Pączek, wkładając ręce do kieszeni kurtki. - Na gorzałę, czy narkotyki?

- Co będę kłamała - dziewczyna skuliła się i stanęła naprzeciw nich. - Na wino.

- A kiedy ostatnio jadłaś obiad?

- Nie pamiętam.

- W bagażniku mam kilka słoików bigosu, to ci dam. Lubisz bigos?

- Lubię - dziewczyna skinęła kilka razy głową i zaczęła płakać. Czarne strużki niszczą żłobiły kreski na twarzy.

- Nie płacz! - Pączek spojrzał bezradnie na nią, a później na Pawła. - Dam ci jedzenie i kasę, tylko się uspokój!

- Ziemia należy do planet niższych - powiedziała dziewczyna głośno, z taką intonacją, jakby recytowała wyuczony tekst. - Żyjemy w piekle. Większość ludzi, choć nic zdaje sobie z tego sprawy, to diabły. Tylko kilka procent z nas to osoby o przewadze cech niebiańskich. Zesłani z lepszych planet. Właśnie oni pokutują za grzechy. Czują się tutaj źle. Obco.

Dziewczyna otarła wierzchem dłoni twarz. Zaczęła szperać po kieszeniach. Wyjęła małą fotografię Matki Boskiej i podała Pączkowi, który wziął ją i popatrzył bezradnie na Pawła.

- Co mam z tym zrobić?

- Niech pan nosi przy sobie, a zobaczy, że wszystko się zmieni na lepsze.

- Masz niezły bajer... A dlaczego tobie nie pomogła ta fotografia?

- Bo jeszcze nic potrafię pozbyć się złości przeciw drugiemu człowiekowi - odpowiedziała dziewczyna poważnie i otuliła się kurtką. Wiatr zacinał śniegiem w twarz. - Gdy człowiek żywi złość przeciw drugiemu, jakże u Pana szukać będzie uzdrowienia? Jakże błagać będzie o odpuszczenie swoich własnych grzechów? Przestań nienawidzić. Oto słowo Boże.

Podawała Pączkowi zmiętą kartkę. Ten przebiegł wzrokiem, roześmiał się i podał Pawłowi. Na maszynie ktoś napisał następujący tekst:

Rządzająca przez wiele lat władza ludowa doprowadziła większość Polaków do skrajnej nędzy. Musimy się przed nią bronić, aby w ogóle istnieć. Dlatego proponuję, aby wszyscy zarabiający poniżej średniej krajowej, w szczególności emeryci, renciści i inwalidzi, oraz ci, którzy z różnych względów nie pracują, utworzyli partię polityczną broniącą naszych spraw. Musimy i potrafimy żyć po ludzku i godnie. Musimy walczyć o to, by mieć pieniądze na chleb, masło, buty i komorne, by godnie, w duchu patriotyzmu i chrześcijańskim wychowywać nasze dzieci. Utwórzmy więc partię nas broniącą. Proponuję nazwę: „Związek Żebraków PPJ,”. Chętnych, popierających moją ideę, w najbliższym czasie zawiadomię o dalszych krokach.

- To pani napisała? - zapytał Paweł, kuląc się z zimna.

- Ja - odpowiedziała dziewczyna, pociągając nosem i rozglądając się na boki. Pączek wyjął z kieszeni zwitek banknotów. Odliczył z niego sto złotych i podał dziewczynie. Spoglądała na niego długo, z niedowierzaniem. Otworzyła usta. Nagle jej twarz się zmieniła; stała się zła.

- Dawaj kasę, frajerze!

Pączek osłupiał. Otwierał i zamykał usta. Dopiero po chwili wyjąkał:

- Co to za jaja? Jesteśmy w ukrytej kamerze?

- Nie pal głupa, frajerze, tylko kopsaj kasę!

To sen, zaraz się obudzę, pomyślał Paweł. Wiatr bębnił w okiennice i powybijane szyby budynku, przy którym stali. Pączek roześmiał się. Był szczerze rozbawiony.

- Dziewczyno, czy ty wiesz, co robisz? Przecież jak cię zdzieję, to zostanie z ciebie mokra plama.

Błysnął nóż sprężynowy, który dziewczyna wyciągnęła zza pazuchy kurtki. Zwęziła oczy w szparki. Mówiła przez zęby:

- Ale najpierw obetnę ci jaja... I nic mi nie zrobią, bo mam wariackie papiery.

Pączek rozłożył ręce i zrobił smutną minę.

- Sony, Winetou, cofam wszystko. To do mnie lgną wariaci... Mała, ile chcesz kasy?

- Wszystko, co masz, grubasie.

- O, podpadłaś mi... Ja nie mówię do ciebie, że jesteś szczapa.

- Nie pierdol, dziadzie, tylko dawaj kasę.

Pączek westchnął, rozłożył ręce i rzucił zwitek banknotów na śnieg.

- Trudno... Nie powiem, że łatwo przyszło, ale zdrowe i fart ważniejsze. Dziewczyna przerzuciła nóż do lewej ręki. Pochyliła się.

Pięść Pączka wylądowała na jej twarzy tak szybko, że nie miała żadnych szans się uchylić. Trzasnęła przegroda nosowa...

Dziewczyna upadła na śnieg, wijąc się z bólu i z przerażeniem spoglądając na krew; lała się jej na twarz, palce, ubranie.

Pączek podniósł zwitek banknotów.

Odliczył z niego cztery setki i rzucił obok dziewczyny.

- To na operację plastyczną. Jeśli nie zrobisz jej, to ze źle zrośniętym nosem będziesz tak brzydka, że tylko ślepy będzie chciał cię dymać.

Wsiedli do samochodu. Ruszył przed siebie, buksując na śniegu. Skręcił w lewo, o mało nic przewracając się na bok, wyjechał na szosę. Wskazówka pokazywała prawie sto kilometrów na godzinę.

Paweł obejrzał się.

Przez parking biegło dwóch mężczyzn; opalony blondyn potknął się, ale zaraz wstał, coś pokrzykując do swojego

towarzysza, który mocował się z zamkiem. Za chwilę opel wjechał na szosę.

- Ci faceci z knajpy jadą za nami.

- To było do przewidzenia. Nic pozwolę nikomu zhańbić i poniżyć duszy do tego stopnia, bym musiał go nienawidzić - zaśpiewał Pączek radośnie i trącił Pawła barkiem. - Czego się smucisz, koluniu? Życie jest piękne, a ludzie źli. Na tym polega cały cymes.

- Rysiek, ty jesteś walnięty! Ci faceci jadą, żeby nam skopać dupę. Rozumiesz to?

- Jesteś tam, gdzie jesteś, ponieważ dokładnie tam chcesz być - wyśpiewywał Pączek, robiąc przy tym miny, jakby był śpiewakiem operowym. - Zapominając rzeczy należące do przeszłości, zwracam się na przód, który pokazuje znak...

IX

Paweł obudził się z rwącym bólem w głowie. Było mu zimno, chciało spać i jeść. Dopiero po chwili dotarło do niego, gdzie jest. W samochodzie grało radio. Nadawano ostrzeżenia. Miał padać śnieg z deszczem, chwycić mróz, tworzyć na szosach gołoledź.

Stali w padającym śniegu, przed znakiem drogowym, na którym ktoś wypisał czarnym sprayem „Zjadaj bogatych”. Po obu stronach szosy ciągnął się gęsty las. Białe czapy okrywały drzewa. Pączek palił papierosa, oparty ramieniem o szybę auta, zapatrzony w przestrzeń przed sobą.

- Długo spałem?

- Z dwie godziny - odparł Pączek, nie patrząc na niego, po czym uchylił szybę i wyrzucił peta na zewnątrz.

- Gdzie jesteśmy? Na Mazurach?

- Czekamy.

- Na co?

- Co ty się, kurwa, zrobiłeś taki gderliwy? Trajkoczesz jak baba.

- Po prostu chcę wiedzieć, gdzie, ewentualnie, umrę...

- Nawet tak nie żartuj! - rozłościł się Pączek i popukał trzy razy w drewniany kijek, leżący przy skrzyni biegów. Zawsze był przesądny: trzynastego z nikim się nie umawiał, nie wychodził z domu, nosił amulety, bał się czarnego kota.

- Chcę ci przypomnieć, bo pewnie chcesz zapomnieć, że niedawno jakaś wariatka groziła ci nożem. Tobie, nie mnie.

Pączek szybkim ruchem poprawił włosy i zakasłał, po czym spytał nienaturalnie obojętnym głosem:

- Myślisz, że to była rzeczywiście wariatka?

- Mnie pytasz? Przecież to ty jesteś specjalistą od spraw tajnych, łamanych przez poufne. Myślę, że gdyby cię zarżnęła, to nikt nie szukałby podtekstów politycznych ani innych. A jak dostałbym i ja, to też nic by się nic stało. Ot, wariatka, pewnie bezrobotna, postanowiła zdobyć forszę, a dwóch palantów nie chciało dać. No i zginęli przez swoją głupotę. Zgadzasz się?

- Niech ci będzie... Cent i złota dwudziestodolarówka mają dokładnie tę samą wartość, gdy korodują na dnie oceanu...

- Rysiek, niech ci będzie, że trajkoczę jak baba, dostaję paranoi, ale już mam dosyć tego, że ty i reszta koleśków, odgrywacie przecie mną teatrzyk. Wiem, na sto procent, że uczestniczycie w jakiś grach, w których stawką jest władza, kasa, zaszczyty. Nie chcę być marionetką w waszym teatrzyku. Koniec tej zabawy. Nie odgrywajmy komedii i spotykajmy się tylko na imieninach, urodzinach i na grobach kumpli...

- Nie krzycz - przerwał Pączek ze znużeniem i zaczął kręcić gałką radia.

- A właśnie, kurwa, będę krzyczał! Nie chcę być napadany, bity, przesłuchiwany i żeby przychodzili jacyś

misie, aby coś ode mnie wydobyć. Sprawdzić, co wiem. Przez was mam tylko kłopoty i poznaję z piekła rodem facetów...

- To, że zostałeś walnięty przez Iwonę, to także moja wina? Bo przeze mnie ją poznałeś? Oj, Pawełku, każdy się czasem nad sobą pochyla, ale nic jest dobrze, kiedy robi to za długo.

Paweł nie odpowiedział. Odechciało mu się rozmawiać. Zamknął oczy. Szedł ulicą, dotykał ciepłej dłoni. Objęli się. Położyła głowę na jego ramieniu. „Wiesz, jak dzwoni telefon, to się boję, że ci się coś stało. To jest okropne uczucie, dostaję jakieś psychozy. Stale mam wrażenie, że ktoś nas śledzi, podgląda...”

- Nie od razu się topisz, wpadając do wody. Możesz utonąć, jeśli będziesz w niej zbyt długo.

Paweł, jeszcze we wspomnieniach, spojrzał na Pączka, który uśmiechał się drwiąco, mrużąc oczy w szparki.

- Co ty za manierę podłapałeś, gadając zakodowanymi komunikatami? Pączek wzruszył ramionami. Palcami wybijał jakiś rytm na kierownicy.

- Może już nie chcę być facetem, który jest rubaszny... Nie pomyślałeś o tym?

- Owszem... Zawsze podejrzewałem, że udajesz innego niż jesteś'. Dlatego nic będę o nic pytał, bo i tak nie powiesz prawdy. Tylko chciałbym wiedzieć, ile jeszcze będziemy tu sterczeć?

- Nie wiem.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to nawet nie wkurwiłeś mnie tą odpowiedzią. Zaczynam stwierdzać, że te wszystkie przygody zaczynam traktować jako coś normalnego. Do czego mnie namawiasz?

Pączek wyciągnął się w fotelu. Zamknął oczy.

- Do tego, żebyś myślał o sobie, garstce przyjaciół. Nie o tym, co wolno, a czego nie. Najważniejszy jest cel.

- A jaki jest ten twój cel? - zapytał Paweł i coś go ścisnęło za gardło. Pączek wciągnął głęboki haust powietrza, po czym położył głowę na kierownicy.

- Za dużo gadania... Zresztą, mógłbyś się przestraszyć, że jestem anarchista albo bandyta.

- Powiedz, tylko prawdę - Pawła ogarnął strach; pojawił się nagie, rozsadał klatkę piersiową. Wszystko zaczęło go boleć. Nawet zęby.

- Co to za głupie słowo?! - rozłościł się Pączek. - Gdyby teraz znalazłby się z nami Eskimos i Murzyn, to na pytanie, czy jest zimno, każdy odpowiedziałby inaczej. Większość ludzi w jakiejś chwili życia potyka się o prawdę i co robi? Podnosi, otrzepuje i zajmuje swoimi sprawami, jakby nic się nic stało.

Paweł podniósł ręce w geście poddania.

- W porządku... Przynajmniej powiedz, dlaczego jedziemy odwiedzić Irokeza tak nagle, bez procedury, podpisów, pieczętek. Dlaczego to wszystko jest takie pokrętne... Jedziemy jak na wycieczkę. Zaczynam się zastanawiać, czy naprawdę jadę zobaczyć się z Irokezem, a nie z kimś innym. Z kimś, kto uważa, że więcej wiem o Iwonie, Irokezie. Nie chciałbym być znów bity i straszony.

Pączek spojrzał na niego ze złością.

- Powiniennem ci przyjechać za ten tekst, ale masz plus za szczerość... Naprawdę jedziemy spotkać się z Irokezem. Że to trochę dziwnie wygląda, trudno. Takie jest życie... Nie lubię mieć wyrzutów sumienia i zostawiać rozgrzebanych spraw. Może będę widział go ostatni raz? Mam chore serce, żołądek, kiepski cholesterol. Mam dług, wielki dług wobec niego... W osiemdziesiątym roku, w czerwcu, nachlałem się jak samolot i zachciało mi się jechać samochodem. Irokez prosił, błagał, ale ja, jak to ja, po gorzale mi odpala w mózgu, uparłem się... Pieprznałem w samochód stojący na poboczu. Kierowca

poraniony, ja złamana ręka, Irokez rozcięta głowa. Afera... No i Irokez błyskawicznie zdecydował, że wszystko bierze na siebie. Ze to on prowadził. Też był podcięty. Wtedy ta moja suka była w ciąży. Tuż po ślubie. No i Irokez poszedł siedzieć na miesiąc. Za mnie... Nikt o tym nie wiedział. Niby wyjechał w Bieszczady, do tych swoich koleżków hipisów.

Paweł otworzył usta. Zabrakło mu oddechu. Co oni jeszcze przede mną ukrywają? Miał ochotę natychmiast wyjść z samochodu, ale siedział ogłuszony, nie mogąc zebrać myśli.

- Niesamowite - odezwał się wreszcie, dotykając mimo woli czoła, jakby to miało mu pomóc w myśleniu. Po raz któryś odniósł wrażenie, że wszystko dzieje się poza nim. Ludzie nie wiedzą, gdzie się znajdują i w jaki sposób się tam znaleźli, a mimo to wydaje im się, że wiedzą, do czego dążą, przemknęło mu przez głowę, jakby ktoś przesłał mu nagle wiadomość.

- Tak to jest, Pawełku - Pączek zgasił papierosa w popielniczce i wyrzucił peta za okno. - Wspomnień i więzów krwi nie można przeciąć. No, zaraz będzie nawijał w radiu nasz koleżka Marek. Która jest u ciebie godzina?

- Piętnaście po jedenastej - odpowiedział Paweł. - Irokez już później nie siedział?

- Nic o tym nie wiem - odparł Pączek; wyglądał na zaskoczonego, ale o nic nie zapytał. Zerknął na Pawła i zaraz uciekł ze wzrokiem. „Dlaczego odezwał się Matysik” - pomyślał Paweł. „Chce mnie przestraszyć, przypomnieć, że żyje, nadal się mną interesuje, wie, co się ze mną dzieje? A może on, Iwona, Irokez, Pączek i diabeł wic kto jeszcze, znają się dobrze, razem coś robią, w czymś uczestniczą? Rozgrywają grę, której reguły znają ci, którzy są nad nimi? Nie, dostaję paranoi...” Rozległ się z radia głos Marka. Mówił szybko, z pasją:

- Wielu ludzi w Polsce zapłaciło za swoją walkę o wolną Polskę wysoką cenę. Przeszli upokorzenia, tragedie rodzinne, stracili pracę, oszczędności, byli oskarżani o szpiegostwo, terroryzm, montowano przeciw nim fałszywe oskarżenia. Wiele z tych krzywd nie zostało naprawionych. Natomiast ludzie za nie odpowiedzialni, funkcjonariusze komunistycznego państwa, nie tylko opływają w dostatek, mają ogromne emerytury, wielu stało się kapitalistami, uwłaszczając się na majątku narodowym, ale i uczestniczą w sprawowaniu władzy. Brylują na salonach. Uczą nas demokracji i ekonomii. Wrzeszczą o demokracji i wolności słowa. Stanowią wzór umiaru i rozsądku. O żadnym rozliczaniu przeszłości nie ma nawet mowy. Ci, którzy kiedyś zabijali i wtrącali do więzień, niszczyli sumienia i łamali życie porządnym ludziom, za nic mieli Ojczyznę i naród, nadal bezczelni i aroganccy, śmieją się w kulak. Nie tylko rządzą, państwem. W ich rękach jest także władza nad obrazem świata, bowiem w ich rękach są media. Obraz Polski jest przerażający: ludziom żyje się ciężko, upadają zakłady pracy, rośnie lawinowo bezrobocie, fortuny robią złodzieje i kombinatorzy...

- Ale przecież mieliście władzę przez cztery lata - wtrąciła się dziennikarka. - Dlaczego nie naprawiliście krzywd, nie zrobiliście porządku, nie ukaraliście aferzystów?

- Nie zrobiliśmy tego, bo wśród nas nie było woli na zmiany. Byliśmy rozgrywani, przez agenturę, i to różnej maści, aferzystów. Do tego doszło i to, że wielu z nas zaczęło robić interesy. Złodziejskie interesy. Ja mogę ocenić tylko siebie. Ludzie nie wybrali postkomunistów, bo uwierzyli, iż są fachowcami i zmienią szarość na złoto. Głosowali na nich, bo już mieli, dosyć zakłamania, złodziejstwa i zadowolonych z siebie ministrów i przewodniczącego „Solidarności”. Powinienem być odpowiedzialnym postem, a zachowywałem

się jak zakompleksiony ekonomista, który małpuje liberalny kapitalizm, To jest, oczywiście, moja wina i mój rachunek. Byłem durniem. Władzy nie wolno nie umieć, a ja nie umiałem. I jak dzisiaj władza, po niecałych dwóch miesiącach rządzenia, mówi o tym, że ludzie są winni, to doskonale wiadomo, że winna jest właśnie władza...

- Proszę pana, ja też zapłaciłem jakąś cenę za bycie w opozycji, za działalność podziemną w latach osiemdziesiątych, ale nie czuję się zgorzkniały - przerwał Markowi głos męski; spokojny, niski, starannie akcentujący końcówki. - Uważam za skandal to, że jakiś tam kolega domaga się pieniędzy. Odszkodowania za to, że był represjonowany. Przeciwnie, to on za to, że był represjonowany, powinien wpłacić jakieś pieniądze, bo gdyby nie represje, to nie miałby z czego żyć. A tak dostał prezent od losu. Mnie osobiście chodziło o to, żeby mieć paszport w szufladzie, wymienialną złotówkę i karty kredytowe. I to sobie wywalczyłem...

- Pan wybaczy, ale gada pan brednie! - rozłościł się Marek. - Powtarza pan slogany, jakieś bzdury. Nie chcę być chamski, ale ja wiem, jak się pan zachowywał w więzieniu... Tak się składa, że mój przyjaciel siedział z Juanem w jednej celi. Poza tym mamy wspólnych znajomych. Powinien mieć pan na tyle wstydu, odrobinę przyzwoitości, żeby nie stawiać siebie za przykład..

- Co pan insynuuje? - zajrzył się rozmówca Marka. - Proszę brać odpowiedzialność za słowa, bo inaczej Spotkamy się w sądzie...

- Widzicie państwo, jak gorące nadal są spory o historię i przyszły kształt Polski - wtrąciła się dziennikarka z rozbawieniem w głosie. - Jak zawsze prosimy o telefony, listy i maik. Dziękuję państwu.

Skąd znam ten głos? Pawłowi zrobiło się gorąco. Znów szedł chodnikiem, patrzył w niebo, na kołującego gołębia,

słyszał wrzaski klawisza, obserwującego spacerniak z wieżyczki strażniczej, i Andrzeja: Paweł, ja nie wytrzymam. Gdybym wiedział, co to więzienie, to bym nigdy nic robił niczego w podziemiu...

- No, to nasz Maruś nareszcie stał się odważny. Szkoda, że jak przestał być posłem - odezwał się Pączek z rozbawieniem, przyciszając muzykę z radia.

- Znam tego faceta. Opowiadałem o nim Markowi, ale on nigdy nie zdradził się, że go zna.

Pączek wzruszył ramionami i ziewnął głośno.

- Dziwisz się? Cały nasz Maruś... Mówi to, co mu wygodne albo co przyniesie korzyść...

- Co robi ten facet, Andrzej, z którym rozmawiał nasz bonzo?

- Siały wiceminister albo doradca. Chyba we wszystkich rządach od osiemdziesiątego dziewiątego roku. Siedziałeś z nim?

- Tak... Był na liście Macierewicza?

- Nie... Podejrzewasz, że był kapusiem?

- Prawie na sto procent. Strasznie się bał i za bardzo mnie wypytywał.

- Wściekły wróg lustracji i dekomunizacji. Poza tym trunkowy i układowy. Kręci z posłami, którzy załatwiają różne interesy związane z Warszawą. Wiesz, przetargi, handel ziemią, budynkami...

- Też go znasz?

- Słabo, ale znam... I jak mam nie głosować za wejściem do Unii Europejskiej, jeśli takie mendoweszki ciągle są przy żłobie?

- Naprawdę wierzysz, że nie będą?

- Na bank... Zachód bał się wtrącać w sprawy Polski, żeby nie było jakieś rewolty. Najpierw wyrwał kły komuchom, później pozwolił pobawić się w kapitalistów, żeby

stali się wielbicielami luksusu. Tych samochodów, willi, wycieczek na Wyspy Kanaryjskie, a za chwilę wszystko im zabierze. Te firmy, konta. A jak zaczną podskakiwać, to ich powsadza. Myślisz, że nic wiedzą, w co się bawią polscy politycy? Nie gromadzą na nich haków, nie mają swojej agentury? Polska to chory kraj. Tutaj trafiają do piekła nie krzywdzący, ale krzywdzeni.

Milczeli. W radiu dziennikarka przekomarzała się z kimś, kto do niej zadzwonił. Z drzew poderwały się z krzykiem wrony. Przebiegły przez szosę zające. „To wszystko jest bez sensu” - pomyślał Paweł z dołującym smutkiem. „Co ja tu robię? Czego szukam, żyjąc w tym kraju chorym na manię wielkości, pełnym kanalii, tylko czekających, żeby coś ukraść albo kogoś oszukać?”

Zadzwonił telefon komórkowy. Pączek wyjął go ze skrytki, tuż przy kierownicy. Powiedział tylko hallo. Przez chwilę słuchał uważnie, po czym znów go schował.

- Nie wiedziałem, że masz dwa telefony komórkowe.

- Ano mam - odparł Pączek w zamyśleniu, przeciągając sylaby. - Czasami się przydaje. Wiem, że nie jestem podsłuchiwany...

- Do czego się przydaje i dlaczego jesteś podsłuchiwany?

- Odpierdol się, dobrze? - powiedział Pączek łagodnie, jak do dziecka.

Paweł wzruszył ramionami. Czuł narastający gniew. Z trudem powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć; nie wykrzyknąć Pączkowi całej złości, która gromadziła się w nim przez lata. Milczeć, słuchać, nareszcie muszę się zmienić, nie być frajerem, który natychmiast mówi to, co myśli. Wystarczająco długo uważają mnie za głupka, któremu można sprzedać każde kłamstwo...

- No, dobrze, dobrze, już nie rób takiej miny - odezwał się Pączek. Jego oczy śmiały się. Złożył usta w ryjek. - Iwona

uważała, że pracujesz dla polskich służb. Musiała kogoś spytać o to, a ten potwierdził. No i wymyśliła sobie, że będziesz ją chronił. Że dopóki będzie z tobą, będzie ci sprzedawała prawdę albo kity, to nic się jej nie stanie. Nic pójdzie siedzieć za to wszystko, co zrobiła niezgodnie z prawem. Poza tym była przekonana, że ją kochasz i nie pozwolisz zrobić kuku. Zadowolony?

Paweł roześmiał się i był to śmiech szczery. Dopiero po chwili dotarł do niego sens usłyszanych słów.

- Ty też uważasz, że jestem cichociemny?

Pączek zmieszał się. Uciekł ze wzrokiem i sięgnął machinalnie po papierosa. - Nie...

- Pączek, nie kłam! - krzyknął Paweł. Nareszcie znalazł to, czego szukał i co go dręczyło; wytłumaczenie dziwnych zdarzeń i zachowania Iwony. - Znasz mnie dziesiątki lat, spotykamy się, dbasz o mnie... I teraz pytanie, dlaczego? A może dlatego, że się mnie boisz, coś wymyśliłeś sobie w tym przewrotnym łbie? Na przykład, że lepiej dbać o mnie, bo o czymś wiem? Kurwa, jesteście wszyscy paranoikami, oszustami, którzy zakłamali się na śmierć. Już sami nie wiecie, kim naprawdę jesteście. Kłamca i złodziej zawsze będzie podejrzewał innych, że są tacy jak on... Idźcie swoją drogą, a mnie zostawcie w spokoju. Mam dosyć waszej fałszywej troskliwości i serdeczności. Odpierdolcie się ode mnie!

Paweł zamknął oczy. Wziął głęboki oddech. Niewidzialne młoteczki stukały mu w skroniach. Czuł się zdradzony, nieszczęśliwy i chciało mu się płakać.

- Pawciu, nie wygłupiaj się - Pączek objął go. Jego głos był nienaturalnie wesoły. - Przepraszam, jeśli cię uraziłem... Wiem, bywam głupi, porywczy, mam zabranżlowaną głowę od gorzały. Ale przecież, tak ogólnie, nie jestem zły... No, Pawciu... Przepraszam.

Paweł odepchnął go od siebie. Wciągnął głęboki haust powietrza.

- Pączek, odpierdol się... Już nikt nie weźmie mnie na litość. Myślisz, że nie wiem, iż traktowałeś' mnie jak przygłupa? Myślisz, że nic wiem, kto powiedział Iwonie, że niby jestem cichociemny? Ty, koleżko... Błagam cię, nic nie mów. Jesteś wredny i podły.

- Nie przesadzaj - Pączek przygryzał wargi, unikając wzroku Pawła. - Gadasz tak, jakbym ci zabił ojca i matkę...

- Rysiek, błagam, nic bądź bezczelny... Obrabiałeś mi dupę, jedynie ty wiesz, co jeszcze na mnie wygadywałeś, a później, jakby nigdy nic, rozmawiałeś ze mną, piłeś, poklepywałeś...

- Nieprawda - Pączek skrzywił się i rozłożył bezradnie ręce.

- Nie przerywaj;.. Jak możesz patrzeć mi w oczy? Nie znasz poczucia wstydu?

Pączek pochylił się w stronę Pawła. Patrzył spode łba, dotykając palcem zębów. W jego oczach była złość.

- Wstyd to z dupy spaść i kiepsko kraść, koleżko... Czy źli ludzie idą do piekła? Jeśli w to wierzysz, to bądź moralny... Zrobiłem tak, powiedziałem, bo musiałem...

- Co to znaczy musiałem?

- Nie będę tego tłumaczył. Czym się przejmujesz, Pawciu? Że kryminalistka, podła suka uważa cię za cichociemnego? Nic bądź śmieszny. Ludzie naprawdę mają problemy. Twój kłopot to pryszcz. Bądź kimś. Bóg nie zajmuje się nicością...

- Co się dzieje z Iwoną?

- Może gnije pod ziemią, może skubią ją rybki... - A ja uważam, że wiesz, gdzie jest.

- Skoro tak myślisz, to po co pytasz? Naprawdę masz skłonność do zajmowania się gównem. Z bzdury robić problem. Od dzieciaka taki byłeś...

- To dlatego mnie obgadywałeś?

- Odpierdol się.

Milczeli, hamując złość i nie patrząc na siebie. W każdej chwili znów gotowi do kłótni. Pewnie gadał też, że się załamalem, zostałem konfidentem bezpieki. Kurwa, ilu ludzi w to uwierzyło? Nie, to niemożliwe. Ktoś by mi o tym powiedział. Pieprzony grubas! - pomyślał Paweł.

Pączek otworzył drzwi samochodu. Zamknął je z hukiem. Szedł niezdarnie, co chwila strzepując dłonią śnieg, osiadający mu na kurtkę, zapadając się w zasy. Po kilkudziesięciu metrach stanął w rozkroku i zaczął sikać. Paweł patrzył na niego i rosła w nim nienawiść. Gdyby miał broń, wiedział o tym na sto procent, strzeliłby do niego. Nie po to, by zabić, ale z premedytacją zranić. Najlepiej w nogi, żeby do końca życia kulał i aby każdy krok przypominał mu, z jakiego powodu jest kaleką. Zadzwoił telefon komórkowy.

Paweł zaczął nerwowo szukać go po kieszeniach. Po chwili zorientował się, że to nie jego. Wsunął rękę pod fotel, na którym siedział Pączek. Wyjął pistolet. Mały, damski. Spoglądał na niego bezmyślnie, obracając w dłoni. Później szybko schował go w to samo miejsce, gdzie znalazł, a wyciągnął telefon komórkowy Pączka, z którego ten niedawno rozmawiał.

- Hallo, hallo - usłyszał podenerwowany kobiecy głos i uprzytomnił sobie, że to Iwona. Oblała go fala gorąca. Miał trudności z oddechem. Serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej. - To ty, Pączek?

- No - odpowiedział Paweł szeptem. Tuż obok samochodu przeleciała z krzykiem wrona, zrobiła kółko i

usiadła na masce, po czym wzbiła się i poleciała nad ścianę lasu.

- Kurwa, ja już nie mogę tyle czekać. Oni ganiają jak wściekłe psy. Szczególnie Bartek. Wścieka się, że nie ma forsy i towaru. Zaraz da mi propozycję nie do odrzucenia. Oni coś podejrzewają. Porozmawiaj z tymi swoimi, żeby się ode mnie odpierdolili. Wyjadę i już nigdy w życiu mnie nie zobaczą w tej zaszrannej Polsce. Nic lubię zimna. Są przyjemniejsze kraje. Na przykład Floryda albo Hawaje. Pogadaj z tymi swoimi. Każdy ma głodną kieszeń i półki w lodówce...

Pączek odwrócił się. Zapiął rozporek i zaczął biedzić się z guzikami kurtki skórzanej. Gdzie ona jest? Co to za oni? Co to za towar? Z kim ma pogadać Pączek?

Wysiadł z auta. Stał tak, że Pączek nie widział, że rozmawia z komórki.

- Można zwariować na tym zadupiu. Nie jestem miłośniczką przyrody. Flaki mi się przewracały, kiedy Paweł łąził po lesie albo łące i zachwycał się przelatującym bocianem albo zaszranym kwiatkiem. A propos, jak przyjął moje zniknięcie nasz Rembrandt? Pewnie pije, co?

- Ano - odparł Paweł. Powoli budził się z oszołomienia. Wracał do rzeczywistości jak do zimnego, nieprzytulnego domu.

- Frajer dęty. Beznadziejny facet. W ogóle faceci są beznadziejni. Pączek zaczął iść w stronę samochodu.

Paweł przerwał połączenie. Wyjął z aparatu baterię. Schował ją do kieszeni, po czym wsiadł do samochodu. Komórkę włożył tam, gdzie ją znalazł. Wyciągnął się w fotelu. Ustawił radio na częstotliwość Radia Maryja. Zrobił to na złość Pączkowi, bo wiedział, że nie znosi tej stacji.

- *Jedność realizuje się tylko przez służbę wysoce moralną: szczerą, sprawiedliwą, odpowiedzialną, wszystkim*

przyjazną. Tymczasem w Polsce potęguje się tragedia narodowa - mówił monotonnym głosem jakiś' mężczyzna. - Jest gorzej niż na Dzikim Zachodzie. Bolszewizm i liberalizm doprowadzają do tego, że i u nas szerzy się ogromne zakłamanie, bezprawie. Przypominam, że Unia Europejska odrzuca normę sprawiedliwości i społecznej...

Pączek usiadł w fotelu. Otrzeptał buty ze śniegu. Roztarł ręce. Wstrząsnął się.

- O rany, jaki mróz... Nikt nie dzwonił?

- Nie - odpowiedział Paweł, nie otwierając oczu. „Milcz, słuchaj, co mówi. Nie zdradź się, że telefonowała Iwona. Pamiętaj, że ma broń, jest silniejszy, nie wiesz, kim jest naprawdę i do czego jest zdolny. Strzeli ci w łeb, wrzuci do lasu i nikt cię nie znajdzie. Oprócz wilków, mrówek i robaków...”

- Pawciu, proszę, wybacz staremu koleżce... Proszę.

Szklify mu się oczy, jakby miał zamiar się rozplakać. Drgały mu policzki. „On udaje” - pomyślał Paweł. „Chce mnie wziąć pod litość, z jakiegoś powodu pragnie być blisko mnie...”

- W porządku - powiedział Paweł, nie patrząc na niego, bo nie umiał kłamać, o czym wiedział Pączek.

- Wybaczasz mi?

- Gadasz jak baba... Jestem twoim mężem albo żoną?

Pączek przygryzł wargi i zmrużył jeszcze bardziej powieki, jakby coraz gorzej widział. Wiatr wzmógł się. Odbijał od samochodu. Scena jak w głupim horrorze, pomyślał Paweł z rozbawieniem.

- Dziękuję - powiedział Pączek cicho i ukradkiem, szybko otarł łzę z policzka. - I już nigdy do tego nie wracajmy, dobrze?

- Tylko mnie nie całuj, okej?

Pączek roześmiał się i zapalił papierosa. Milczeli, nie patrząc na siebie, każdy zaprzątnięty swoimi myślami.

...Ale wolność to nie anarchia. Polscy przestępcy, złodzieje i cwaniacy kompromitują nas i za granicą. Tworzą gangi, kradną samochody, napadają na spokojnych obywateli, wymuszają haracze, przemycają narkotyki. Złapani przez obce władze, przymilają się polskim placówkom dyplomatycznym, udając niewiniątka, prosząc o płacenie za nich wysokich kar i głosząc, że w Polsce mają pełną wolność złoczyńienia. Czy można mówić o pojednaniu z takimi ludźmi?

Pączek zgasił radio.

- Co ty za pierdoły nastawiłeś? Co to za stacja?

- Twoja ulubiona... Radio Maryja... Nie podoba ci się? Przecież stale opowiadasz o mafii, cichociemnych, układzie czerwonych z różowymi...

- Wszystko zgoda, tylko oni nie wiedzą, że podstawą każdej władzy są pieniądze. Mając wystarczającą ilość forsy, nawet garstka ludzi może wpływać na tłum głupców.

„On jest chory” - pomyślał Paweł. „Wszędzie szuka agentów, spisków, bo sam w tym tkwi po uszy. Tyle lat udawał kogoś innego, to dostał zajoba. Kim jest ten mój koleżka jeszcze z dzieciństwa, dobroduszny grubasek? Ilu ludzi mógł zabić, ilu porwać??

Pączek zmrużył oczy i zagapił się na Pawła, który nagle pomyślał, że on chce, aby go uderzył. Nie wiedział, czy pragnął bólu i cierpienia, czy też potrzebny był mu pretekst, by mu oddać. Ich oczy spotkały się...

Z lasu wyjechał czarny samochód z przyciemnionymi szybami. Trzy razy błysnął światłami. Przez Pawła przeszedł dreszcz. Wszystko zaczęło w nim drgać. „To już koniec” - pomyślał. „Zwabił mnie skurwysyn. Jezu, jaki jestem głupi...”

- Jesteś zadowolony, Pączek? Wystawiłeś mnie...

- Przestań svirować.

- Może jednak powiesz, kim jesteś. Zawsze na filmach, kiedy facet ma zginąć, słyszy, jakie popełnił błędy.

- Myślisz, że zginiesz?

- Tak - odpowiedział Paweł i sam się zdziwił, że przestał się bać. Wielka pięść Pączka postukała go w pierś.

- Naprawdę powinienem ci sprawić łomot - mówił głośno, ale nie było w tym wrogości. Popatrzył na swoją dłoń, kierownicę, na Pawła, a potem zakasłał. - Niejeden człowiek działał więcej niż myślał, że potrafi, tylko dlatego, że ktoś inny myślał, że potrafi tyle działać. Rozumiesz?

- Nie - odpowiedział i pomyślał: „Rozmawiam z nim, patrzę na niego, a powinienem umierać ze strachu. Może oszukuję sam siebie, że nic mi się nie stanie?”.

Rozległ się klakson. Później drugi, trzeci...

- Zapamiętaj sobie, że nigdy w życiu nie będę się spowiadał, co czuję, robię i dlaczego to robię. Są ludzie, tacy jak ja, którzy muszą być często Judaszami, żeby chronić innych przed bandytami, degeneratami, zbrojcami. Kłamię i używam podstępów, bo wierzę, że mogę pomóc zbawić świat. Jesteś dobrym człowiekiem, Pawciu, chociaż bywasz cholernie naiwnym. Przysięgam, że nigdy nie byłem kapusiem komuny. I nigdy nie wolno ci powtórzyć tego, co powiedziałem... Nigdy. Rozumiesz?

Pączek patrzył mu prosto w oczy, a jego spojrzenie było poważne jak przysięga. Paweł machinalnie przycisnął ręce do skroni. Później kiwnął głową.

Paweł bez słowa powiesił swoją kurtkę obok kurtki Pączka.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Nieznajomy wygładzał opuszkami palców kamizelkę. Wreszcie odezwał się serdecznie, dotykając ramienia Pawła:

- Miło mi pana poznać. Dużo o panu słyszałem. I to dobre rzeczy. Niepokoi mnie tylko to, że miał pan jakieś kłopoty...

- Rysiek powiedziałby, że drobne... Bo cóż to za kłopot jakieś pobicie, groźba utraty dłoni a może życia, prawda?

Nieznajomy roześmiał się.

- Z każdej klęski trzeba wyciągnąć pozytywy. Znam człowieka, który zbankrutował, za ostatnie pieniądze kupił dom w Afryce, a teraz jest milionerem. Na jego ziemi płynie ropa... Ale niech się pan nic martwi. Już nie będzie miał pan kłopotów.

Paweł drgnął. Nagle zaschło mu w ustach.

- Co to znaczy?

- Że źli ludzie, którzy chcieli zrobić panu krzywdę, zostali ukarani.

- Siedzą w więzieniu?

- Po co zaraz więzienie? Ci, którzy siedzą, muszą dostawać jeść, ktoś musi ich pilnować, dbać o zdrowie. To wszystko kosztuje, a o pieniądze coraz trudniej. Świat wszedł w recesję. Każdy grosz się liczy.

- To znaczy, że co się z nimi stało? - zapytał Paweł pokaszując. W jednej chwili spociły mu się dłonie.

- Nic szczególnego... Żyją.

- A Iwona, co się z nią dzieje?

Nieznajomy odwrócił głowę w stronę Pączka, który wzruszył ramionami. Od dłuższej chwili wpatrywał się w jakiś punkt dywanu, gryząc paznokiec prawego kciuka.

- Szkoda mi czasu na rozmowę o tej kobiecie - powiedział nieznajomy nagle oschle, tonem przywykłym do rozkazywania i gestem dłoni wskazał, żeby poszli za nim. - Ta kobieta może odprawić pokutę za to, co zrobiła i za to, co zostało jej oszczędzone. Nie mówmy o niej.

Weszli do dużego gabinetu. Światło zielonej lampy secesyjnej, stojącej na dużym, dębowym biurku, połyskiwało na szablach i obrazkach za szkłem, rozwieszonych nad kominkiem. Tu też były szczelnie zasłonięte kotary.

Usiedli w fotelach w stylu Księstwa Warszawskiego. Przed nimi stał barek na gumowych kółkach, na którym była butelka whisky, trzy kryształowe szklaneczki i miseczka z lodem. Nieznajomy rozlał alkohol. Stuknął swoją szklanką w pozostałe.

- Na zdrowie.

Dom stał na odludziu, ukryty w lesie. Nieduży, świeżo otynkowany, jednopiętrowy. Otaczał go wysoki biały mur, z kamerami i domofonem. Otworzyła się brama. Wjechały dwa samochody; zasunęła się.

Pączek i Paweł wyszli z land-rovera. Mężczyźni, którzy przyjechali z nimi, nie wysiedli ze swojego auta. Pewnie nie chcą, żeby widzieć ich twarze, pomyślał Paweł machinalnie, jak ocenia się stan pogody.

Pączek zapalił papierosa. Spojrzał na zegarek. Zaciągał się łąpczywie, zerkając w okno na parterze, z czerwonymi zasłonami, przez które przedzierało się światło. Paweł podniósł głowę. Płatki śniegu roztopiły mu się na twarzy.

- Gdzie jesteśmy?

- W dupie u pani Malinowskiej - odpowiedział Pączek cicho, bez gniewu, jakby informował, która jest godzina. - Wyjąłeś baterię z komórki?

- Tak.

- Słuchaj i nie wymądrzaj się.

Pączek rzucił papierosa na beton. Przydeptał obcasem, po czym schował peta do kieszeni kurtki.

- Dlaczego nie wchodzimy do środka?

- Bo nie wchodzi się bez zaproszenia. Nie uczono cię dobrych manier?

- Oj, Pączek, Pączek... Kim ty jesteś, koleżko? Co prawda nie wyglądasz na przestępcę.

Pączek roześmiał się i złapał teatralnie za brzuch.

- Bo jestem przestępcą z wyższych sfer.

Drzwi od domu otworzyły się szeroko. Weszli po schodkach do środka. Przedpokój był nieduży, wisiało w nim kilka starych litografii. Wszystkie o tematyce myśliwskiej.

- Jak podróż, Ryszardzie? - rozległ się głos męski, z lekkim cudzoziemskim akcentem.

W przedpokoju pojawił się wysoki mężczyzna ubrany w granatowy garnitur, w bordowej kamizelce, z niebieską muszką. Na twarzy miał kominiarkę.

- Trasa była fatalna. Śnieg, trochę deszczu, kierowcy jeżdżący jak kamikadze - odpowiedział Pączek z nienaturalną wesołością, wieszając kurtkę. - A jeszcze jakaś świrnięta straszyla mnie nożem...

- To chora psychicznie. Leczona, uciekła od rodziny, ma roczne dziecko. A pan się nie rozbiera, zimno panu? - zwrócił się nieznajomy do Pawia, który stał bez ruchu, patrząc jak zahipnotyzowany w twarz ukrytą za kominiarką. - Proszę, proszę, panie Pawle. Czym chata bogata.

- Na zdrowie - poprawił Paweł i spojrzał na biurko, na którym siał wyłączony komputer, obok leżała sterta polskich gazet i kilka czarnych, papierowych teczek. Kim jest ten facet? Agent zachodniego wywiadu, czy Rosjanin? Zaczęło boleć go serce. Przymknął oczy. Powiedzieć Pączkowi, że telefonowała do niego Iwona, wiem, co mówiła, i że wyjąłem baterię z tego drugiego telefonu komórkowego?

Otworzył oczy.

Nieznajomy i Pączek pili łyčzkami whisky, spoglądając pod światło na szklaneczki. Paweł napił się. Chlasnęło gorąco w żołądku. Poprawił się w fotelu. Założył nogę na nogę.

- Mogę wiedzieć, kim pan jest? - spytał prawie szeptem, potulnie. - Chciałbym też dowiedzieć się, dlaczego tu jestem.

Nieznajomy rozejrzał się po gabinecie, jakby sprawdzając, czy nie ma w nim jeszcze kogoś. Później poprawił muszkę i odezwał się cichym głosem, robiąc krótkie pauzy:

- Bóg powiedział, abym zbudował lepszy świat. Wtedy zapytałem: Jak mam to zrobić, przecież świat jest tak mroczny i skomplikowany, a ja jestem za młody, nie mam na nic wpływu i nie mogę niczego zmienić?”. Wówczas Bóg, w swojej nieskończonej mądrości, odpowiedział: „Zbuduj lepszego siebie”. Rozumie pan, panie Pawle?

- Czy to wiąże się z magią?

Pączek poruszył się w fotelu, po czym zapatrzył na swoje dłonie, które trzymał sztywno na kolanach. Nieznajomy roześmiał się głośno, błyskając podejrzenie białymi zębami.

- Wie pan kto to jest optymista? To człowiek, który ciągle powtarza, że było źle, jest źle, ale już nic może być gorzej.

Paweł wypił do końca whisky. Popił wodą mineralną. Robił to wszystko wolno, by zyskać na czasie.

- Przyznam się panu, że na razie cała ta rozmowa śmieszy mnie. Jak można brać poważnie kogoś, kto ukrywa twarz za kominiarką? Za maską diabła albo anioła, to rozumiem, ale za kominiarką? To śmierdzi tandetą. Wic pan, wirującym talerzykiem, czarnym kotem, secesją...

- Możesz mieć w życiu wszystko, czego chcesz, jeśli pomożesz innym osiągnąć to, czego oni chcą - odezwał się nieznajomy. Głos miał miękki, ale pobrzmiewały w nim tony, jak w maszynerii pozytywki. Wstał i podszedł do kominka. Poprawił jedną z wiszących szabel. - Kto czeka, aż coś zacznie w nim myśleć, niech wie, że nigdy nie będzie zdolny

do samodzielnego myślenia. Myśleć trzeba chcieć tak, jak się pragnie jedzenia, śpiewu, modlitwy albo napoju.

- Mam wypełnić test na inteligencję?

- Nic zbytkuj tak głupio! - warknął Pączek. W jego oczach pojawiły się złe błyski. Zacisnął swoje wielkie dłonie w pięści.

- Bo co, pobijesz mnie albo zabijesz?

- Panowie, po co te kłótnie? - nieznajomy pokręcił głową i machnął dłonią w powietrzu; duży pierścień z rubinem błysnął w świetle.

„To wariaci” - pomyślał Paweł z rozbawieniem. Był na rauszu, alkohol krążył w nim, rozluźniał. „Mają pieniądze, to jeszcze chcą władzy... Zaraz, zaraz, skąd ja znam to powiedzenie, że możesz mieć w życiu wszystko, czego chcesz, jeśli pomożesz innym osiągnąć to, czego oni chcą? Tak, to powiedział Jurek. Dlaczego przyszedł do mnie? Ostrzec, czy coś przekazać, a może powęszyć, wystawić mnie? Powiedział, że wypytują o mnie cichociemni... A może kłamał, przyszedł mnie przestraszyć, żebym tym bardziej chciał opieki, czuł się zaszczyty? Kim jest ten facet w kominiarce, Pączek, Jurek, Iwona? A w czym tkwi Irokez, a może i Marek?”

- Czego pan chce ode mnie?

Nieznajomy usiadł w fotelu. Zapatrzył na swoje wypielegnowane dłonie, po czym pochylił się i powiedział bardzo cicho:

- Ja od pana niczego nie chcę, ale pan ode mnie wiele. Paweł wstał. Zrobił kilka kroków i stanął przed nim.

- A czego ja mogę chcieć od pana?

- Wszystkiego... Nie ma pan rodziny, krewnych, a ma pan swoje lata. Taki człowiek jak pan, nadwrażliwiec, po różnych przejściach, uczciwy, musi w tej rzeczywistości czuć się niespecjalnie. Założę się, że często boi się pan choroby,

biedy, poniżenia, niespodziewanych kłopotów. Wierzył pan w siebie, w swoją szczęśliwą gwiazdę, w to, że będzie lepiej w Polsce. I co się okazało? Nie jest pan sławny, bogaty, żyje pan na marginesie, a dobrze mają się głównie szumowiny. To jest dramat dla takiego człowieka jak pan. W dodatku niektórzy bliscy zdradzili pana. Boję się, że może pan mieć kłopoty.

Paweł spojrział na Pączka, który siedział sztywno w fotelu, patrząc w sufit i nerwowo pocierając dłonie. W co oni grają, czego chcą ode mnie, pomyślał i wziął głęboki oddech. Dławił go strach. Miał wrażenie, że serce wyskoczy z piersi.

- Jakie kłopoty?

- Zadawał się pan z kobietą, która jest poszukiwana przez kilka policji i wywiadów świata. Ludzie pracujący w tych instytucjach mają zboczenie zawodowe i często myślą stereotypami. Trudno im wytłumaczyć, że nie wiedziało się co robi człowiek, z którym się jadło i chodziło do łóżka.

- Pan mnie szantażuje? - zapytał Paweł, siląc się na drwinę. Młoteczki ciśnienia waliły mu w skroniach. Niewidoczna pętla dławiła gardło.

Nieznajomy rozlał whisky do swojej i Pawła szklanki. - Ja tylko nakreśliłem panu szkic sytuacji, w jakiej się pan znajduje. Skąd on wziął wodę mineralną? - pomyślał Paweł. Nagle zjawiała się na barku. Może jest w niej narkotyk? Nie, przestań, bo dostaniesz paranoi.

- Pan jest szalony, panie kominiarzu. Nieznajomy zaśmiał się i rozłożył ręce.

- Nawiedzeni, obłąkani, samotni i prześladowani cieszą się stanem szczególnego wyboru. Szczególnej wolności, jakimś darem, który stawia ich poza kategoriami dobra i zła. Oni sami są dobrem. Do wyboru zmuszeni są tylko zwykli ludzie. Ci, którzy nic umieją i nie chcą myśleć. Decydować o sobie.

Paweł poczuł nieodpartą ochotę zderzenia mu z twarzy kominiarki. Z trudem się opanował. Na wszelki wypadek, żeby tego nic zrobić, włożył ręce do kieszeni spodni.

- Pączek, dlaczego milczysz, jesteś taki potulny? Ostatecznie to ty przywiozłeś mnie tutaj, bo miałem zobaczyć się z Irokezem... Powiedz coś, doradź, przecież podobno jesteś moim kumplem, a może i przyjacielem...

- Możesz sobie darować i tak mnie nie wyprowadzisz z równowagi - mruknął Pączek znudzonym głosem, z ziewnięciem, nie patrząc na niego. - Jesteś głupszy, niż myślałem...

- Na zdrowie! - Nieznajomy uniósł swoją szklankę i upił whisky. - Jestem przekonany, że będzie pan z nami, panie Pawle. Idealny jest tu cytat z Pascala... Wszystko, co jest największego na ziemi, łączy się: uczeni, mędrcy, królowie. Jedni piszą, drudzy potępiają, inni zabijają. I mimo tych przeszkód ludzie prości i bezsilni opierają się wszystkim potęgom. Ujarzmiają zgoła tych królów, uczonych, mędrców i usuwają bałwochwalstwo z całej ziemi. I wszystko to dzieje się przez siłę, która to przepowiedziała... Dlaczego pan milczy?

- Dobry agent powinien szybko myśleć i milczeć. Nieznajomy roześmiał się i poklepał Pawła po łokciu.

- Dobrze, czas na konkrety. Niedługo w Polsce władza będzie leżała na ulicy. Problem w tym, kto pierwszy się po nią schyli. Nie można dopuścić, by znów wzięli ją komuniści, kapusie, agenci, złodzieje i miernoty. Sam pan widzi, że państwo nie istnieje. Owszem, działa parlament, uchwalają jakieś ustawy, rząd coś postanawia, ale to są pozory. Kto inny naprawdę ma władzę. Trzeba będzie kilkuset zamknąć do więzienia, uciąć hydrze łeb, zmusić ich do wyjawienia haseł kont w Szwajcarii; Luksemburgu i tak dalej, by odzyskać dla państwa miliardy dolarów. To na początek. Trzeba się oprzeć

na tym, co zrobił generał Pinochet ze swoimi ludźmi. Innego wyjścia nie ma. Rewolucja, która boi się rozlewu krwi, jest z góry skazana na przegraną. W tej materii zgadzam się z Leninem.

- Ale co ja mam z tym wspólnego? - zapytał Paweł i duszkiem wypił whisky.

- Potrzebni są ludzie, którzy zrobią tę błyskawiczną rewolucję i obejmą władzę. Ludzie nieskompromitowani, uczciwi, z energią i charakterem...

- I ktoś mnie tak scharakteryzował? - Paweł zaśmiał się. Był już pijany i, jak zawsze w takim stanie, na niczym mu nie zależało.

- Tak, panie Pawle... Sześciu ludzi. Wśród nich Ryszard. Paweł drgnął zaskoczony. Machinalnie spojrzął na Pączka, który wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Imperium Rzymskie nie upadło dlatego, że zachwiała się jego potęga militarna, polityczna czy gospodarcza - Nieznajomy zaczął krążyć w tę i z powrotem, jak w celi - ale dlatego, iż zniknęła motywacja do obrony jego mieszkańców. Wyraźnie widać, że w krajach muzułmańskich są miliony ludzi gotowych umrzeć za Allaha. A za co są gotowi oddać życie ludzie Zachodu, cywilizacji chrześcijańskiej? Kto chce umierać za wolny rynek, liberalizm, homoseksualizm, wolne wybory? Nietzsche miał rację, kiedy pisał: „Ze wszystkiego, co czytam, lubię to tylko, co krwią było pisane. Pisz krwią, a dowiesz się, że krew jest duchem”.

Nieznajomy przystanął. Skrzyżował dłonie jak do modlitwy. Paweł zapatrzył się na jego pierścień i pomyślał, że ten tajemniczy mężczyzna wzbudza respekt, gdyż jest odważny, zdeterminowany, fanatyczny, wpływowy i na pewno bogaty. Nawet Pączek, tak zawsze gadatliwy i pewny siebie, wyraźnie mu się podporządkował.

- Co miałbym robić? - spytał Paweł, kierowany impulsem, wbrew sobie.

- Nie pić wódki, nauczyć się milczeć, zrobić selekcję pod kątem, który z ludzi może być pomocny. To na początek. I być gotowym. Kontakt będzie przez Ryszarda. Wszystko jasne?

- Tak... Wiem, że może to zabrzmieć dziwnie, wręcz bezczelnie, ale chciałbym się jeszcze dowiedzieć o Iwonie. Można to nazwać urażoną ambicją...

- Ale co chcesz wiedzieć? - zachnął się Pączek, wstając i zapalając papierosa. - Z iloma spała facetami?

- To mnie nie interesuje, bo pewnie miało tylu, ile ja zjadłem naleśników. Pączek stanął przed nim, uśmiechając się i była w tym uśmiechu drwina i politowanie.

- Nie ma żadnego dziecka. Jest to dzieciak adoptowany. Za długo się bujała i weszła w wiek, kiedy nie mogła. Wzięła dziecko brata. Jej mąż jest biscksem, ze wskazaniem na facetów. Kazali wyjść za niego...

- Kto kazał?

- Bezpieka... On tu kiedyś' przyjechał, hippisował, dostał narkotyk, połakomił się na czternastoletniego chłopaczka. Dostał propozycję nie do odrzucenia. Albo więzienie i skandal, albo sprawy nie ma. Ale coś musi zrobić. A to się z kimś spotkać w Londynie i odpowiedzieć na parę pytań, a to komuś załatwić wizę. Facecik jest typowym lewakiem i jest nafaszerowany forszą. Ma bogatych rodziców i do tego odziedziczył multum kasy po dziadkach. Jest naukowcem. Coś jeszcze?

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałeś?

- Robisz się nudny. Poproszę o inny zestaw pytań.

- Wiedziałem, że bywam naiwny, ale nie przypuszczałem, że aż tak głupi.

- Najgorsze, że dobrzy ludzie nie uczą się na błędach - odezwał się Nieznajomy, siadając przy biurku i uruchamiając komputer. - Niech pan pozwoli.

Paweł stanął za jego plecami. Na kołnierzu marynarki miał łupież i pachniał mocnymi perfumami.

- To jest, panie Paweł, system o nazwie „Els”, który opracowało dwóch matematyków: Rips i Witzum. W skrócie polega to na tym, że komputer tropi słowa albo zdania, utworzone z ciągów liter, rozdzielonych wewnątrz tekstu pewną stałą odległością. Potrafi także wyselekcjonować sens właściwy...: Niech pan popatrzy. Zastosowałem system i co pokazuje komputer? Na hasło jedenastego września pojawiają się takie słowa: bliźnięta, wieże, dwukrotnie, zniszczenie gleby, szejk.

Paweł nachylił się. Widział tylko literki i zarysy wykresów. Wyprostował się i zaśmiał.

- Cały czas zaskakujesz mnie Rysiek... Kompletnie nie wiedziałem, że wierzysz w takie rzeczy. Że zajmujesz się gnozą...

- Co pan gada za bzdury?! - krzyknął Nieznajomy i odwrócił się gwałtownie. Lodowato niebieskie oczy wpijały się w niego, jakby chciały odczytać myśli. - Czy zasada przepływu elektryczności, dzięki której świeci w domu żarówka, jest gnozą? Tylko dla głupców i nieuków!

Nieznajomy wstał gwałtownie z fotela, prawie go przewracając. Wyłączył komputer i wytarł dłonie w różową chusteczkę, którą wyjął z marynarki. Pączek rozłożył ręce i pokręcił głową.

Nieznajomy milczał, wpatrując się w chusteczkę, którą trzymał czterema palcami, lewej i prawej ręki.

- Gdy człowiek żywi złość przeciw drugiemu, jakże u Pana szukać będzie uzdrowienia? - powiedział Paweł, hamując rozbawienie. - Jeśli nie ma on miłosierdzia nad

człowiekiem do siebie podobnym, jakże błagać będzie o odpuszczenie swoich własnych grzechów?

Nieznajomy schował chusteczkę do kieszeni spodni. Zakasłał, poprawił marynarkę i strzepnął opuszkami palców łupież z kołnierza. Wreszcie odezwał się cicho, bujając na czubkach palców:

- Ludzie stali się tchórzliwi. Poza tym odeszli od fundamentalnej prawdy, że są skażeni grzechem pierworodnym. A więc tkwi w nich pierwiastek skłonności do zła... Był pan kiedyś mądrzejszy. Widzę, że stanął pan w miejscu.

Paweł poczuł, że się czerwieni. Miał ochotę powiedzieć coś złośliwego, ale ten mężczyzna wzbudzał w nim respekt. Mimo woli poddawał mu się. I nagle pomyślał, że on specjalnie go prowokuje, by zmusić do mówienia. Wypił duży łyk whisky i rozparł się w fotelu.

- Czego pan naprawdę chce? Oczekuje pan, że będę się ze wszystkim zgadzał, we wszystkim potakiwał?

Nieznajomy zrobił kilka kroków i stanął przed Pawłem.

Spoglądał na niego bezczelnym wzrokiem człowieka, który czuje się na świecie jak u siebie i dobrze wie, jaka jest wartość słów i czynów bliźniego. A z tej Wiedzy stworzył własną doktrynę.

- Czy wie pan, że ludzie o wybitnych zdolnościach parapsychicznych, dzięki rozwojowi nauki, mogą kontrolować pracę umysłu innych i wykradać im tajemnicę?

- Czytałem o tym, ale nigdy nie spotkałem kogoś, kto to umie...

- A czy wie pan, że dla większości ludzi ważne jest stanowisko, formalny status, a nie to, co politycy, rządzący mówią lub jak postępują? Wolny człowiek różni się tym od niewolnika, że stać go na własne poglądy i jest gotów ich bronić. Osobnik zniewolony nie będzie się buntował,

ponieważ swoje poddaństwo odbiera jako element obowiązującego ładu. Ludzie nie odróżniają dobra od zła. Komunizm pokazał, że całe narody i państwa mogą istnieć w imię siły i wbrew wolności. Nie był to pokarm dla zdrowych. Był to narkotyk, lekarstwo nieudaczników; chorych i słabych. Zacończonych lub bitych. Prawie wszyscy wrażliwi ludzie, którzy żyli w Polsce i ich znałem, już nie żyją. Umarli albo popełnili samobójstwo. Nie uważa pan, że jest to dziwne?

Paweł rozłożył ręce. Poddawał się temu człowiekowi, chociaż wcale tego nie chciał.

- I uważa pan, że to normalne? - Nieznajomy w tym pytaniu ukrył groźbę. Podeszedł do okna i zaczął gładzić opuszkami palców powierzchnie zasłon. - Jestem jedynym człowiekiem, któremu pan zaufa. Zawsze należy wierzyć bankierowi, bo zajmuje się tym, co wymierne. Policzalne. Jeśli kupuje się obrazy, to jaką ma się pewność, że artysta będzie sławny? Trzeba liczyć na cud albo ten cud wykreować. Przyjmuje pan zalecenia lekarza, a skąd może pan wiedzieć, ilu ludzi już posłał na tamten świat? Co innego bankier albo biznesmen. Gdy decyduje się na coś postawić, to jedynie na papierki. Rozumie mnie pan?

- Nie - odpowiedział Paweł machinalnie, bo od lat unikał konfrontacji z ludźmi. Nauczył się rezygnować i zgadzać prawie na wszystko, licząc na to, że później doprowadzi do zmiany decyzji albo to zrobi samo życie.

- Przyjmijmy układ, że realizujesz nasze cele, a odejść będziesz mógł, kiedy zauważysz brak logiki w stosowaniu naszych założeń - Pączek mówił głośno, rozkazującym tonem.

- Zgadzasz się?

- Nic z tego nie rozumiem.

- To jest proste, panie Pawle - Nieznajomy usiadł za biurkiem. Opuścił głowę. Zaczął bawić się przyrządem do obcinania cygar. Wreszcie odezwał się cichym,

przekonującym głosem: - Kochamy nasz kraj. Biedny, nieszczęśliwy kraj. Nasza miłość to wspaniała grupa odważnych, mądrych ludzi, którzy nie liczą na zaszczyty i pieniądze. Ludzie pędzą za pieniędzmi. Zapomnieli, że są śmiertelni. Przez to stali się agresywni, bezwzględni, znerwicowani. Nikomu nie wierzą. Dlaczego? Bo wokół widzą gnój i błoto, w których tkwią po uszy.

Paweł wstał i podszedł do biurka. Przez chwilę wydawało mu się, że w zmrużonych oczach nieznajomego dostrzega utajoną kpinę. Pomyślał, że gra jest prosta: najmniej mówić, najwięcej słuchać.

- Jest mi przyjemnie, że zostałem doceniony, ale zaistniała pomyłka. Nie nadaję się do działania w tajemnej grupie. Jestem znerwicowany, nie znoszę, gdy ktoś mi rozkazuje albo na mnie krzyczy...

- Najpierw zrób głupca z przeciwnika. Jeśli to nie da efektu, sam udawaj głupca. Jeśli i to nie pomoże, zmień temat i upieraj się przy oczywistościach. Pan stosuje te zasady. Gdzie się pan tego nauczył?

Nieznajomy był bliski wybuchu. W eleganckim garniturze, ekstrawaganckiej kamizelce, drogich butach i kominiarce na twarzy, mógł się wydawać groteskowy, ale Paweł wiedział, że to jedynie przebranie.

Zaczął padać deszcz. Bębnił w dach, szyby i parapety. Pączek ziewnął głośno, przeciągle.

Nieznajomy bystro spojrzał w oczy Pawła, który zakłopotany odwrócił głowę. Te lodowate oczy jak gdyby zbliżały się do niego. Raptem nieznajomy zdjął z twarzy kominiarkę i rzucił ją na biurko. Potem przygładził dłonią włosy. Skąd go znam, skąd znam? Tasowały się twarze i zdarzenia. W jednej chwili spociał się. Zrobił krok w stronę drzwi, kierowany raczej impulsem niż rozumem. Nieznajomy złapał go mocno za rękę.

- Niech pan nie kieruje się emocjami, panie Pawle. Robił to pan przez wiele lat i to był błąd. Trzeba być cierpliwym i konsekwentnie dążyć do celu...

- Odpierdol się! - powiedział Paweł bez gniewu, jeszcze oszołomiony; wszystkiego by się spodziewał, ale nie tego, że człowiek ukryty za kominiarką, to ten, który go kiedyś bił i przesłuchiwał. - Pączek, czy ty, kurwa, oszalałeś?! Ten facet to oficer bezpieczeństwa...

- Wiem - Pączek machnął ręką i wypił whisky.

- I co, założyliście z nim głupawą organizację, pieprzycie o ratowaniu ojczyzny? Jeszcze jedna kontrolowana przez starą bezpiekę? A może ty też byłeś w bezpiece?

- Byłem chirurgiem i operowałem wrzody - stwierdził Matysik z westchnieniem, rozkładając ręce. - Ktoś tę operację musiał wykonać. Że to bolało, że ciałem żywą tkankę? Trudno. Bóg i historia mnie osądzą.

Paweł zaśmiał się nerwowo. Był w nim gniew, ale i zdziwienie, połączone z ciekawością, bo ciągle miał wrażenie, że uczestniczy w jakiejś grze albo wszystko jest snem.

- To niesamowite... Rozmawiam z esbekiem, który mnie kiedyś bił i przesłuchiwał, a przywiózł do niego mój przyjaciel z dzieciństwa, z którym grałem w piłkę, piłem pierwsze wino, opowiadałem o pierwszej dziewczynie, którą pocałowałem, wydawałem podziemne pisemko... I co się okazuje? Że mój przyjaciel i ten esbek, to kolesie. A więc kumpel mojego kumpla, jest też moim kumplem?

Pączek stanął przed Pawłem. Przez chwilę patrzył mu prosto w oczy.

Jego twarz była poważna.

- On nas ochraniał, Pawciu... Przez niego dostawałem różne wiadomości. Dzięki niemu wielu ludzi nie poszło siedzieć. Nic miało kłopotów.

- Jeszcze jeden, który wstąpił do bezpieki, żeby ją rozwalić od wewnątrz, tak?

Matysik podniósł głowę ze smutnym zdziwieniem jak ktoś, kto znalazł się na innej planecie i obserwuje z zaciekawieniem typowe przedmioty: piasek, kwiat, wodę, drzewo.

- Niech pan przypomni sobie ostatnie przesłuchanie. Dałem panu list od matki? Dałem. A w liście było, żeby pan się nie poddawał. Tak jak to robił pana ojciec... Musiałem zachowywać się tak, a nie inaczej... Dałem też panu do celi niegroźnych, głupawych konfidentów. Wszystko miałem pod kontrolą.

- Skąd go znasz? - spytał Paweł, patrząc na Pączka wzrokiem sępa, który ujrzał ofiarę.

- Przez twojego ojca - odparł Pączek spokojnie i zapalił papierosa.

- Jak to przez mojego ojca?!

- Pana ojciec był szpiegiem - powiedział Matysik. - Zwerbował mnie i Ryszarda.

Paweł roześmiał się głośno, szczerze.

- No nie, panowie, nie róbcie sobie jaj. Wiem, że uważacie mnie za przygłupa, ale nigdy w życiu nie uwierzę...

- Był szpiegiem. Czy to coś strasznego, wstydliwego? Jeden jest lekarzem, drugi grabarzem. Takie jest życie. Pana ojciec był szpiegiem przez wiele lat. Mój ojciec był kumplem pana ojca. Naprawdę prawie wszystko o panu wiedziałem. Musiałem nad panem czuwać. Ba, pan mnie nie pamięta, ale byłem kilka razy u pana w domu. Ba, razem się bawiliśmy. Wtedy miałem dziesięć, jedenaście lat, pan sześć, siedem. Bawiliśmy się kolejką, później graliśmy w piłkę. Pan, Ryszard, Marek, pana sąsiad Jurek, Irokez, który grał w piłkę, mając na głowie pióropusz indiański. Mój ojciec umarł na raka. Zostałem z matką, a pana ojciec pomagał nam

finansowo. Robił to dyskretnie. Później, za jego namową, zacząłem pracować w służbie bezpieczeństwa...

- Mój ojciec miał nieślubnego syna? To ty nim byłeś?

- Nie byłem synem.

- A miał?

- Nie wiem.

- Musisz mi to powiedzieć.

- Nie wiem, panie Pawle. A nawet gdybym wiedział, to i tak bym nie powiedział. Nie obchodzą mnie brudy i słabości bliskich mi ludzi...

- Dobrze, dobrze. I tak nic uwierzę w twoją szlachetność. Czyim był szpiegiem?

- Pewnego imperialistycznego kraju, jak to się kiedyś nazywało - Matysik zaczął się bawić zapalniczką; spoglądał na płomień z lekkim uśmiechem, jakby do swoich myśli. - Widzi pan, większość ludzi przeżyje życie i nic ciekawego nie zobaczą, a pan ma to szczęście, że ciągle coś się w pana życiu dzieje...

- No, koleś, tylko nie drwij! - Paweł pogroził Matysikowi palcem, hamując gniew. - Skoro mój ojciec był szpiegiem, to dlaczego nie zwerbował mnie? Chyba logicznie myślę?

- Bo się pan do tego nie nadawał... Interesowała pana tylko sztuka, dziewczyna o imieniu Gabi i picie wina. Tak naprawdę nikogo nie kochałeś i nie byłeś kochany. Nie byłeś, bo raniłeś, zdradzałeś. Nie znałeś wagi słów. Bez miłości człowiek umiera. Szukałeś jej w sztuce, seksie, kobietach, konspirowaniu. Ale to są erzace, które nie dają szczęścia, bo i tak każdy musi stanąć wobec prostego pytania: Po co żyję? Jaki sens ma moje życie? Po prostu byłeś głupi. Płytki.

Matysik rozłożył ręce. Pączek siedział bez ruchu w fotelu z zamkniętymi oczami. Wyglądał, jakby drzemał. Paweł patrzył na Matysika oszołomiony.

- Nie wierzę, że mój ojciec był szpiegiem. Gadacie takie bzdury, bo wiecie, że lubię takie historie. Kto nie byłby zadowolony, nie dał się podpuścić, gdyby dowiedział się, że jego ojciec był szpiegiem, co dzień ryzykował życiem, a nie jakimś zapijaczonym prywaciarzem?

Matysik zdjął marynarkę. Powiesił ją na fotelu. Później rozlał whisky do szklanki. Pił drobnymi łyżkami, z zamyśloną twarzą. Nie daj się, pomyślał Paweł. Masz przed sobą zawodowców. Oni chcą jeszcze czegoś więcej. Bądź czujny...

- Boisz się? - spytał nagle Matysik, jakby naprawdę potrafił odgadywać myśli. - Nie wychodzi ci odgrywanie twardego faceta, przyjacielu.

- Komu w drogę, temu czas - powiedział Paweł. Jego głos był cichy i bardzo poważny. - Jedziemy, Rysiek.

Pączek zagapił się na niego, ale nic nie powiedział.

- Twój ojciec popełnił samobójstwo - odezwał się Matysik, chodząc wolno po pokoju, co kilka kroków skrzypiała podłoga; w jego głosie było zmęczenie - Komuniści wpadli na jego trop. Chcieli go odwrócić. Zmusić by pracował dla nich. Szantażowali, że jeśli się nie zgodzi, to zabiją ciebie. A on kochał ciebie, chociaż byłeś głupi i się go wstydziłeś. Popełnił samobójstwo, żebyś ty żył. Przyszedł czas, abyś spłacił dług. Zostawił coś naprawdę po sobie. Rozumiesz?

- Jaką mam gwarancję, że nie kłamiesz? - spytał Paweł po chwili załamującym się głosem. Drżał coraz bardziej, bojąc się, że zaraz się rozpłacze.

- Nie masz żadnej - odparł Matysik i przystanął na środku gabinetu, bujając się na czubkach butów. - Dlaczego udajesz głupszego, niż jesteś?

Paweł oddychał wolno, wciągając głośno powietrze. To sukinsyn, pomyślał z bezsilną złością.

- Czego naprawdę chcecie? - spytał po chwili ostrożnie.

- Żebyś wszedł w środowisko koniuszków - odezwał się Pączek, obracając szklanę z resztką whisky w dłoniach. - Podobasz się babom, będziesz dymał ich żony, kochanki, córki. Będziesz wiele wiedział.

Te słowa zaboląły Pawła jak cios w żołądek. Nabrał powietrza, chciał wzbudzić w sobie gniew, ale nie potrafił.

- Mam być zwierzakiem, półmózgiem, którym kieruje fiut, tak? Pączek roześmiał się głośno i szczerze.

- Gdyby chodziło o uwodzenie słowne, to wzięlibyśmy jakiegoś nawiedzonego filozofa czy innego pedała. Niech każdy robi to, co umie najlepiej. Poza tym wystawisz nam Iwonę...

- Pączek, nie rób sobie jaj. Świetnie wiesz, gdzie ona jest.

- Problem w tym, że nic wiem. Telefonuje, ale tak, że nie można jej namierzyć, no i szantażuje...

- Czym?

- To moja sprawa.

- Kurwa, tyle lat mnie okłamywałeś, a teraz proponujesz tajne spiski. Naprawdę myślisz, że jestem aż tak głupi?!

- A jak się dowiesz, gdzie jest, to ją zabijesz? Nie bądź żaloszny.

- A jakby zginęła, to co by się stało? - Matysik stanął przed Pawłem. Jego oczy były smutne jak u baseta. - Po prostu jednej kurwy mniej.

Paweł poczuł skurcz w gardle. Uświadomił sobie, że ten człowiek coś w nim burzy i uzależnia od siebie. Matysik wyjął z kieszeni marynarki plik fotografii i rzucił na biurko.

- Obejrzyj sobie.

Na zdjęciach Iwona uprawiała miłość francuską z młodym, muskularnym mężczyzną, który miał zamazaną komputerowo twarz.

- Ten młodziak jest naszym człowiekiem - odezwał się Matysik, ziewając. - Była z tobą, ale też dymała się z innymi.

Także z babami. Ona nie jest warta współczucia. Gdybym ci opowiedział, co wyprawiała i wyprawia w życiu, ile zrobiła podłości, to nie chciałbyś nawet jej obszczać.

- Na przykład, co takiego?

- Było konfidentką esbecji od dziewiętnastego roku życia. Przez nią czterech ludzi poszło siedzieć. Siedem osób zostało wyrzuconych ze studiów, dziewięć zostało kapusiami. Starczy?

Paweł ostrożnie, jakby dotykał porcelanowej figurki, położył zdjęcia na biurku. Znów miał wrażenie, że wszystko, co widzi, w czym uczestniczy, jest nierzeczywiste.

- I tylko dlatego, że jestem rogaczem, mam być prowokatorem, pomóc w jej zabiciu? Tropić jak dziką zwierzynę?

- O, kurwa, jakie grafomańskie porównania! - rozłościł się Matysik; mówił coraz szybciej, oblizując wargi. - Okej, jeśli chcesz, to może sobie żyć, gdzie chce. Ale dzięki niej możemy zrobić kuku bandytom i sprzedawczykom. A więc nie pierdol o sumieniu. Ona jest śmieciem i trzeba ją zutylizować. Rozumiesz to? Jak mam z tobą rozmawiać, w jakim języku?!

- Przede wszystkim nie krzycz, bo tego nie lubię.

- Przepraszam, ale wkurwiłbyś nawet Hindusa. Do czego ci jest potrzebna wiedza, co robimy z Ryszardem, skąd mamy pieniądze i co chcemy od tej putanicy? Staniesz się dzięki temu mądrzejszy, zdrowszy, bogatszy? Rozumiesz, co do ciebie mówię?!

Paweł potrząsnął machinalnie głową. Przez chwilę poczuł wstręt do siebie; czuł się jak ktoś, kto po amputacji zrywa bandażę, by spojrzeć na martwy kikut.

- W porządku... Skoro udajesz głupca, to będę z tobą rozmawiał jak z człowiekiem interesu. Dam ci twoją teczkę. Nareszcie będziesz wiedział, kto ci podsrywał w życiu.

Wszystko ci się poukłada. Nawet i to dlaczego w ogólniaku nie zdałeś poprawki i nie dostałeś się od razu na studia.

- Co to za zachęta, skoro niedługo dostanę swoją teczkę z Instytutu Pamięci Narodowej?

Matysik zaśmiał się głośno. Napił się whisky i syknął, jakby raptem zabolął go ząb.

- Przyjacielu, dostaniesz nieważne papierki, notatki, kwity urzędowe. Wszystko gównieście. Ci, którzy dogadali się w osiemdziesiątym dziewiątym roku, przy okrągłym stole, że po wsze czasy będą rządzić Polską, ustalili też, że musi nastąpić zamazanie przeszłości. Zauważyłeś, że wina nie jest po stronie tych, którzy mordowali więźniów, strzelali do bezbronnych robotników, topili księży, szantażowali i zadłużyli kraj na prawie czterdzieści miliardów dolarów? Wina została rozłożona na wszystkich. A więc nie ma winy. Amnestia przez amnezję.

Przez Pawła przeszedł dreszcz. Bezwiednie skulił się. Patrzył na Matysika, na jego dłoń, ale znów był tam. Powietrze chłodne jak po burzy, słońce rozjaśnia powietrze, sprzęty i ściany. Więźniowie przeciągają się, kaszlą, klną. A on jeszcze próbuje zatrzymać to ostatnie wspomnienie: schodzi z Gabi wąską ścieżką, czuje ciepło jej dłoni, czerwone słońce chowa się za horyzont...

- Jesteś z nami czy nie? - zapytał Pączek z irytacją i zaczął chodzić po gabinecie; zgarbiony, z rękami w kieszeniach. - Tak patrzę na ciebie, słucham i dochodzę do wniosku, że jesteś zgredem. Głupio cwany zgredem. Gdzie się podział ten kozak Pawcio?

Paweł westchnął błazeńsko i rozłożył ręce.

- Umarł. Nie słyszałeś o teorii, że wszystko jest oparte na siedmioletnim cyklu? Co siedem lat mamy nowe włosy...

- Nie przynudzaj! - Pączek przystanął na środku gabinetu, schylił się i zaczął rękawem koszuli czyścić prawy but.

- A skąd mam wiedzieć, czy czasami to nie jest gra? - spytał Paweł i zapragnął upić się. Teraz, natychmiast, a później ruszyć do miejsc, w których od lat gniją jego znajomi, bojący się samotnych wieczorów i przebudzeń, namiętnie dyskutujący o piłce nożnej i o tym, co złego spotkało ich od kobiet, z którymi byli. - A może udajecie antykomunistów, bo wiecie, to nie jest trudne do przewidzenia, że nastąpi czas rozliczeń, a więc trzeba być na czele... Manipulować, wziąć tę władzę, która będzie podobno leżała na ulicy. Tak zawsze działa agentura. Musi inspirować, kierować, przewidywać. Mam rację?

- Kurwa, jeszcze słowo i ci wpierdolę! - Pączek poczerwieniał na twarzy, zacisnął dłonie w pięści, zrobił kilka kroków, jakby naprawdę chciał uderzyć Pawła. - I nie będę patrzył, że znamy się tyle lat...

- W porządku, Ryszardzie - Matysik machnął ręką, spoglądając na Pawła bystro, z ciekawością. Wzrokiem kogoś, kto ma w ręku dobre karty. - Drogi Pawle, musisz nareszcie zrozumieć, że przesadna nieufność rodzi biedę i pozwala, że rządzą ludzie źli i głupi. Żyjemy w smutnym kraju, w którym odebrano ludziom radość życia i przestała obowiązywać prosta zasada sprawiedliwości. A reguła ta mówi, że ten ład można uważać za sprawiedliwy pod warunkiem, iż każdy robi to, co do niego należy i do czego został powołany. Rozumiemy się?

Milczeli. Paweł i Matysik patrzyli sobie w oczy. Gdzieś daleko przejechał pociąg. Rozległ się gwizd lokomotywy. Z góry doszedł strzęp rozmowy. „Ma być zimno” - mówił jakiś mężczyzna. „Nie, tylko jutro” - odpowiedział drugi i zaśmiał się. „Nudno jak skurwysyn”. Paweł napił się whisky. „Matysik to wcale nie wariat” - pomyślał. „To wciąż ten sam przebiegły, bezlitosny skurwysyn, który mnie bił i

przesłuchiwał. Czego on naprawdę chce? A może nie kłamie, naprawdę poszedł do ubecji, żeby być wtyką?”

- W porządku, wchodzę w to. Miałem zobaczyć Irokeza, zostałem znowu konspiratorem.

Pączek objął go i ucałował dwa razy w policzki. Później poklepał po plecach. Był wzruszony. Szklity mu się oczy.

- Nareszcie, Pawciu, mówisz jak człowiek... Możesz mieć w życiu wszystko, czego chcesz, jeśli pomożesz innym osiągnąć to, czego oni chcą. To jest nasze hasło.

- W porządku - Paweł kiwnął głową. Był pijany, ale umysł pracował mu sprawnie. Żeby zapomnieć o kłopotach, myślał o wszystkich ciekawych miejscach, w których nic był i pewnie nie będzie. - Kiedy dostanę swoją teczkę?

- Do pół roku. - odpowiedział Matysik, pisząc coś wiecznym piórem w małym, czarnym notesiku, który wyjął z marynarki.

- Jaką mam pewność, żeteczka będzie prawdziwa?

- Pawciu, nie zaczynaj! - jęknął Pączek. - Jak to sobie wyobrażasz, że ktoś będzie skrobał teraz raporty na starym papierze, podrabiał podpisy? Nie świruj nietoperza.

- Ale mam bonusa - Matysikowi śmiały się oczy. - Pozwól... Paweł podszedł do biurka.

Na widok koperty serce zabiło mu mocniej, bo od razu poznał ten charakter pisma. Rozdarł kopertę. Ze środka wypadła biała kartka z kwiatkami na marginesach.

Mój kochany Pawciu, tyle dni już Cię nie widziałam i jest mi przykro, jak sobie przypomnę, że ostatniego dnia miałeś jeden ze swoich uroczych periodów i, zamiast obsypywać, mnie czułościami, przywalileś ciężarem awantur i złych humorów. Ale trudno, taki jesteś. Widziały gały, co brały. Nareszcie robię to, co najbardziej mi odpowiada, czyli śpię dziesięć godzin na dobę, zwiedzam i jem, jem, jem. Mam się znakomicie. Miałam do Ciebie nie pisać, ale korzystam, że do

kraju jedzie pewien Polak, Broniek, i wykorzystam go jako posłańca. Ufff, nareszcie nikt (to znaczy Ty) nie przepytuje mnie, czy widziałam to, czy widziałam owo, czytałam X lub Y. Telegraficznie. Poznaje multum wpływowych ludzi. Mam pierwsze zamówienia. Kupiłam Ci skórzaną kurtkę, i piękne buty. Włoskie już wysłałam paczkę. Nareszcie uwolniłam się od Twojego przepytывania, dyktatorskich zapędów. Czuję się wolna. Wolna! No, dobrnęłam do końca stroniczki, co jest wyczynem, bo piszę wszak drobnutkim pismem. Teraz czekam na Twoje listy. Chyba że z zemsty nie przyślesz. Ale w to nie wierzę. Pozdrów Mamę i znajomych, a siebie ucałuj ode mnie bardzo mocno. Kocham Cię, mój słodki idioto. Pa, pa, pa. Niedługo wracam.

Gabi

Paweł zakasłał. Napłynęły mu łzy do oczu. Zakrył twarz dłońmi. Spadła zasłona. Poczul się nieszczęśliwy, stary i samotny.

- Proszę o przebaczenie - odezwał się Matysik i położył mu rękę na ramieniu. Jego głos był poważny, cichy.

- Do czego ci potrzebne moje przebaczenie? Przecież podobno wszystko robiłeś dla idei?

- Do normalnego życia... Grzech może być wybaczony jedynie temu, kto się do niego przyznaje. Kto żałuje i pragnie naprawić wyrządzone zło. Ja chcę przebaczenia, bo przyznałem się przed Bogiem. Chcę Bożego, ale i ludzkiego przebaczenia.

Paweł milczał. Matysik i Pączek patrzyli na niego z napięciem.

- Dobrze, przebaczam - powiedział po chwili. Huczało mu w głowie. Pot spływał z czoła. Trząsał się.

- Przebaczasz szczerze, czy po to, bym się odczepił?

- A co to ma za znaczenie?

- Dla mnie ma... Tam, gdzie człowiek podaje kłamstwo za prawdę czy też pozwala się okłamywać, tam już nie ma miejsca dla miłości ani dla przebaczenia, ani dla Boga. Pozostaje tylko śmiech diabła... Nic martw się. Ja sam załatwię Iwonę. Znajdę ją.

Paweł zapalił papierosa. On się ze mną w coś bawi, czy też pastwi? Najpierw mówi, że ojciec był szpiegiem, pokazuje, iż byłem głupkiem, a teraz daje list Gabi, który mi ukradł. Boże, jakie to żałosne. Ludzie chorują, nie mają pieniędzy, pracy, a ja przejmuję się wspomnieniami miłości. Jak gówniarz, jak sentymentalny idiota. Boże Jedyny i Ty, Tato, i wszyscy Aniołowie błagam Was, uczyńcie, aby wszystko okazało się snem, z którego zaraz się obudzę, powtarzał bezgłośnie modlitwę, którą ułożył w więzieniu, lecz bez żarliwości, bo nie wierzył, że ona coś zmieni.

Pływały mu łzy po twarzy, ale dopiero po dłuższej chwili zdał sobie z tego sprawę. Pączek nie patrzył na niego, zagryzał wargi i też wyglądał, jakby miał się rozplakać. Matysik dotknął ramienia Pawła.

- Ten list przejęła Bezpieka... Pisała do ciebie jeszcze kilka razy, ale one też nie dochodziły. Później napisali list do niej, na maszynie, bo za dużo byłoby roboty z podróbką charakteru pisma, że zrywasz z nią... Za miesiąc sfabrykowano podobny do ciebie. Pamiętasz?

- Pamiętam - odpowiedział Paweł i poczuł, że niewidoczna pętla w gardle zaciska się. Zamknął oczy. Zaraz umrę, pomyślał bez strachu.

- Bezpieka zerowała na wszelkiego rodzaju psychicznych, fizycznych i charakterologicznych urazach, zboczeniach. Potrafiła mistrzowsko grać rekwizytami świętości, posłannictwa, patriotyzmu, miłości, nienawiści, zazdrości. Byli ludźmi diabła...

- Milcz, proszę cię - powiedział Paweł cicho. Miał wrażenie, że ktoś zabrał mu całą energię. Wszystko go bolało. Nawet otwarcie ust. Czego oni chcą? W życiu nie uwierzę, że chcą ode mnie tego, co powiedzieli.

- W porządku, nie wiedziałem; że tak to przeżyjesz - Matysik usiadł za biurkiem, przeciągnął palcami po włosach, po czym zerknął na Pawła, który stał przy oknie. - To, co trzyma mnie przy życiu, to prawdziwa wiara w człowieka.

Paweł spuścił głowę. Miał już dość świdrującego wzroku Matysika. Czy on ze mnie drwi, gadając tymi patetycznymi zdaniami?

- Jedźmy, Rysiek - odezwał się po chwili. Drżały mu palce, w których trzymał papierosa. Kręciło w głowie. A może ten sukinsyn czegoś mi dosypał?

Pączek stanął przed Pawłem. Położył mu dłonie na ramionach. W jego oczach było rozbawienie. W kącikach ust uśmiech.

- Czasami zachowujesz się jak człowiek, który wygrał kupę kasy na loterii, ale boi się odebrać nagrody.

- Ta nagroda, to bycie z wami w tajemnej organizacji?

- Nie tylko.

- On mnie źle podchodzi... Takie kabotyńskie gadanie było dobre dla zapijaczonych esbeków, którzy uważali go za intelektualistę, bo nauczył się kilkunastu zdań z filozofii i mędrców buddyzmu... On obraża moją inteligencję.

- Żeby ją obrażać, trzeba ją mieć - powiedział Matysik z ziewnięciem. Na czole miał pot, co chwila pokasływał i strzepywał niewidoczne pyłki z klap marynarki. - Chcesz zdychać z głodu, żyć na marginesie, twoja sprawa. Nie ma praw człowieka ktoś, kto nie ma pieniędzy...

- Do grobu ich nie weźmiesz.

- Aaaa, dajesz do zrozumienia, że nic masz kasy, ale jesteś lepszy, mądrzejszy, świetny. To dlaczego jesteś goły w

ryj i nawet nie potrafisz zatrzymać przy sobie żadnej dupy, do której coś czujesz?!

- Nic wciskaj się - odezwał się Pączek bez gniewu; ze znudzeniem, grożąc Matysikowi palcem. - Przesadzasz, kolego, przesadzasz.

Matysik zacisnął gniewnie usta i zaczął się bawić piórem wiecznym, które wyjął z marynarki. „A więc Pączek jest nad nim” - pomyślał Paweł i napił się wody mineralnej. Przestało kręcić mu się w głowic. Nie był pijany. „Chcą wziąć mnie pod ambicję, by później zabić? Wszystko możliwe. Mój ojciec był szpiegiem, do tego zwerbował tych dwóch z piekła rodem. To niemożliwe... A dlaczego nie? Przecież go nie znałeś. Gdy wydawało się, że lada chwila coś między wami pęknie, to zaraz twój głupi gest lub słowo powodowały, że zamykał się w sobie. Tak naprawdę zacząłeś go poznawać, gdy nie żył. Strzępy rozmów, Uśmiech, listy, jakieś zdarzenie. Z portretu ślubnego wraca do ciebie z twarzą, z którą próbujesz rozmawiać w snach... Zagapił się w siebie, pytając, co tu robi, kto go zdradził i dlaczego. W czym przeszkadzałem albo kto był przekonany, że przeszkadzam? A może spałem z kobietą, na którą nic wolno mi było nawet spojrzeć, i jest to zemsta jakiegoś wpływowego faceta? Trudno, przegrałem”. Przestało go cokolwiek dziwić. Ale był przerażony. Obolały. Chory.

Nagle otworzyły się za nim drzwi.

Odwrócił się. Zmartwiało.

Przed nim stał blady Irokez, z trzęsącymi się ustami, w niebieskiej piżamie. Wolnym mchem objął Pawła. Zaczął cicho, spazmatycznie płakać...

bie, że zawsze w twojej obecności jestem nienaturalny. Tylko jak piliśmy, to szukałeś rozmowy. Mówiłeś o sobie.

Paweł machnął ręką. Powiedział prawdę, lecz ona niczego nie zmieni.

Do pokoju wszedł Matysik. Pączek odprawił go gestem dłoni.

- Zakochałeś się, ktoś cię szantażował, zostałeś hazardzistą, przegrałeś w ruletę, wpadłeś w narkotyki?! - Pączek podniósł głos, był wściekły, wyglądało na to, że zaraz uderzy Irokeza. - Co cię, kurwa, podkusiło, żeby wdepnąć w takie gówno?!

- Nie chcę o tym mówić - odparł Irokez przez zaciśnięte gardło, patrząc w bok, w ścianę.

- Musisz powiedzieć prawdę, jeśli mamy ci pomóc. Jak się idzie do lekarza, to trzeba wszystko powiedzieć... Wszystko.

- Dobrze... Chciałem mieć swoją forszę, nie być ciągle uzależnionym od ciebie. Nareszcie chciałem wam pomóc. Ja, nie wy mnie.

Pączek usiadł na łóżku. Objął Irokeza. Zaczął kołysać w swoich potężnych ramionach.

- Ty stary wariacie, coś ty nawywijał... Przecież wiesz, że traktuję cię jak brata. I tyle dla mnie zrobiłeś. Czyja żrę forszę? Jezu, coś ty nawywijał?!

- Objawienie poucza nas, że w historii jest obecna i czynna nie tylko Trójca Przenajświętsza, ale także szatan i jego diabły - odezwał się Irokez z zamkniętymi oczami, po czym wyciągnął rękę przed siebie; jednak tak mu drżała, że natychmiast ją opuścił. - Szatan, którego sam Chrystus nazwał księciem tego świata, czyli władcą. Szatan był obecny już w raju i to za jego przyczyną pierwsza ludzka para zbuntowała się przeciwko Bogu, popełniając grzech pierworodny.

Pączek wybuchnął takim śmiechem, jakby ktoś go łaskotał, kulił się przy tym w ramionach i zaciskał dłonie. Raptem pochylił się do ucha Irokeza i powiedział szeptem:

- Wszystko jest załatwione, ale musisz powiedzieć trochę szczegółów. Muszę je przekazać jako dowód, że chcesz

współpracować. Nie będziesz gadał bredni i próbował oszukiwać...

- Niczego nie chcę - odparł Irokez. Na chwilę otworzył oczy, spojrzał na Pawła i zaraz je zasłonił dłońmi.

- Przestań svirować wariata - obruszył się Pączek i wydał z siebie dźwięk przypominający warczenie psa. - Wpierniczyłeś się w aferę, wyciągnąłem cię z pudła, ale ból głowy dopiero się zaczyna, bo twoi kolesie obciążają cię.

Irokez spojrzał mu przenikliwie w oczy, śmiejąc się cicho.

- Po pierwsze uważają, że mam wariackie papiery i nic mi nie będzie.

Pokój był duży, na ścianach wisiały obrazy w złotych ramach, kopie Wojciecha Kossaka, Wierusza Kowalskiego, Olszewskiego, Setkowskiego. Na zniszczonym stoliku stała nocna lampka, leżało poukładanych w stos kilkanaście książek, kilka długopisów i plik kartek. Część zapisanych. W łóżku, pod niebieską kołdrą, leżał Irokez. Miał zamknięte oczy. Co chwila drapał się, wskazującym palcem, po lewym policzku i zanosił kaszlem. W nogach łóżka, w foteliku, siedział Paweł, obok stolika, w brzydkim skórzanym krześle Pączek, który opowiadał kolejny kawał. Opowiadając, zaśmiewał się i podrygiwał, aż trząsał mu się brzuch.

- Starzeję się, bo wspominał dzieciństwo - przerwał mu Irokez; nabrał powietrza w płuca, zatrzymał na chwilę i wypuścił. - Chłopaków z dzieciństwa... Wiecie, jak sobie radzi Kapiszon?

- Wszedł w przemyt papierosów, a później narkotyków - odpowiedział Pączek beznamiętnie, jakby czytał rozkład jazdy. - Kazali mu oddać, konkurencja, cały transport gówna, ale nie chciał. To przestrelili mu udo. Miał cukrzycę. Poszedł do piachu. Miesiąc temu byłem na pogrzebie. Też zachciało mu się być milionerem...

- A Majonez?
- Robi w policji. Od przestępstw grubszych.
- A Leszek, taki blondyn, cinkciował pod „Peweksem”?
- Ma sklep, prowadzi jego żona. Handluje leż na Stadionie Dziesięciolecia. Radzi sobie.

- A Waldek, taki chudy, z popsutymi zębami, był przez lata w Holandii?

- Zawał, leży w piachu.

- A Belzebub, But i Rudy?

- Bezrobotni - odpowiedział Paweł. - Utrzymują ich żony. Najbardziej interesują ich nowe marki piw.

- A więc powinniśmy się cieszyć - stwierdził Irokez poważnie, lecz Paweł mógłby się założyć, że dosłyszał w jego głosie rozbawienie. - Wygląda na to, że nam się pofarciło. Mamy dach nad głową i nie jesteśmy głodni... Podobno, jeśli chcesz się dowiedzieć, co Bóg sądzi o pieniądzach, to popatrz, komu je wciąż daje... A ty co naprawdę robisz, Rysiek?

- A dlaczego pytasz? - Pączek pochylił się, jakby otrzymał nagły cios w żołądek. Na jego twarzy pojawiła się czujność. - Jesteś z Urzędu Skarbowego?

- Tak się pytam... Nigdy cię nie mogłem rozgryźć. A ty, Pawciu, dlaczego milczysz?

- Bo mam kompletną pustkę w głowic... Po drugie, kiedy siedzi się w więzieniu, to można przyznać się do wielu rzeczy. Nawet do tego, że jest się dzieckiem Husajna.

Paweł raptem poczuł swoją głowę, policzki, dłonie, nogi, tak jakby nie były całością. „Są rzeczy, o których nie wolno mi wiedzieć” - pomyślał i to uspokoiło go. I nagle zobaczył kłębiaste, zimowe chmury, deszcz przetaczający się ponad górami i obrosłymi gęstym lasem wzgórzami, okrywający sinością drzewa i rzekę; usłyszał wiatr, uderzający okiennicami domku nad morzem. Przez chwilę namyślał się,

jakby to wszystko opowiedzieć, ale odezwał się tylko cicho, zachrypniętym głosem:

- Nie mów przy mnie, ale opowiedz wszystko Pączkowi. Musisz mu zaufać. Proszę cię...

Irokez zaczerwienił się. Odwrócił głowę do ściany. Zaczął coś kreślić palcem po ścianie. Milczał.

Pączek stanął przed nim. Na policzkach pokazały mu się ceglaste plamy. Potrząsnął go za ramiona.

- Bęcwale, nie rozumiesz, że chodzi o twoje życie?! Czterech koleśków próbowało wpłacić milion fałszywych dolarów w banku pod meksykańską granicą. Czegoś się przestraszyli i zaczęli uciekać. Dwóch nie żyje, pozostali zeznają, że to ty załatwiłeś te lewe dolary. Chcesz do końca życia gnić w więzieniu?! Chcesz, by Murzyni albo Portorykańczycy posuwali cię w dupała?!

Pawłów zrobiło się zimno. Wstrzymał oddech. Kim naprawdę jest Irokez? Dlaczego opowiadał te historie o agentach? A może to gra, coś udają, żeby mnie sprawdzić? Ale po co? Boże, to paranoja, czy wokół mnie nie ma już normalnych ludzi, tylko szpiedzy, wariaci, kapusie?

- Nie wiem, kto mnie wydał na świat, ani co to jest ten świat - mówił Irokez, a jego oczy miały bezmyślny wyraz. - Nie wiem, czym jest moje ciało, co zmysły, co dusza i owa część mnie, która myśli to, co ja mówię, która zastanawia się nad wszystkim i nad sobą, i która nie zna siebie, tak jak reszty. Wszystko, co wiem, to jedynie to, że mam wkrótce umrzeć. Ale co mi najbardziej nieznane, to właśnie ta śmierć, której nie sposób umknąć. Przyjdzie śmierć i będzie miała twoje oczy.

Pączek usiadł na łóżku. Położył rękę na dłoni Irokeza. Wreszcie powiedział łagodnie, jak do dziecka:

- Irokezik, to nie są żarty. Jeśli nic zaczniesz mówić, to dostaniesz w Stanach dwadzieścia lat. A jak pójdziesz na

układ, powiesz wszystko, co wiesz, kto produkował te fałszywe dolar)', to szybko wyjdiesz. I nareszcie zaczniemy żyć jak ludzie. Mam upatrzone gospodarstwo na Kujawach, sto dwadzieścia cztery hektary. Świetna ziemia. Będziemy żyli jak u Pana Boga za piecem. Przecież zawsze chciałeś, żebyśmy mieli ziemię?!

Irokez uniósł głowę i uśmiechnął się z przymusem. Przez łzy.

- To było kiedyś. Jest za późno...

- Jakie za późno?! Mówisz, co wiesz i po kłopotach... Chcesz kryć bandytów, którzy pracują dla ruskiej mafii?

- Nie chcę.

- To w Stanach zaczniesz mówić.

- Masz rację - zgodził się Irokez i zakasłał. Ale Paweł wiedział, że on boi się i że będzie mu brakowało Pączka, który osłaniał go przed kłopotami z urzędami, bezwzględny oszustami. Całym tym bagażem codziennego życia, którego nie znosił. Jak przetrwa bez Pączka?

- Nigdy jeszcze żaden łajdak nie odmówił wejścia w układy, jeśli sądził, że mogłoby go to urządzić - odezwał się Irokez, pokaszując. Czoło miał pokryte potem, trzęsły mu się ręce. - Wiem, że zostanę szmata. Trudno.

Pączek jęknął i zmarszczył brwi.

- Jezus, co ty wygadujesz? Robiłeś złe rzeczy ze złymi ludźmi i teraz przyszedł czas na katharsis. Nie używaj słów typu szmata, bo to znaczyłoby, że stajesz po stronie diabła. Tych, którzy kradną, zabijają, korumpują.

- Nie boję się śmierci, lecz tego, że będę żył za długo.

- Nie rób numerów i idź na układ. Inaczej będziesz miał przechłapanie. Czarni z fiutami jak kominy statków, smród, zamknięcie i perspektywa spędzenia tylu lat za kratami. Błagam cię: cokolwiek będziesz musiał zrobić, żeby cię nie zamknęli, zrób to!

Irokez leżał bez ruchu, wpatrzony w jakiś punkt w ścianie. Nic było wiadomo, czy w ogóle słucha. Paweł spoglądał na niego i próbował sobie przypomnieć go roześmianego, szczęśliwego, lecz nie mógł. Widział pijącego alkohol, kłócącego się z Pączkiem, idącego z białą-czerwoną flagą na czele demonstracji w osiemdziesiątym czwartym roku, drukującego ulotki, grającego w piłkę. Dopiero po dłuższej chwili szedł szybkim krokiem, padał jesienny deszcz, w którymś z mieszkań trwała zabawa; śpiewał rzewnie Bob Dylan, ludzie krzyczeli, śmiali się. Od jej dłoni, ściskającej jego, biło ciepło. Irokez opowiadał o dziewczynie, z którą się spotykał. Gabi śmiała się. W szybie wystawowej sklepu z butami dostrzegł swoje odbicie. Pozlepiane, długie włosy przykleiły się do głowy. „Żałosny facet” - pomyślał o sobie.

- Dotknij włosów i wyjmij z nich wspomnienia - wyszeptał mu do ucha Irokez, stając obok. Przez chwilę patrzyli na swoje odbicia, wykrzywając się. Gabi stała z boku, kuląc się i ze zmarszczonym nosem spoglądając w niebo. - Pawciu, jesteśmy bogaczami.

- Bo jesteśmy młodzi, tak?

- Mamy kupę forsy - oczy Irokeza śmiały się radośnie. Nadal mówił szeptem, ledwo otwierając usta. - Odkryłem w łazience mojego zmarłego wuja fałszywą rurę kanalizacyjną, rozwalilem ją i co w niej było? Trzydzieści złotych dwudziestodolarówek.

- Jeżeli sprawdzasz na mnie, czy jesteś dobrym kłamcą, to od razu melduję, że nie kupuję tej historii. Przecież nie umiesz nawet przybić gwoźdźca...

- Mamy forszę na obrót. Możemy handlować samochodami, kosmetykami, przywozić perfumy z Zachodu i buty. Co chcemy. Wszystkim zajmie się Pączek. Kurna ole, Pawciu, jesteśmy urodzeni dla wielkich przestrzeni. Dla miejsc, gdzie facet jest facetem, a nie niewolnikiem.

Spojrzeni na siebie i zaczęli się śmiać. To niesamowite, pomyślał, tyle razy czytaliśmy o skarbach, marzyliśmy, by je znaleźć, szukaliśmy, kopiąc doły w Lasku Bielańskim, i bęc, ziściły się dziecinne marzenia.

- Z czego się tak cieszyacie? - Gabi uśmiechała się, jej oczy błyszczały jak wypolerowane bursztyny.

- Z życia, z życia! - Irokez podniósł ręce, łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. - Gdy znudzi ci się Pawcio, to natychmiast się z tobą ożenię. Będę cię wielbił jak księżniczkę z bajki. Nawet będę sprzątał dom i gotował obiady. Co ja mówię, będziesz miała gromadę służących i srebrną limuzynę...

- Irokez, podkochiwałeś się w Gabi?

Irokez zerknął na Pawła z rozbawieniem. Później na Pączka, który stał na środku pokoju, nie patrząc na nich i zagryzając wargi, jakby walczył z chęcią rozplakania się.

- Wszyscy się w niej bujali. Nawet Marek. Ale wybrała ciebie. Prawdę mówiąc, to nie wiem dlaczego.

- Bo nie recytowałem wierszy i nic cytowałem filozofów.

Spojrzeni na siebie wszyscy trzej i zaczęli się śmiać. Ale Irokez zaraz się rozkasłał. Rzęziło mu w płucach. Dlaczego zadał się z bandytami? Kazali mu, ktoś go szantażował? A może lubi ryzyko, podwyższoną adrenalinę jak hazardzista? Dał się podejść i wpadł po uszy w kłopoty. Sprzedał się. Człowiek o ilorazie inteligencji geniusza.

- Mówisz wszystko, co wiesz, tak? - Pączek spoglądał z napięciem na Irokeza, który znów leżał z zamkniętymi oczami. Jego dłonie skubały koronkę poszwy kołdry. - Nie wywiniesz numeru?

- A co będzie, kiedy ujawnię nazwiska, kanały przerzutowe, schemat i raptem dowiecie się, że popełniłem samobójstwo? - spytał Irokez chrapliwie, rozciągając sylaby. - W dodatku wszystkie najważniejsze dowody znikną... Taśmy,

kasety, ludzie, którzy mnie przesłuchiwali. Na przykład utopia się, zginą w wypadkach samochodowych, co?

Paweł spoglądał na niego z napięciem, prawie wstrzymując oddech. I nagle usłyszał głos ojca, zdawało mu się, że przemówił gdzieś z sufitu: „Nie przejmuj się. Wszystko się ułoży. Spokojnie”. Wzdrygnął się. „Dostaję świra” - pomyślał.

- Nie masz wyjścia - odezwał się Pączek poważnie, spoglądając prosto w oczy Irokezowi, który patrzył na niego w zamyśleniu, bez strachu.

- Ale w to są zaplątani potężni ludzie... Politycy, biznesmeni, policjanci, sędziowie. I to z różnych krajów.

- Jak ich poznałeś? - wyrwało się Pawłowi i zaraz pożałował tego pytania; w głowę i nogi wbiły mu się tysiące igieł.

Z głębi domu doszedł na mgnienie męski śmiech i strzęp angielskiej piosenki.

- Zdrada, w swoim grzechowi przeciw duchowi, sprowadza człowieka w piekielny krąg absolutnej samotności, w której ani ojciec, ani kochanka, dziecko czy przyjaciel, choćby najbardziej litościwy, nie może udzielić łaski rozgrzeszenia.

Irokez podniósł głowę i zobaczyli, że płacze.

- Jaka to zdrada? - obruszył się Paweł, ale zrobił to odruchowo, bez przekonania.

- Gdy mnie zamknęli w areszcie, to taki wyrokowiec, cały potatuowany, zawołał mnie po zgaszeniu światła. Rozmawialiśmy... I kazał mi wziąć się za ptaka. Nie chciałem, to postraszył, że mnie pobije. Potem kazał wziąć do ust. Później kazał zrobić to innym... Jadłem na betonie, koło kibla. Dostałem też pryczę przy sraczu. Od tej pory gardzę sobą. Zgnoili mnie...

Paweł przestał słuchać. Dwa obrazy, przesuwające się i nakładające na siebie, pojawiały mu się przed oczami: matka wykładająca jabłka na stoliku w sali widzeń i on obejmujący ją. A później leży bez ruchu, z łomoczącym sercem, prawie nie oddychając. „Kładę lachę na was wszystkich” - mamrocze Józef przez sen.

- Zaproponowali mi współpracę. Podpisałem, ale zastrzegłem, że nie będę kapował. Przyjęli. Pisałem opracowania, opisywałem to, co ja zrobiłbym, gdybym rządził. Spotykałem się w lokalach operacyjnych... Ten podpis jest jak cyrograf, bo obowiązuje do końca życia. A nawet po śmierci, bo wszystko zostaje w papierach, teczkach. Człowiek, który coś takiego podpisał, został konfidentem, jest naznaczony... Można mu kazać zrobić wszystko, bo ma się niego haka. Chyba że postanowi spalić siebie, ujawnić, że jest czy był kapusiem. Ale ja nie słyszałem o takim wypadku. A nawet, jeżeli jakiś głupek to robi, to jeszcze pozostaje ujawnienie, jakie były haki. To, że lubił młode dziewczyny, chociaż był zawziętym katolikiem, albo chłopaczków, zdradzał żonę, coś ukradł. Na mnie mieli, co mnie spotkało w więzieniu i to, że później zostałem kapusiem.

Irokez odwrócił głowę do ściany. Otarł łzy. Pączek usiadł w fotelu. Spuścił głowę i zakrył rękami twarz. Paweł siedział jak zahipnotyzowany. Patrzył na Pączka, ale go nie widział. Najchętniej wyszedłby i próbował udawać, że niczego nie słyszał i o niczym nie wie.

Irokez co chwila kasłał. Był coraz bledszy. Wreszcie zapytał:

- Kłamstwo jest wadą, gdy czyni zło, prawda?
- No pewnie - odparł Pączek, lecz zrobił to odruchowo, bez przekonania, po czym spojrzał zdezorientowany na Pawła.
- Wiesz, jednak na twoim miejscu, w takiej sytuacji, w jakiej jesteś, nie traciłbym czasu na filozofowanie.

- Co będzie dalej? - zapytał Paweł bezradnie. Irokez rozłożył ręce, nie otwierając oczu.

- Chaos, głód, później anarchia i zapanuje komunizm. Na chwilę.

- Bzdury! - rozłościł się Pączek. - Komuna padła, zawałiła się jak wieże w Nowym Jorku.

- Mylisz się... Komunizm tworzy struktury; które żyją z niszczenia innych. To jest choroba, która rozprzestrzenia się i ma swoje chwile uśpienia. W komunizmie było genialne to, że korzystał z ciemnej strony ludzkiej osobowości i ciemnej strony myślenia społecznego. Każdy woli mieć i nie pracować. Mieć władzę, a nie odpowiadać za nią.

Paweł wstał. Zrobił kilka kroków. Rosła złość. Co mnie obchodzi to, co będzie za ileś lat? Realność to fakt, że Irokez przyznał się, że był konfidentem i wpakował w brudne interesy.

- Co będzie ze mną, chłopaki? - w spojrzeniu Irokeza była męka i strach, i znużenie zaszczutego zwierzęcia, i gdzieś też iskierka nadziei.

- Chodź, stary wariacie - powiedział Paweł, siląc się na wesołość. Pochylił się nad Irokezem i zobaczył, że jego stary kumpel, który bezbłędnie podrabiał podpisy nauczycieli i zawsze znalazł sposób, żeby on mógł ściągnąć na klasówce z matematyki i który nauczył go czytać książki i pływać, (zobacz)!', że ten stary kumpel płacze. Pogłaskał go delikatnie po włosach i ucałował w policzki. A później szepnął do ucha, przez łzy: - Kochamy cię, Irokez... Nie daj się. Błagam cię.

Już nigdy nie zobaczyli Irokeza. A kiedy Paweł pytał Pączka o niego, ten odpowiadał, że wyszedł z więzienia i gdzieś żyje, po czym mówił o czymś innym. Często śnił się Pawłowi. Nigdy jako dziecko, czy młody chłopak. Zawsze jako łysiejący, chudy mężczyzna przed pięćdziesiątką. Tak, jak wyglądał W tej dziwnej willi, nic wiadomo czyjej. Dopiero

w dzień przed wigilią, w 2002 roku, zatelefonował jakiś mężczyzna i powiedział, że na wycieraczkę jest list. Paweł trzymał kartkę w palcach, czuł lęk i wzruszenie, i znów leżał na rozgrzanej ziemi, pachniała trawa i mleczko, po niebie przetaczały się chmury i samoloty, a obok leżał Irokez i opowiadał o plemionach indiańskich, ukrytych skarbach, tajemniczych bóstwach. „Przepraszam cię, stary wariacie” - mówił Paweł szeptem, hamując łzy.

Pawciu!

Przepraszam, że tak długo się nie odzywałem, ale wiesz, że nie mogłem. Było, minęło. Za wszystko się w życiu płaci. „Potem rzekł do swoich uczniów: Dlatego powiadam wam: nie troszczcie się zbyt o życie, co macie jeść, ani o ciało, czym macie się przyodziać. Życie bowiem więcej niż pokarm, a ciało więcej niż odzienie” (Ewangelia wg św. Łukasza). Na razie chodzę, pływam, myślę. Wyobraź sobie, że nawet zacząłem malować i rysować. Akwarelkami, ale zawsze. Pejzaże. Próbuję wspominać nasze dzieciństwo i młodość, ale bardzo mało pamiętam. Właściwie nic. Czy mieliśmy jakieś wstrząsające zdarzenia? Nawet nie zabijaliśmy żab, nie dręczyliśmy kotów ani psoty. Graliśmy w piłkę, jeździliśmy na wycieczki, wakacje, piliśmy wino, słuchaliśmy muzyki, macaliśmy się z dziewczynami. Dopiero później zaczął się kocioł. To nasze pisemko, drukowanie, kolportaż, tropienie przez służbę bezpieczeństwa. Jeszcze raz przepraszam, że byłem konfidentem, jeszcze raz przysięgam, że nikomu nie zrobiłem krzywdy, nikogo nie zakapowałem. Popatrz, kto najczęściej zyskał na rozwiązaniu komuny, PZPR? Sami komuniści. Są lub byli premierami, ministrami, posłami, senatorami, zasiadają w zarządach i radach nadzorczych spółek skarbu państwa, mają latyfundia i tysiące interesów. Gdybym wiedział, kto na tym zyska, to bym wyemigrował pod koniec lat siedemdziesiątych. Ale stało się...

Dochodzę do siebie. Czuję się tak, jakby moje sumienie zostało ogłuszone. Nie mogę narzekać. Nawet mi się udało. Może ten nowy Irokez pojmie i to, że człowiek może być dobry i czuły, i uczciwy, chociaż jest brzydki i niezdarny, głupi i niewykształcony, wyobcowany i Wystawiony na pośmiewisko? Że kaleki człowiek potrafi zmienić swoje wzgardzone serce w delikatną koronę marzeń. I że nawet laki człowiek nie żyje na próżno.

Śmierć dla wszystkich ma jedno spojrzenie. Przyjdzie śmierć i będzie miała twoje oczy. Będzie tak, jakby się zerwało z nalogiem, jakby zobaczyć nagle w lustrze odbicie czyjeś zmarłej twarzy, jakby nasłuchiwać ust zamkniętych. Zstąpimy w czeluść niemi.

(Cesar e Pavese)

Wiem, że powinienem napisać, co się ze mną działo. Dlaczego znikalem, z jakimi ludźmi się kontaktowałem itp. Ud. Ale nie mogę.

Pawciu, cóż mogę Ci życzyć? Przede wszystkim zdrowia i spokoju. No i wspaniałej kobiety. Ale tego byłoby już za dużo, jak dla jednego człowieka. A może jesteś wybrańcem i będziesz miał to wszystko? Daj Boże. Strasznie chciałbym, żebyś był z Gabi.

Jezu, jakie to byłoby piękne! Nie wiem, co napisać, co zrobić. Udało mi się przekonać „moich opiekunów”, że ten list napiszę odręcznie. Nie przesłany pocztą elektroniczną. Chciałem, żeby był on Judzki”. Kończę, bo zaczynam bełkotać. „A o cokolwiek prosić będziecie w imię moje, to uczynię, aby Ojciec był otoczony chwałą tu Synu. O cokolwiek prosić Mnie będziecie w imię moje, Ja to spełnię”. (Ewangelia wg św. Jana).

PS Proszę, zniszcz ten - list. Słowo, że jestem zadowolony, że nie jestem w Polsce. Polacy to przetrąceni przez komunizm ludzie. Muszą minąć wieki, całe pokolenia,

żeby wyzwolili się od choroby. I ja, żyjąc tu Polsce, byłbym coraz bardziej chory. Petunie zwariowałbym do końca. Może wysadziłbym się w powietrze, może kogoś? Nigdy nie byłem pewny siebie. Bałem się braku akceptacji i tego, że zawiodę się na ludziach, którym ufam. (Patrz, jaka ironia, że to oni zawiedli się na mnie.) Jestem bardziej wyrozumiały dla siebie i innych. Mam coraz mniej nienawiści do świata, I próbuję doszukiwać się w ludziach czegoś dobrego.

Oprócz leniuchowania, spacerów i malowania, pracuję nad testem, sprawdzianem, który pozwoliłby rozpoznać psychopatów. Wiadomo, że mają oni inną konstrukcję psychiczną. Wyobraź sobie, że reagowaliby na słowa. Co to by dało? Rozpoznawanie psychopatów, następnie odseparowywanie ich od społeczeństwa. W obozach, miasteczkach. Może niektórych trzeba byłoby eliminować fizycznie? Nieprawdopodobne oszczędności, które nie byłyby już przeznaczane na policję, sądy, prokuratury. Co Ty na to? Prawda, że proste i efektywne?

Ściskam Cię, stary przyjacielu. Znajdź tu sobie spokój, Maluj, nie pij, wystrzegaj się złych ludzi, nie goń za pieniędzmi, nie szukaj na siłę miłości. Żyj.

XII

Siąpił deszcz. Wiatr szarpał biało-czerwonymi flagami i transparentami. Wśród tłumu, który co chwila skandował: „Precz z komuną”, przeciskały się ekipy telewizyjne, błyskały flesze fotoreporterów. Paweł, Marek i Reżyser stali w bramie starego domu, obserwując w milczeniu demonstrantów. Ludzie kulili się z zimna, szukali znajomych, wykrzykiwali imiona i pseudonimy. Znali się od lat, brali udział w każdej demonstracji, walce z ZOMO lub milicją. Brama była ciemna, śmierdziało moczem, wałały się puszki po piwie i butelki po najtańszych winach.

- Po co się tutaj umówiłeś? Jesteś masochistą? - zapytał Paweł z rozdrażnieniem, bo nigdy nie czuł się dobrze w tłumie, poza tym nie lubił przywoływać lat, kiedy w czwórkę brali udział w każdej demonstracji w Warszawie. To były wspomnienia, które uświadamiały, że wcale nie jest się zwycięzcą.

- Wiesz, ja się nie prosiłem, to pan mi zaproponował ten film - odpowiedział Marek ze zmieszaniem i zaczął poprawiać na sobie amerykańską, wojskową kurtkę, którą zawsze kiedyś zakładał na demonstracje. Miała pełno kieszeni, do których można było schować setki ulotek.

Reżyser złapał Pawła za rękę. Pochylił się. Śmierdział wódką i papierosami. Paweł odsunął się ze wstrętem.

- Kurwa, umyj zęby, bo z ust leci ci smród jak z szamba.

- Ty też weźmiesz udział. - Reżyser udawał, że nie usłyszał tego, co powiedział Paweł. Mówił coraz szybciej, gubiąc końcówki: - Zapytam, czy nie żałujecie tego konspirowania. Teraz, po tym, co wicie, przeżyliście w okresie transformacji, no i że znowu rządzą komuniści. Przecież wszyscy wiedzą, że „Solidarność” niczego nie zmieniła i była manipulowana przez komuchów...

- Dla kogo robisz ten film? - spytał Paweł, hamując złość i patrząc w okno na drugim piętrze, w którym paliło się światło. To mieszkanie, pod koniec lat siedemdziesiątych, wynajmował Irokez. Wtedy ciągle pili wino, rozmawiali o pieniądzach, planach na przyszłość i dziewczynach, z którymi ostatnio spali. Czasami o piłce nożnej. Ale tylko Paweł z Markiem. Irokez, kiedy był pijany, zawsze recytował po angielsku *Raj utracony* Milтона albo naśladował sposób mówienia Gierka. Pączek zaś na okrągło liczył pieniądze i sprowadzał ze Spatifu młode aktorki, którym mówił, że pracuje w telewizji, i dlatego miał największe powodzenie. Raz w miesiącu jeździli do Budapesztu albo Wiednia,

przywożąc materiały na ubrania, dzinsy, buty, kosmetyki. W tamtych czasach byli bogaczami.

- Dla Francuzów. Głównym bohaterem jest pan Marek. Pierwszy dzień zdjęciowy był na bankiecie u Pączka. Pamiętasz, ten bydlak upił się i wrzucił mnie do basenu?

- Szkoda, że cię nie utopił! - rzucił Paweł, bo nie lubił Reżysera.

- Głupie żarty.

- Marek, jakim cudem dostaliśmy bez kłopotów paszporty? - zapytał Paweł, próbując myśleć o życiu, które prowadził, nim spotkał Gabi; przypomnieć sobie zdarzenia, dziewczyny, z którymi spał. Ale tamte czasy wydały mu się tak odległe jak dzieciństwo.

- Pączek załatwił za łapówkę. Trzysta dolarów za jeden. Pamiętaj o przeliczniku. Za pięćdziesiąt dolarów można było żyć jak lord Cox.

Znowu Pączek, pomyślał Paweł. Na kłopoty i sytuacje beznadziejne zawsze Pączek. Kim on jest naprawdę? A jeśli rzeczywiście mój stary był szpiegiem i zwerbował ich?

- Świetnie! - ucieszył się Reżyser. - Opowiedzcie o tej łapówce za paszport. Niech widz zachodni uprzytomni sobie, jak komuniści łamali elementarne prawa człowieka.

- Pierdol się - powiedział Paweł i urwał na chwilę, czekając, aż wybrzmia jego słowa. - Nie mam zamiaru występować w twoim filmie.

- A to dlaczego?

- Bo cię nie lubię. Przez takich jak ty, złodziei i przybłędów, jest ten cały gnój.

- Pogięło cię? - zdziwił się Reżyser. - A może jesteś zaprawiony? - rozkasłał się, spoglądając nerwowo na boki. Co chwila ktoś go potrącał. Obok niego stał znudzony operator, trzymając na ramieniu kamerę, i niski, łysy dźwiękowiec, uśmiechając się. Paweł znał jego szwagra i od niego wiedział,

że był on aktywistą partyjnym w telewizji i współpracował z bezpieką. Na początku lat dziewięćdziesiątych założył firmę i pracował głównie dla zachodnich ekip telewizyjnych. Był alkoholiczkiem, ale zawsze miał zajęcie. Pomagały mu stare układy i to, że dawał dwadzieścia procent swojego honorarium każdemu, kto załatwiał mu pracę.

- Czy nie możesz zrozumieć, że cię nie znoszę?! - Paweł podniósł głos. Zaprażył się wymyślać Reżysera, uderzyć, przegonić. „To na bank jest kapuś” - pomyślał i uspokoił się. „Lepiej nie mieć kłopotów. Ta menda jest mściwa”.

- Panowie, spokój, szkoda nerwów - odezwał się Dźwiękowiec pojednawczo. - Panie Marku, jak to wszystko się skończy? Ta cała rozpierducha? Raz rządzi prawica, to znów lewica, do tego swoje pięć groszy dorzucają księża. Zwariować można. Ktoś jest ministrem, a za chwilę bezrobotny. Nawet na papierosy i browar nie ma. Sam znam takiego. Burdel.

- Nie wiem - Marek rozłożył ręce i wtulił głowę w ramiona, uśmiechając się z zażenowaniem. - Wiem tylko to, że politycy to ludzie bez sumienia. Mają gdzieś to, co myślą zwykli ludzie. Ich obchodzi pieniądze, władza, zaszczyty. Ciągłe zakładają nowe partie. Ale ludzie to kupują, dają się nabierać. Wierzą, że właśnie ta nowa partia zrobi porządek, da pracę i sprawiedliwość. Dwa, trzy lata pohałasuje, rozwiąże się i zaraz powstanie nowa. Na przykład Partia Pociętych Parasoli.

- Kapitalne porównanie - zaśmiał się Dźwiękowiec.

- Łysy, wierzysz w Boga? - zapytał Paweł i tym razem się nie wahał. Wiedział, co ma zrobić i że zrobi to.

- Tak.

- Jesteś idiotą, kłamcą, czy tylko boisz się śmierci?

- Romek, nie zwracaj na niego uwagi! - roześmiał się Reżyser. - To czubek. Znam go od lat...

- A dlaczego pan pyta o tak osobiste sprawy? - na twarzy Dźwiękowca pojawiła się czujność; wiatr rozwiewał mu rzadkie, ufarbowane na rudo włosy.

- Bo kurwo, kapusiu, modłę się o dzień, kiedy tacy jak ty, będą wisieć - Paweł mówił cicho, akcentując niektóre słowa. Czuł, że znalazł właściwy ton i przeniknęło go raptem szczęście, jak gdyby zdołał przekroczyć jakąś wewnętrzną barierę. - Przez takich jak ty, degeneratów i gnidy, żyjemy w kraju, który nigdy nie dogoni świata, a ja boję się nędzy i choroby. A ty, kurwo, nie masz żadnych wyrzutów sumienia i gdyby kazali ci kapować i zabijać, to znów byś to robił.

- Super! Perfect! - Reżyser zaklaskał w dłonie. - Możesz powtórzyć do kamery?

Dźwiękowiec zwięził oczy w szparki.

- Przesadziłeś, koleś! Zapomniałeś, że człowiek nie rodzi się nieśmiertelny.

- To są groźby karalne - odezwał się Marek, pokaszując. - Chyba wie pan, co mówi?

Rozległ się wybuchy petard. Tłum zafalował.

- Do roboty, do roboty! - Reżyser zatarł radośnie dłonie. - Za piętnaście minut w tym samym miejscu. Pasuje?

Marek skinął głową. Reżyser pobiegł chodnikiem w stronę Sejmu. Za nim dźwiękowiec i operator.

Co chwila wybuchały petardy. Tłum, przeważnie starzy, biednie ubrani ludzie, zaczął iść w kierunku Sejmu. Wielu trzymało w rękach drewniane krzyże z ukrzyżowanym Chrystusem. Zaczęli śpiewać, fałszując, hymn. Szli krok za krokiem, jak za trumną.

- Nie mogę na to patrzeć - odezwał się Marek, zapalając papierosa. - Wszystko poszło się jebać. Uczciwi żyją w nędzy, skurwysyny w dostatku i mają władzę. Jeśli chcesz żyć w Polsce, to nie doczekasz się normalności. Dlatego emigruję do Stanów.

- Czy mój ojciec cię zwerbował? - zapytał Paweł, sam zdziwiony swoim pytaniem.

Marek zapiął kurtkę. Wiatr zacinał deszczem. Odbijał się od ścian.

- Pawciu, nie wygłupiaj się - Marek poklepał Pawła po ramieniu i roześmiał się. - Za dużo naoglądałeś się filmów...

- Dobra, dobra. I tak wiem, że macie swoje tajemnice. Ty, Pączek, Irokez. Okej, jestem naiwny. Mogę być też głupi. Wiesz, niedawno dowiedziałem się, że mój ojciec był szpiegiem - Paweł urwał, wziął głęboki oddech i znowu się zatrzymał, jak gdyby powtarzając w myśli zdania, które miał wypowiedzieć. - Tylko nie wiem czyim. Na pewno nie ruskim. Słowo... Mówiłeś, że znasz swoją teczkę. Niczego nie przeczytałeś o moim ojcu?

Marek zapatrzył się na maszerujący tłum. Niektórzy machali do niego albo kłaniali się. „Precz z komuną, precz z komuną” - dochodziło skandowanie spod Sejmu.

- Wierzysz temu, kto to powiedział?

- Absolutnie.

- Na jakiej podstawie?

- Bo go znam wiele lat i nigdy mnie nie zawiódł.

- To po co pytasz jeszcze mnie?

- Na wszelki wypadek... Nie pytasz, kto mi to powiedział?

- Mniej wiesz, masz mniej kłopotów... Z mojej teczki nie wynikało, żeby twój stary był czymś szpiegiem.

- Słowo?

Marek spojrzał mu prosto w oczy. Na mgnienie na jego twarzy pojawiło się wahanie.

- Słowo.

- A ilu kapowało z naszego otoczenia?

- Nie dostałem wszystkich materiałów. W osiemdziesiątym dziewiątym roku prawie wszystkie materiały

operacyjne, dotyczące podziemnych wydawnictw, zostały zniszczone. Kapowała moja Anka, taki kolporter Janek...

- Janek... Nie pamiętam.

- Taki blondasek. Szybko zniknął. Na początku stanu wojennego był internowany i wtedy podpisał współpracę. Kto jeszcze? Waliza, drukarz. Gruby, drukarz. Piwosz, elektronik, trochę dla nas pisał. Właściciele trzech mieszkań, z których korzystaliśmy. Jeszcze Świder i Hipis, ten co miał włosy prawie do pasa. Oni zaczęli kapować po wpadce „Radia Solidarność”. Byliśmy namierzeni dokładnie...

- To dlaczego nas od razu nie rozpędzili, nie wsadzili?

- Nie wiem.

- A może ktoś nas chronił?

- Może.

- A Irokez?

- Nic kapował. Pisał jakieś opracowania. Ale nikt przez niego nic poszedł siedzieć i nie miał kłopotów...

- Co się z nim dzieje?

- Nie wiem - odparł szybko Marek, a Paweł pomyślał, że wie, tylko nie chce powiedzieć. - On się wpakował w jakieś kryminalne historie. Nie wiem jakie i nie chcę wiedzieć... Dlaczego stałeś się taki ciekawy?

Paweł przydeptał butem papierosa. Rozlewało się w nim przygnębienie, które nic pozwalało mówić. Cholera, nie wziąłem proszków uspokajających, pomyślał i zapragnął natychmiast odejść, nawet nie pożegnać się z Markiem. Zrobiło mu się słabo. Spocił się. Przykucnął, biorąc głębokie oddechy. Marek położył mu dłoń na ramieniu.

- Serce?

- Nie wiem... Pewnie nerwy.

- Przyjedziesz do mnie do Stanów, do Los Angeles, to od razu odżyjesz. Słońce, morze, spokój. Jeszcze załatwię ci miłą dziewczynę...

- Dziękuję, postoję.
- A co, stałeś się postępowy i przerzuciłeś na chłopaków?
- Nic wygłupiaj się. W każdej babie, która się obok mnie pojawia, widzę szpiega, kapusia albo bandytę... Uważasz mnie za naiwniaka?

- Nie, a dlaczego pytasz?

- Bo ciągle ktoś mnie oszukuje, przekręca.

Znowu zaczęły wybuchać petardy. Ktoś coś mówił przez megafon. Rozległy się gwizdy i skandowanie: „Wczoraj Moskwa, dziś Bruksela”.

Paweł podniósł się. Wziął kilka głębokich oddechów. Otarł chusteczką twarz. „Co się stało ze mną, chłopakami, znajomymi? A może byłem ślepy na coś, co zawsze było?” Przeszli kilkanaście kroków i usiedli na odrapanej ławce. Obok leżały cegły, potłuczone butelki, sterta gruzów, rozerwana kołdra.

Marek wyjął zza pazuchy piersiówkę.

- Nalewka. Sam robiłem. Dobrze ci zrobi... Działa rozkurczowo. Paweł napił się. Rozkasłał. Alkohol smagnał gorącym żołądek. Oddał Markowi, który pił o wiele dłużej, po czym schował piersiówkę do kurtki.

- Złożyłem podanie o teczkę... Moją i rodziców. Odpisali, że będę czekał od kilku do kilkunastu miesięcy.

- To znaczy, że będziesz czekał dłużej niż kilkanaście miesięcy. A może komuchy zmieniają prawo i nie będzie można przeczytać swojej teczki?

Przez chwilę milczeli, patrząc na ludzi, którzy szli pod Sejm. Waliły petardy, dym łzawił oczy.

- Nie chciałbym, żeby okazało się, że Gabi kapowała. Tylko to, by mnie podłamało...

- I co to da, że przeczytasz swoją teczkę? Niczego, bo już niczego nie można cofnąć. Twoje nieszczęścia, przez to, że ktoś na ciebie kapował, już się wydarzyły. A to, że może

dowiesz się nazwisk, też niczego nie zmieni, bo ci ludzie, którzy na ciebie kapowali, mają w dupie, czy ty wiesz, co oni robili... Nic im nie możesz zrobić... Ani wsadzić do więzienia, ani wydebić odszkodowania. Tylko możesz zabić, ale tego nie zrobisz...

- A może jednak przeczytam coś takiego, że się wkurwię. I sam rozwalę albo zapłacę...

- Nie gadaj bzdur. Dlaczego miałbyś ukarać właśnie kapusiów? A co z tymi, którzy ich szkolili, prowadzili, dawali rozkazy? To oni mają wiedzę, haki, bawią się w polityków, biznesmenów. Starzy duże emerytury...

- To co, siedzieć cicho na dupie?

- Chyba czekać na cud. Ja z tego bajzlu wychodzę. Ryba psuje się od głowy. Politycy, sędziowie, prokuratorzy, policjanci, urzędnicy tacy są, jakie jest społeczeństwo. Banalna prawda. Polacy są chorzy. Od wieków sami nie rządzą. Nie było czasu, żeby wykształciły się struktury... Polska była wolna niecałe dwadzieścia lat. I wtedy był też burdel. A jeszcze do tego Polacy uważają siebie za najmądrzejszych, najcwańszych, najodważniejszych. Ci, którzy zniszczyli państwo, wysługiwali się Moskwie, kradli, prześladowali, kłamali, jeżdżą dobrymi samochodami, mieszkają w pięknych domach, mają dobre posady, interesy, łożą na przyjęcia, są pokazywani w kolorowych pismach, stacjach telewizyjnych. Co ma na to powiedzieć zwykły człowiek, który zarabia grosze albo jest bezrobotny? Nienawidzić i tęsknić za komuną, w której miał pracę i jakieś pieniądze... Przyjedź do mnie, mówię ci, tam poczujesz się lepiej. Możesz sobie malować, rysować, robić grafikę komputerową, dorobić gdzieś jako ogrodnik, malarz pokojowy. Będiesz wolny i nie będziesz bał się o jutro.

Paweł zamknął oczy. Ból rozsadzał mu głowę. Nogi wydawały się jakby wypełnione mokrym piaskiem. „Dlaczego

mam wierzyć Markowi? Przecież Irokez twierdził, że Marek jest agentem. Dobrze, ale czym? Jezu, dostaję paranoi”. W ciszy, która nagle zapanowała, słyszał bicie własnego serca. „Co ja tu robię, na tej ławce, w tym syfie?”

- Ale dlaczego nie powiedziałeś tego publicznie? W Sejmie, w wywiadzie prasowym, w jakimś telewizyjnym programie na żywo?

Marek wstał z ławki. Czubkiem buta uderzył kilka razy w puszkę po piwie, po czym spojrzał nagle prosto w oczy Pawłowi.

- Z głupoty i trochę z tchórzostwa. Myślałem, że to się zmieni. Powoli, lecz zmieni. Demokratycznie, z pomocą parlamentu, sądów, prokuratury, mediów będziemy wychodzili z komunizmu. Poza tym bałem się, że jak zacznę mówić prawdę, podskakiwać, to będę szkodził swoim. Dam argumenty wrogom. No i ciągle miałem cykora, że wtedy czerwoni wywloką sprawę Anki. Gdzieś opiszą, że była kapusiem. I to ochłapie mnie. Bo skoro ona, to może i ja. Pączek ma rację. Był ze mnie gówniany poseł. Były grupki, które rządziły, a ja nie byłem z żadną związany. Jedna rządziła telekomunikacją, druga rolnictwem, trzecia spółkami węglowymi i paliwami. Kilkunastu takich jak ja snuło się bez celu po Sejmie, coraz bardziej zdołowanych i gardzących sobą...

- Czyli to dobrze, że rządzą komuniści? - spytał Paweł zaczepnie, podniesionym głosem. Znow poczęły dochodzić odgłosy wybuchających petard i skandowanie tłumu „Precz z komuną”.

- Oczywiście, że dobrze... Postkomuniści skompromitują się zupełnie. Wmówili ludziom, że są świetnymi fachowcami, wiedzą, jak rządzić, co zrobić, by nie było bezrobocia, ruszyła gospodarka, jak wsadzić do pierdła bandytów. Tego nie robią, bo tego nie umieją. Nie mają żadnego pomysłu i sami

są umoczeni w afery, mafię, przekręty... Ich pomysłem jest jak najwięcej zdobyć dla siebie, zachachmęcić, ukraść. Oni są tylko mistrzami w gnojeniu przeciwników. Tego nauczyli się w różnych organizacjach. Na czym może się znać absolwent szkoły partyjnej przy Komitecie Centralnym PZPR albo klient uczący przez lata o wyższości realnego socjalizmu nad kapitalizmem? Na niczym. AWS to była zbieranina, która nawet nie przypuszczała, że tak wygra. Do Sejmu powchodzili klienci, na których głosowało w porywach dwustu ludzi. Dzięki liście krajowej. I to głównie oni postanowili wyrwać, co się da. Powsadzać koleśków do rad nadzorczych, zarządów, instytucji. Mieć z tego kasę. Bo oni dawali im miesięcznie po dziesięć procent zarobków. A do tego dochodziły przetargi, prywatyzacja. AWS to była zbieranina, jak na meczu piłkarskim. Ale SLD to nie miszmasz. Towarzysze znają się od lat. Mają identyczne życiorysy, układy, podobne grzechy na sumieniu, poglądy, zainteresowania. I chcą ustawić się do końca życia. Chcą stworzyć imperia... Reklamowe, medialne, paliwowe, rolnicze, biopaliwowe. Chcą stać się oligarchami. Zmieniają się rządy, a oni będą mieli wpływy, kasę i haki. Haki z przeszłości i teraźniejsze. Bo z towarzyszami są byli ubecy, milicjanci, wojskowi, ale też i aktualni policjanci, ludzie ze służb, wojska.

Paweł milczał, patrząc bezmyślnie na ścianę bramy, na której ktoś nasmarował sprayem „Jedź bogatych”. Popadł w bezwład, jak gdyby wydostał się ze swojego ciała, rozpływał w powietrzu. I nagle poczuł czułość na myśl o Irokezie; nic polegało to na tym, że miał kłopoty, był gdzieś daleko, zdany na łaskę obcych ludzi, wynikało to z jego sposobu ubierania: wiecznie rozwiązanych sznurowadeł, opadających spodni, nieporadności w obcowaniu z ludźmi...

- Byliśmy przekonani, że nasze życie będzie inne. Piękne, kolorowe. Byliśmy bogaci, znaliśmy luksus knajp i hoteli,

znamy ludzi, którzy przeszli już do historii, spaliśmy z pięknymi dziewczynami. Niektóre nas kochały. Co chcieliśmy, spełniało się. A teraz jesteśmy siwymi zgredami i wszystko się nam pojechało... Naprawdę nie wierzysz, że tu coś się zmieni?

- Za dwadzieścia, trzydzieści lat. Oczywiście, jeżeli znów nie zapanuje komuna albo nie będzie końca świata. Coś się zmieni, gdy wymrą ubecy, ich kapusie, aparaczczyki komunistyczni i nasi, którzy rządzą w latach dziewięćdziesiątych.

- Ale może Zachód weźmie za mordę całe to towarzystwo? - spytał Paweł. - W jaki sposób? Zamknie milion ludzi, a może i więcej, zabierze im majątki, ogołoci konta bankowe? Zachód będzie przede wszystkim zainteresowany, by rząd płacił składkę do Brukseli. Niemcy, Francja, Stany Zjednoczone wcale nie są zainteresowane, żeby Polska była silna, niezależna. Bo i po co? Komuchy robią wszystko, co im każą. Są grzeczni, potulni, bo się boją, że Zachód może się wkurwić i każe zrobić totalną dekomunizację, lustrację gospodarczą, zlikwidować handel narkotykami. Eee, szkoda słów.

Paweł wstał. Wyprostował się i odetchnął głęboko. Płkanie i rozczulanie się nad sobą nic polepszy życia. To pewne. Miał ochotę powiedzieć coś pięknego Markowi, lecz nic takiego nie przychodziło mu do głowy.

Milczeli. Obok nich tłum krzyczał, gwizdał, wybuchały petardy. Paweł spojrzał na Marka, który przechylił głowę w lewo i wtulił ją w ramiona. Zmienił się. Zestarzał. Pod oczami miał worki. Zmarszczki żłobiły twarz. Oczy były wyblakłe, chorobliwie błyszczące.

- Dręczy mnie to, kim naprawdę są moi przyjaciele. Co kryją przede mną. Bo to, że kryją, wiem na pewno.

- Twoje zbójckie prawo - powiedział Marek spokojnie, nie okazując zdziwienia. Palcami poczesał długie, siwe włosy.
- Pamiętasz, często powtarzaliśmy takie niewinne zdanie: im mniej wiesz, tym krócej zeznajesz...

- I o tym, dlaczego nie powiedziałeś mi, że spotykałeś się z Gabi, też nie chcesz mówić?

- Nie - odparł Marek gniewnie i zakasłał nerwowo.

- A dlaczego?

- A dlaczego miałbym mówić?

- Bo, kurwa, podobno jesteś moim przyjacielem.

Paweł ścisnął mocno głowę. Miał wrażenie, że za chwilę coś w niej pęknie. Usiłował otrząsnąć się z letargu. Chciał zorientować się, co go tak boli. Zrozumieć. Przypomniał sobie chwilę, kiedy pierwszy raz poszedł do szkoły i został sam, matka poszła do domu, a on płakał, nie chcąc iść do klasy. Przypomniał sobie wykrzywioną złością twarz Matysika i jego dłonie zaciskające się w pięści.

Marek położył mu dłoń na ramieniu, spoglądając z uśmiechem, prosto w oczy.

- Nigdy nie rozmawiałem o tobie z Gabi. Nigdy. To był taki niepisany układ. Patrzyli sobie ciągle w oczy. Paweł czekał, aż on odwróci wzrok. Ale tego nie zrobił. Dowód opanowania i mocnych nerwów. A może treningu?

- Daj mi do niej telefon. - odezwał się Paweł.

- A po co ci?

- To moja sprawa.

- Nie mogę.

- Też ją wciągnąłeś w szpiegowanie, robienie czegoś dla jakiejś sekty? Marek roześmiał się głośno, szczerze. Przez Pawła przeszedł dreszcz.

Wzdrygnął się. Uświadomił sobie, że boi się Marka. Wpatrywał się w niego, jakby go tu nie było naprawdę, jakby nie stał przy nim, lecz oglądał go przez lunetę.

- Kobiety przyciągają ciepłem, ratują przed zimnem, a ty poddajesz się, chcąc zatracić się w tym ciepłe, tak?

- Pierdolisz - powiedział Paweł cicho i usiadł na ławce. Był zbyt słaby, żeby mówić. Poza tym nie miał zamiaru opowiadać o tym, jak kocha Gabi i że miłość do niej jest z nim wszędzie; że ona zaczarowała go, pewnego dnia znów się pojawi, zadzwoni do drzwi, z uśmiechem przekrzywi głowę...

- Słowo, nic spałem z Gabi.

- To po co się z nią spotykałeś? Gadaliście o kamieniu filozoficznym, Jolce z siódmej be, a może o życiu towarzysko-uczuciowym Sejmu?

- O różnych rzeczach.

- O tym, co ma załatwić, kogo poznać, jak go rozpracować, tak?

- Dostałeś manii prześladowczej. Wszystko kojarzy ci się ze szpiegowaniem i podstępem...

- A nic mam podstaw?

- Trochę masz.

- Jaki masz stopień? Major, pułkownik...

- Pawciu, nie świruj.

- Znasz Matysika?

- Nie znam żadnego Matysika.

- To może inaczej... Znasz Kowalskiego albo Malinowskiego o wyglądzie Matysika? Esbeka, który nas rozpracowywał...

- Czy ty mnie przesłuchujesz?

- Chcę się dowiedzieć prawdy.

- A do czego jest ci ona potrzebna? Reagujesz jak dzieciak...

- A to grzech?

- Dla niektórych.

- Dla tych, którzy mają wiele do ukrycia. Agentów, ludzi mafii, służb, szemranych biznesmenów.

Napięcie, jakie wytworzyło się między nimi, było swoistą tyranią, czyniło z nich ofiary. „Słowa ani wyjaśnienia nic już nie znaczą” - pomyślał Paweł.

Ja to wszystko wywołałem, a teraz nie wiem, co z tym zrobić”. I przyszła mu do głowy niedorzeczna myśl, że Marek potrafi wszystko zmienić na lepsze, jeśli tylko poprosi, by to zrobił, a wtedy pojedzie z nim do Kalifornii, a później może dookoła świata i pozbędzie się całego balastu, który ciągle trzyma w strachu. Od dziecka tęsknił za przygodą. Bawił się w szeryfa, partyzantów. Podejrzewał, że nawet walkę z komuną traktował jak przygodę.

- Zdajesz sobie sprawę, że mnie obrażasz? Że powinienem ci dać w japę? Milczeli, nie patrząc na siebie. „Wolny rynek to bieda dla świata”, skandowały młode głosy; szli z czerwonymi flagami, portretami Che, włosami u farbowanym i na zielono i rudo.

- Proszę bardzo... Teraz chcesz, żebym to ja miał wyrzuty sumienia. Czuję się winny. W porządku. Ale to nie ja, kolego, spotykałem się w tajemnicy z twoją byłą żoną, ukrywam to, co wiem o twoim ojcu.

- Wyobraź sobie, że jest kilku młodych chłopaków i starszy facet, którego znają od dziecka. Ten facet opowiada ciekawe historie. I pewnego dnia pyta, czy chcieliby walczyć tak, jak bohaterowie akowscy o wolność Polski. Oni zgadzają się. Są zaprzysiężeni, dostają pseudonimy. Więcej nic powiem.

Marek wypuścił z płuc powietrze. Siedział sztywno, z ironicznym spojrzeniem utkwionym w Pawła, który chciał odeprzeć ten wzrok, lecz nie potrafił. Otarł dłonią twarz. Bez przerwy robiło mu się zimno, to znów gorąco. Tak, to prawda, mój ojciec był szpiegiem, wciągnął ich, ale mnie zostawił. Dlaczego? Bo uważał mnie za piździelca, któremu nie należy

wierzyć i dla którego najważniejsze były baby, wino i malowanie bohomasów.

- Jesteś zadowolony? - w głosie Marka było rozbawienie.

Nie odpowiedział. Potrzebował czasu, by minęło poniżenie. Ale zaraz gniew zaczął w nim wzbierać jak płynąca z rany krew, która krzepnie i tworzy ochronną powłokę.

- A ty byłbyś zadowolony na moim miejscu?

- Nie za bardzo...

- Panie Marku, panie Marku! - Reżyser stał w bramie, machając ręką. - Możemy zaczynać.

- Pójdziemy na piwo? - twarz Marka była uśmiechnięta, ożywiona. Zbyt serdeczna. - Pogadam i pójdziemy coś zjeść, a później napijemy się. Ja zapraszam. Pasuje?

Paweł poczuł nieokreślony lęk. W głowie łomotała myśl: „Nie daj się namówić. Nie idź”.

- Może kiedyś... Nic czuję się najlepiej.

Uścisnęli sobie dłonie. Potem Marek poklepał go żartobliwie po ramieniu. Był znów Markiem, którego tak lubił i miał do niego słabość, lecz teraz był wdzięczny, że odchodzi. Żegna się, wyjeżdża.

Paweł wyciągnął nogi i przymknął oczy. „Precz z komuną, precz z komuną”, znów skandował tłum, ale cicho, bez żarliwości. Co chwila ktoś przebiegał, krzyczał, przeklinał. „Jak będę teraz żył? Co zrobię? Nic. Nadal będą rodziły się dzieci, krążyło słońce, błyszcząły gwiazdy. Moje życie czeka na mnie, znane do zrzygania; w kuchni, łóżku, wannie, kiblu. Tylko pozostanie czerwona kropka na dłoni, ślad pychy, wspomnienie lat, kiedy kochałem... Gabi musi być jedynie kolorowym motylem wspomnień, który trzepocze się nad starymi sprawami i siada na rękę, gdy w domu jest mrok, a od okna ciągnie mróz. Co ja wygaduję...”

Podniósł się z ławki, ale ręce i nogi nie chciały mszyć z miejsca. Przestraszył się, że zaraz zemdleje, upadnie na

gnijące jedzenie i psie odchody. Oparł się rękami o mur bramy. Stał blady, spocony, w podmuchach wiatru. Nie wiedział, co zrobić. Chyba ta nalewka była lewa... Zatrął mnie.

Zaskrzeczały głośniki, zapiszczały. I rozległa się piosenka śpiewana chrapliwym głosem:

Hej, panie redaktorze, modny aktorze Na Żytno i w kolorze.

Hej, panie dygnitarzu, poeto, piosenkarzu

W domu, na ołtarzu

Marny butelki z benzyną i kamienie

Wymierzone w ciebie...

Paweł roześmiał się. Przypomniało mu się, jak na początku lat osiemdziesiątych planowali we czterech kradzież broni z magazynów wojskowych. Nawet robili obserwację, ale w ostatniej chwili Marek przekonał ich, że jak wpadną, to nie wyjdą żywi. Właściwie to nie musiał przekonywać, bo wiedzieli, czym to grozi i od początku wszystko było oparte na udawaniu bohaterów. Wziął kilka głębokich oddechów. No, już trochę lepiej... Muszę coś zrobić ze swoim życiem. Muszę walczyć do końca. Ale czy mnie stać na to? Udowodnię tym wszystkim skurwysynom, że nie jestem na dnie.

I raptem uprzytomnił sobie, czego mu trzeba. Od miesięcy, wielu miesięcy nie był z kobietą. Musi wtulić się w ciepłe ciało, czuć bicie serca i krążącą krew. To jest pomysł, pomyślał i poczuł ożywienie. „Gdziekolwiek pójdiesz, cokolwiek się stanic, będą miejsca w książkach i miejsca przy stole. Skąd ja to znam? Gałczyński, ulubiony poeta Irokeza. Trzeba stąd iść...”

Biegł i biegł, aż oddech zaczął go dźgać w płuca jak nożem. Jedna tylko myśl ocalała z chaosu strachu i obrzydzenia: musi ukryć się w domu. Tam jest bezpieczny.

Przystanął. Oparł się o ścianę domu. Spostrzegł, że niedaleko, na środku ulicy, stoi Marek otoczony przez grupkę ludzi. Nad ich głowami Reżyser trzymał lampę oświetlającą Marka, który coś mówił do kamery. Paweł bezwiednie podniósł ulotkę, których pełno wałało się wokół.

CO TRACIMY WCHODZĄC DO UNII EUROPEJSKIEJ? TRACIMY 1/3 CZĘŚĆ TERYTORIUM POLSKI

Powierzchnia Polski wynosi 312 tysięcy kilometrów kwadratowych, z czego 1/3 część, to jest 104 tysiące kilometrów kwadratowych, stanowią Ziemie Odzyskane, które przed wojną należały do Niemiec. Ziemie Odzyskane, na mocy traktatu poczdamskiego z 1945 roku, zostały przyznane Polsce jako rekompensata za utracone ziemie wschodnie.

Teraz możemy je stracić, bo:

1. Niemcy do dziś nie uznają postanowień Traktatu Poczdamskiego.

2. Niemcy do dziś nie uznali granicy na Odrze i Nysie.

3. Konstytucja Niemiec (art. 1166) nawiązuje do granic Niemiec z 1937 r.

4. Niemiecki Trybunał Konstytucyjny w 2 orzeczeniach z 31.07.1973 r. i 7.07.1975 stwierdził, że „niemieckie tereny wschodnie”:

*- oddano tylko pod administrację radziecką i polską;
- nie zostały one zwolnione z przynależności do Niemiec;
- ostateczne rozstrzygnięcie granicy będzie ustanowione przy zawarciu pokoju, a traktatu pokojowego dotychczas nie zawarto.*

5. Coraz więcej Niemców żąda anulowania dekretów Benesza i Bieruta o przejęciu własności mienia ponemieckiego.

6. Kanclerz Niemiec Schroeder, na Zjeździe Wypędzonych w 2001 roku powiedział: „Nie drażnijcie ofiary,

która sama pcha się w nasze ręce. Zawierzcie mojej metodzie, a ja wam dostarczę wschodnie landy w ten sposób, że ich dzisiejsi administratorzy, czyli Polacy, będą nam jeszcze wdzięczni, że zostali wreszcie Europejczykami’.

7. Polacy na Ziemiach Odzyskanych wciąż nie mają prawa własności nieruchomości, tylko tak zwane „wieczyste użytkowanie”, to znaczy długoletnią dzierżawę. Natomiast u Niemców - dawnych właścicieli nieruchomości, pozostały przedwojenne dokumenty własności.

8. Podpisany przez ministra Skubiszewskiego „układ o dobrym sąsiedztwie z Niemcami” z 17.06.1991 r. nie reguluje spraw majątkowych. Będą one uregulowane, gdy Polska będzie już w Unii Europejskiej i gdy ostateczny głos będzie należał do ponadnarodowego gremium, w którym Niemcy odgrywają decydującą rolę.

Straciliśmy Ziemię Wschodnie. Wchodząc do Unii, stracimy Ziemię Zachodnie. Pozostanie „Księstwo Warszawskie” - jako euroregion.

Nie po to walczyliśmy 6 lat z Niemcami i nie po to zginęły miliony Polaków, aby teraz oddawać dobrowolnie Niemcom 1/3 część Polski. Dlatego w referendum do Unii trzeba głosować: NIE.

POLAKU! POMYŚL! NIE BĄDŹ ZDRAJCĄ WŁASNEJ OJCZYZNY I NARODU!

Paweł schował ulotkę do kieszeni kurtki. Co mnie to wszystko obchodzi? Kto mi da jeść, dach nad głową? Wszystko jest zgniłe, przeżarte kłamstwem i pieniędzmi. Zapragnął spokoju i anonimowości. Od dawno wracała do niego myśl, czy byłby szczęśliwy, gdyby udało mu się wejść do komputerów, sprawić, że nie byłoby po nim peselu, nipu, adnotacji w administracji. Podszedł bliżej Marka. Jego skupione, płonące spojrzenie wędrowało po twarzach. Otarło się o Pawła, który odwrócił głowę.

- Polska prawica, nie mając dobrego rozeznania nastrojów społecznych, łudząc się, że wszyscy Polacy są antykomunistami, przegrała. W Polsce nastąpił krach moralny. Ogromna większość wyborców pokazała, że chciałyby wejść do postkomunistycznych układów i okradać innych. Stracił przed nędzą, bezrobociem, połączony z niewiarą w sprawiedliwość, odebrał milionom Polaków poczucie realizmu i prawdy. Polacy wystawili sobie świadectwo hańby. Pozwolili, by ludzie, którzy działali na szkodę Polski, wtrącali do więzień, prześladowali, decydowali o ustroju państwa, naszych prawach, kształcie podręczników szkolnych...

- Teraz to mówisz?! - krzyknął chudy, wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce, w kolorowej kurtce w indiańskie wzory. - A gdzie byłeś, kiedy ludzi traktowano jak śmieci i komuniści kupowali za bezcen nasz majątek? Nasz, ciężko zapracowany... Gdzie byłeś?!

- Robiłem, co mogłem - odparł Marek zmęczonym głosem. Reżyser zrobił perskie oko do Pawła i podniósł kciuk do góry. - Przyznaję, że mogłem więcej...

- Zdradziliście ludzi. Prosty ludzi, którzy wam zawierzyli, a teraz dziwicie się, że mówią: komuno wróć. Tyle milionów bezrobotnych, afery, a wy co? Gównno. Ty jesteś zabezpieczony do końca życia...

- Proszę mnie nie obrażać.

- Co ty mi za farmazony wstawiasz?! A ile dostawałeś jako poseł? Z piętnaście tysięcy złotych. Do tego jeszcze boki, wyjazdy na Zachód. Ja siedziałem, esbecy mi rękę złamali, nikogo nie sprzedałem i co mam z tego? Gównno. Od roku nie mam pracy. Kobita chora, córka się uczy. Co ja, kurwa mać, powietrzem mam żyć?! Ty się u mnie ukrywałeś w stanie wojennym. Trzy dni byłeś. Czy później przyjechałeś, spytałeś, czy mi w czymś pomóc?!

- Przepraszam - powiedział Marek ledwo dosłyszalnie, spuszczać głowę; wyglądał, jakby miał się rozplakać.

- Złodzieje, złodzieje! - zaczęła skandować staruszka, a za nią kilkanaście osób.

- Jeszcze was, ku iwa, rozliczymy! - chudy mężczyzna pogroził pięścią Markowi, prawie się o niego ocierał. - Tym razem nie będzie pomaluj...

- Kapusie, kapusie! - zapiszczała staruszka i poczęła okładać Marka parasolką. Biła go po prawym barku i udzie; słał blady, z kamienną twarzą, patrząc gdzieś ponad głowami ludzi.

Paweł wszystko widział jak przez uszkodzone lustro. Nie zostało nic. Jedynie beznadziejny smutek. Świat zaczarowany. Nierealny i pusty.

Jak lunatyk zaczął iść pośród tłumu, ludzie rozstępowali się bez słowa, nie zwracając na niego uwagi.

Wszedł w bramę, podwórko. Później na klatkę schodową. Ściany były brudne, porysowane, odłaziła lamperia, śmierdziało moczem i kotami.

Szedł powoli, trzymając się brudnej poręcz), i słyszał głosy, tak jakby to było teraz. „Kurwa, znowu jest pijany”. Pączek uderza pięścią w stół kuchenny. „Dlaczego pozwalasz mu pić?” Irokez stoi bezradnie, kiwając się w przód i tył. „A co miałem zrobić? Związać?” „Przecież wecie, że jak wypije, to mu odbija palma”. Marek podnosi głowę z blatu stołu. Na piersi błyszczą srebrny krzyżyk. Oczy ma zmętniałe, cienka strużka śliny cieknie mu z kącika ust. „Wiecie, co zrobiła ta moja pierdolnięta matka? Postanowiła skończyć ze sobą... Popełnić samobójstwo. Najadła się prochów i gdybym wcześniej nie przyszedł, to byłoby po niej. Od pięciu lat była z facetem, który ma żonę, a ta żona kocha go i nie chce dać rozwodu. No i teraz zachorowała na raka. A on, pierdolony szlachetniak, zerwał z moją matką, bo przecież nie może

opuścić chorej kobiety. No i matka dostała zajoba z miłości i jest w wariatkowie...”

Nagle jakieś głosy na klatce schodowej, skłócone i gniewne, pomieszane, uderzyły o ściany niby fale. Paweł ostrożnie, na palcach i rozglądając się, podszedł do drzwi mieszkania, które kiedyś wynajmował Irokez.

Uśmiechnął się. Jezu, to niesamowite, tyle razy tu wchodziłem, wychodziłem, tyle minęło lat, tyle się wydarzyło, a drzwi są takie same. Już miał nacisnąć na dzwonek, gdy usłyszał gniewny, zachrypnięty głos męski:

- Kurwa, ja go rozerwę, tego szczeniaka. Tylko czekać, jak go zamkną. Jak się nim interesuje dzielnicowy, to znaczy, że coś niezłego nawywijał. Wiem, wiem, co powiesz, znam te twoje miny Wrodził się we mnie. Moja krew. W porządku. Nigdy się nie kryłem, że siedziałem za małolata, ale co to były za grzeszki. Jakieś głupie włamanie do piwnicy. Więcej dla szpanu niż zarobku, jakieś kradzieże w sklepach. Śmiech na sali. Nigdy nie brałem narkotyków, nie handlowałem nimi, nie byłem bandytą. A on? Wiesz, co mi powiedział znajomy policjant? Że nasz Zbysio jest w mafii, jest szefem grupy. Zbierają haracze od sklepikarzy na bazarku. Pójdzie siedzieć albo któregoś dnia odpierdoli go konkurencja. Jakaś inna banda. Tak, tak. Wyleguje się do południa, później siłownia, piwko, dziewczyny. Ciekaw jestem, jak sobie załatwił to, że nie poszedł do wojska. Takie byczysko. A skąd miał forszę na to bmw? Nie najnowsze, ale zawsze z pięćdziesiąt tysięcy warte. Dwadzieścia lat gnój, a już jeździ taką bryką. Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie mamy u niego żadnego poszanowania? Wiesz, co mi powiedział niedawno? „Ty jesteś goły w ryj, tato, a ja chcę mieć. Lepiej krótko, ale pożycz”. Dziwki, knajpy, dyskoteki, zachodnie ciuchy i samochody. Ja nie będę mu słał paczek do więzienia. Myślisz, że pomogą mu koleżkowie, kiedy pójdzie siedzieć? Na pewno nie. Wynajmą

tylko adwokata. Nie podstawiaj mu żarcie pod nos, nie nadskakuj. Pomyśl, co z nim będzie. Nie interesuj się jedynie telenowelami. Pstryk jedna, pstryk druga. Ja uprzedzam cię, że jak raz jeszcze podniesie na mnie rękę, to złamię na nim niejednego bejsbola, jak niedawno, ale dwa. Kurwa, dlaczego się nie odzywasz? Dobrze, nie chcesz, to nie. Nic będę prosił. Jeszcze tego pożałujesz.

Rozległy się kroki w przedpokoju. Później trzaśnięcie drzwiami.

Paweł stał przez chwilę, zastanawiając się co robić.

Zrobiło mu się zimno. Miał przemoczone buty. Mokra włosy wiły się strąkami. Wilgotna kurtka prawie przyklejała się do pleców. Zbiegł szybko po schodach i wyszedł na podwórko. Stał na środku. Rozejrzył się. Dookoła brudno, pełno biota, lepiącego się do butów. W powietrzu unosił się zestarzały odór ekskrementów i zgnilizny. W kącie podwórka, obok muru i śmietnika, stały dwa telewizory z powyszarpywanymi częściami. Z któregoś okna dochodził łomot techno zmieszany z pijackimi śpiewami.

Kilka razy wziął głęboki oddech, czując powracające siły. „Solidarność żyje, Solidarność żyje” - rozległo się skandowanie. Paweł zobaczył, w prześwicie bramy, idących gęsiego ludzi z flagami „Solidarności”. „Co dla nas oznaczała wolność? Czy wielką ideę, czy tylko możliwość robienia, co się chce? Na co wydawaliśmy pieniądze, które zarabialiśmy na handlu, jeżdżąc do Budapesztu, Wiednia, Berlina Zachodniego, Sztokholmu? Na drogie knajpy, hotele, samochody, ciuchy. Ale też na papier potrzebny do drukowania bibuły, sprzęt poligraficzny, farby, matryce”.

Zaczął iść w stronę bramy. Szedł blisko ścian, zdecydowany sprzedać wszystko, co ma, i wyjechać. Byle gdzie, tylko nie być tutaj. Czuł się jak zbity pies. Zaczął się

bać, że zaraz się przewróci. Zemdleje. Tu już nic dobrego mnie nie czeka, pomyślał i przeszedł przez niego dreszcz.

- Proszę pana, proszę pana... Paweł przystanął.

Od strony śmietnika szło dwóch mężczyzn, jeden za drugim; zgarbieni, chudzi, trzymając w rękach plastikowe torby. Menele, pomyślał Paweł. Pewnie chcą pieniędzy na piwo albo alpagę.

- Przepraszamy pana, naprawdę przepraszamy, słowo - odezwał się chudszy, w dżinsowej kurtce, przymilnym głosem. Trząśnięty cały, zacierając nerwowo dłonie. - Mogę o coś zapytać?

- Nie daję pieniędzy na gorzałę.

- Nie, nam nie chodzi o forszę - wtrącił się drugi, z dwiema plastikowymi torbami. Z jednej z nich wystawał fragment przerdzewiałego żyrandola. - Pan potrzebuje pomocy, tak?

Paweł roześmiał się nerwowo, speszony i zdziwiony.

- A w czym możecie mi pomóc?

- Pan nie wie, że tacy jak my, ludzie, którzy wiele wycierpieli i sami widzieli tysiące nieszczęśliwców, natychmiast poznają tych potrzebujących - stwierdził chudy z politowaniem w głosie. - My nie jesteśmy lumpami, wyrzutkami. Takie życie wybraliśmy. Wybraliśmy wolność. Porzuciliśmy nakazy, zakazy, bezduszną machinę państwa. Ci ludzie, którzy tam hałasują - wskazał głową na maszerujących ulicą nielicznych demonstrantów

- są niewolnikami. Szczęście utożsamiają tylko zjedzonym mięsem, posiadaniem samochodu i telewizora. Miłość, bogactwo, władza i sława, to cztery podstawowe pobudki ludzkich ciążeń. Pożądliwość jest motorem napędowym dla wszelkich czynów. Wielcy przywódcy ludzkości uczynili pragnienia główną pobudką wszelkich czynów...

- Po co mi to pan mówi? - przerwał Paweł z rozbawieniem i pomyślał, że gdyby był tutaj Irokez, to już byłaby pita flaszką wódki, a on zachwyciłby się, że spotkał kloszardów, którzy mówią o sensie życia.

- Chcę, by pan zrozumiał, że od czasu, gdy człowiek uzyskał duchowe wejrzenie, to jest w stanie odróżnić dobro od zła...

- Chcecie mnie namówić, żebym razem z wami wędrował? Zbierał po śmietnikach stare żyrandole, szmaty i gazety?

- Proszę pana, niech pan nie słyca tego, co powiedziałem - odpowiedział chudy tonem człowieka ogłuszonego nieprawdopodobną wieścią. - Niech pan nie udaje głupszego, niż jest. Niech pan siebie nie obraża.

- Jesteście z jakiejś sekty? - Walczymy o prawdę.

- To znaczy? Powiedz jaśniej, coś więcej...

- Gdyby nie było powrotu na Ziemię, co zatem byłoby celem życia? Czy warto się starać o cokolwiek? Jaką wartość miałoby życie w niebie za dobrze przeżyte życie na Ziemi, skoro tam każdy jest szczęśliwy? W niebie nikomu nie jest potrzebna sympatia, dobra rada lub poświęcenie, natomiast na Ziemi jest wielu ludzi, którzy tego potrzebują. Rozumiesz?

Paweł skinął głową. Coś mu mówiło, żeby natychmiast pożegnał się z kloszardami i poszedł swoją drogą. Wyciągnął rękę.

- Dobrze, chłopaki, pogadaliśmy i czas się rozejść. Z Bogiem.

Pięść chudego wylądowała na jego podbródku tak szybko, że nie było mowy o obronie. Upadł na ziemię jak podcięty. Bezwiednie zasłonił głowę rękami. Przemknęło mu przez myśl, że może Umrzeć. Tu, w kałuż), czując smród szczyń, odchodów i śmietnika. Nie chciał wołać o pomoc.

Chciał być sam ze swoim cierpieniem i strachem. Poczł kopnięcia w żebra, dłonie okrywające głowę.

- Panowie, o co chodzi... To jakaś pomyłka - wybełkotał i zrobiło mu się gorąco i zimno. - Przestańcie...

- Zginiesz, kurwo, za to wszystko co zrobiłeś - usłyszał pełen nienawiści głos chudego. - Zginiesz...

Poczł uderzenie w lewą skroń. Rozerwały mu się w głowie tysiące gwiazd. Zniknął strach. Czł się lekki, bez ciężaru, olśniony. Gabi wyłoniła się z niebieskiej mgły. Pochyliła się nad nim i pocałowała zimnymi ustami w czoło.

- Spałeś z wieloma kobietami?

- Co to ma teraz za znaczenie? - Ma.

Wyobraził ją sobie, czekającą na niego; jak je, szkicuje, lakieruje paznokcie, szminkuje wargi.

- Nikogo nie kochałem. Tylko ciebie.

- Nie wierzę.

- Co zrobisz, jeśli powiem, że od wielu miesięcy żyję w celibacie?

- Skrzyżuję nogi.

Chciał się roześmiać, lecz tylko jęknął. Gdzieś w głębi został krzyk. A za wszystkim płacz. Niespodziewanie zobaczył, że obok Gabi stoi ojciec, który ukucnął i pogłaskał go po głowic.

- Same kłopoty z tobą, synku.

- Jestem już zgrede. Nie traktuj mnie jak dzieciaka. - Ale jesteś łatwowierny jak dziecko. Żebyś wiedział, ile razy musiałem cię ratować z kłopotów...

- To byłeś tym szpiegiem, czy nie?

- Nie wiem, o czym mówisz...

Nadleciała chmara pszczół, które usiadły na twarzy i dłoniach Pawła. - Wyjdiesz z kłopotów. To kwestia czasu... Nie umrzesz.

- Nie boję się śmierci. Przyzwyczajam się do niej od lat.

- Każdy boi się śmierci.

- Przepraszam, kłamałem. Jest tak źle, że wielokrotnie chciałem się zabić, ale boję się śmierci. Potrzebuję pomocy...

- Będiesz ją miał - powiedziała Gabi poważnie, ze smutną twarzą. Patrzył na nią, zamykały mu się oczy i pomyślał, że ona nie żyje. Kocha ją, lecz ona nie żyje i już nigdy jej nie zobaczy... Czy żyłem? Czy tylko byłem? Udaję, że żyłem. Wiem, że to oszustwo. Oszustwo tego oszustwa, że żyję. Umarłem już dawno. Nie ma mnie. Może to było wczoraj? To nie moje słowa... Skąd je znam? Ryłem ciemny i złorzeczyłem, a teraz wypełnia mnie jasność...

XIII

Miarowo huczał silnik samolotu. Większość pasażerów drzemała. Szczypały ją oczy po nieprzespanej nocy, męczył kac, chociaż wypła już dwa drinki. Trzeba wziąć się za siebie, pomyślała. Mam nową twarz, paszport, wypraną kasę. Nikt mnie nie znajdzie. Jezu, mam półtora miliona dolarów, leżących sobie cichutko w banku. Otworzę butik z luksusowymi ciuchami, to dobry patent na poznanie bogatych i wpływowych ludzi. Przeczekam trzy lata i przeniosę się do Portugalii. Tanio, dobry klimat. Wierzyła w przyszłość i to, że wreszcie znajdzie bezpieczne miejsce. Ale przecucie podpowiadało, że należy ciągle zmieniać kraje, zacierać tropy. Ze złością przywołała marzenia o dworku i pięknym ogrodzie w Polsce; bo jak miałyby to osiągnąć bez dużych pieniędzy, przekrętów, ryzyka, strachu? Bez tego, by kogoś nie zdradzono i że ktoś zdradzi?

Przeciagnęła się.

Odruchowo wzięła angielską gazetę i zaczęła ją wertować. Znalazła artykuł o sytuacji w Polsce; aferach korupcyjnych w kręgach władzy, zmierzchu obozu postkomunistycznego, problemach gospodarczych i blokowaniu wprowadzenia powszechnej lustracji.

- Kurwa, przeklęty przez Boga kraj - powiedziała głośno, westchnęła i pokręciła głową.

Spojrzała w lusterko puderniczki.

Nieźle wyszła ta operacja plastyczna, pomyślała Iwona i wyciągnęła się wygodnie w fotelu. Mam trochę za mały nos, ale zero zmarszczek. Odmłodziłam o dwadzieścia lat.

Poprawiła bluzkę, rozpięła pasek u dżinsów i przymknęła oczy. Cholera, znowu tyję, pomyślała i zauważyła, że siedzący obok mężczyzna, obserwuje ją z uśmiechem. Był starannie ogolony, opalony, szpakowate włosy były zaczesane do tyłu. Miał na sobie granatowy garnitur w prążki, białą koszulę i różowy krawat. Pachniał dobrą wodą kolońską.

Nie, nie znam tego faceta, stwierdziła, ale miała wrażenie, że kiedyś go spotkała. O, już wiem, jest podobny do ubeka, który mnie straszył, że pójdę siedzieć za przemyt. Kiedy to było? Zaraz, zaraz, na trzecim roku studiów. To były interesy, przebicie tysiąc procent. Srebro, złoto, ruble, dzieła sztuki... Serce zaczęło jej mocniej bić. Zwilgotniały dłonie. Zrobiło się gorąco. Zawsze bała się więzienia. Popatrzyła na nieznanomego. Spoglądał na nią z uśmiechem. Bezcelnie. Prosto w oczy.

- Jest pani Polką? - odezwał się po polsku i pochylił w jej stronę.

- Skąd pan wie?! - zapytała i poprawiła machinalnie włosy; nie mogła przyzwyczać się do krótkich, ostrzyżonych prawie na zapałkę.

- Kurwa, przeklęty przez Boga kraj.

- Tak sobie powiedziałam... Polityka mnie nie interesuje. Jestem obywatelką świata. I tak zawsze bogaty będzie miał w dupie biednego.

- Kiedyś świat opierał się, za przeproszeniem, na dupie, a teraz na pieniądzech. Cinkciarz staje się biznesmenem, strażak właścicielem sieci hoteli. Dziki Zachód z tej Polski. Czasami

zastanawiam się, skąd ci niektórzy Polacy mają pieniądze? Jak można w ciągu kilku lat zarobić dziesiątki milionów dolarów? Chyba tylko na przekrętach albo na narkotykach lub handlu bronią...

- To nie mój problem. Nikomu nie zaglądam do kieszeni.

- Mieszka pani w Polsce?

- Nie - odpowiedziała; jej głos był zmęczony, jakby uleciało z niej życie. Ogarnął ją nagły strach, który dławił i wstrzymywał oddech. Ten facet jest za ciekawy. Może to policjant albo płatny bandyta?

- Zazdroszczę... Ja dopiero trzynaście lat temu wyjechałem po raz pierwszy na Zachód i zobaczyłem, jak żyją ludzie. W Polsce żyje się trudno. Niekiedy strasznie. Każda zmiana daje nadzieję, że nie będzie już powrotu do przeszłości. Mój ojciec stale mi klarował: „Tyle razy ci mówiłem, żebyś wyjechał z Polski, dlaczego nie słuchasz?”. Ale wtedy przeżywaliśmy kolejny przełom. Znowu była nadzieja. I tak w kółko.

Powróciła fala lekkości i szczęścia. Czego ja się, głupia, boję? Wszystko zaczynam od nowa, znowu się urodziłam... - Jest pani mężatką?

Wciąż patrzył na nią z uśmiechem, oblizując wargi koniuszkiem języka. Ten gest wydał się jej być nieprzyzwoity i prowokujący.

- Broń Boże! - wstrząsnęła się i roześmiała hałaśliwie. Jest pewny siebie, lecz w jego twarzy widać czujność, pomyślała i założyła okulary przeciwsłoneczne. - Współcześni faceci są zniewieściali, leniwi, słabi.

- Też tak uważam... Jak pani myśli, co będzie ze światem?

- Nic wiem... Nie jestem ojcem Pio. Wiem, że te wszystkie kontrole na lotniskach to farsa. Jak terrorysta będzie

chciał porwać samolot albo go wysadzić, to zawsze mu się uda. Oczywiście jak będzie zdeterminowany oraz inteligentny.

- A ja myślę, że za kilka lat rozpęta się przerażająca wojna. Terrorystyczna... Podkładanie bomb, samobójcy z ładunkami, porwania, zamachy. Kto wie, może Arabowie zdecydują się na odpalenie głowic nuklearnych?

- A co ja mogę zmienić? - wzruszyła ramionami. - Trzeba żyć, cieszyć się z życia...

- Miała pani jakieś interesy w Polsce?

- Nie.

- A co pani robi, jeśli nie jest to sekret? - Wiele rzeczy... Głównie zajmuję się modą.

- To ma pani szczęście, że nie robiła interesów w Polsce. Ja straciłem multum pieniędzy. Polska to dziki kraj. Jeszcze dzikszy niż Rosja, bo ona jest Trzecim Światem. Biedne, zdemoralizowane państwo, które w dodatku wierzy, że ma misję... W Polsce, w całym układzie sowieckim, przywódcy zdradzili obywateli. Zwyczajny człowiek myśli wściekły: „Kurwa, popierałem ich, dzięki mnie rządzą, wożą dupy limuzynami, mają forsy jak lodu, a oni na mnie nasrali”. Jestem dumny, że jestem Polakiem, ale Polska nie jest moim krajem. Czy wyobraża sobie pani, że napadają na ludzi kilkaset metrów od Sejmu? Opowiadał mi niedawno znajomy, mający galerię ze sztuką współczesną, że jego kolegę napadli bandyci o rzut beretem od Sejmu. Połamali mu żebra, miał wstrząs mózgu, złamaną rękę. Najgorsze, że to malarz. Pół roku miał rękę w gipsie.

Malarz, jak ten mój sentymentalny kretyń, pomyślała z rozrzewnieniem. Chyba go kochałam...

- Po co pani leci do Bogoty, tej stolicy kokainy?

- Istnieje szansa na podpisanie kontraktów z polskimi zakładami. Ciuchy, lekarstwa, słodycze.

- Ja też lecę w interesach... Jestem przedstawicielem międzynarodowej grupy, która czyści różne sprawy.

- Co to znaczy „czyści”?

- Jak da się pani zaprosić na drinka w Bogocie, to wytłumaczę.

- Przyjmuję zaproszenie - uśmiechnęła się zalotnie i znów poprawiła włosy. Ciekawe, ile ma forsy? Przewalę go na kasę, będzie miał karę za to, że jest taki zarozumiały, pomyślała i zaśmiała się.

- Często zastanawiam się, co skłania kobiety do ryzykownych interesów. Co lęgnie się im w głowach, kiedy pakują się w kłopoty... Jeszcze nie spotkałem przekrętu, żeby gdzieś blisko nie było kobiety. Czy pani wie, że w Kolumbii od lat trwa wojna domowa, wybuchają bomby i giną ludzie?

- Złego diabli nie biorą.

- Rzucił panią?

- Kto?

- Facet... Pomyślałem sobie, że szuka pani guza, by zapomnieć. Poczuć adrenalinę.

Wzruszyła ramionami. Wpatrywał się w nią; jego oczy były zmrużone, przenikliwe. Utonęła w tym spojrzeniu. Otuliło ją niby obłok. Całe napięcie rozwiało się. Chciała, by dotknął jej twarzy, piersi. Objął. Pocałował.

- Dlaczego nie odpowiedziała pani na moje pytanie?

- To ja rzucam! - odpowiedziała z uśmiechem, pochyliła się ku niemu i z trudem zapanowała nad tym, by nic ugryźć go w dłoń.

- Zdrada, w swoim grzechu przeciw duchowi, sprowadza człowieka w piekielny krąg absolutnej samotności, w której ani ojciec, ani kochanka albo przyjaciel, choćby najlitościwszy, nie może udzielić rozgrzeszenia.

- Jest pan księdzem, a może misjonarzem? - zachwiała i zakasłała, trzymając się za piersi. - A może jeszcze kapłanem sekty, wierzącej w wampiry i strzygi?

Chwycił ją za przegub dłoni.

Bolało, ale nie zareagowała, żeby nie miał satysfakcji.

- Nudzisz mnie, przyjacielu! - wyrwała dłoń i dotknęła palcami skroni; coś dudniło w jej głowie, zaczęła drgać lewa powieka. Założyła okulary przeciwsłoneczne.

- Conrad miał rację, twierdząc, że kobiety idą przez życie pod osłoną tajemnicy i milczenia. A im ciemniejsze jest to, co chciałyby odkryć, tym więcej mają odwagi.

- O, nawet odcytany! Popisujesz się przede mną? Rozciągnął usta w uśmiechu, odsłaniając duże, białe zęby.

- Moglibyśmy stworzyć niezły duet.

- My? A kim ty jesteś?! - wzruszyła ramionami; chciała go dotknąć, urazić dumę.

Zaśmiał się, po czym zdjął włos z jej bluzki i owinął sobie na palcu.

- Kimś, kto często znajduje się tam, gdzie dzielą władzę i pieniądze. Władza, seks i pieniądze... Tego najbardziej pragną ludzie. Gdyby pani prześledziła teczki konfidentów i agentów, to przekonałaby się pani, że mam rację. Zupełnie nie wiem, a właściwie wiem, dlaczego tyłu rzuciło się na tego dziennikarza Wildsteina, że opublikował zasoby Instytutu Pamięci Narodowej...

- Polityka mnie nie interesuje! - przerwała mu ze złością i zakasłała nerwowo.

- Ale to nie jest polityka... To jest życie. Niech pani wyobrazi sobie taki scenariusz... Poznaje pani jednego faceta, piątego. Już myśli pani, że to ten jedyny na całe życie, tęskni pani za nim, kocha, ale okazuje się, że na przykład nie znosi Mozarta, a pani uwielbia. A następny facet jest wspaniały w

łóżku, przystojny, wysportowany, ale z książek lubi tylko *Trzech muszkieterów*...

- Szybciej zmierzaj do pointy, przyjacielu!

- No i zjawia się Kowalski, który wszystko o pani wie... O upodobaniach seksualnych, fobiach, zamiłowaniach. A skąd wie? Od konfidentów i agentów... Taki facet grałby na pani jak na fortepianie. Zakochałaby się pani w ciągu tygodnia...

- Ja się nie zakochuję! Ja biorę facetów.

- Dlatego moglibyśmy stworzyć niezły duet.

Jego oczy śmiały się, ale jej wydały się być groźne. I były tak piękne, tak lodowato niebieskie.

Nagle zaschło jej w ustach.

- I co byśmy robili?

- Zarabiali pieniądze, podróżowali, kochali się... Żyli. Spojrzała na niego czujnie. Wciągnęła powietrze nosem.

- Masz dziwny sposób uwodzenia.

- Po prostu mówię prawdę... Prawda nas wyzwoli. Pocałował ją mocno w usta i przytulił do siebie.

Znów na mgnienie zastanowiła się, kim on jest, ale zaraz poczuła pożądanie i to było najważniejsze. Dotknęła jego włosów.

Odchyliła mu głowę, przez to musiał patrzeć prosto w jej twarz.

- Czego chcesz? Dlaczego się do mnie przyczepiłeś?

- Możesz mieć w życiu wszystko, czego chcesz, jeśli pomożesz innym osiągnąć to, czego oni chcą... Będę twoim przewodnikiem.

- Nieźle bajerujesz - zaśmiała się, by ukryć zmieszanie. „Kim on jest, kim on jest” - tłuło się w głowie pytanie, ale była to raczej ciekawość niż lęk.

Puściła go.

Pogłaskał ją po włosach i ukrył twarz w ciepłym zagłębieniu między jej szyją a barkiem.

- Masz coś, co mają jedni na milion... Ma się ochotę ci wierzyć.

- Kłamiesz.

- Jest w tobie dwóch ludzi. Ty, normalna, nawet dobra, i ta druga. Ta pierwsza spogląda na drugą i mówi: „Ależ ze mnie kurwa”.

- No, no, nie pozwalaj sobie!

- Ma się ochotę wierzyć. Nawet jeśli wie się, że kłamiesz i jesteś łajdaczką gotową poderżnąć człowiekowi gardło we śnie, by ukraść portfel... Za dziesięć minut będziemy w Bogocie i zaczniesz nowe życie.